

Henry Miller

Zwrotnik
Raka

NOIR SUR BLANC

HENRY MILLER

ZWROTNIK
RAKA

Przełożył
Lesław Ludwig

NOIR SUR BLANC

Powieści te ustąpią kiedyś miejsca pamiętnikom lub autobiografiom – książkom bez wątpienia fascynującym, jeżeli tylko człowiek będzie wiedział, jak dokonać wyboru spośród tego, co nazywa swymi przeżyciami, i jak prawdziwie zarejestrować prawdę.

Ralph Waldo Emerson

Mieszkam w Villa Borghese. Nie ma tu ani jednego pyłku, ani jednego krzesła, które by nie stało na swoim miejscu. Jesteśmy zupełnie sami i jakby martwi.

Zeszłej nocy Borys odkrył, że jest zawszony. Musiałem wygolić mu włosy pod pachami, ale nawet i wtedy swędzenie nie ustało. Skąd wzięły się wszy w tak pięknym domu? Nieważne. Być może Borys i ja nigdy nie zbliżylibyśmy się tak bardzo, gdyby nie te wszy.

Borys przedstawił mi właśnie w skrócie swoje poglądy. Zajmuje się przepowiadaniem pogody. Twierdzi, że będzie w dalszym ciągu zła. Nadejdą kolejne klęski, przyjdzie rozpacz i śmierć. Nie ma najmniejszych oznak zmiany. Rak czasu zżera nas po kawałku. Nasi herosi pozabijali się albo właśnie to czynią. Głównym bohaterem nie jest więc Czas, ale Bezczasowość. Musimy zatem maszerować noga w nogę, trzymać krok podążając ku kazamatom śmierci. Nie ma ucieczki. Pogoda nie ulegnie zmianie.

Nastała jesień mojego drugiego roku w Paryżu. Zostałem tu wysłany z powodu, którego do dziś nie udało mi się odgadnąć.

Nie mam gotówki, majątku, nadziei. Jestem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Jeszcze rok, pół roku temu, sądziłem, że jestem artystą. Teraz nie zastanawiam się już nad tym. Po prostu jestem. Wszystko, co było literaturą, opadło ze mnie. Bogu dzięki, nie trzeba już pisać żadnych książek.

No, a to? To nie tyle książka, ile paszkwil, oszczerstwo, niegodna potwarz. Nie jest to książka w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie, to rozciągnięta w czasie zniewaga, plwanie w twarz Sztuce, kopniaki wymierzane Bogu, Człowiekowi, Przeznaczeniu, Czasowi, Miłości, Pięknu... czemu tam jeszcze chcecie. Zamierzam wam śpiewać. Może trochę fałszywie, ale jednak zaśpiewam. Będę śpiewał, gdy wy będziecie rzeźić, zatańczę nad waszym plugawym zewłokiem...

By śpiewać, należy jednak najpierw otworzyć usta. Trzeba mieć dwa płuca i pewną wiedzę muzyczną. Akordeon czy gitara nie są już konieczne. Rzeczą najistotniejszą jest chęć śpiewania. To tutaj jest zatem pieśnią. Ja śpiewam.

To dla ciebie, Taniu, śpiewam. Chciałbym śpiewać lepiej, bardziej melodyjnie, ale może wówczas nie zgodziłabyś się mnie wysłuchać. Słyszałaś pieśni innych i nie zrobiły na tobie najmniejszego wrażenia. Śpiewali nie dość pięknie, a może zbyt pięknie?

Jest dwudziesty któryś października. Nie zwracam już uwagi na daty. A może to mój sen z 14 listopada ubiegłego roku? Są wprawdzie przerwy, ale to przerwy między jednym snem a drugim, i nie zostaje po nich w świadomości żaden ślad. Świat wokół mnie ulega rozkładowi, pozostawiając tu i ówdzie plamy czasu. Świat jest rakiem zżerającym sam siebie po kawałku... Sądzę, że kiedy wielka cisza spadnie na wszystkich i wszystko, muzyka zatriumfuje ostatecznie. Kiedy wszystko powróci znów na łono czasu, ponownie zapanuje chaos, a chaos to partytura, będąca zapisem rzeczywistości. Ty, Taniu, jesteś moim chaosem. Właśnie dlatego śpiewam. Choć w gruncie rzeczy to nie ja, tylko umierający świat, zrzucający skórę czasu. Ja wciąż żyję, kopię w twoim łonie; ja – rzeczywistość domagająca się zapisu.

Zapadam w drzemkę. Fizjologia miłości. Wieloryb ze swoim blisko dwumetrowym penisem (w stanie spoczynku). Nietoperz – *penis libre*. Zwierzęta posiadające kość w penisie. Stąd – staje jak gnata... „Na szczęście – powiada Gourmont – struktura kostna u człowieka uległa zanikowi”. Na szczęście? Tak, na szczęście. Wyobraźcie sobie tylko, że

osobnicy naszego gatunku paradowaliby z narządami sterczącymi jak gnat. Kangur ma podwójny penis – jeden na dni powszednie, drugi od święta. Zapadam w drzemkę... List od jakiejś kobiety z zapytaniem, czy znalazłem już tytuł dla swojej książki. Tytuł? Ależ proszę: *Lubieżne lesbijki*.

„Twoje anegdotyczne życie!”. Zwrot M. Borowskiego. To właśnie w środy jadam lunch z Borowskim. Jego żona, zasuszona krowa, pełni honory pani domu. Uczy się właśnie angielskiego – jej ulubiony wyraz to „obrzydliwy”. Od razu widzicie, co za mendy z tych Borowskich. Poczekajcie jednak...

Borowski nosi sztruksowe garnitury i gra na akordeonie. Trudno oprzeć się tej kombinacji, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, że nie jest złym artystą. Udaje Polaka, ale oczywiście nim nie jest. Jest Żydem, a jego ojciec był filatelistą. W gruncie rzeczy prawie cały Montparnasse opanowany jest przez Żydów lub, co gorsza, pół-Żydów. Mieszkają tu Carl i Paula, Cronstadt i Borys, Tania i Sylwester, i Moldorf z Lucille. Wyjątkiem jest Fillmore. Nawet Henry Jordan Oswald okazał się Żydem. Louis Nichols jest Żydem. Także Van Norden i Chérie są Żydami. Frances Blake jest Żydem, a raczej Żydówką. Tytus jest Żydem. Tak więc Żydzi mnie przytłaczają. Piszę to dla mojego przyjaciela Carla, którego ojciec jest Żydem. To wszystko jest tu nader istotne.

Spośród wszystkich Żydów najpiękniejsza jest Tania – dla niej i ja zostałem Żydem. Dlaczego nie? Już i tak mówię jak Żyd. I jestem paskudny jak Żyd. Poza tym, któż nienawidzi Żydów bardziej niż oni sami?

Godzina zmierzchu. Błękit, woda jak szklana tafla, lśniące, roztopiające się w powietrzu drzewa. Szyny wpadają do kanału w Jaurès. Długa gąsienica o lakierowanych bokach wznosi się i opada jak diabelska kolejka w lunaparku. To nie Paryż. Ani Coney Island. To wieczorna mozaika wszystkich miast Europy i Ameryki Środkowej. Podo mną rozciągają się torowiska. Czarna pajęczyna splątanych szyn sprawia wrażenie, jakby nie była dziełem inżyniera, lecz gigantycznego kataklizmu; przypomina ponure szczeliny w lodzie polarnym, rejestrowane przez kamerę w różnych odcieniach czerni.

Jedzenie to jedna z tych rzeczy, które sprawiają mi ogromną przyjemność. Ale w tej pięknej Villa Borghese rzadko natrafiam na bodaj ślad jedzenia. Chwilami to wręcz przerażające. Nieraz prosiłem Borysa, by zamówił na śniadanie chleb, ale zawsze zapomina. Wygląda na to, że śniadanie jada poza domem. Kiedy wraca, wydłubuje z zębów resztki, a z jego koziej bródki zwisa kawałek jajka. Jada w restauracji przez wzgląd na mnie. Twierdzi, że przykro mu jeść obfite śniadanie w mojej obecności.

Lubię Van Nordena, ale nie podzielam opinii, które o sobie żywi. Nie uważam, na przykład, że jest filozofem albo myślicielem. Ma bzika na punkcie cipy, ot i wszystko. I nigdy nie będzie pisarzem. Sylwester także nigdy nie będzie pisarzem, choćby jego nazwisko zajaśniało czerwonymi żarówkami o mocy pięćdziesięciu tysięcy świec każda. Jak dotąd jedynymi pisarzami w okolicy, których uznaję, są Carl i Borys. Są opętani. W ich wnętrzu płonie biały płomień. To szaleńcy głusi na półtony. Cierpiętnicy.

Z drugiej strony taki Moldorf, który również na swój sposób cierpi, nie jest szalony. Moldorf upija się słowami. Nie posiada żył ani naczyń krwionośnych, nie ma serca ani nerek. Jest podręcznym kufrem z niezliczoną ilością przegródek, gdzie znajdują się różne fiszki wypisane białym atramentem, brązowym i czerwonym, niebieskim, cynobrowym i szafranowym, fiołkoworóżowym, koloru sjeny, morelowym, turkusowym, połyskującym jak łuska śledzia, miedzianozielonym, atramentem w kolorze onyksu i sera gorgonzola, wina anjou i cygar Corona.

Przeniosłem się z maszyną do drugiego pokoju, gdzie pisząc, mogę się widzieć w lustrze.

Tania podobna jest do Irène. Spodziewa się grubych listów. Ale jest też i inna Tania. Tania – wielkie nasienie rozsiewające wszędzie swój pyłek, epizod z Tołstoja, scena w stajni,

podczas której wykopują płód. Tania to także gorączka – *les voies urinaires*, Café de la Liberté, Place des Vosges, jaskrawe krawaty na boulevard Montparnasse, zaciemnione łazienki, wytrawne porto, papierosy Abdullah, adagio z *Sonaty Patetycznej*, wzmacniacze słuchu, seanse anegdotyczne, piersi o barwie palonej sjeny, grube podwiązki, która to godzina, złociste bażanty nadziewane kasztanami, taftowe paluszki, parujące zmierny, zmieniające się w wiecznie zielony dąb, akromegalia, rak i delirium, gorące woalki, żetony do pokera, dywany z krwi i miękkich ud. Tania potrafi powiedzieć tak, że słyszą ją wszyscy: „Kocham go!”. A kiedy Borys parzy sobie gardło whisky, mówi do niego: „Siadaj tu! Och, Borysie... R o s j a !... Cóż mam robić? Jestem nią przepełniona aż do bólu!”.

W nocy wpadam w histerię, widząc kozią bródkę Borysa na poduszce. Och, Taniu, gdzie jest teraz ta twoja gorąca cipa, te grube, ciężkie podwiązki, te miękkie, pełne uda? W moim kutasie jest sześciocalowa kość. Rozepcham swoim nasieniem wszystkie zmarszczki w twojej cipie, Taniu. Odeślę cię do domu, do tego twojego Sylwestra, z bólem podbrzusza, z przenicowanym łonem. Ach, ten Sylwester! Wie, co prawda, jak rozniecić ognisko, ale ja wiem, jak rozpalić cipę. Taniu, ciskam błyskawice w twoje wnętrzności, rozżarzam twe jajniki. Sylwester robi się trochę zazdrosny, co? Coś tam czuje, nie? Czuje ślad mojego wielkiego kutasa. Poszerzyłem nieco brzegi, wyprasowałem zmarszczki. Po mnie możesz oddawać się ogierom, bykom, baranom, łabędziom, bernardynom. – Możesz sobie wsadzać w odbytnicę żaby, jaszczurki, nietoperze. Możesz wysrywać arpeggia, jeśli zechcesz, albo stroić cytrę na swoim podbrzuszu. Różę cię, Taniu, tak, abyś czuła się zerżnięta. A jeśli obawiasz się publicznego rżnięcia, zerżnę cię prywatnie. Wyrwę kilka włosków z twojej cipy i przykleję je na brodzie Borysa. Wgryzę się w twoją łechtaczkę, wypływając dwie jednofrankówki...

Czyste indygowo niebo pozbawione wełnistych chmur, ponure drzewa rozciągnięte w nieskończoność, ich czarne gałęzie gestykulują niczym lunatycy. Drzewa upiorne, o pniach bladych jak popiół z cygara. Wszechpotężna i tak bardzo europejska cisza. Żaluzje spuszczone, sklepy zaryglowane. Tu i ówdzie czerwony płomyk, znak miejsca schadzek. Fasady chropowate, niemal odpychające – nieskazitelne, gdyby nie plamy cienia rzucanego przez drzewa. Mijając Orangerie przypominam sobie inny Paryż, Paryż Maughama, Gauguina, Paryż George’a Moore’a. Wspominam tego okropnego Hiszpana, zdumiewającego wówczas świat swoimi akrobatycznymi przeskokami z jednego stylu w drugi. Wspominam Spenglera i jego przerażające manifesty i zastanawiam się, czy styl, styl w wielkim stylu, jeszcze istnieje. Mówię, że te myśli zaprzatają mnie teraz, ale to nieprawda; dopiero później, po przejściu przez Sekwanę, zostawiając za sobą karnawał światła, pozwałam, by mój umysł bawił się tymi myślami. W tej chwili nie potrafię myśleć o niczym poza tym, że jestem człowiekiem wrażliwym, którego do głębi przenika cud tych wód odbijających zapomniany świat. Wszędzie wzdłuż brzegów drzewa pochylają się ciężko nad zmatowiałym lustrem; kiedy zrywa się wiatr wypełniając je szelestem, ronią kilka łez i drżą, a woda płynie dalej. Dławi mnie to wrażenie... I nikogo, komu mógłbym przekazać choćby ułamek moich odczuć...

Kłopot z Irène polega na tym, że zamiast cipy ma skrzynkę pocztową. Chce, by jej tam wsadzać grube listy. W tę ogromną walizę, *avec des choses inouïes*. A weźmy Llonę – ta dopiero miała cipę. Wiem to, ponieważ przysłała nam kilka włosków, tych z dołu. Lłona – dzika dupcia, która nawet z wiatru potrafiła wycisnąć odrobinę rozkoszy. Na każdym wzniesieniu bawiła się w nierządnicę, a czasami nawet w budkach telefonicznych i toaletach. Kingowi Carolowi kupiła łóżko i kubek do golenia z jego inicjałami. Leżała na Tottenham Court Road z zadartą spódnicą i zabawiła się sama ze sobą. Używała świec, petard, klamek do drzwi. W całym kraju nie było dla niej dostatecznie dużego kutasa... a n i j e d n e g o . Mężczyźni wchodzili w nią i kurczyli się. Pragnęła kutasów z przedłużaczem, samozapalnych

rakiet, wrzącej mikstury wosku z kreozotem. Gdyby jej tylko pozwolić, chętnie odcięłaby ci chuja i zatrzymała w sobie na zawsze. Jedna cipa na milion ta Llona! Cipa laboratoryjna, która nie barwiła żadnego papierka lakmusowego. Llona była też blagierką. Wcale nie kupiła łóżka dla swego Kinga Carola. Ukoronowała go butelką whisky, a jej język pełen był wszawych obietnic. Biedny Carol, nie pozostało mu nic innego, jak skurczyć się w niej i umrzeć. Nabrała powietrza, a on wypadł z niej jak martwy małż.

Olbrzymie, grube listy, *avec des choses inouïes*. Skrzynka bez pasków. Dziura bez klucza. Miała niemieckie usta, francuskie uszy, rosyjską dupę. Cipę międzynarodową. Kiedy zapalała się chorągiewka, rozpalala się do czerwoności, aż po samo gardło. Wchodziłeś na boulevard Jules-Ferry, a wychodziłeś na Porte de la Villette. Wrzucałeś swoją nerkówkę na jaszczyk, rzecz jasna czerwony, dwukołowy. Przy ujściu Ourcq do Marne, gdzie woda prześlizguje się przez groble i stoi niczym lustro pod mostami. Tam właśnie leży teraz Llona, a w kanale pełno szkła i innych skorup; mimozy płaczą, a do okna przylepiło się mokre, mgliste pierdnięcie. Jedna cipa na milion – ta Llona! Cipa na wskroś, przejrzysta jak szkło dupa, z której można wyczytać historię średniowiecza.

Moldorf wyłania się jako karykatura człowieka. Tarczycowe oczy. Usta Michelina. Głos jak zupa grochowa. Pod kamizelką nosi małą gruszkę. Jakkolwiek byś na niego patrzył, zawsze widać tę samą panoramę: japońską tabakierkę, rączkę z kości słoniowej, figurę szachową, wachlarz, motyw ze świątyni. Tak długo fermentował, aż stał się bezkształtny. Jak drożdże obrabowane z witamin, wazon pozbawiony plastikowego kwiatu.

Kobiety spółdzone dwukrotnie: w IX wieku, potem znów w epoce renesansu. Moldorfa przeniesiono podczas wielkich wędrówek pod żółtymi brzuchami i białymi. Na długo przed Exodusem Tatar napluł mu w krew.

Jego dylemat jest dylematem karła. Szyszkowatymi oczami widzi swoją sylwetkę, rzuconą na niebywałych rozmiarów ekran. Jego głos, spiłowany do cienia główki od szpilki, odurza go. Słyszy ryk, choć inni – ledwie pisk.

Jest jeszcze jego umysł. To amfiteatr, w którym aktor daje proteuszowe przedstawienie. Moldorf, wielokształtny i nieomylny, wciela się w swoje role – kłowna, kuglarza, kontorsjonisty, kapłana, rozpustnika, szarlatana. Amfiteatr jest zbyt mały. Podkłada pod niego dynamit. Publiczność jest oszołomiona. On ją obezwładnia.

Bezszykownie usiłuję zbliżyć się do Moldorfa. To tak, jakby próbować zdefiniować Boga. Zresztą Moldorf jest Bogiem – nigdy nie był niczym innym. Tymczasem ja zaledwie rzucam słowa na papier...

Miałem o nim opinie, które byłem zmuszony odrzucić; miałem inne, które teraz próbuję zmienić. Przyszpiliłem go, by odkryć, że nie mam do czynienia z żukiem gnojakiem, lecz z ważką. Obrażał mnie swoim grubiaństwem, by potem przytłoczyć delikatnością. Potrafił być rozmowny do granic wytrzymałości, potem znów cichy jak Jordan.

Kiedy widzę, jak zbliża się truchcikiem, by mnie powitać, z wyciągniętymi łapkami i zażawionymi oczyma, czuję, że mam przed sobą... Nie, tak nie można tego ująć!

„*Comme un oeuf dansant sur un jet d'eau*”.

Moldorf ma tylko jedną łaskę, w dodatku w lichym gatunku. W kieszeniach świstki papieru zawierające recepty na *Weltschmerz*. Jest już wyleczony, a tej małej Niemce, która umyła mu stopy, serce pęka. Przypomina pana Nijakiego wlokącego wszędzie ze sobą słownik gudzarati. „Nieunikniony dla każdego”, co niewątpliwie ma znaczyć „niezbędny”. Borowski nie mógłby pojąć tego wszystkiego. Borowski ma na każdy dzień tygodnia inną łaskę i specjalną na Wielkanoc.

Mamy ze sobą tyle wspólnego, że patrząc na niego, czuję się tak, jakbym widział siebie w pękniętym lustrze.

Przeglądałem swoje rękopisy, całe strony zagryzmolone poprawkami. Strony pełne literatury. Przeraza mnie to trochę, tak bardzo przypomina mi Moldorfa. Tyle że ja

jestem gojem, a goje cierpią w inny sposób. Cierpią, nie popadając w nerwicę, a – jak mówi Sylwester – człowiek nigdy nie dotknięty nerwicą nie wie, co to cierpienie.

Wyraźnie pamiętam, jak rozkoszowałem się swoim cierpieniem. To tak, jakby wziąć do łóżka małego lwa. Co jakiś czas drapnie cię pazurami – i wtedy naprawdę się boisz. A przecież zwykle nie czujesz strachu – zawsze mogłeś go wypuścić albo odrąbać mu łeb.

Są ludzie nie potrafiący oprzeć się pokusie wejścia do klatki z dzikimi zwierzętami, pragnieniu, by dać się poharatać. Wchodzą do niej bez rewolweru czy pejcza. Strach czyni ich nieustraszonymi... Dla Żyda świat jest klatką pełną dzikich bestii. Drzwi są zamknięte, a on siedzi w środku bez rewolweru czy pejcza. Jego odwaga jest tak wielka, że nie czuje nawet smrodu łajna leżącego w rogu. Widzowie klaszczą w dłonie, on nie słyszy. Wydaje mu się, że dramat rozgrywa się w klatce. Klatka – myśli – jest światem. Gdy tak stoi samotny i bezradny, a drzwi są zamknięte, odkrywa, że lwy nie rozumieją jego języka. Żaden lew nigdy nie słyszał o Spinozie. Spinoza? Tego się nawet nie da wziąć na kieł. „Chcemy mięsa!” – ryczą, a on stoi tam skamieniały, z myślami zamienionymi w sople lodu, ze swoim *Weltanschauung* jak niedosięgly trapez. Jedno uderzenie lwiej łapy i jego kosmogonia rozlatuje się na kawałki.

Lwy również są zawiedzione. Spodziewały się krwi, kości, chrząstek, ścięgien. Żują i żują, ale słowa są z *chicle*, czyli gumy-bazy, a ta jest niestrawna. *Chicle* jest podstawowym składnikiem, który posypuje się cukrem, pepsyną, tymiankiem, lukrecją. *Chicle* jest OK, kiedy zbierają *chicleros*. Przeszli oni grzbietem zatopionego kontynentu, przynosząc ze sobą algebraiczny język. Na pustyniach Arizony napotkali Mongołów z północy, glazurowanych jak oberżyna. Stało się to wkrótce po tym, gdy Ziemia uzyskała swoje żyroskopowe nachylenie, kiedy Gólsztrom rozstawał się z Prądem Japońskim. W sercu Ziemi znaleźli skały wapiennego tufu. Swoim językiem upiększyli samo wnętrze Ziemi. Zjadali swoje wnętrzości, a puszcza zamykała się nad nimi, nad ich kośćmi i czaszkami, nad ich koronkowym wapiennym tufem. Ich język zaginął. Tu i ówdzie można wciąż jeszcze odnaleźć resztki menażerii, pokryty symbolami kawałek kości czaszkowej.

Cóż to wszystko ma wspólnego z tobą, Moldorfie? Słowem błakającym się na twoich ustach jest anarchia. Wypowiedz je, Moldorfie, czekam na nie. Kiedy podajemy sobie ręce, nikt nie wie, jakie rzeki przepływają przez nasz pot. Kiedy ty z na wpeł rozchyłonymi ustami, w których bulgocze ślina, zestawiasz słowa, ja przeskakuję pół Azji. Gdybym wziął twoją laskę, chociaż jest taka mama, i wybił ci w boku małą dziurkę, zebrałbym wystarczającą ilość materiałów, by wypełnić całe British Museum.

Trwamy zaledwie pięć minut, a pożeramy stulecia. Jesteś sitem, przez które precedza się moja anarchia, układając się w słowa. Poza słowem jest chaos. Każde słowo jest paskiem, prętem, lecz nigdy nie ma i nie będzie dość prętów, by zrobić z nich klatkę.

Pod moją nieobecność zawieszono zasłony w oknach. Wyglądają jak tyrolskie obrusy zanurzone w lizolu. Pokój lśni. Siedzę na łóżku jak w transie, myśląc o człowieku przed momentem narodzin. Nagle odzywają się dzwonki, dziwna, nieziemska muzyka, jakbym został przeniesiony w stepy Azji Środkowej. Niektórym towarzyszy długi, ciągnący się pogłos, inne wybuchają nagle, pijane i rzewne. A teraz znów zapanował spokój, jedynie ostatni ton delikatnie muska ciszę nocy – ledwo słyszalny, wysoki gong, zdławiony nagle jak płomień świecy.

Zawarłem cichą umowę z samym sobą, że nie zmienię ani jednej zapisanej linijki. Nie jestem zainteresowany udoskonalaniem swoich myśli ani czynów. Obok doskonałości Turgieniewa stawiam doskonałość Dostojewskiego. (Czy jest coś doskonalszego od *Wiecznego męża*?). Oto tutaj, w jednym i tym samym środku przekazu, mamy do czynienia z dwoma rodzajami doskonałości. Ale w listach van Gogha odnajdujemy doskonałość przewyższającą każdą z tamtych dwóch. To triumf jednostki nad sztuką.

W tej chwili tak naprawdę interesuje mnie tylko jedna rzecz, a jest nią rejestrowanie tego wszystkiego, co pominięto w książkach. O ile mi wiadomo, nikt nie wykorzystuje tych elementów atmosfery, które nadają kierunek i motywację naszemu życiu. Jedynie mordercy wydają się czerpać z życia jakąś zadowalającą część tego, co w nie wkładają. Nasze stulecie domaga się przemocy, ale mamy jedynie same niewypały. Rewolucje tłumi się w zarodku albo też zbyt gwałtownie osiągają swój cel. Namiętność szybko się wyczerpuje. Ludzie znajdują oparcie w ideach, *comme d'habitude*. Nie ma propozycji interesujących nas dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Przeżywamy milion wersji życia na przestrzeni jednego pokolenia. Studiując entomologię czy życie podwodne albo zachowanie komórek, czerpiemy więcej...

Telefon przerywa tę myśl, której i tak nie byłbym w stanie dokończyć. Ktoś chce obejrzeć mieszkanie...

Wygląda na to, że nadchodzi koniec, koniec mojego życia w Villa Borghese. W porządku, wezmę te zapisane kartki i przeniosę się. Akcja będzie się toczyć gdzie indziej. Zawsze gdzieś toczy się jakaś akcja. Wydaje się, że gdziekolwiek pójdę, trafiam na dramat. Ludzie są jak wszy – włożą ci pod skórę i zagrzebują się tam. Drapiesz się i drapiesz aż do krwi, ale nie możesz się skutecznie odwszawić. Gdziekolwiek pójdę, wszędzie to samo: ludzie paskudzą sobie życie. Każdy przeżywa jakąś prywatną tragedię. Mamy to już we krwi – nieszczęście, nudę, smutek, samobójstwo. Powietrze jest przesiąknięte katastrofą, frustracją, daremnością. Drap się i drap – aż zedrzesz sobie skórę. Mnie jednak ten stan rzeczy dodaje ducha. Zamiast zniechęcać lub przygnębiać, raduje mnie. Krzykiem domagam się jeszcze więcej katastrof, jeszcze większych klęsk, wspanialszego fiaska. Chcę, by cały świat był do niczego, chcę, by każdy zachochnął się na śmierć.

Zmuszony jestem żyć teraz tak wściekle i szybko, że prawie nie mam czasu na prowadzenie nawet tych jakże fragmentarycznych notatek. Po tamtym telefonie przyszedł jakiś pan z żoną. Na czas transakcji poszedłem położyć się na górę. Leżałem zastanawiając się nad moim następnym posunięciem. Na pewno nie wrócę do łóżka tej cioty, by całą noc przewracać się z boku na bok, strącając okruszki chleba palcami stóp. Ten zarzygany mały bękart! Jeśli jest coś gorszego od egzystencji cioty, to egzystencja sknery. Nieśmiały, trzęsący się kutas – żyje w wiecznym strachu przed bankructwem, boi się, że może ono nastąpić osiemnastego marca albo dokładnie dwudziestego piątego maja. Pija kawę bez mleka i bez cukru. Jada chleb bez masła. Mięso bez sosu albo w ogóle obywa się bez mięsa. Obywa się bez tego i owego! Mała niechlujna kutwa! Pewnego dnia ktoś otworzy szufladę jego biurka i znajdzie pieniądze w skarpecie. Ponad dwa tysiące franków – i czeka, których nie chciało mu się zrealizować. Nie przeszkadzałoby mi to tak bardzo, gdyby nie fakt, że ciągle znajduję fusy po kawie w swoim berecie i śmieci na podłodze, nie wspominając już o słoiczkach po kremie, zapuszczonych ręcznikach i stale zatkanym zlewie. Mówię wam, ten mały bękart, ależ on śmierdział, chyba że akurat oblał się wodą kolońską. Miał brudne uszy, brudne oczy, brudną dupę. Był zawoszonym, przyziemnym, schorowanym astmatykiem o niesłuchanie giętkich stawach. Wybaczyłbym mu jednak to wszystko, gdyby choć raz podał mi przyzwoite śniadanie! Ale człowiek, który chowa dwa tysiące franków w brudnej skarpecie i nie chce założyć czystej koszuli ani posmarować chleba odrobiną masła, to już nie tylko ciota i nie tylko sknera, to ponury imbecyl!

Oczywiście nazwanie go ciotą jest ni w pięć, ni w dziewięć. Nadstawiam ucha, by usłyszeć, co się dzieje na dole. To jakiś pan Wren z żoną, bo to oni wyrazili telefonicznie chęć obejrzenia mieszkania. Mówią, że je wezmą. Tylko m ó w i ą o tym, Bogu dzięki. Pani Wren śmieje się prowokująco, co zapowiada komplikacje. Teraz mówi p a n Wren. Jego głos jest ochrypliwy, zgrzytliwy, grzmiący, przypomina tępe ciężkie narzędzie mogące rozplątać ciało, kość i chrząstkę.

Borys prosi mnie na dół, chce mnie przedstawić. Zaciera ręce jak właściciel lombardu. Rozmawiają o opowiadaniu napisanym przez pana Wrena, opowiadaniu o włogawym koniu.

– Wydawało mi się, że pan Wren jest malarzem.

– Oczywiście – mówi Borys z błyskiem w oku – ale w zimie pisze. I to pisze dobrze... wyjątkowo dobrze.

Usiłuję nakłonić pana Wrena, by się odezwał, by coś powiedział, cokolwiek, choćby o włogawym koniu, ale pan Wren mówi prawie zupełnie od rzeczy. Kiedy próbuje opowiedzieć o tych koszmarnych miesiącach spędzanych z piórem, staje się niekomunikatywny. Miesiąc mija za miesiącem, zanim postawi na papierze choć jedno słowo. (A przecież zima to tylko trzy miesiące!). Nad czym zastanawia się w te długie zimowe wieczory? Dalibóg, nie mogę sobie wyobrazić, że ten facet jest pisarzem. Ale pani Wren twierdzi, że kiedy się zabiera do pisania, słowa płyną mu wartkim potokiem.

Rozmowa trochę kuleje. Trudno odgadnąć tok myśli pana Wrena, ponieważ nie mówi nic istotnego. Pomysły cisną mu się do głowy, kiedy już się rozpisze – jak to ujmuje pani Wren. Pani Wren przedstawia wszystko, co dotyczy pana Wrena, w jak najlepszym świetle. „Pomysły cisną mu się do głowy, kiedy się rozpisze” – urocze, doprawdy urocze, jak powiedziałby Borowski, ale w gruncie rzeczy jest to bolesne, zwłaszcza gdy sam pomysłowy myśliciel nie jest niczym innym jak włogawym koniem.

Borys daje mi pieniądze na jakiś alkohol. W drodze do sklepu jestem już odurzony. Wiem, jak się zachowam po powrocie. Gdy tak idę sobie ulicą, rozpoczyna się we mnie ta wielka przemowa, która bulgoce w środku jak prowokujący śmiech pani Wren. Wydaje mi się, że była już lekko wstawiona. Ślicznie słucha, kiedy jest naprana. Gdy wychodzę ze sklepu z winami, słyszę, jak bulgocze klozet. Wszystko jest prowokujące i pluskające. Chciałbym, aby pani Wren to słyszała...

Borys znów zaciera ręce. Pan Wren nadal jąka się i ślini. Ja trzymam między kolanami butelkę i wsadzam w nią korkociąg. Pani Wren z nadzieją rozchyła usta. Wino spływa mi między nogi, słońce wpływa przez okno wykuszowe, a w moich żyłach płynie banieczka tysiąca zwariowanych rzeczy, które zaczynają tryskać ze mnie bez ładu i składu. Mówię im wszystko, co mi przychodzi do głowy, wszystko, co było dotąd zakorkowane we mnie, a co uwolnił teraz prowokujący śmiech pani Wren. Butelka ściskana nogami i słońce wpływające przez okno pozwalają mi jeszcze raz przeżyć świetność tych marnych dni, kiedy przybyłem do Paryża jako oszołomiony, ubogi osobnik, nawiedzający ulice niczym upiór na bankiecie. Wszystko powraca do mnie fala za falą – nie działające spłuczki w toaletach, Cinema Splendide, gdzie spałem na płaszczu jakiegoś widza, kraty w oknach, uczucie duszenia się, spalone karaluchy, od czasu do czasu pijatyki i szaleństwa, Rose Canaque i Neapol zamierające w blasku słońca. Taniec o pustym żołądku na ulicach i co jakiś czas wizyty u dziwnych ludzi – madame Delorme na przykład. Jak udało mi się dostać do madame Delorme, nie mam najmniejszego pojęcia. Ale dostałem się tam, wszedłem jakoś do środka, minawszy kamerdynera i pokojówkę w białym fartuszkach, dostałem się do wnętrza tego pałacu ubrany w sztruksowe spodnie i kurtkę myśliwską, nie mając ani jednego guzika przy rozporoku. Nawet teraz czuję złocistą atmosferę tego pokoju, w którym madame Delorme siedziała na tronie w swym męskim stroju, otoczona złotymi rybkami w szklanych słojach, mapami starożytnego świata, pięknie oprawionymi książkami; znów czuję jej ciężką dłoń na ramieniu i ponownie jestem trochę przestraszony tą bardzo lesbijską atmosferą, którą roztaczała wokół siebie. Swobodniej poczułem się dopiero na dole, w tej gęstej zupie wlewającej się na Gare St. Lazare, wśród kurw w bramach, butelek seltzera na każdym stole, rynsztoków zalewanych gęstą falą spermy. Między piątą a siódmą nie ma nic lepszego, niż być poszturchiwany w tym tłumie, podążać za jakąś zgrabną nogą lub pięknym biustem, płynąć na fali, z zamętem w głowie. Czerpałem z tego wówczas osobliwą satysfakcję. Nie byłem z nikim umówiony ani zaproszony na obiad, nie miałem żadnego planu i byłem bez

grosza. To był złoty wiek, kiedy nie miałem ani jednego przyjaciela. Każdego ranka odbywałem koszmarne spacer do biura American Express, każdego ranka otrzymując od urzędnika tę samą nieuniknioną odpowiedź. Biegałem tu i tam jak pluskwa, zbierając od czasu do czasu pety, niekiedy ukradkiem, innym znów razem całkiem beczelnie; siadywałem na ławce ściskając brzuch, by przestał mi dokuczać, lub spacerowałem po Jardin des Tuileries dostając wzrodu od patrzenia na głupie rzeźby. Albo krok za krokiem włączyłem się nocą wzdłuż Sekwany, oszalały od jej piękna, piękna pochyłonych nad wodą drzew, popękanych obrazów odbijających się w wodzie, naporu prądu w świetle cholernych świateł mostów, kobiet śpiących w bramach z gazetami pod głową, śpiących na deszczu; i wszędzie były stare, zmurszałe portyki katedr, i żebracy, i wszy, i stare czarownice opętane tańcem św. Wita; wózki ustawione w bocznych uliczkach jeden na drugim jak beczki z winem, zapach truskawek na targowisku i stary kościółek otoczony warzywami i światłami niebieskich luków, rynsztoki śliskie od śmieci i kobiety w satynowych bucikach, zataczające się wśród brudu i robactwa po całonocnej libacji. Place St. Sulpice, jakże ciche i opustoszałe, gdzie koło północy pojawiała się zawsze ta sama kobieta ze złamanym parasolem i dziwaczną woalką; co noc spała tam na ławce rozpinając nad sobą podarty parasol, z którego sterczały druty. Miała kościste palce, jej sukienka zieleniała coraz bardziej, a ciało wydawało odór rozkładu; rano sam siadywałem na tej ławce, oddając się krótkiej drzemce na powietrzu, przeklinając cholerne gołębie wszędzie zbierające okruchy. St. Sulpice! Przysadziste dzwonnice, makabryczne plakaty nad drzwiami, blask świec wewnątrz. Plac tak uwielbiany przez Anatola France'a, pełen monotonnego szmeru i buczenia od ołtarza, pluskania fontanny, gruchania gołębi, okruszyn znikających jak zaczarowane. I tylko to mdlące burczenie w pustym żołądku. Przesiadywałem tam dzień w dzień, myśląc o Germaine i owej brudnej uliczce koło Bastylli, gdzie mieszkała, i o tym buczeniu za ołtarzem, autobusach przewalających się obok, słońcu padającym na asfalt, wtapiającym się we mnie i Germaine, wtapiającym się w asfalt i cały Paryż mieszczący się w tych ogromnych przysadzistych dzwonicach.

I to właśnie na rue Bonaparte, zaledwie rok temu, Mona i ja spacerowaliśmy co wieczór po wyjściu od Borowskiego. St.

Sulpice nie znaczył wtedy dla mnie zbyt wiele, podobnie jak i inne miejsca w Paryżu. Byłem wyczerpany rozmowami, zmęczony twarzami. Miałem dość katedr, placów, menażerii i wszystkiego innego. Byłem zmęczony braniem do ręki jakiejś książki w czerwonej sypialni i niewygodnym trzcinowym krzesłem, zmęczony siedzeniem na dupie jak dzień długi, zmęczony czerwoną tapetą i widokiem tyłu ludzi gadających o niczym. W czerwonej sypialni kufer był wiecznie otwarty, a jej suknie walały się wszędzie, tworząc deliryczny bałagan. W czerwonej sypialni leżały moje kalosze i laski, nietknięte notatniki, rękopisy zimne i martwe. Paryż! Paryż to dla mnie Café Select, Dôme, pchli targ, biuro American Express. Paryż to laski Borowskiego, kapelusze Borowskiego, prehistoryczne ryby Borowskiego... i prehistoryczne kawały. W tym Paryżu z roku 1928 jedna tylko noc utrwaliła się w mojej pamięci – noc przed odpłynięciem do Ameryki. Niezwykła to była noc – Borowski był lekko wstawiony i trochę oburzony na mnie, że tańczę z każdą dziwką w lokalu. Przecież rano wyjeżdżamy! To właśnie mówię każdej cipie, do której się dorwę – r a n o w y j e ż d ż a m y ! To właśnie mówię blondynie o oczach koloru agatu. I gdy to mówię, ona bierze moją rękę i wpychają sobie między uda. W toalecie stoję przed pisuarem z okropnym wzrodem; kutas wydaje się jednocześnie lekki i ciężki, jak kawałek ołowiu ze skrzydłami. Tak oto sobie stoję, gdy wpadają dwie pizdy – Amerykanki. Witam je serdecznie z kutasem w ręku. Mrugają do mnie i idą dalej. W przedsionku, zapinając rozporek, zauważam, że jedna z nich czeka, aż jej przyjaciółka wyjdzie z kibla. Nadal gra muzyka i zaraz może przyjść po mnie Mona albo Borowski ze swoją laską o złoczonej gałce, ale ja już jestem w jej ramionach, a ona trzyma mnie za ptaka i nie obchodzi mnie, ani kto nadejdzie, ani co się stanie.

Wślizgujemy się do kabiny, gdzie opieram ją o ścianę i usiłuję wejść w nią, ale nie udaje mi się, więc siadamy na desce i próbujemy w ten sposób, ale też nic z tego. Jakkolwiek próbujemy, nie udaje się. I przez cały czas ona trzyma ręką mego chuja, trzyma się go kurczowo jak koła ratunkowego, ale to na nic; jesteśmy zbyt napaleni, zbyt chętni. Muzyka wciąż gra, więc w takt walczyka wypływamy z powrotem z kabiny do przedsiönka i gdy tak tańczymy w tym sraczu, spuszcza się na jej piękną suknię i ona wścieka się jak diabli z tego powodu. Potykając się docieram do stolika i znów mam przed sobą Borowskiego z różową gębą i Monę z dezaprobatą w oczach. A Borowski mówi: „Jedźmy jutro wszyscy do Brukseli”, i zgadzamy się, a kiedy wracamy do hotelu, wymiotuję gdzie popadnie – na łóżko, do umywalki, wymiotuję na garnitury i suknie, i kalosze, i laski, i nietknięte notatniki, i rękopisy, te zimne i martwe.

Kilka miesięcy później. Ten sam hotel, ten sam pokój. Wyglądamy na podwórze, gdzie stoją zaparkowane rowery, a nad nami jest pokoiik na poddaszu, gdzie jakiś przemądrzały gówniarz całymi dniami puszcza gramofon, powtarzając na cały głos jakieś mądre sentencyjki. Mówię „my”, ale w ten sposób uprzedzam bieg wydarzeń, bo Mony nie było przez długi czas i właśnie dzisiaj wychodzę po nią na Gare St. Lazare. Pod wieczór stoję tam z twarzą wciśniętą między pręty ogrodzenia, ale Mony nie ma; czytam w kółko jej telegram, ale to nic nie daje. Wracam do Dzielnicy Łacińskiej i mimo wszystko wcinam solidną kolację. Nieco później, przechodząc koło Dôme, dostrzegam nagle bladą, dużą twarz, płonące oczy i aksamitny kostiumik, który zawsze uwielbiałem, ponieważ pod miękkim aksamitem znajdowałem zawsze jej gorące piersi, marmurowe nogi, chłodne, jędrne, muskularne. Ona podnosi się spośród morza twarzy i obejmuje mnie, obejmuje mnie namiętnie – tysiące oczu, nosów, palców, nóg, butelek, okien, torebek, spodeczków gapi się na nas, a my trzymamy się w ramionach, zapominając o wszystkim. Siadam obok niej i ona zaczyna mówić – istny potok słów. Dzikie, suchotnicze nuty hysterii, perwersji, trądu. Nie słyszę z tego ani słowa, ponieważ ona jest piękna i kocham ją, i nagle jestem szczęśliwy, i chcę umrzeć.

Idziemy w dół rue de Château, szukając Eugène'a. Przechodzimy przez most kolejowy, gdzie kiedyś spędzałem długie godziny, obserwując nadjeżdżające pociągi i gdzie robiło mi się niedobrze, gdy zastanawiałem się, gdzie u diabła ona się podziewa. Wszystko wydaje się takie miękkie i urzekające, kiedy przechodzimy przez most. Dym przepływa nam między nogami, tory skrzypią, w naszej krwi opuszczają się i podnoszą semafony. Czuję jej ciało blisko swego – ciało należące teraz do mnie – i przystaję, by rozgrzać ręce o ciepły aksamit. Wszystko wokół mnie rozsypuje się, rozsypuje się w proch, a ciepłe ciało pod ciepłym aksamitem tęskni do mnie aż do bólu...

Z powrotem w tym samym pokoju i pięćdziesiąt franków na plus dzięki Eugène'owi. Wyglądam na podwórko, gramofon milczy.

Kufer jest otwarty, a jej rzeczy poniewierają się wszędzie, zupełnie jak przedtem. Ona kładzie się w ubraniu na łóżku. Robimy to raz, dwa, trzy razy, cztery... boję się, że zwariuje... w łóżku, pod kocami, jak dobrze znów czuć jej ciało! Ale czy na długo? Czy tym razem potrwa to jakiś czas? Już przeczuwam, że nie.

Ona tak gorączkowo mówi do mnie – jakby już miało nie być jutra. „Cicho, Mona! Tylko patrz na mnie... nic nie mów!”. Wreszcie zasypia, a ja wyciągam rękę przygniecioną jej ciałem. Oczy mi się zamykają. Jej ciało jest tuż obok mojego... na pewno pozostanie tu do rana... To w lutym wypłynąłem z portu w zalepiającej oczy burzy śnieżnej. Ostatni raz widziałem ją, jak stała w oknie machając mi na pożegnanie. Po drugiej stronie ulicy, na rogu, stał mężczyzna – kapelusz nasunięty na oczy, szczęka wsparta o klapy płaszcza. Obserwujący mnie embrion. Embrion z cygarem w zębach. Mona w oknie macha mi na pożegnanie. Biała, duża twarz, chaos rozsypanych włosów. A teraz jest duża sypialnia, regularne oddechy przez skrzela, spomiędzy jej ud wciąż sączy się sok, ciepły koci zapach i jej włosy w moich ustach. Oczy mam zamknięte. Nasze ciepłe oddechy mieszają się ze sobą. Nigdy już nie chcę jej

ogłądać. To, że Monę mam obok siebie w łóżku, że czuję jej oddech na twarzy i jej włosy w ustach, uważam niemal za cud. Do rana nic się nie może zdarzyć...

Budzę się z głębokiego snu, by na nią popatrzeć. Przez okno sączy się blade światło. Patrzę na jej piękne, zwichrzone włosy. Czuję, że coś mi łązi po szyi. Patrzę na nią jeszcze raz, uważnie. Jej włosy się poruszają. Odsuwam prześcieradło – pełno ich. Na poduszce jest ich całe mrowie.

Właśnie nastał świt. Pospiesznie pakujemy się i wymykamy z hotelu. Kafajki są jeszcze zamknięte. Idziemy przed siebie, drapiąc się zapamiętałe. Dzień zaczyna się mleczną bielą, smugami łososioworóżowego nieba, ślimakami wychodzącymi z muszelek. Paryż. Paryż. Tu zdarza się wszystko. Stare, rozsypujące się mury i miły szmer wody płynącej w pisuarach. Mężczyźni oblizujący wąsy przy barze. Podnoszone z łoskotem żaluzje sklepów i strumyczki szmerzące w rynsztokach. Olbrzymie purpurowe litery obwieszczające *Amer Picon. Zig-zag*. Którędy pójdziemy i dlaczego, gdzie i po co?

Mona jest głodna, ma na sobie cienką sukienkę. Nie wzięła ze sobą nic prócz strojów wieczorowych, buteleczek perfum, barbarzyńskich kolczyków, bransoletek, depilatorów. Siadamy w salonie bilardowym na Avenue du Maine, zamawiamy gorącą kawę. Toaleta jest nieczynna. Trzeba tu będzie posiedzieć, nim pójdziemy do innego hotelu. Tymczasem wybieramy sobie nawzajem pluskwy z włosów. Jesteśmy zdenerwowani. Mona przestaje panować nad sobą. Musi się wykąpać. Musi mieć to, musi mieć tamto. Musi, musi, jeszcze raz musi...

– Ile ci zostało pieniędzy?

Pieniądze! Całkiem o tym zapomniałem.

Hôtel des Etats-Unis. *Ascenseur*. Idziemy do łóżka w pełnym blasku dnia. Kiedy wstajemy, zmierzcha się i pierwsza rzecz, która nas czeka, to uzbieranie dość szmalu na telegram do Ameryki, telegram do embriona z długim, soczystym cygarem w ustach. A na razie mamy tę Hiszpankę na boulevard Raspail – zawsze można ją naciągnąć na gorący posiłek. Do rana coś się wydarzy. Teraz przynajmniej idziemy razem do łóżka. Pluskiew tu nie ma. Zaczęła się pora deszczowa. Pościel jest nieskazitelnie czysta...

Otwiera się przede mną nowe życie w Villa Borghese. Dopiero dziesiąta, a my jesteśmy już po śniadaniu i po spacerze. Mamy tu teraz niejaką Elzę. „Przez kilka dni stąpać na paluszkach”, ostrzega Borys.

Dzień zaczyna się cudownie: jasne niebo, orzeźwiający wiatr, domy świeżo otynkowane. Po drodze na pocztę dyskutowaliśmy z Borysem o książce. *Ostatnia księga* będzie dziełem anonimowym.

Zaczyna się nowy dzień. Poczułem to, gdy staliśmy rano pod jednym z błyszczących płócien Dufresne’ego, przedstawiającym coś jakby *déjeuneur intime* w XIII wieku, *sans vin*. Ładny, mięsisty akt – kobieta pełna, wibrująca, różowa jak paznokieć, z lśniącoymi falami ciała, posiadająca wszystkie drugorzędne cechy płciowe i niektóre z pierwszoplanowych. Ciało zdolne ukąsić, kroplące się wilgocią świtu. Martwa natura, tyle że nic nie jest tu martwe. Stół ugina się pod ciężarem jedzenia; jest tak ciężki, że wysuwa się z ram. Trzynastowieczny posiłek, pobrzmiwający wszystkimi odgłosami dżungli, tak doskonale zapamiętanymi przez malarza. Rodziny gazeli i zebr szczypiące pędy palm.

A teraz mamy Elzę. Grała nam dziś rano, gdy leżeliśmy w łóżkach. Przez kilka dni stąpać na palcach... W porządku! Elza jest pokojówką, a ja gościem. A Borys to ważna persona. Rozpoczyna się nowy dramat. Śmieję się sam do siebie, gdy to piszę. Wie, co się stanie, ten sprytny ryś – Borys. On też ma niezłego nosa. S t ą p a j n a p a l c a c h ...

Borys zachowuje się tak, jakby siedział na szpilkach. W każdej chwili na scenie może się pojawić jego żona. Waży sporo ponad 180 funtów. A Borys to piórko. Ot i cała sytuacja. Usiłuje mi ją wyjaśnić, gdy wieczorem wracamy do domu. Jest tak tragiczna, a zarazem komiczna, że muszę zatrzymywać się co chwilę i śmiać mu się w twarz. „Z czego tak się śmiesz?”, pyta łagodnie i sam zaczyna rechotać – jest w jego głosie skomląca, histeryczna nutka, jak u nieszczęśnika zdającego sobie nagle sprawę, że bez względu na to, ile fraków na siebie włoży, nigdy nie będzie wyglądał jak człowiek. „Niechże ta krowa weźmie sobie wszystko, byleby tylko zostawiła mnie w spokoju”, skamle. Ale wpierv trzeba wynająć mieszkanie, podpisać akty notarialne, załatwić tysiąc innych spraw, do których frak jest mu niezbędny. Te jej wymiary! – to martwi go najbardziej. Gdybyśmy wracając do domu mieli ją zobaczyć na schodach, zemdlałby – taki czuje przed nią respekt!

Tak więc musimy przez jakiś czas delikatnie obchodzić się z Elzą. Elza jest tutaj wyłącznie po to, by przygotowywać śniadania – i pokazywać chętnym mieszkanie.

Ale Elza od początku mnie podrywa. Ta niemiecka krew. Te jej melancholijne oczęta. Schodząc dziś rano ze schodów, mając wciąż w nozdrzach aromat świeżej kawy, nuciłem cicho... „*Es wär’ so schön gewesen*”. To serwuje na śniadanie. A za chwilę ten młody Anglik nad nami zagra Bacha. Jak twierdzi Elza – „jemu potrzeba kobiety”. Elzie też czegoś potrzeba, czuję to. Nic o tym nie mówiłem Borysowi, ale gdy mył zęby dziś rano, Elza zasypywała mnie plotkami o Berlinie, o kobietach od tyłu wyglądających atrakcyjnie, ale kiedy się odwróca – o j e j , s y f i l i s !

Wydaje mi się, że Elza patrzy na mnie dość tęsknym wzrokiem. Takie wrażenie odniosłem przy śniadaniu. Po południu siedzieliśmy oboje w pracowni zajęci pisaniem, odwrócenie do siebie plecami. Ona rozpoczęła list do swego ukochanego we Włoszech. Mnie zacięła się maszyna. Borys wyszedł obejrzeć tani pokój, który chce wynająć, jak tylko ktoś weźmie to mieszkanie. Nie pozostawało mi nic innego, jak pokochać się z Elzą. Miała ochotę. A jednak było mi jej trochę żal. Napisała do swego ukochanego zaledwie pierwszą linijkę – przeczytałem ją, pochylając się nad nią. Ale nic już nie mogłem poradzić. Ta cholerna

niemiecka muzyka, taka melancholijna, taka sentymentalna. Rozmiękczyła mnie. A do tego te jej oczka jak paciorki, takie gorące, a zarazem pełne smutku.

Gdy skończyliśmy, poprosiłem ją, by mi coś zagrała. Tak, Elza jest pianistką, chociaż brzmiało to tak, jakby ktoś pobrzękiwał dziurawymi garnkami i czaszkami. Do tego grając płakała. Wcale jej się nie dziwię. Wszędzie to samo – powiedziała. Wszędzie jest jakiś mężczyzna, a potem ona musi odejść, jeszcze później ma skrobankę i znajduje nową pracę, a potem nowego mężczyznę i nikogo, do kurwy nędzy, nie obchodzi jej osoba, każdy chce ją tylko wykorzystać. Mówi mi to wszystko po zagranii Schumanna – Schumanna, tego roztkliwiającego się, sentymentalnego niemieckiego skurczybyka! Robi mi się tak jakoś cholernie żal, a przecież guzik mnie ona obchodzi. Cipa potrafiąca tak grać powinna mieć odrobinę zdrowego rozsądku, by nie wpadać z każdym facetem mającym dużego *putza*, który się nawinie. Ale ten Schumann burzy mi krew. Ona wciąż pociąga nosem, a ja myślami jestem daleko stąd. Myślę o Tani, o tym, jak znęca się nad swoim adagio. Myślę o wielu rzeczach dawno minionych i pogrzebanych. O pewnym letnim popołudniu w Greenpoint, kiedy Niemcy dokazywali już w Belgii, a my nie straciliśmy jeszcze wystarczająco dużo pieniędzy, by zaniepokoić się gwałtem dokonany na neutralnym kraju. O czasach, kiedy byliśmy jeszcze na tyle niewinni, że słuchaliśmy poetów i siadywaliśmy o zmierzchu wokół stołu, usiłując wywołać duchy ludzi, którzy odeszli. Przez całe tamto popołudnie i wieczór atmosfera była przesiąknięta niemiecką muzyką; cała dzielnica była niemiecka, nawet bardziej niemiecka niż same Niemcy. Wychowano nas na Schumannie i Hugonie Wolfie, sauerkraucie, kümmelu i knedlach ziemniaczanych. Pod wieczór siadywaliśmy wokół dużego stołu, okna były zasłonięte, jakaś głupawa dziewczucha z całym oddaniem usiłowała połączyć się mistycznie z Jezusem Chrystusem. Trzymamy ręce pod stołem, a damulka obok mnie wsadza mi dwa palce w rozporek. Przenosimy się w końcu na podłogę za fortepianem, podczas gdy ktoś śpiewa jakąś ponurą pieśń. Nie ma czym oddychać, z jej ust zalatuje alkoholem. Pedał fortepianu porusza się w górę i w dół, sztywno, automatycznie – zwariowany, daremny ruch, równie daremny, jak budowanie przez dwadzieścia siedem lat wieży z gnoju, wskazującej dokładny czas. Pociągam ją na siebie, w uszach mam płytę rezonansową; w pokoju jest ciemno, a dywan lepi się od rozlanego kümmelu. Nagle wydaje się, jakby nadchodził świt; jakby polewano wodą lód, a ten stawał się błękitny od powstającej mgiełki, jak lodowce zatopione w szmaragdowej zieleni, ircha i antylopa, graniki złociste, wałkoniące się lwy morskie i seriola skośnosmuga przeskakująca przez skraj Arktyki...

Elza siedzi mi na kolanach. Jej oczy sajak pępuszki. Patrę na jej duże usta, takie wilgotne i lśniące, i przykrywam je. Teraz nuci... „*Es wär' so schön gewesen...* Och, Elzo, jeszcze nie wiesz, co znaczy dla mnie ten twój *Trompeter von Säckingen*. Niemieckie Towarzystwa Śpiewacze, Schwaben Hall, Turnverein... *links um, rechts um...* a potem chlast w dupę końcem sznura.

Ach, ci Niemcy! Chcą cię wszędzie zabrać jak omnibus. Przyprawiają człowieka o niestrawność. W jedną noc nie można odwiedzić kostnicy, izby chorych, zoo, lamusa filozofii, pieczar epistemologii, ani zgłębić znaków zodiaku i arkanów Freuda i Stekla... Diabelskie koło nigdzie nas nie zawiezie, podczas gdy z Niemcami można przejść od Vegi do Lope de Vegi, i to w jedną noc, i wrócić równie głupim jak Parsifal.

Jak mówiłem, dzień zaczął się cudownie. Dopiero dziś rano uświadomiłem sobie, że znowu – po raz pierwszy od tygodni – jestem w stanie odczuwać Paryż tak, jak na to zasługuje, wszystkimi zmysłami. Może to dlatego, że moja książka zaczęła we mnie rosnać. Wszędzie ją z sobą noszę. Chodzę po ulicach brzemienno, a gliniarze przeprowadzają mnie przez jezdnię. Kobiety ustępują mi miejsca. Nikt już nie popycha mnie po chamsku. Jestem ciężarny. Chodzę niezgrabnie jak kaczką, mój brzemienno brzuch uciska powłokę świata.

To właśnie dziś rano, w drodze na pocztę, ostatecznie zaaprobowaliśmy naszą książkę. Wypracowaliśmy nową kosmogonię literatury – Borys i ja. *Ostatnia księga* będzie nową

Biblią. Wszyscy, którzy mają coś do powiedzenia, powiedzą to tu – anonimowo. Wyczerpiemy wszystkie możliwości stulecia. Żadnej książki po nas – przez jedno pokolenie przynajmniej. Do tej pory szliśmy na oślep, wiedzeni jedynie instynktem. Teraz będziemy mieli naczynie, w które wlejemy eliksir życia, umieścimy w nim bombę i rzucając ją wysadzimy świat. Wypełnimy to naczynie po brzegi, tak by pisarzom jutra dostarczyć ich wątków, ich dramatów, ich wierszy, ich mitów, ich naukowych teorii. Świat będzie się mógł żywić naszą książką przez następne tysiąclecie. Jest kolosalna w swej pretensjonalności. Myśl o niej nieomal mnie przygniata.

Przez z górą sto lat świat, n a s z ś w i a t, dogorywał. I nikt, ani jeden człowiek, w ciągu tych przeszło stu lat, nie był na tyle szalony, by wsadzić bombę w odbył stworzenia i podpalić lont. Świat gnije, umiera kawałek po kawałku. Ale potrzeba mu *coup de grâce*, potrzeba mu eksplozji, która go rozwali w drobny mak. Każdy z nas jakoś ucierpiał, a jednak nosimy w sobie kontynenty i morza je oddzielające, i powietrzne stwory. Zamierzamy to wszystko opisać – ewolucję tego świata, który umarł, lecz nie został pogrzebany, Pływamy po powierzchni czasu, a wszystko inne zatoneło, właśnie tonie lub wkrótce zatonie. Będzie olbrzymia ta nasza księga. Znajdą się w niej całe oceany przestrzeni, w której można będzie się poruszać, spacerować, śpiewać, tańczyć, wspinać się, kąpać, fikać koziółki, skomleć, gwałcić, mordować. Stanie się katedrą, prawdziwą katedrą, w budowie której uczestniczyć będą wszyscy pozbawieni tożsamości. Będziemy tam odprawiać msze za zmarłych, odmawiać pacierze, przystępować do spowiedzi, śpiewać hymny, wydawać jęki i szczebiotać; panować w niej będzie coś w rodzaju morderczej niefrasobliwości; będą okna rozetowe i gargulce, ministranci i karawaniarze. Możesz przyprowadzić swoje konie i galopować w nawach. Możesz walić głową w mury – nie ustąpią. Możesz się modlić, w jakim chcesz języku albo zwinąć się w kłębek u jej drzwi i spać. Ta nasza katedra przetrwa co najmniej tysiąc lat i nie będzie jej repliki, albowiem jej budowniczości powymierają, a wraz z nimi zaginą plany. Będziemy produkować pocztówki i organizować wycieczki. Wokół niej zbudujemy miasto i założymy wolną komunę. Nie potrzebujemy geniuszu – geniusz się skończył. Potrzebujemy silnych rąk, istot gotowych zrezygnować z ducha i oblec się w ciało...

Dzień mija w dobrym tempie. Stoję na balkonie w mieszkaniu Tani. Dramat rozgrywa się na dole w salonie. Dramaturg jest chory, a z góry jego czerep wygląda jeszcze bardziej chropowato. Jego włosy są ze słomy. Jego idee to słoma. Jego żona też jest ze słomy, tyle że nieco wilgotnej. Cały dom zrobiony jest ze słomy. Oto stoję tu na balkonie, czekając na przybycie Borysa. Mój ostatni problem – ś n i a d a n i e – został rozwiązany. Uprościłem wszystko. Jeśli pojawią się nowe problemy, wsadzę je do plecaka razem z brudną bielizną. Wyrzucam wszystkie moje sou. Na cóż mi pieniądze? Jestem piszącą maszyną. Właśnie wkręcono mi ostatnią śrubkę. Słowa płyną wartko. Pomiędzy mną a maszyną nie ma żadnej przepaści. Jestem maszyną...

Nie powiedzieli mi jeszcze, czego dotyczy ten nowy dramat, ale wyczuwam to. Chcą się mnie pozbyć. A mimo to jestem tu, czekam na obiad, nawet trochę wcześniej, niż się mnie spodziewano. Powiedziałem im, gdzie mają usiąść, co robić. Pytam uprzejmie, czy nie będę im przeszkadzał, ale w gruncie rzeczy chodzi mi o to, i oni dobrze o tym wiedzą – czy wy nie będziecie przeszkadzali mnie? Nie, wy błogie karaluchy, nie przeszkadzacie mi. Dostarczacie mi p o ż y w i e n i a. Widzę, jak siedzicie tam blisko siebie, i wiem, że między wami jest przepaść. Wasza bliskość to bliskość planet. Ja jestem próżnią między wami. Gdybym się wycofał, nie byłoby próżni, w której moglibyście pływać.

Tania jest nie w humorze – czuję to. Ma mi za złe, gdy jestem wypełniony czymś innym niż nią. Wyczuwając intensywność mego podniecenia poznaje, że jej wartość spadła do zera.

Wie, że tego wieczoru nie przyszedłem, by ją zapłodnić. Wie, że wewnątrz mnie kiełkuje coś, co ją zniszczy. Wolno jej to idzie, ale przecież zdaje sobie z tego sprawę.

Sylwester wygląda na bardziej zadowolonego. Wieczorem, przy stole, weźmie ją w objęcia. Już teraz czyta mój rękopis, przygotowując się do rozpalenia mojego, ja” i przeciwstawienia go „ja” Tani.

Dziwne to będzie zgromadzenie. Właśnie przygotowuje się scenę. Słyszę brzęk kieliszków. Pojawia się wino. Wychylimy puchary i chory Sylwester zostanie uzdrowiony.

To dopiero wczoraj wieczorem, u Cronstadta, zaplanowaliśmy tę scenerię. Ustaliliśmy, że kobiety muszą cierpieć, że poza sceną ma być jeszcze więcej terroru i przemocy, więcej klęsk, więcej cierpienia, więcej niedoli i nędzy.

To nie przypadek gna ludzi takich jak my do Paryża. Paryż jest po prostu sztuczną, obrotową sceną, pozwalającą widowni ujrzeć wszystkie fazy konfliktu. Sam w sobie Paryż nie zapoczątkowuje żadnych dramatów. Powstają gdzie indziej. Paryż jest tylko instrumentem położniczym, wyrrywającym z łona żywy płód, by umieścić go w inkubatorze. Paryż jest kołyską sztucznych narodzin. Bujając się w tej kołysce każdy odnajduje swoją ziemię rodzinną: wraca w snach do Berlina, Nowego Jorku, Chicago, Wiednia, Mińska. Wiedeń nigdzie nie jest bardziej Wiedniem niż w Paryżu. Wszystko podnoszone jest do rangi apoteozy. Kołyskę opuszczają niemowlaki, ich miejsce zajmują następne. Na murach można przeczytać, gdzie mieszkali Zola i Balzak, Dante i Strindberg, i wszyscy, którzy coś znaczyli. Każdy tu kiedyś mieszkał. Nikt tu nie u m i e r a ...

Na dole toczy się rozmowa. Jej język jest symboliczny. Pojawia się słowo „walka”. Sylwester, chory dramaturg, mówi:

– Właśnie czytam *Manifest*.

A Tania pyta:

– Czyj?

Tak, Taniu, słyszałem cię. Dobrze odgadujesz, siedzę tu na górze, notując każde słowo. Mów dalej, bym zdołał zapisać wszystko. Gdy siądziemy do stołu, nie będę już mógł robić notatek... Nagle Tania oznajmia:

– Nie ma tu porządnego holu.

Co to ma znaczyć, jeśli w ogóle coś znaczy?

Teraz wieszają obrazy. To też ma zrobić na mnie wrażenie. Widzicie – oni chcą pokazać: jesteśmy u siebie w domu, wiemy małżeńskie życie. Starają się, by dom był atrakcyjny. Nawet trochę posprzeczamy się o te obrazy, wszystko ze względu na ciebie. Tymczasem Tania znowu zabiera głos:

– Jakże oko jest zawodne!

Ach, Taniu, co też ty wygadujesz! Mów dalej – niech ta farsa jeszcze trochę potrwa. Jestem tu po to, by dostać obiecany obiad; tą komedią bawię się wyśmienicie. A teraz Sylwester obejmuje główną rolę. Usiłuje wyjaśnić jeden z gwaszy Borowskiego:

– Chodź tutaj, widzisz? Jeden z nich gra na gitarze, drugi trzyma na kolanach dziewczynę.

To prawda, Sylwestrze. Masz rację. Borowski i jego gitary! Dziewczyny na jego kolanach! Tyle że nikt nie może mieć pewności, co on właściwie trzyma na kolanach, ani czy na gitarze naprawdę gra mężczyzna...

Wkrótce przyczłapie na czworakach Moldorf i Borys z tym swoim bezradnym śmiechem... Na obiad będzie złocisty bażant i anjou, i krótkie, grube cygara. A Cronstadt, kiedy otrzyma najświeższe wiadomości, przez pięć minut będzie żył intensywniej, trochę promiennie, a potem znów zapadnie się w szlam swojej ideologii i może narodzi się z tego wiersz – duży złoty dzwon pozbawiony serca.

Musiałem przerwać na jakąś godzinkę. Kolejny klient chciał obejrzyć mieszkanie. Na górze ten cholerny Anglik ćwiczy Bacha. Kiedy ktoś przychodzi obejrzyć mieszkanie, trzeba biec tam i prosić pianistę, by dał sobie na chwilę spokój.

Elza rozmawia przez telefon ze sprzedawcą warzyw. Hydraulik zakłada nową deskę na sedesie. Kiedy tylko rozlega się dzwonek, Borys traci równowagę. Z zaaferowania upuścił okulary, jest teraz na czworakach, jego frak włóczy się po podłodze. To trochę jak z Grand Guignolem – głodujący poeta przychodzi udzielać lekcji córce rzeźnika. Za każdym razem, kiedy odzywa się dzwonek telefonu, ślina napływa do ust poety. Mallarmé brzmi jak stek polędwicy, Victor Hugo jak *foie de veau*. Elza zamawia delikatny lunch dla Borysa – „ładny soczysty mały schabowy” – mówi. Widzę całe stado różowych zimnych szynek ułożonych na marmurowej ladzie, cudownych szynek spowitych w biały tłuszcz. Czuję straszny głód, chociaż zaledwie parę minut temu skończyliśmy śniadanie – będę się jednak musiał obyć bez lunchu. Tylko w środy jadam lunch – dzięki Borowskiemu. Elza wciąż rozmawia przez telefon – zapomniała zamówić kawałek boczku. „Tak, ładny kawałek boczku, niezbyt tłusty” – mówi... *Zut alors!* Proszę dorzucić trochę nerkówki, trochę dużych ostryg i trochę... psst... omułków. Proszę dorzucić odrobinę smażonej wątrobianki, skoro już to robisz; mógłbym pożreć 1500 sztuk Lope de Vegi za jednym posiedzeniem.

Tym razem przysłała obejrzyć mieszkanie bardzo piękna kobieta. Oczywiście Amerykanka. Stoję w oknie plecami do niej, obserwując wróbla dziobiącego świeże końskie łajno. Zadziwiająco, jak łatwo wróblowi zaspokoić swoje potrzeby. Trochę pada, krople są bardzo duże. Kiedyś myślałem, że ptak nie może latać, gdy ma mokre skrzydła. Zdumiewające, jak te bogate damulki przyjeżdżają do Paryża i od razu znajdują wspaniałe pracownie. Wystarczy odrobina talentu i gruby portfel. Kiedy pada, mają okazję zaprezentować swoje nowe płaszcze przeciwdeszczowe. Jedzenie jest dla nich niczym i czasami są tak zajęte szwendaniem się z miejsca na miejsce, że nie mają czasu na lunch. Wcinają jakąś kanapeczkę albo wafelek w Café de la Paix albo w barze Ritza. „Wyłącznie dla córek dobrze urodzonych” – głosi napis w starej pracowni Puvisa de Chavannes. Nie dalej jak wczoraj przechodziłem tamtędy. Bogate amerykańskie pizdy z pudełkami farby przerzuconymi przez ramię. Odrobina talentu i gruby portfel.

Wróbel skacze gorączkowo z jednej kostki bruku na drugą. Jego wysiłki są na miarę Herkulesa, jeśli przyjrzeć się temu uważnie. Wszędzie ponieważ się jedzenie – to znaczy w rynsztoku. Piękna Amerykanka dopytuje się o toaletę. Toaleta! Proszę bardzo, mogę pokazać, ty gazelo o aksamitnym nosku! Toaleta, pytasz? *Par ici, Madame. N'oubliez pas que les places numérotées sont réservées aux mutilés de la guerre.*

Borys zaciera ręce – właśnie dobija transakcji. Na podwórku szczekają psy, wyją jak wilki. Na górze pani Melvemess przesuwają meble. Przez cały dzień nic nie robiła, jest znudzona; jeśli znajdzie jakiś pyłek, sprząta całe mieszkanie. Na stole leżą zielone winogrona i stoi butelka wina – *vin de choix*, w najlepszym gatunku.

– Tak – mówi Borys – mógłbym zrobić dla pani umywalkę, proszę tutaj. Tak, to ubikacja. Oczywiście jest też jedna na górze. Tak, tysiąc franków miesięcznie. Nie przepada pani za Utrillem, prawda? Nie, to już wszystko. Trzeba tylko założyć nową uszczelkę, nic więcej...

Ona za chwilę sobie pójdzie. Tym razem Borys nawet mnie nie przedstawił. To skurwysyn! Zawsze, kiedy przychodzi jakaś bogata pizda, zapomina mnie przedstawić. Za parę minut będę mógł wrócić do siebie i pisać. Jakoś nie mam już dziś na to ochoty. Wycieka ze mnie duch twórczy. Ona może wrócić tu za godzinę i wyrwać mi krzesło spod tyłka. Jak, do diabła, można pisać, kiedy się nie wie, gdzie będzie się siedzieć w ciągu następnej półgodziny? Jeśli ta bogata suka weźmie to mieszkanie, nie będę nawet miał gdzie spać. Kiedy się jest w takiej sytuacji, trudno powiedzieć co gorsze – brak miejsca do spania czy do pracy. Spać można niemal wszędzie, ale trudno się obyć bez miejsca do pracy. Nawet jeśli nie pracuje się nad arcydziełem. Nawet pisząc złą powieść trzeba mieć krzesło, na którym można

usiąść. I odrobinę prywatności. Te bogate pizdy nigdy nie myślą o takich rzeczach. Kiedy tylko chcą usadzić swoje miękkie pośladki, zawsze czeka na nie jakieś krzesło...

Zeszłego wieczoru zostawiliśmy Sylwestra wraz z jego Bogiem siedzących przed kominkiem. Sylwester w piżamie, Moldorf z cygarem w zębach. Sylwester obiera pomarańczę. Kładzie skórki na narzucie kanapy. Moldorf przysuwa się do niego. Prosi o pozwolenie ponownego odczytania tej błyskotliwej parodii, *Bram niebios*. Borys i ja szykujemy się do wyjścia. Jesteśmy zbyt weseli jak na tę szpitalną atmosferę. Tania idzie z nami. Też jest wesoła, ponieważ ma zamiar uciec. Borys jest wesoły, ponieważ Bóg siedzący w Moldorfie umarł. Ja jestem wesoły, ponieważ mamy robić kolejne przedstawienie.

Głos Moldorfa jest pełen szacunku:

– Mogę posiedzieć z tobą, Sylwestrze, zanim pójdziesz spać?

Siedział z nim przez ostatnich sześć dni, kupował lekarstwa, załatwiał różne sprawy Tani, pocieszał, dodawał otuchy, strzegł portali przed wrogo nastawionymi intruzami jak Borys i jego nicponie. Przypomina dzikusa odkrywającego, że jego idol został w nocy okaleczony. Oto siedzi u stóp swego bóstwa z drzewem chlebowym, z tłuszczem i modlitewną paplaniną. Jego głos obłudnie zamiera. Jego kończyny są już sparaliżowane.

Do Tani przemawia tak, jakby była kapłanką, która złamała śluby.

– Musisz stać się go godna. Sylwester jest twoim Bogiem.

A gdy Sylwester oddaje się na górze cierpieniu (trochę mu gra w klatce piersiowej), kapłan i kapłanka napychają sobie kałduny.

– Plugawisz swoje „ja” – mówi Moldorf, a sos kapie mu z ust. Posiada tę zdolność, że może jeść i cierpieć jednocześnie. Kiedy tak opędza się od zła, wysuwa swoją tłustą łapkę i gładzi Tanię po włosach.

– Chyba zaczynam się w tobie kochać. Jesteś podobna do mojej Fanny.

Miniony dzień był dla Moldorfa przyjemny także z innych względów. Otrzymał list z Ameryki. Moe ma same piątki. Murray uczy się jeździć na rowerze. Gramofon jest już naprawiony. Z wyrazu jego twarzy można odgadnąć, że w liście była mowa jeszcze o innych rzeczach, a nie tylko o świadectwach i welocypedach. Na pewno tak, ponieważ dziś po południu kupił swojej Fanny biżuterię za 325 franków. Oprócz tego napisał dwudziestostronicowy list. *Garçon* przynosił mu kartkę za kartką, napełniał wieczne pióro, podawał kawę i cygara, wachlował go, gdy się spocił, strzepywał okruchy ze stołu, zapalał cygaro, kiedy zgasło, kupował znaczki, tańczył koło niego, robił piruety, kłaniał się w pas... mało nie złamał sobie przy tym kręgosłupa. Otrzymał spory napiwek. Większy niż najlepsze cygaro. Moldorf zapewne opisał to w swoim dzienniku. Wszystko dla Fanny. Bransoletka i kolczyki warte były wydanych pieniędzy. Lepiej wydawać je na Fanny niż na takie mizerne dziwki jak Germaine i Odette. Tak, to też powiedział Tani. Pokazał jej swój kufer. Pełno w nim prezentów – i dla Fanny, i dla Moe, i dla Murraya.

– Moja Fanny jest najinteligentniejszą kobietą na świecie. Nieraz usiłowałem znaleźć w niej jakieś wady, ale nie ma ani jednej.

– Jest doskonała. Powiem ci, co ona potrafi. Gra w brydża jak szuler, interesuje się syjonizmem, a jak dasz jej, na przykład, stary kapelusz, to zobaczysz, co z niego zrobi. Tu podwinie, tam doda wstążkę i *voilà quelque chose de beau!* Wiesz, co jest pełnią szczęścia? Siedzieć koło Fanny, gdy Moe i Murray są już w łózkach, i słuchać radia. Ona tak spokojnie wówczas siedzi. Obserwowanie jej jest dla mnie nagrodą za wszystkie zmagania i cierpienia. Tak inteligentnie słucha. Kiedy pomyślę o twoim śmierdzącym Montpamassie, a potem o moich wieczorach z Fanny w Bay Ridge po sutej kolacji, mówię ci – nie ma porównania. Taka prosta rzecz, jak wspólne posiłki, dzieci, łagodne światło lamp i Fanny na krześle obok, trochę zmęczona, lecz pogodna, zadowolona, ociążała od chleba... siedzimy tak godzinami, nie mówiąc ani słowa. Co za szczęście!

– Dziś napisała do mnie – nie jest to jeden z tych listów nudnych jak sprawozdania giełdowe. Nie, pisze od serca, pisze językiem, który nawet mój mały Murray mógłby zrozumieć. Ona tak niezwykle taktownie mówi o wszystkim, moja Fanny. Pisze, że dzieci powinny się dalej kształcić, ale że martwią ją koszty. Wysłanie małego Murrraya do szkoły będzie kosztować z tysiąc dorców. Moe, rzecz jasna, otrzyma stypendium. Ale mały Murray, ten mały geniusz Murray, co z nim zrobimy? Odpisałem Fanny, żeby się nie martwiła. Wyślij Murrraya do szkoły – napisałem. Cóż znaczy dodatkowe tysiąc dorców? W tym roku zarobię więcej niż dotychczas. Zrobię to dla małego Murrraya, ponieważ ten dzieciak jest geniuszem.

Chciałbym przy tym być, kiedy Fanny otworzy kufer.

– Popatrz, Fanny, to kupiłem w Budapeszcie od pewnego starego Żyda... Nosi się to w Bułgarii – czysta wełna... To należało do księcia takiego czy innego... – nie, jego się nie nakręca, ale ustawia na słońcu... Bardzo chciałbym, żebyś to założyła, Fanny, kiedy się wybierzemy do opery... z tą spinką do włosów, którą ci pokazywałem... A to, Fanny, pomogła mi wybrać Tania... ona jest trochę do ciebie podobna...

A Fanny siedzi na sofie, jak na owym oleodruku – z jednej strony Moe, a mały Murray, geniusz Murray – z drugiej. Jej grube nogi są za krótkie, by dosięgnąć podłogi. Oczy mają matowy połysk nadmanganianu. Piersi jak głowy dojrzałej czerwonej kapusty; podrygują trochę, kiedy się pochyla. Zwłaszcza zaś napawa w niej smutkiem to, że wyciekły z niej soki. Siedzi tam jak wyładowany akumulator; jej twarz jest jakby zamazana – potrzeba trochę ożywienia, nagłego zastrzyku soków, by nabrała wyrazu. Moldorf podskakuje wokół niej jak tłusta ropucha. Jego ciało podryguje. Pada na podłogę i nie może przewrócić się z powrotem na brzuch. Ona szturcha go grubymi paluchami stóp. Oczy jeszcze bardziej wyłażą mu z orbit. „Kopnij mnie jeszcze raz, Fanny, tak mi dobrze”. Tym razem ona daje mu tęgiego kopniaka – w jego kałdunie na stałe robi się wgłębienie. Jego twarz jest tuż nad powierzchnią dywanu, oddech wprawia w drżenie dywanowy puch. Trochę się ożywia, przewraca na bok, skacze z mebla na mebel. „Fanny, jesteś cudowna!”. Teraz siedzi jej na ramieniu! Odgryza jej kawałek ucha, koniuszek małżowiny, tam, gdzie nie boli. Ale ona pozostaje martwa – cała jak wyczerpany akumulator, istota pozbawiona soków. Osuwa się jej na kolana i leży tam, pulsując jak bolesny ząb. Jest cały rozgrzany i bezradny. Brzuch błyszczący jak lakierki. W oczodołach ma dwa kosztowne guziki od kamizelki. „Odepnij mi oczy, Fanny, chciałbym cię lepiej widzieć!”. Fanny niesie go do łóżka i wlewa mu do oczu odrobinę rozgrzanego wosku. Kładzie obrączki wokół jego pępka i wsadza mu w tyłek termometr. Nadziewa się na niego, i on znowu drży. Nagle kurczy się, znika z pola widzenia. Ona szuka go wszędzie, w swoich wnętrznościach, gdzie popadnie. Coś ją łaskocze, ale nie wie dokładnie, gdzie. Łóżko jest pełne żab i kosztownych guzików od kamizelki. „Fanny, gdzie jesteś?”. Coś ją łaskocze, ale nie wie, gdzie. Guziki spadają z łóżka, żaby wspinają się na ściany. Łaskotki tu i tam. „Fanny, wybierz ten wosk z moich oczu! Chcę na ciebie popatrzeć!”. Ale Fanny śmieje się, trzęsie ze śmiechu. Coś ją w środku łaskocze i łaskocze. Umrze ze śmiechu, jeśli tego nie znajdzie. „Fanny, w kufrze pełno różnych śliczności. Fanny, słyszysz?”. Ale Fanny śmieje się tylko, śmieje jak tłusty robak. Jej brzuch pęcznieje od śmiechu, nogi sinieją. „Boże, Morris, coś mnie łaskocze... nie mogę się powstrzymać!”.

Niedziela! Wyszedłem z Villa Borghese tuż przed południem, Borys zasiadał właśnie do lunchu. Wyszedłem kierowany poczuciem delikatności, ponieważ Borysa naprawdę boli, gdy widzi, jak siedzę w pracowni o pustym żołądku. Dlaczego nie poprosi mnie, bym zjadł razem z nim, doprawdy nie wiem. Twierdzi, że nie może sobie na to pozwolić, ale to żadna wymówka. Tak czy owak, sprawa jest delikatna. Jeśli boli go, że zajada się w mojej obecności, to chyba jeszcze bardziej bolałoby go, gdyby podzielił się jedzeniem ze mną. Nie uważam jednak za stosowne wsadzać nosa w jego tajemnice.

Wpadłem do Cronstadtów – oni też właśnie jedli. Kurczę z ryżem. Udawałem, że dopiero co jadłem, ale byłem gotów wyrwać dziecku z rąk tego kurczaka. To nie jest z mojej strony po prostu jakaś fałszywa skromność – to już, jak sądzę – perwersja. Dwa razy pytali mnie, czy nie zjadłbym z nimi. Nie! Dziękuję! Nie przyjąłem nawet filiżanki kawy. Jestem *délicat*, taki już jestem! Wychodząc rzuciłem długie, tęskne spojrzenie na talerz dziecka – na kościach pozostały jeszcze resztki mięsa.

Włóczyłem się bez celu. Piękny dzień – przynajmniej na razie. Rue de Buci tętni życiem, roi się od ludzi. Bary są otwarte na oścież, przy chodniku jeden za drugim stoją rowery. Wszystkie targowiska z mięsem i warzywami pracują pełną parą. Ludzie obładowani sprawunkami zabandażowanymi w gazety. Prawdziwie katolicka niedziela – przynajmniej z rana.

Samo południe, i oto stoję z pustym żołądkiem u zbiegu tych wszystkich krętych uliczek, gdzie powietrze jest gęste od zapachu żarcia. Naprzeciwko mnie Hôtel de Louisiane. Ponury stary zajazd, w dawnych dobrych czasach znany wszystkim opryszkom z rue de Buci. Hotele i jedzenie, a ja łączę jak trędowaty, któremu kraby głodu szarpią wnętrzności. W niedzielę rano na ulicach panuje gorączka. Czegóż podobnego nigdzie się nie spotyka, chyba że na East Side albo wokół Chatham Square. Rue de TÉchaudé kipi. Ulice wiją się i zakręcają, na każdym rogu ruch jak w ulu. Długie kolejki ludzi o apetytach niczym orzeźwiający, musujący wino skręcają tu i tam z warzywami pod pachą. Nic tylko jedzenie, jedzenie i jeszcze raz jedzenie. Zwariować można.

Mijam Place de Furstenberg. Inaczej wygląda teraz, w samo południe. Kiedy przechodziłem tędy wieczorem, był opustoszały, ponury, upiorny. Na środku placu cztery czarne drzewa, które nie zaczęły jeszcze kwitnąć. Drzewa-intelektualiści, czerpiący pokarm z brukowych kamieni. Jak wiersze T.S. Eliota. Na Boga, to tutaj, gdyby Marie Laurencin zdecydowała się kiedyś wyprowadzić swoje lesbijki na światło dzienne, tutaj powinny się zbierać. *Très lesbienne ici*. Bezpłodne hybrydy, oschłe jak serce Borysa.

W małym ogródku przylegającym do kościoła St. Germain leży kilka zdemontowanych gargulców. Potwory wychylają się do przodu, jakby chciały wyskoczyć. Na ławkach – inne potwory: starcy, idioci, kaleki, epileptycy. Drzemią sobie spokojnie, czekają na obiadowy dzwonek. W Galerie Zak po drugiej stronie jakiś imbecyl wykonał obraz kosmosu – d w u w y m i a r o w y . Kosmos malarza! Pełen rupieci, bibelotów. A w lewym dolnym rogu kotwica... i obiadowy dzwonek. Pozdrawiam cię, pozdrawiam, o Kosmosie!

Włóczę się dalej. Późne popołudnie. W brzuchu mi burczy. Teraz zaczyna padać. Notre Dame wznosi się ponad wodą niczym grobowiec. Gargulce wychylają się daleko poza koronkową fasadę. Wiszą tam jak *idée fixe* w umyśle maniaka. Podchodzi do mnie stary człowiek o żółtych bokobrodach. W rękę ma jakieś wypociny Jaworskiego. Podchodzi z odrzuconą w tył głową, a deszcz spryskujący mu twarz zmienia złocisty zarost w błoto. Księgarnia z kilkoma rysunkami Raoula Dufy'ego na wystawie. Rysunki posługaczek z

różanym gąszczem między nogami. Traktat na temat filozofii Juana Miró. Filozofii – pomyślcie!

W tym samym oknie wystawowym: *Mężczyzna pocięty w plasterki!* Rozdział 1: mężczyzna w oczach rodziny. Rozdział 2: to samo w oczach kochanki. Rozdział 3: nie ma trzeciego. Muszę wrócić tu jutro po rozdział 3 i 4. Dekorator codziennie przewraca kolejną kartkę. *Mężczyzna pocięty w plasterki!...* Nie wyobrażacie sobie, jak się wściekam, że nie pomyślałem o takim tytule! Gdzie jest facet potrafiący napisać: „To samo w oczach kochanki... to samo w oczach... to samo?”. Gdzież on jest? I kim jest? Chciałbym go uściskać. Na rany Chrystusa, chciałbym mieć taki łeb, by wymyślić podobny tytuł – zamiast *Krewkiego kutasa* i innych głupot wydumanych przeze mnie. Zresztą, pies to jebał! Mimo wszystko składam mu gratulacje.

Mam nadzieję, że powiedzie mu się z tym świetnym tytułem. Masz następny kawałek do swojej kolejnej książki. Zadzwon do mnie kiedyś. Mieszkam w Villa Borghese. Jesteśmy wszyscy martwi, umieramy albo wkrótce umrzemy. Potrzeba nam dobrych tytułów. Potrzebujemy mięsa – plastrów i plasterków mięsa: soczystych polędwic, wybornych befsztyków, cynaderek, wielkich ostryg, nerkówki. Będę kiedyś stał na rogu 42. Ulicy i Broadwayu, przypomnę sobie ten tytuł i zapiszę wszystko, co kłębi mi się pod czachą: kawior, krople deszczu, smar do osi, wermiszel, wątrobiankę – plasterek po plasterku. I nie będę w stanie powiedzieć, dlaczego po zapisaniu tego wszystkiego nagle poszedłem do domu i porąbałem na kawałki dziecko. *Un acte gratuit pour vous, cher monsieur si bien coupé en tranches!*

Jak można łązić cały dzień z pustym żołądkiem i nawet od czasu do czasu mieć wzwód, to jedna z tajemnic zbyt łatwo wyjaśnianych przez rozmaitych „anatomów duszy”. W niedzielne popołudnie, kiedy żaluzje sklepów są opuszczone, a proletariat ogarnięty jakąś otępiłą apatią opanowuje ulice, niektóre trasy przypominają ni mniej, ni więcej tylko wielkiego, rozciątego wzdłuż, szankrowego chuja. I to właśnie one, jak choćby rue St. Denis albo Faubourg du Temple nieodparcie mnie przyciągają, podobnie jak dawniej, wokół Union Square czy w górnych partiach Bowery, pociągały mnie dziesięciocentowe muzea, gdzie w gablotach wystawiano na pokaz woskowe atrapy różnych organów ludzkich zjedzonych przez syfilis i inne choroby weneryczne. Miasto rozrasta się jak ogromny organizm, w każdej swej części dotknięty chorobą. Piękne trasy przelotowe są tylko trochę mniej odrażające dzięki temu, że oczyszczono je z ropy.

Przy Cité Nortier, gdzieś koło Place du Combat, zatrzymuję się na kilka minut, by chłonąć całą nędzę roztaczającego się widoku. Składa się nań prostokątny dziedziniec, taki jak wiele innych, które można dojrzeć z niskich pasaży przylegających do starych arterii Paryża. Na środku dziedzińca sterczy bryła walących się budynków, tak zmurszałych, że pozawałyby się na siebie, tworząc coś w rodzaju poskręcanych kiszek. Teraz ziemia jest nierówna, płyty chodnikowe śliskie od szlamu. To swoisty ludzki śmietnik wypełniony popiołem i innymi śmieciami. Słońce szybko zachodzi. Kolory dogorywają. Przechodzą od purpury do zakrzepłej krwi, od masy perłowej do ciemnego brązu, od chłodnych martwych szarości do barwy gołębiego gówna. Tu i ówdzie tkwi w oknie koślawy potwór, mrużąc oczy jak sowa. Słychać przenikliwy skrzek dzieci o białych twarzach i kościstych kończynach, rachitycznych urwisów z głowami zdeformowanymi przez kleszcze porodowe. Ze ścian sączy się wstrętny odór, smród spleśniałego materaca. Europa średniowieczna, groteskowa, monstrualna jak symfonia b-moll. Po drugiej stronie ulicy Ciné Combat oferuje swojej dostojnej klienteli *Metropolis*.

Gdy stamtąd odchodzę, wracam myślami do książki czytanej nie dalej niż wczoraj: „Miasto przeżyło jatki; ciała okaleczone przez morderców i ograbione przez rabusiów zalegały grubą warstwą ulice; wilki przemykały się z przedmieść, by się nimi nakarmić; mór i inne choroby skradały się, by im dotrzymać towarzystwa, a Anglicy wciąż maszerowali

naprzód, podczas gdy *danse macabre* wirował wokół grobowców na wszystkich cmentarzach...”. Paryż w czasach Karola Szalonego! Piękna książka! Pokrzepiająca i apetyczna. Wciąż jestem pod jej wrażeniem. O mecenasach i prekursorach renesansu wiem niewiele, ale Madame Pimpernel, *la belle boulangère*, i Maître Jean Crapotte, *l’orfèvre*, nadal zajmują miejsce w moich myślach. Nie wolno zapominać o Rodinie, geniuszu zła z *The Wanderin Jew*, dokonującym swoich niegodziwych czynów „do chwili, kiedy rozwścieczyła go i przechytrzyła Cecylia, ten bękart z odrobiną murzyńskiej krwi”. Siedząc na Square du Temple i dumając nad wyczynami końskich rzeźników pod przywództwem Jeana Caboche’a, zastanawiam się długo i ze smutkiem nad żalosnym losem Karola Szalonego. Półgłówek grasujący po salach swojego Hôtel St. Paul, odziany w najgorsze łachy, zjadany przez wrzody i robactwo, jak parszywy pies ogryzający rzuconą mu kość. Na rue des Lions szukałem kamieni pozostałych po starej menażerii, gdzie kiedyś karmił swoje zwierzęta. Była to jedyna rozrywka tego biednego dumia poza grą w karty z „nisko urodzoną towarzyszką życia” – Odette de Champdivers.

To właśnie w niedzielne popołudnie, bardzo podobne do dzisiejszego, poznałem Germaine. Spacerowałem wzdłuż boulevard Beaumarchais, bogatszy o jakieś sto franków, pospiesznie przekazanych mi telegraficznie z Ameryki przez moją żonę. W powietrzu czuć już było wiosnę, toksyczną, zgubną wiosnę, która wydawała się tryskać z ulicznych włazów. Noc w noc powracałem do tej dzielnicy, przyciągany przez pewne opanowane trądem uliczki, które dopiero wtedy ukazywały swą złowrogą świetność, kiedy wyciekło już z nich światło dzienne, a kurwy zaczynały zajmować swoje stanowiska. Miejscem, które szczególnie utkwiło mi w pamięci, jest rue du Pasteur-Wagner, róg rue Amelot, ukrywającej się za bulwarem jak drzemiąca jaszczurka. Tu, w zwężeniu przypominającym szyjkę butelki, gnieździła się zawsze gromada sępów, skrzeczących i wymachujących wstrętnymi skrzydłami, usiłując wbić w każdego swe ostre szpony i wciągnąć do pobliskiej bramy. Wesole, zachłanne diablice, nie pozwalające ci nawet zapiąć spodni, kiedy już było po wszystkim. Wiodły cię z ulicy wprost do pokoiku, zwykle pozbawionego nawet okna, i siadając na skraju łóżka z podwiniętymi spódnicami dokonywały pospiesznej inspekcji twego przyrodzenia, pluły ci na kutasa i wsadzały sobie. Kiedy się myłeś, następna stała już w drzwiach trzymając za rękę kolejną ofiarę i nonszalancko przyglądała się, jak kończyłeś swoje ablucje.

Germaine była inna. Nic w jej wyglądzie tego nie zapowiadało. Nic nie odróżniało jej od pozostałych dziwek, spotykających się co wieczór w Café de l’Éléphant. Jak mówię, był wiosenny dzień i tych kilka franków wyskrobanych i przekazanych telegraficznie przez moją żonę brzęczało mi w kieszeniach. Miałem niejasne przeczucie, że nie zdołam dotrzeć do Bastylli i po drodze zostanę zaholowany przez jedną z tych kobiet-sępów. Szedłem nie spiesząc się bulwarem, gdy ją zauważyłem – zbliżała się do mnie roztaczając tę dziwną wyzywającą aurę kurwy: zdarte obcasy, tania biżuteria i tak charakterystyczna dla jej profesji ziemista cera, którą róż jedynie podkreśla. Nietrudno było uzgodnić z nią warunki. Usiedliśmy z tyłu niewielkiego *tabac* l’Éléphant i szybko omówiliśmy sprawę. Po kilku minutach byliśmy już w pokoju za pięć franków na rue Amelot, zasłony zostały zasunięte, narzuta odrzucona z łóżka. Germaine nie nadawała zbyt szybkiego tempa. Siedziała na bidencie podmywając się i mile gawędziła ze mną o tym i owym; podobały się jej moje bryczesy. *Très chic!* – osądziła. Ongiś rzeczywiście takie były, ale teraz na siedzeniu się przetarły – na szczęście marynarka zasłaniała mi dupę. Kiedy wstała, by się wytrzeć, cały czas zabawiała mnie rozmową; nagle upuściła ręcznik i – zbliżając się do mnie wolno – zaczęła czule głaskać swoją piczkę, pieszcząc ją obiema rękami, gładząc, poklepując. Coś z jej rozmowności w tym momencie i sposobu, w jaki podsunęła mi pod nos swój różany gąszcz, uczyniło tę chwilę niezapomnianą; mówiła o tej swojej piczce jak o czymś istniejącym poza nią samą, jak o zdobytym z wielkim trudem przedmiocie, którego wartość z

czasem wzrosła, stając się dla niej teraz czymś cenniejszym niż wszystko inne. To, co mówiła, nadawało jej cipce szczególny aromat; była czymś więcej niż po prostu jej intymną częścią, stawała się skarbem, magicznym, wszechwładnym skarbem, darem Boga, i nie traciła nic przez to, że Germaine dzień w dzień sprzedawała ją za kilka sztuk srebra. Kiedy rzuciła się na łóżko, szeroko rozkładając nogi, objęła ją dłońmi i nadal pieściła, mruczając przez cały czas swoim chropowatym głosem, że jest dobra, piękna – skarb, prawdziwy skarb. I rzeczywiście była dobra, ta jej mała piczka! W tamto niedzielne popołudnie, gdy w powietrzu czuło się już trujący oddech wiosny, wszystko znowu zagrało. Kiedy wyszliśmy z hoteliku, przyjrzałem się jej dobrze raz jeszcze w ostrym świetle dziennym i zobaczyłem wyraźnie, jaka z niej kurwa – złote zęby, kapelusz ozdobiony geranium, zniszczone obcasy itd., itd. Nawet to, że naciągnęła mnie na obiad, papierosy i taksówkę, wcale mnie nie zraziło. W gruncie rzeczy sam ją do tego zachęciłem. Tak mi przypadła do gustu, że po obiedzie poszliśmy jeszcze raz do hoteliku i powtórzyliśmy numer – tym razem „z miłości”. I ponownie jej duże, kudłate cacko dokonywało cudów. Zaczęło żyć własnym życiem – również dla mnie. Była więc sobie Germaine, a prócz niej ten jej różany gąszcz. Lubiłem każde z nich osobno i lubiłem je razem.

Jak powiedziałem, Germaine była inna. Później, gdy odkryła moją prawdziwą sytuację, traktowała mnie wielkodusznie – stawiała mi drinki, udzielała kredytu, dawała pod zastaw swoje rzeczy, przedstawiała znajomym itp. Przepraszała mnie nawet, że nie może mi pożyczyć pieniędzy, co rozumiałem doskonale, gdy poznałem jej *maquereau*. Co wieczór szedłem w dół boulevard Beaumarchais do małego *tabac*, gdzie wszystkie zwykły się zbierać, i czekałem, aż ona przyjdzie i ofiaruje mi kilka minut swego cennego czasu.

Kiedy później zacząłem pisać o Claude, właściwie nie ją miałem na myśli, a Germaine... „Wszyscy faceci, z którymi była, a teraz ty, tylko ty, przepływające barki, maszty i kadłuby, ten cały cholerny prąd życia płynący przez ciebie, przez nią, przez tych gości przed tobą i po tobie, kwiaty i ptaki, padające słońce i aromat tego wszystkiego, który cię dusi, unicestwia”. To było dla Germaine! Claude była inna, choć lubiłem ją niezmiernie – przez chwilę wydawało mi się nawet, że ją kocham. Claude miała duszę i sumienie, w dodatku zachowywała się dystyngowanie, co jest wadą, przynajmniej u kurwy. Claude zawsze pozostawiała uczucie smutku, dawała ci odczuć, bezwiednie rzecz jasna, że jesteś po prostu jeszcze jednym facetem dodanym do strumienia, który ma ją zniszczyć jakimś zrządzeniem losu. *B e z w i e d n i e* – mówię, ponieważ uważam ją za ostatnią osobę na świecie, która świadomie wywołałaby w czyimś umyśle takie wrażenie. Była na to zbyt delikatna, zbyt subtelna. W gruncie rzeczy Claude była porządną francuską dziewczyną o pospolitym pochodzeniu i inteligencji, jakby oszukaną przez życie; brakowało jej odporności pozwalającej znosić szok codziennej egzystencji. To do niej odnoszą się te straszliwe słowa Louisa Philippe’a: „Nadchodzi noc, kiedy wszystko się kończy, gdy zacisnęło się na nas tak wiele szczęć, że nie mamy już sił utrzymać się na nogach, a strzępy mięsa zwisają z naszych ciał, jakby pokąsanych przez niezliczone paszcze”. W przeciwieństwie do niej Germaine była kurwą od kolebki, kurwą całkowicie zadowoloną ze swojej roli. Lubiła ją w gruncie rzeczy, chyba że właśnie dokuczał jej brzuch albo rozleciały się buty, drobne, powierzchowne sprawy bez znaczenia, niczego, co drażyłoby jej duszę, niczego, co przynosiłoby udrękę. *Ennuï!* – to najgorsze, co mogło jej się przytrafić. Oczywiście bez wątplenia były dni, kiedy miała, jak to się mówi, dosyć, ale nic ponadto! Na ogół była z tego zadowolona – albo przynajmniej sprawiała wrażenie, że jest. Oczywiście przywiązywała pewną wagę do tego, z kim szła – z kim dochodziła do szczytu. Ale najistotniejszą rzeczą był *m ę ż c z y z n a*. Mężczyzna! Oto, czego pożądała. Mężczyzna posiadający między nogami coś, co mogło ją polećtać; mogło sprawić, że wiała się w ekstazie, że chwytiała tę swoją włochatą piczkę obiema rękoma i pieściła ją radośnie, dumnie, z uczuciem radosnej więzi, z poczuciem, że żyje. To było jedyne miejsce, gdzie czuła jakieś życie – tam w dole, gdzie chwytiała się łapczywie oburącz.

Germaine była kurwą na wskroś, aż do głębi swego dobrego serca, swego serca kurwy – wcale nie jest ono szczerzłote, to po prostu leniwe, obojętne, sflaczałe serce, które można na chwilę poruszyć. Jej serce nie miało odniesienia do żadnego stałego punktu wewnątrz – wielkie, sflaczałe serce kurwy, mogące na chwilę oderwać się od swoistego bezwładu. Jakkolwiek odrażający i ograniczony był świat, który sobie stworzyła, funkcjonowała w nim doskonale. I to samo w sobie jest pokrzepiające. Gdy nasza zażyłość stała się już doskonale widoczna, a jej towarzysze wytykali mi, że jestem zakochany w Germaine (co wydawało im się prawie niepojęte), zwykłem mawiać: „Jasne! Pewnie, że jestem w niej zakochany! I co więcej, mam zamiar pozostać jej wiemy!”. Było to, rzecz jasna, kłamstwo, ponieważ nie wyobrażałem sobie miłości do Germaine, podobnie jak nie mogłem sobie wyobrazić miłości do pająka, i jeśli byłem wiemy, to nie Germaine, a tej włochatej rzeczy między jej udami. Gdy tylko spoglądałem na jakąś kobietę, natychmiast myślałem o Germaine, o tym gorejącym krzaku, którego obraz pozostawiła w moim mózgu, i który zdawał się niezniszczalny. Sprawiało mi przyjemność siedzenie na tarasie tego małego *tabac* i przypatrywanie się, jak wykonuje swój zawód, jak wobec innych ucieka się do tych samych min, tych samych sztuczek, które miała i dla mnie. „To jej zawód!” – tak zbywałem to w myślach i nie czułem nic prócz aprobaty dla zawieranych przez nią transakcji. Później, kiedy zadawałem się z Claude i widywałem ją co wieczór siedzącą na swoim zwykłym miejscu, jej krągłe małe pośladki miękko rozlokowane w pluszu sofy, odczuwałem coś w rodzaju niewyraźnego buntu; kurwa – myślałem – nie ma prawa siedzieć niby jakaś dama, oczekująca nieśmiało, aż ktoś do niej podejdzie, przez cały czas skromnie popijająca swoją *chocolat*. A Germaine ostro zabierała się do rzeczy. Nie czekała, aż się do niej zbliżysz: – robiła to pierwsza i chwytła cię za rękę. Tak, dobrze pamiętam jej dziurawe pończochy i zdarte buty, pamiętam też, jak stała przy barze i ze ślepym, brawurowym wyzwaniem połykała mocnego drinka i energicznym krokiem wychodziła z powrotem na ulicę. Zaborcza dziwka! Może niezbyt przyjemny był oddech tej nabuzowanej kurwy, oddech przesycony wonią słabej kawy, koniaku, aperitifów, pernodu i tego wszystkiego, co zdążyła wlać w siebie po to, by się rozgrzać, i po to, by dodać sobie sił i odwagi, ale ów ogień przenikał ją, zapalał się tam, między jej nogami, gdzie kobiety powinny płonąć i w ten sposób tworzyć obwód, dzięki któremu znów czuło się ziemię pod stopami. Kiedy leżała pojękując, z szeroko rozrzuconymi nogami, to nawet jeśli jęczała tak z każdym, było to wspaniałe, była to odpowiednia demonstracja uczuć. Nie gapiała się martwo w sufit i nie liczyła pluskiew na tapecie; przykładała się do swojej pracy, mówiła takie rzeczy, jakie chce słyszeć mężczyzna idący z kobietą do łóżka. Podczas gdy Claude... Cóż, Claude otaczał jakiś nimb subtelności, nawet gdy włąziła z tobą pod kołdrę. I ta subtelność była obraźliwa. Kto pragnie s u b t e l n e j kurwy? Fatalnie! Mężczyzna płonący pożądaniem chce widzieć, chce widzieć w s z y s t k o , nawet to, jak one robią siusiu. I choć niezwykle miło jest pamiętać, że kobieta posiada także umysł, to literatura dobywająca się z zimnego ciała kurwy jest ostatnią rzeczą, jaką należy serwować w łóżku. Germaine traktowała tę sprawę właściwie: była pełną entuzjazmu ignorantką, w swą pracę wkładała serce i duszę. Była kurwą na wskroś – to była jej zaleta!

Wielkanoc nadeszła jak skostniały z zimna zajęczek – w łóżku było jednak dość ciepło. Dziś znowu jest ładnie i aleje wzdłuż Champs-Élysées wyglądają jak ogrody seraju rojące się od ciemnokookich huryszek. Drzewa pokryły się już listowiem; zieleń listków jest tak czysta, tak bogata, że wydają się stale wilgotne i błyszczące od rosy. Spacer od Palais du Louvre do Étoile przypomina kompozycję na fortepian. Od pięciu dni nie tknąłem maszyny do pisania, nie wziąłem do ręki żadnej książki; w głowie nie miałem nic poza tym, by pójść do biura American Express. Byłem tam dziś o dziewiątej, właśnie je otwierano, i ponownie o pierwszej. Żadnych wiadomości.

O wpół do piątej wypadam z hotelu, zamierzając w ostatniej chwili zrobić jeszcze jedno podejście. Skręcam za róg i nieomal ocieram się o Waltera Pacha. Ponieważ mnie nie poznaje, a ja nie mam mu nic do powiedzenia, nie próbuję nawet go zatrzymać. Później, gdy siedzę wygodnie z wyciągniętymi nogami w Tuileries, przypominam sobie jego sylwetkę. Kroczył lekko zgarbiony, pogrążony w zadumie, a na jego twarzy błąkał się uśmiech, pogodny, a zarazem pełen rezerwy. Zastanawiam się, patrząc w to pastelowo polakierowane niebo o jakże delikatnym zabarwieniu, nie napęczniałe dziś od ciężkich deszczowych chmur, lecz uśmiechnięte jak filiżanka ze starej porcelany, otóż zastanawiam się, co dzieje się w umyśle tego człowieka, który przetłumaczył cztery grube tomy *Historii sztuki*, gdy tak chłonie ten błogi obraz kosmosu swoim gasnącym wzrokiem.

Na Champs-Élysées pomysły leją się ze mnie jak strugi potu. Powinienem być na tyle bogaty, by zatrudnić sekretarkę, której mógłbym dyktować podczas spaceru, ponieważ najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy zawsze wtedy, kiedy jestem z dala od maszyny.

Idąc wzdłuż Champs-Élysées rozmyślałam o swoim rzeczywiście doskonałym zdrowiu. Gdy mówię „zdrowie”, tak naprawdę mam na myśli optymizm. Jestem nieuleczalnym optymistą! Jedną nogą tkwię wciąż w wieku dziewiętnastym. Jestem nieco opóźniony w rozwoju, jak większość Amerykanów. Carl uważa mój optymizm za obrzydliwy! „Wystarczy, że wspomnę o posiłku – mówi – a ty promieniejesz!”. To prawda. Już sama myśl o posiłku – k o l e j n y m p o s i ł k u – odmładza mnie. Jedzenie! Oznacza to paliwo, za sprawą którego można będzie coś zrobić – solidnie popracować przez parę godzin, być może dostać wzwołu... Nie zaprzeczam: mam zdrowie, dobre, solidne, zwierzęce zdrowie. Jedyne, co stoi między mną a przyszłością, to jakiś posiłek, k o l e j n y posiłek.

Jeśli chodzi o Carla, to nie jest w tych dniach sobą. Chodzi przygnębiony, nerwy ma rozstrojone. Mówi, że jest chory, i wierzę mu, ale nie stać mnie na współczucie.

Nie p o t r a f i ę się na nie zdobyć. W gruncie rzeczy chce mi się śmiać. A on rzeczywiście czuje się urażony. Wszystko go rani – mój śmiech, mój głód, mój upór, moja nonszalancja, dosłownie w s z y s t k o . Jednego dnia chce rozwalić sobie łeb, bo nie może już dłużej znieść tej cholernej dziury, jaką jest Europa, nazajutrz planuje wyjazd do Arizony, „gdzie ludzie patrzą ci prosto w oczy”.

– Zrób to! – mówię mu. – Zrób jedno lub drugie, cholerny skurwysynu, ale nie próbuj zamglić moich zdrowych oczu swoim melancholijnym oddechem!

Ale o to właśnie chodzi! W Europie człowiek przyzwyczaja się do beczynności. Siedzi na dupie i skamle przez cały dzień. Ulega skażeniu. Gnije.

W gruncie rzeczy Carl jest snobem, arystokratycznym małym kutasem żyjącym w swoim własnym schizofrenicznym królestwie.

– Nienawidzę Paryża! – złorzeczy. – Tych wszystkich głupków grających całymi dniami w karty... spójrz tylko na nich! A ich literatura! Po cóż łączyć ze sobą słowa? Mogę być

pisarzem nie pisząc, prawda? Czego dowodzi to, że napiszę książkę? Po co nam właściwie książki? I tak jest już ich za dużo...

Do licha, przecież ja już przez to przeszedłem – całe lata temu. Przeżyłem swoją melancholijną młodość. I chuj mnie teraz obchodzi, co jest za mną, a co przede mną. Jestem zdrowy. Nieuleczalnie zdrowy. Nic mnie nie dręczy, niczego nie żałuję. Bez przeszłości, bez jutra. Wystarcza mi teraźniejszość. Dzień po dniu. Dzień dzisiejszy! *Le bel aujourd'hui!*

Nasz Carl ma jeden wolny dzień w tygodniu i jest wówczas bardziej nieszczęśliwy, jeśli możecie to sobie wyobrazić, niż w każdym innym dniu. Chociaż utrzymuje, że gardzi jedzeniem, wygląda na to, iż jedyne, co mu sprawia przyjemność w dniu wolnym, to suto zastawiony stół. Może robi to ze względu na mnie – nie wiem i nie pytam. Jeśli do listy swoich przywar chce dodać męczeństwo, proszę bardzo, mnie to nie przeszkadza. W każdym razie w zeszły wtorek, roztrwoniwszy to, co wystarczyłoby na obfity obiad, prowadzi mnie do Dôme, ostatniego miejsca na świecie, które chciałbym odwiedzić, gdybym to ja miał wolny dzień. Nie dość, że człowiek staje się tu bezwolny – to jeszcze robi się leniwy.

Przy barze w Dôme stoi Marlowe, zalany w pestkę. Ruszył w ciąg, jak to nazywa – tym razem była to pięciodniówka. Oznacza to ustawiczne picie, peregrynację od baru do baru, w dzień i w nocy, bez przerwy, zakończone okresem beczynności w American Hospital. Koścista, wymizerowana twarz Marlowe'a jest już tylko czaszką przedziurawioną dwoma głębokimi oczodołami, w których tkwi zagrzebana para martwych małży. Plecy ma całe w trocinach – właśnie skończył krótką drzemkę w toalecie. W kieszeni płaszcza trzyma arkusze korektorskie następnego wydania swego periodyku, wygląda na to, że szedł właśnie z nimi do drukarni, gdy ktoś zwałił go na drinka. Opowiada o tym, jakby zdarzyło się to wiele miesięcy temu. Wyjmuje arkusze i rozpościera je na barze; są na nich plamy po kawie i zaschnięta ślina. Usiłuje odczytać wiersz napisany przez siebie po grecku, tekst jest jednak nie do odszyfrowania. Potem postanawia wygłosić przemówienie po francusku, ale *gérant* kładzie temu kres. Marlowe jest urażony: jego jedyną ambicją jest mówić takim francuskim, który byłby zrozumiały nawet dla kelnera. Starofrancuski opanował po mistrzowsku, doskonale potrafi tłumaczyć surrealistów, ale powiedzenie czegoś tak prostego, jak „Spieprzaj stąd, stary chuju!”, przerasta jego możliwości. Nikt nie rozumie francuskiego, którym włada Marlowe, nawet kurwy. Ale jeśli już o tym mowa, trudno zrozumieć i jego angielszczyznę, kiedy jest wstawiony. Plecie i ślini się niczym nieuleczalny jąkała... i z tego, co mówi, nie powstaje żadna sensowna wypowiedź. „T y p ł a c i s z !” – to jedno wychodzi mu wyraźnie.

Nawet kiedy jest spity jak bela, jakiś dobrze wykształcony instynkt samozachowawczy ostrzega go zawsze, kiedy należy przejść do czynu. Jeśli w jego umyśle pojawi się najdrobniejsza wątpliwość co do tego, kto zapłaci za drinki, jest pewne, że odstawi jakiś numer. Zwykle udaje, że ślepnie. Carl zna już teraz wszystkie jego sztuczki, toteż – kiedy Marlowe chwyta się nagle za skronie i zaczyna coś odgrywać – daje mu kopa w tyłek i mówi: „Daj spokój, kretynie! Nie ze mną takie numery!”

Nie wiem, czy to wyrafinowana zemsta, czy coś innego, w każdym razie Marlowe odpłaca Carlowi tym samym. Pochylając się ku nam konfidencjonalnie, opowiada swym szorstkim, chrapliwym głosem pewną plotkę zasłyszaną podczas wędrówek od baru do baru. Carl z osłupieniem podnosi wzrok. Blednie. Marlowe powtarza swoje, i to wciąż w nowej wersji. Za każdym razem Carl wędnie coraz bardziej.

– Niemożliwe! – wybucha wreszcie.

– Ależ tak – skrzeczy Marlowe. – Stracisz pracę... to pewne.

Carl patrzy na mnie zdesperowany.

– Czy ten skurczybyk robi mnie w konia? – szepcze mi do ucha, dodając na głos:

– Co ja teraz pocznę? Nie znajdę innej pracy. Straciłem rok, by ją dostać.

Wydaje się, że to właśnie chciał usłyszeć Marlowe. Wreszcie znalazł kogoś, komu wiedzie się gorzej niż jemu.

– Ciężkie czasy – skrzeczy, a jego koścista czaszka rozbłyskuje zimnym, elektrycznym ogniem.

Opuszczając Dôme, Marlowe oznajmia w napadzie czkawki, że musi wrócić do San Francisco. Wydaje się teraz szczerze przejęty bezradnością Carla. Proponuje mu, by wraz z nią przejął prowadzenie pisma podczas swojej nieobecności.

– Tobie mogę zaufać, Carl – mówi. I nagle dostaje ataku, tym razem prawdziwego. O mały włos nie ląduje w rynsztoku. Holujemy go do bistro na boulevard Edgar-Quinet i tam go sadzamy. Tym razem chyba naprawdę go wzięło – ból głowy, tak dotkliwy, że dosłownie ślepie, sprawia, iż Marlowe skowyczy i wyje, kołyszając się przy tym w przód i w tył, jak jakieś głupie bydlę uderzone młotem kowalskim. Wlewamy mu do gardła kilka szklaneczek femèt-brancas, kładziemy na ławie i zakrywamy mu oczy jego własnym szalikiem. Leży, pojękując cicho. Po krótkiej chwili rozlega się chrapanie.

– Co powiesz na jego ofertę? – pyta Carl. – Mamy ją przyjąć? Obiecuje po powrocie dać mi tysiąc franków. Wiem, że nie da, ale co ty na to?

Przygląda się Marlowe'owi rozciągniętemu na ławie, unosi szalik i znów przykrywa. Nagle przebiegły uśmiech rozjaśnia mu twarz.

– Słuchaj, Joe – mówi, kiwając, bym się zbliżył – weźmiemy go za słowo. Przejmiemy ten cholerny magazyn i wyruchamy go na dobre.

– Co przez to rozumiesz?

– Jak to co? Wywalimy pozostałych współpracowników i wypełnimy pismo własnymi duperelami – ot co!

– No dobrze, ale jakimi duperelami?

– Wszystko jedno... nic na to nie będzie mógł poradzić. Wyruchamy go na dobre. Jeden udany numer i jego magazyn będzie skończony. Pójdiesz na to, Joe?

Śmiejąc się i chichocząc stawiamy Marlowe'a na nogi i holujemy do pokoju Carla. Po zapaleniu światła stwierdzamy, że w łóżku czeka na Carla jakaś kobieta.

– Całkiem o niej zapomniałem – mówi Carl.

Mówimy dupie, by się zmyła, i pakujemy do łóżka Marlowe'a. Po chwili ktoś puka do drzwi. To Van Norden. Jest cały w nerwach. Zgubił sztuczną szczękę – podejrzewa, że w Bal Negre. Tak czy owak, włazimy do łóżka, cała czwórka. Marlowe śmierdzi jak wędzona ryba.

Rano Marlowe i Van Norden idą szukać sztucznej szczęki. Marlowe bełkocze coś przez ły. Wyobraża sobie, że to *on* stracił zęby.

To mój ostatni obiad w domu naszego dramaturga. Właśnie wypożyczyli nowy fortepian koncertowy. Spotykam Sylwestra – wychodzi z kwaciarni trzymając duży plastikowy kwiat w rękach. Pyta mnie, czy nie zechciałbym go potrzymać, a on tymczasem skoczy po cygara. I tak raz dwa przepierdoliłem obie starannie zaplanowane szanse na darmowe żarcie. Jeden po drugim zwracają się przeciwko mnie mężowie albo robią to ich żony. Maszerując ulicą z plastikowym kwiatem w rękach, myślę o wieczorze sprzed kilku miesięcy, kiedy wpadłem na pomysł darmowych obiadów. Siedziałem na ławce koło Coupole, bawiąc się ślubną obrączką, którą niedawno usiłowałem dać pod zastaw kelnerowi w Dôme. Proponował mi za nią sześć franków, co mnie rozwścieczyło. Ale żołądek domagał się swoich praw. Od czasu rozstania z Moną nosiłem obrączkę na małym palcu. Do tego stopnia stała się częścią mnie, że nigdy nie przyszło mi do głowy, aby ją sprzedać. Była to jedna z tych obrączek z białego złota, zdobionych kwiatami pomarańczy. Kiedyś warta była jakieś półtora dolara, może więcej. Przez trzy lata obywaliliśmy się bez obrączek, aż kiedyś idąc na przystań po Monę przechodziłem przypadkiem koło jubilera na Maiden Lane i zobaczyłem ich pełno na wystawie. Kiedy dotarłem na przystań, Mony nie było. Czekalem, aż ostatni pasażer zejdzie z trapu, ale jej wciąż nie było. Poprosiłem w końcu o pokazanie mi listy pasażerów. Nie znalazłem tam jej nazwiska. Włożyłem obrączkę na mały palec i tam pozostała. Kiedyś zostawiłem ją w łazni publicznej, ale się znalazła. Odłamał się tylko jeden z kwiatów pomarańczy. Siedziałem więc ze spuszczoną głową na ławce bawiąc się obrączką, kiedy nagle ktoś klepnął mnie w plecy. Powiem krótko, że udało mi się uzyskać obiad i jeszcze na dodatek kilka franków. I wówczas jak błyskawica przeszła mnie myśl, że chyba nikt nie odmówiłby człowiekowi jednego posiłku, gdyby ten miał odwagę go zażądać. Natychmiast poszedłem do kawiarni i napisałem około tuzina listów. „Czy pozwoli pan, bym raz w tygodniu zjadł z panem obiad? Proszę po wiedzieć, jaki dzień najbardziej panu odpowiada”. Podziałało to jak zaklęcie. Nie dość, że mnie karmiono... pozwalano mi się obżerać. Co wieczór wracałem do domu pijany. Staraly się jak mogły, te poczciwe duszyczki, które stać było na miłosierdzie raz w tygodniu. To, co się działo ze mną między tymi obiadami, nie interesowało ich w najmniejszym stopniu. Niekiedy co troskliwsi obdarowywali mnie papierosami albo dawali jakieś kieszonkowe. No i jawnie oddychali z ulgą, kiedy nabrali pewności, że będą mnie oglądać tylko raz w tygodniu. Jeszcze większą ulgę odczuwali, gdy im oznajmiałem: „To już dłużej nie będzie konieczne”. Nigdy nie pytali, dlaczego. Gratulowali mi, ot i wszystko. Często powodem mojej rezygnacji było po prostu to, że znajdowałem innych, lepszych gospodarzy; mogłem wtedy pozwolić sobie na wykreślenie tych, którzy zbyt mi truli dupę. Ale im nigdy by to nie przyszło do głowy. Miałem wreszcie stały, solidny program – ustalony harmonogram dla siebie i swojego żołądka. Wiedziałem, że we wtorki będę jadł to, a w piątki tamto, że Cronstadt poczęstuje mnie szampanem i domowego wypieku plackiem z jabłkami, a Carl zaprosi do restauracji, za każdym razem innej, zamawiając świetne wina, po czym zabierze mnie do teatru albo do Cirque Medrano. Moi dobroczyńcy interesowali się sobą nawzajem. Pytali, czyj dom lubię najbardziej, czyja kuchnia jest najlepsza itp. Najbardziej chyba lubiłem melinę Cronstadta – może dlatego, że za każdym razem cenę obiadu nanosił kredą na ścianie. Nie chodzi o to, że mojemu sumieniu było lżej ze świadomością, ile mu jestem winien, ponieważ i tak nie miałem zamiaru zwracać mu długu, a i on nie żywił żadnych złudzeń, iż mu się kiedyś odwdzięczę. Nie, fascynowały mnie po prostu te niewiarygodne liczby, które mu wychodziły przy podliczaniu. Robił to z dokładnością co do centyma. Gdybym miał mu za wszystko

zapłacić, mógłbym dać mu tylko pół mojego jedyne go sou. Jego żona gotowała wspaniale i gówny ją obchodziły te centymy sumowane przez Cronstadta. Pobierała ode mnie opłatę w kopiach maszynopisów. To fakt! Jeśli nie miałem dla niej żadnych nowych tekstów, była zawiedziona. I za karę musiałem następnego dnia zabierać ich dziewczynkę do Ogrodów Luksemburskich i bawić się z nią przez dwie, trzy godziny, co mnie doprowadzało do szału, bo mała nie znała żadnego języka poza węgierskim i francuskim. W sumie była to niezła zgraja dziwaków, ci moi gospodarze...

U Tani patrzę z balkonu na suto zastawiony stół. Jest tam Moldorf, siedzi obok swego idola. Ogrzewa sobie stopy przy domowym ognisku. W wodnistych oczach obmierzył wyraz wdzięczności. Tania ćwiczy adagio, mówiąc bardzo wyraźnie: dość miłosnych zaklęć! Jestem znów przy fontannie, przyglądam się żółwiom sikającym zielonym mlekiem. Sylwester wrócił właśnie z Broadwayu z sercem przepełnionym miłością. Całą noc przeleżałem na ławce przy skwerze, gdy tymczasem kulę ziemską spryskiwał ciepły żółwi mocz, a konie wyprężone w fallicznej furii galopowały jak oszalałe, nie dotykając kopytami ziemi. Przez całą noc czuję zapach bzu w małym, ciemnym pokoju, w którym ona rozpuszcza włosy, bzu kupionego jej przeze mnie, gdy wychodziła po Sylwestra. Wrócił z sercem przepełnionym miłością, powiedziała, a bez jest w jej włosach i ustach, bez oplata jej pachy. Pokój zalewa miłość i żółwi mocz, i duszący bez, a konie galopują jak oszalałe. Rano brudne zęby i tłusty osad na okiennej szybie; furka prowadząca na skwerek jest zamknięta. Ludzie spieszą do pracy, żaluzje grzechoczą jak zbroje. W księgami naprzeciw fontanny leży historia jeziora Czad, milczących jaszczurek, cudownych odcieni gumiguty. Wszystkie moje listy do niej, pijane – pisane tęnym ogryzkiem ołówka, szalone – kawałkiem węgla, drobne utwory powstałe raz na tej, raz na innej ławce, fajerwerki, serwetki, lody z kandyzowanymi owocami; będą je teraz przeglądali we dwoje, a on pewnego dnia pogratuluje mi, strzepując popiół z cygara: „Rzeczywiście, całkiem niezłe piszesz. Zdaje się, że jesteś surrealistą, tak?”. Suchy, łamiący się głos, łupież na zębach, solo jak *solar plexus*, r jak ramol.

Stoję na balkonie z plastikowym kwiatem w rękach, a z dołu ciągle dobiega adagio. Klawisze czarne i białe, potem czarne, znowu białe, i jeszcze raz białe i czarne. A ty pytasz, czy możesz mi coś zagrać. Tak, zagraj mi coś tymi swoimi wielkimi paluchami. Zagraj adagio, jako że znasz tylko ten jeden cholerny kawałek. Zagraj je więc, a potem obetnij sobie te paluchy.

To adagio! Nie wiem, dlaczego upiera się, by je bez przerwy grać. Nie wystarczało stare pianino, o nie – musiała wypożyczyć koncertowy fortepian, specjalnie do adagia! Kiedy widzę, jak tłucze paluchami w klawisze, a obok mnie tkwi ten głupi plastikowy kwiat, czuję się jak ów szaleniec z północy, który wyrzucił ubranie i siedząc nagi na ośnieżonych gałęziach rzucał orzechy do morza pełnego zamrożonych śledzi. Jest coś irytującego w tym utworze, jakaś chybiona melancholia, jak gdyby napisano go w lawie, jak gdyby był koloru mieszanki ołowiu i mleka. A Sylwester z głową przechyloną na bok jak licytator, ten Sylwester mówi: „Zagraj jeszcze ten drugi kawałek, który dziś ćwiczyłaś”. Jak pięknie jest mieć smoking, dobre cygare i żonę, która ci gra na fortepianie. Jakież wytchnienie. Cóż za kojący balsam. W przerwach między aktami wychodzisz zapalić i zaczerpnąć świeżego powietrza. Tak, jej palce są bardzo giętkie, nadzwyczaj giętkie. Robi też batiki. Chcesz spróbować bułgarskiego papierosa? Słuchaj, gołąbko, jaki jest ten drugi kawałek, który tak bardzo lubię? Scherzo! Rzeczywiście, scherzo! Śliczne to scherzo! Przemawia tonem hrabiego Waldemara von Schwisseneinzug. Chłodne, pełne łupieżu oczy. Cuchnący oddech. Jaskrawe skarpety. I grzanki w zupie grochowej. W piątce zawsze mamy grochówkę. Napijesz się odrobinę czerwonego wina? Jak wiesz, czerwone wino podaje się do mięs. Suchy, dobitny głos. Może cygare? Tak, lubię swoją pracę, ale nie przywiązuję do niej żadnego znaczenia. Moja następna sztuka opierać się będzie na pluralistycznej koncepcji wszechświata. Obrotowe bębny z wapiennymi światłami. O'Neill jest martwy. Myślę, kochanie, że powinnaś częściej

podnosić stopę z pedału. Tak, ta część jest bardzo ładna... bardzo ładna, nie sądzisz? Tak, postacie chodzą po scenie z mikrofonami w spodniach. Akcja rozgrywa się w Azji, ponieważ warunki atmosferyczne są tam bardziej sprzyjające. Spróbujesz odrobinę anjou? Kupiliśmy je specjalnie dla ciebie...

Jego gadanina trwa przez cały obiad. To tak, jakby wyciągnął tego swojego obrzezanego chuja i sikał na nas, Tania nie wytrzymuje napięcia. Ten monolog trwa od chwili, gdy wrócił z sercem przepełnionym miłością. Nawet kiedy się rozbiera, gada przez cały czas, opowiada Tania – nieprzerwany strumień ciepłego moczu, jakby przedziurawiono mu pęcherz. Kiedy sobie wyobrażam, jak Tania wchodzi do łóżka z tym pękniętym pęcherzem, ogarnia mnie wściekłość. Pomyśleć tylko, że ten nędzny, zwiędły kutas, noszący w zanadrzu swoje kiepskie sztuki dla Broadwayu, leje na kobietę, którą kocham. I jeszcze domaga się czerwonego wina, obrotowych bębnow i grzanek w zupie grochowej. Ma facet tupet! Pomyśleć tylko, że może leżeć obok tego pieca, który dla niego rozpałem, i jedynie oddawać mocz! Mój Boże, człowieku, powinienes paść na kolana i dziękować mi. Czy nie widzisz, że masz teraz w domu kobietę? Nie widzisz, że ona gotowa eksplodować? A ty mi gędzisz tym głosem zdławionym przez trzeci migdał: „Ależ, słuchaj, widzisz... można na to patrzeć w dwojaki sposób... Pierdolę twój dwojaki sposób widzenia! Pierdolę twój pluralistyczny wszechświat i akustykę Azji! Nie chcę twojego czerwonego wina, nie chcę anjou... chcę jej... należy do mnie! Ty idź posiedzieć przy fortepianie, a mnie daj wachać bez! Powybieraj sobie łupież z oczu... weź to cholerne adagio i zawiń je w parę flanelowych spodni! I ten drugi kawałek też... i wszystkie melodyjki, które wygrywasz żałośnie swoim schorzałym pęcherzem. Uśmiechasz się do mnie z taką pewnością siebie i z takim wyrachowaniem. Strasznie ci kadzę, nie widzisz? Gdy tak słucham tych twoich pierdoł, ona pieści mnie dłonią, ale ty tego nie zauważasz. Sądzisz, że lubię cierpieć – to moja rola, mówisz, OK. Ją o to zapytaj! Opowie ci, jak cierpię. „Jesteś rakiem i delirium” – powiedziała mi przez telefon któregoś dnia. Teraz ona ma raka i delirium, a wkrótce i ty będziesz musiał zdrapywać strupy. Mało jej żyły nie pękną, mówię ci, a twoja gadanina to trociny. Bez względu na to, ile wysikasz, nigdy nie zatkasz dziur. Co powiedział pan Wren? S ł o w a s ą s a m o t n o ś c i ą . Zostawiłem ci wczoraj kilka słów na obrusie – przykryłaś je łokciami.

Wzniósł wokół niej ogrodzenie, jak gdyby była brudną, śmierdzącą kością jakiegoś świętego. Gdyby tylko miał odwagę powiedzieć: „Weź ją!”, może stałby się cud. Tylko tyle. Weź ją!, a przysięgam, że wszystko dobrze by się skończyło. Poza tym, może ja wcale bym jej nie chciał – ciekawe, czy kiedykolwiek przyszło mu to do głowy. Albo mógłbym ją wziąć na jakiś czas i oddać mu w d u ż o l e p s z y m s t a n i e . Choć otoczenie jej płotem nie zda się na nic. Wokół człowieka nie wolno wznosić ogrodzenia. Tego się już nie robi... Sądzisz, biedaku, ty uschnięty kutasie, że nie jestem dla niej dostatecznie dobry, że mogę ją zbrukać, sprofanować. Nie wiesz, jak smaczna jest zbrukana kobieta, jak rozkwita dzięki zmianie spermy! Myślisz, że wystarczy serce przepełnione miłością... Może tak i jest, w przypadku odpowiedniej kobiety, ale ty już nie masz serca... jesteś tylko wielkim, pustym pęcherzem. Ostrzysz sobie kły i doskonalisz skowyt. Pętasz się u jej stóp jak pies łańcuchowy, posikujący gdzie popadnie. Ona nie uważała cię za psa... brała cię za poetę. Powiedziała, że kiedyś byłeś poetą. A czymże jesteś teraz? Odwagi, Sylwestrze, odwagi! Wyjmij ten mikrofon ze spodni. Postaw tylną łapę na ziemi i przestań sikać, gdzie popadnie. Odwagi, powtarzam, ponieważ ona i tak cię już porzuciła. Jest splugawiona, mówię ci, toteż równie dobrze możesz rozebrać ogrodzenie. Twoje uprzejme pytanie, czy nie uważam, że kawa smakuje jak kwas karbolowy, jest bez sensu – nie odstraszy mnie. Włóż do kawy trutkę na szczury, dodaj odrobinę tłuczonego szkła. Przyrządź trochę wrzącego moczu i wrzuc do niego gałkę muszkatołową...

Przez kilka minionych tygodni żyłem we wspólnocie. Musiałem dzielić się sobą z innymi, przede wszystkim z kilkoma zwariowanymi Rosjanami, pijanym Holendrem i ogromną Bułgarką o imieniu Olga. Jeśli chodzi o Rosjan, to byli głównie Eugène i Anatole.

Dopiero kilka dni temu Olga opuściła szpital; wypalono jej jajowody i straciła trochę nadwagi. Niemniej wcale nie wygląda, że tak wiele wycierpiała. Waży prawie tyle, co dwugarbna lokomotywa; leje się z niej pot, ma cuchnący oddech i nadal nosi tę swoją czerkieską perukę wyglądającą jak z drewnianych wiórów. Na brodzie ma dwie wielkie brodawki, z których wyrastają kępki krótkich włosów; zapuszcza teraz wąsy.

Nazajutrz po wyjściu ze szpitala Olga zaczęła znów robić buty. Już o szóstej rano siedzi przy swojej ławie; sporządza dwie pary butów dziennie. Eugène narzeka, że Olga jest dla niego ciężarem, ale prawda wygląda tak, że to ona utrzymuje Eugène'a i jego żonę swoimi dwiema parami butów dziennie. Gdy Olga nie pracuje, nie mają co jeść. Toteż każdy stara się położyć ją w porę do łóżka, zapewnić jej dość jedzenia, by mogła nadal funkcjonować.

Obiad zaczyna się zawsze od zupy. Każda z nich, cebulowa, pomidorowa, jarzynowa czy jakakolwiek inna, zawsze smakuje tak samo. Zwykle tak, jakby ugotowano ją na ścierce do mycia naczyń – trochę kwasu, pleśni, piany. Widzę, jak po obiedzie Eugène chowa resztki zupy do kredensu. Stoją tam i psują się aż do następnego dnia. Masło też wstawia się do kredensu; po trzech dniach smakuje jak duży palec u nogi umarłaka.

Odór smażonego zjełczałego masła nie wpływa zbyt na apetyt, zwłaszcza jeśli gotuje się w pokoju pozbawionym dopływu świeżego powietrza. Otwieram drzwi i natychmiast zbiera mi się na wymioty. Ale Eugène, słysząc, że nadchodzę, podnosi żaluzje i ściąga prześcieradło rozpostarte na oknie jak sieć rybacka, aby nie wpuszczać słońca. Biedny Eugène! Rozgląda się po pokoju, patrzy na tych kilka mebli, na brudne prześcieradła i umywalkę wciąż wypełnioną brudną wodą, i mówi: „Jestem niewolnikiem!”. Powtarza to dzień po dniu, i to nie raz, ale tuzin razy. A potem zdejmuje ze ściany gitarę i śpiewa.

Wracając jednak do zapachu zjełczałego masła... Mam też i pozytywne skojarzenia. Gdy pomyślę o tym zjełczałym maśle, widzę siebie na małym podwórku z dawnej epoki, bardzo śmierdzącym i bardzo ponurym. Przez szparki w żaluzjach przypatrują mi się dziwne postacie... staruszki otulone szalami, karły, alfonsi o szurzących twarzach, zgarbieni Żydzi, *midinettes*, zarośnięci idioci. Wychodzą chwiejnym krokiem na podwórko, by nabrać wody albo wypłukać wiadra po pomyjach. Kiedyś Eugène poprosił mnie o opróżnienie kubła. Poszedłem z nim w róg podwórka. W ziemi była dziura, wokół której leżały jakieś brudne papiery. Studzienka śliska od ekskrementów lub, nazywając rzecz po imieniu, po prostu od gówna. Przechyliłem wiadro i rozległ się ohydny, bulgoczący plusk, po nim drugi, a potem niespodziewany rozbrzdg. Kiedy wróciłem, zupa była na talerzach. Przez cały obiad myślałem o swojej szczoteczce do zębów – jest już stara i jej włoski włożą mi między zęby.

Przy stole zawsze zajmuję miejsce koło okna. Boję się usiąść po drugiej stronie stołu – stoi zbyt blisko łóżka, rojącego się od robactwa. Gdy spojrzę w tamtą stronę, widzę plamy krwi na szarych prześcieradłach, ale staram się tam nie patrzeć. Wyglądam na podwórko, gdzie płuczą wiadra na pomyje.

Obiad nigdy nie byłby kompletny bez muzyki. Gdy tylko podadzą sery, Eugène zrywa się i sięga po gitarę wiszącą nad łóżkiem. Śpiewa zawsze tę samą piosenkę. Twierdzi, że ma ich w swoim repertuarze piętnaście czy szesnaście, nigdy jednak nie słyszałem więcej niż trzy. Jego ulubiona to *Charmant poème d'amour*. Przepojona jest *angoisse* i *tristesse*.

Po południu idziemy do kina, gdzie panuje chłód i mrok. Eugène siada do fortepianu w kanale orkiestrowym, a ja lokuję się w pierwszym rzędzie. Sala jest pusta, ale Eugène śpiewa, jakby na widowni zasiadały wszystkie koronowane głowy Europy. Drzwi do ogrodu są otwarte i do środka sączy się zapach mokrych liści, a szmer deszczu zlewa się w jedno z *angoisse* i *tristesse* Eugène'a. O północy, kiedy sala przesiąkła już potem i wyziewami widzów, wracam, by się tu przespać. Światelko z napisem „wyjście”, unosząc się w aureoli

tytoniowego dymu, rzuca nikły blask na dolny róg azbestowej kurtyny; co noc zamykam oczy, mając przed sobą sztuczne oko...

Stoję ze szklanym okiem na podwórku; jedynie połowa świata jest zrozumiała. Kamienie są wilgotne i omszałe, w szczelinach między nimi żyją czarne ropuchy. Wielkie drzwi bronią dostępu do piwnicy, schody są śliskie i zapaskudzone odchodami nietoperzy. Drzwi są wypaczone i krzywo osadzone, zawiasy odpadają, ale przytwierdzona do nich emaliowana tabliczka w doskonałym stanie głosi: „Zamykaj drzwi”. Po co zamykać drzwi? Nie mogę tego pojąć. Spoglądam jeszcze raz ku tabliczce, ale okazuje się, że ją usunięto; na jej miejscu znajduje się okienko z kolorowego szkła. Wyjmuję moje sztuczne oko, pluję na nie i poleruję chusteczką do nosa. Na podium wznoszącym się nad ogromnym rzeźbionym biurkiem siedzi jakaś kobieta; jej szyję oplata wąż. Wzdłuż ścian całego pokoju stoją książki, a w kolorowych szklanych słojach pływają dziwne ryby, na ścianach wiszą mapy i plany, mapy Paryża sprzed zarazy, mapy starożytnego świata, Knossos i Kartaginy, Kartaginy przed i po zasoleniu ziemi. W rogu pokoju zauważam żelazne łóżko, na którym leżą zwłoki; kobieta wstaje ciężko, podnosi zwłoki z łóżka i niedbale, jakby nieobecna, wyrzuca je przez okno. Powraca do ogromnego rzeźbionego biurka, wyjmuje ze słoja złotą rybkę i połykają. Powoli pokój zaczyna wirować i kontynenty, jeden po drugim, osuwają się do morza. Pozostaje jedynie kobieta, lecz jej ciało jest zbitką geografii. Wychylam się przez okno, a z wieży Eiffla tryska musujący szampan; zbudowana jest z samych cyfr i spowita w czarną koronkę. Ścieki groźnie bulgoczą. Gdzie spojrzeć, wszędzie tylko dachy ułożone z ohydny, geometrycznym wyrafinowaniem.

Zostałem wyrzucony ze świata jak pocisk. Opadła gęsta mgła, ziemia powalana jest zmarzniętym smarem. Czuję pulsowanie miasta, jak gdyby było sercem zaledwie parę minut temu usuniętym z ciepłego ciała. Okna mego hotelu ropieją i czuć gęsty, drażniący smród, jak gdyby palono jakieś chemikalia. Wpatrując się w Sekwanę, widzę błoto i pustkę, tonące lampy uliczne, mężczyzn i kobiety dławiących się śmiertelnie, mosty zarzucone domami – jatkami miłości. Jakiś facet z akordeonem przypiętym do brzucha stoi opierając się o ścianę; ręce ma odcięte w nadgarstkach, ale akordeon wije się między jego kikutami jak worek pełen węży. Wszechświat skurczył się, osiągając rozmiary czworoboku kamienic i nie ma w nim ani gwiazd, ani drzew, ani rzek. Ludzie tu mieszkający są martwi; zajmują się wykonywaniem krzeseł, na których siadują inni ludzie w swoich snach. Na środku ulicy znajduje się koło, w jego piaście zainstalowano szubienicę. Umarli desperacko usiłują się na nią wspiąć, lecz daremnie: koło obraca się zbyt prędko...

Trzeba mi było czegoś, by pogodzić się ze sobą. Wczoraj wieczorem odkryłem to coś: P a p i n i . Nie interesuje mnie, czy jest szowinistą, drobnym religijnym fanatykiem, czy też krótkowzrocznym pedantem. Wspaniała jest jako człowiek przegrany...

Książki, które czytał... już w wieku osiemnastu lat! Nie dość, że Homer, Dante, Goethe, nie tylko Arystoteles, Platon, Epiktet, nie tylko Rabelais, Cervantes, Swift, nie tylko Walt Whitman, Edgar Allan Poe, Baudelaire, Villon, Carducci, Manzoni, Lope de Vega, wreszcie Nietzsche, Schopenhauer, Kant, Hegel, Darwin, Spencer, Huxley – nie tylko oni, lecz także wszystkie pozostałe małe płotki. To na stronie 18. *Alors*, na stronie 232. załamuje się, wyznając jak na spowiedzi: „Nie wiem nic. Znam tytuły, sporządzałem bibliografie, pisałem eseje krytyczne, oczerniałem i szkalowałem... Mogę głądzić przez pięć minut albo przez pięć dni, ale potem daję spokój, czuję się wyjałowiony”.

Po czym ciągnie: „Każdy chce się ze mną spotkać, każdy chce ze mną rozmawiać. Ludzie niepokoją mnie i niepokoją innych pytaniami o mnie. Jak się mam? Czy już czuję się lepiej? Czy wciąż jeżdżę na wieś, by spacerować? Czy pracuję? Czy skończyłem książkę? Czy wkrótce rozpocznę następną?

Zasuszona małpka, jakiś Niemiec, chce, bym przetłumaczył jego dzieła. Młoda Rosjanka z szaleństwem w oczach pragnie, bym napisał dla niej swoją autobiografię. Jakaś amerykańska dama domaga się ode mnie informacji z o s t a t n i e j c h w i l i . Z kolei pewien amerykański dżentelmen przyśle powóz, by mnie zabrać na obiad – na taką, wiecie, serdeczną, poufną pogawędkę. Stary kolega szkolny i mój kumpel sprzed dziesięciu lat pragnie, bym mu odczytywał, dzień po dniu, wszystko, co napiszę. Znajomy malarz oczekuje, że będę mu pozował na godziny. Jakiś dziennikarz chce znać mój obecny adres. Przygodny znajomy, mistyk, dopytuje się o stan mojej duszy, inny, bardziej praktyczny – o stan mego portfela. Prezesa mojego klubu interesuje, czy wygłoszę mowę do chłopaków! Jakaś dama o metafizycznych inklinacjach wyraża nadzieję, że będę jak najczęściej zaglądał do niej na herbatkę. Chce poznać moje zdanie o Jezusie Chrystusie i dowiedzieć się, co sądzę o nowym medium?...

Wielki Boże! Kimże ja się stałem? Jakie macie prawo, wy tam, zaśmiecąc moje życie, kraść mój czas, szperać w zakamarkach mojej duszy, wysysać moje myśli, traktować mnie jak kompana, powiernika i informatora? Za kogo wy mnie macie? Czy jestem komediantem na etacie, od którego wymaga się, by codziennie odgrywał intelektualną farsę na waszych dumnych oczach? Czy może niewolnikiem zakupionym na targowisku, bym na brzuchu czołgał się przed wami – nierobami i składał u waszych stóp wszystko, co zrobię, i wszystko, co wiem? Czyż jestem panienką z lupanaru, której każe się unosić spódnice albo zdejmować bieliznę jak na licytacji, na skinienie pierwszego lepszego faceta, którego stać na garnitur od krawca?

Jestem człowiekiem, który chciałby wieść życie heroiczne i uczynić świat znośniejszym – przynajmniej we własnych oczach. Jeżeli w chwilach słabości, rozleniwienia, potrzeby dają upust gniewowi – rozpalony do czerwoności wybucham wściekłością ostudzoną, bo ujętą w słowa, w jakimś namiętym śnie opakowanym w poetyckie obrazy – zaakceptujcie to albo nie... ale dajcie mi spokój!

Jestem człowiekiem wolnym i ta wolność jest mi potrzebna. Muszę być sam. Czuję potrzebę analizowania swego wstydu i rozpaczę w osamotnieniu; potrzeba mi słońca i brukowych ulicznych kamieni – bez towarzyszy, bez rozmów; muszę stać twarzą w twarz ze sobą, mając za towarzystwo jedynie muzykę własnego serca. Czego ode mnie chcecie? Kiedy mam coś do powiedzenia, publikuję to. Kiedy mam coś do ofiarowania, ofiarowuję to. Mdli mnie od waszej wścibskiej ciekawości! Wasze komplementy są upokarzające! Wasze herbatki – trujące! Nikomu nic nie jestem winien. Odpowiadał będę jedynie przed samym Bogiem – jeśli On istnieje!”.

Wydaje mi się, iż Papini o włos chyba sedna sprawy, mówiąc o tym, że należy żyć w pojedynkę. To wcale nietrudne, kiedy się jest biedakiem i człowiekiem przegrany. Artysta zawsze jest sam – jeśli jest artystą. Nie, tym, czego artysta potrzebuje, jest s a m o t n o ś ć .

Proszę, proszę, mówię o sobie – artysta. Niech będzie. Zdrzemnąłem się dziś smacznie po południu. Drzemka wymościła mi kręgi aksamitem i przyniosła tyle pomysłów, że starczy mi ich na trzy dni. Jestem po brzegi wypełniony energią, z którą nie mam co zrobić. Decyduję się na spacer. Już na ulicy zmieniam plany. Postanawiam iść do kina. Nie mogę iść do kina – brakuje mi kilku sou. Zatem spacer. Przy każdym kinie zatrzymuję się i oglądam plakaty, potem zerkam na cennik. Te opiumowe spelunki są dość tanie, ale mam o kilka sou za mało. Gdyby nie było tak późno, mógłbym wrócić i sprzedać pustą butelkę.

Kiedy dochodzę do rue Amelie, zupełnie zapominam o kinie. Rue Amelie to jedna z moich ulubionych uliczek. Należy do tych, które władze miejskie zapomniały na szczęście wybrukować. Wypukłości ogromnych polnych kamieni biegną z jednej strony na drugą. Uliczka ma długość jednego bloku kamienic i jest bardzo wąska. Znajduje się przy niej Hôtel Pretty. Jest też na rue Amelie mały kościółek. Wygląda, jakby zbudowano go specjalnie dla

prezydenta Republiki i jego najbliższej rodziny. Dobrze jest od czasu do czasu zobaczyć taki skromny kościółek. W Paryżu roi się od pompatycznych katedr.

Pont Alexandre III. Wokół mostu rozległa, otwarta przestrzeń, po której hula wiatr. Posępne, nagie drzewa umieszczone z matematyczną dokładnością w żelaznych kratownicach; smutek Inwalidów wypływa z kościoła zalewając przylegające do placu mroczne ulice. Kostnica poezji. Wreszcie spoczywa tam, gdzie chcieli, ów wspaniały wojownik, ostatni wielki człowiek Europy. Śpi twardym snem na swym granitowym łożu. Nie ma obawy, że się przewróci w grobie. Drzwi zaryglowane, wieko dobrze dociśnięte. Śpij, Napoleonie! To nie twoje idee były im potrzebne, a twoje zwłoki!

Rzeka jest wciąż wezbrana, błotnista, poprzecinana smugami świateł. Nie wiem, co budzi się we mnie na widok jej ciemnego, wartkiego nurtu, ale ogarnia mnie wielki entuzjazm, potwierdzając głębokie pragnienie pozostania na zawsze w tym zakątku ziemi. Pamiętam, jak przechodziłem tędy wczoraj w drodze do biura American Express, z góry wiedząc, że nie będzie dla mnie żadnej poczty, czeku, telegramu, niczego, zupełnie niczego. Furgon z Galeries Lafayette toczył się z turkotem przez most. Przestało padać i słońce przedzierające się przez mydlane chmury padało na rumowisko dachów, wybuchając zimnym ogniem. Przypominam sobie, jak woźnica wychylił się spoglądając w górę rzeki w stronę Passy. Było to takie zdrowe, naturalne, pełne aprobaty spojrzenie, jakby mówił do siebie: „Ach, zbliża się wiosna!”. Bóg dobrze wie, że kiedy wiosna ogarnia Paryż, najmizerniejszy żywy śmiertelnik musi czuć, że żyje w raju. Ale nie tylko o to chodziło, lecz o zażyłość, z jaką jego oko spoczęło na tym obrazie. To był jego Paryż. Nie trzeba być bogatym, nie trzeba nawet być mieszkańcem tego miasta, by żywić takie uczucia wobec Paryża. Wydaje mi się, że to miasto pełne jest biedaków – najdumniejszych i najnędrniejszych żebraków pod słońcem. Sprawiają oni zarazem wrażenie, jakby byli u siebie w domu. To właśnie odróżnia paryżan od wszystkich innych mieszkańców metropolii.

Kiedy myślę o Nowym Jorku, snuję zupełnie inne refleksje. Nowy Jork sprawia, że nawet bogacz czuje tam swą marność. Nowy Jork jest zimny, błyszczący, jadowity. Dominują tam gmachy, nie ludzie. We wszystkim, co się dzieje, panuje jakiś szalony pośpiech, niczym we wnętrzu atomu; im bardziej szalone tempo, tym uboższy duch. Bezustanny ferment, ale tak, jakby odbywał się w probówce. Nikt nie wie, o co tu chodzi. Nikt nie nadaje kierunku energii. Potworne. Dziwaczne. Niepojęte. Niepohamowany pęd gigantycznej reakcji, pozbawiony przy tym jakiegokolwiek kontroli.

Kiedy myślę o tym mieście, gdzie się urodziłem i wychowałem, o Manhattanie opiewanym przez Whitmana, ślepy, rozpalony do białości szal liże moje trzewia. Nowy Jork! Białe więzienia, chodniki rojące się od robaków, kolejki po pieczywo, opiumowe spelunki kin zbudowanych jak pałace, Żydki, których tam pełno, trędowaci, gangsterzy, ale przede wszystkim ta nuda, ta monotonia twarzy, ulic, nóg, domów, drapaczy chmur, jedzenia, plakatów, zawodów, przestępstw, miłości... Całe miasto wzniesione nad przeraźliwą pustką, nad otchłanią nicości. Bez sensu. A Czterdziesta Druga Ulica! Wierzchołek świata – tak ją nazywają. Gdzież więc jest dno? Możesz bez końca wędrować z wyciągniętymi rękoma, a do kapelusza wrzucą ci żużlu. Bogaci i biedni spacerują z odrzuconą w tył głową i o mało nie złamią sobie karku, patrząc w górę na swoje piękne białe więzienia. Maszerują jak ślepe gęsi, a reflektory rzucają plamy ekstazy na ich puste twarze.

„Życie” – stwierdził Emerson – „jest dla nas tym, czemu przez cały dzień poświęcamy każdą naszą myśl”. Jeśli to prawda, to moje życie jest wyłącznie długim przewodem pokarmowym. Nie dość, że całymi dniami myślę o jedzeniu, to jeszcze śni mi się ono po nocach.

Nie dopraszam się jednak powrotu do Ameryki, nie chcę znaleźć się znowu w małżeńskim jarzmie, pracować w kieracie. Nie, wolę być biednym człowiekiem w Europie. Bóg widzi, że jestem dostatecznie biedny – pozostaje to drugie – być człowiekiem. W zeszłym tygodniu zdawało mi się, że tylko krok dzieli mnie od rozwiązania problemu egzystencji; myślałem, że jestem na najlepszej drodze do osiągnięcia samowystarczalności. Przypadkiem natknąłem się na jeszcze jednego Rosjanina – na imię ma Serge. Mieszka w Suresnes, gdzie można znaleźć małą kolonię *émigrés* i podupadłych artystów. Przed rewolucją Serge był kapitanem lejbgwardii; sześć stóp i trzy cale wzrostu bez butów, a wódę ciągnie jak gąbka. Jego ojciec był admirałem albo kimś takim na pancerniku „Potiomkin”.

Spotkałem Serge’a w dość niezwykłych okolicznościach. Węsząc któregoś dnia w poszukiwaniu jedzenia znalazłem się przed południem w okolicach Folies-Bergère, ściśle mówiąc w pobliżu tylnego wejścia, w wąskiej uliczce kończącej się żelazną bramą. Kręciłem się koło wejścia na scenę, mając nadzieję niby niechcący otrzeć się o jedną z tancerek motylków, kiedy odkryta ciężarówka zatrzymała się przy krawężniku. Widząc, jak stoję z rękami w kieszeniach, kierowca, którym był Serge, pyta mnie, czy nie pomógłbym mu rozładować żelaznych beczek. Kiedy dowiaduje się, że jestem Amerykaninem, i do tego bez grosza, niemal płacze z radości. Okazuje się, że na prawo i lewo poszukiwał nauczyciela angielskiego. Pomagam wtoczyć mu do środka beczki z jakąś owadobójczą substancją i do woli mogę napatrzeć się na motylki fruujące za kulisami. Całe zdarzenie przybiera dla mnie nieprawdopodobne wymiary – pusty gmach, wypchane trocinami manekiny podskakujące za kulisami, beczki ze środkiem przeciwko insektom, pancernik „Potiomkin”, a przede wszystkim – łagodność Serge’a. Jest wielki i delikatny; to mężczyzna w każdym calu, ale o sercu kobiety.

W pobliskiej kawiarni – Café des Artistes – od razu proponuje mi nocleg; ulokuje mnie na materacu w korytarzu. W zamian za lekcje obiecuje dawać mi codziennie jeść, obfity rosyjski obiad, a jeśli z jakiegoś powodu go zabraknie, to pięć franków. Brzmi to wspaniale – w s p a n i a l e . Jedyne, co mnie trapi, to jak się będę codziennie dostawał z Suresnes do biura American Express.

Serge nalega, byśmy zaczęli od dziś – daje mi pieniądze na bilet, bym jeszcze wieczorem przyjechał do Suresnes. Docieram tam ze swoim plecakiem na krótko przed obiadem, by udzielić Serge’owi pierwszej lekcji. Na miejscu jest już kilkoro gości – wygląda na to, że zawsze jedzą gromadnie i każdy wnosi jakiś udział.

Siedzi nas przy stole ośmioro – i trzy psy. Psy jedzą najpierw. Jedzą owsiankę. Potem my. Też jemy owsiankę – jako przystawkę.

– *Chez nous* – mówi Serge z błyskiem w oku – *c’est pour les chiens, les Quaker Oats. Ici pour le gentleman. Ça va.*

Po owsiance – zupa grzybowa i jarzyny, potem omlet na bekonie, owoce, czerwone wino, wódka, kawa i papierosy. Niezgarsze te rosyjskie obiady. Wszyscy gadają z pełnymi ustami. Pod koniec obiadu żona Serge’a – leniwa armeńska krowa – wali się na kanapę i zaczyna od niechcenia zajadać cukierki. Grubymi paluchami grzebie w pudełeczku, odgryza kawałeczek, by zobaczyć, czy w środku jest likwor, po czym rzuca go psom na podłogę.

Gdy tylko obiad się kończy, goście prędko wychodzą. Uciekają w popłochu, jakby się obawiali zarazy. Serge i ja zostajemy z psami, jego żona zasnęła na kanapie. Serge beztrudno krząta się po pokoju, wyskrobuje resztki dla psów.

– Psy bardzo lubią – mówi. – Bardzo dobre dla psów. Mały piesek, on ma robaki... jest jeszcze za młody.

Pochylony przygląda się kilku białym robakom leżącym na dywanie między psimi łapami. Usiłuje opowiedzieć mi o robakach po angielsku, ale jego słownictwo jest zbyt ubogie. Sięga w końcu po słownik.

– Ach – mówi, spoglądając na mnie i nie posiadając się z radości – t a s i e m c e !

Moja reakcja nie jest widocznie zbyt inteligentna. Serge peszy się. Pada na czworaki, by lepiej im się przyjrzeć. Podnosi jednego i kładzie na stole obok owoców.

– Oho, on nieduży – mruczy. – Podczas następnej lekcji nauczysz mnie robaków, dobrze? Jesteś dobrym nauczycielem. Robię postępy z tobą...

Gdy leżę na materacu w korytarzu, odór środka owadobójczego jest tak silny, że się duszę. Jego gryzący, drażniący smród atakuje każdy por ciała. Zaczyna mi się odbijać – płatki owsiane Quakera, grzyby, bekon, pieczone jabłka. Widzę małego tasiemca obok owoców i wszelkie odmiany robaków, które Serge rysował, by mi wyjaśnić, co jest jego psu. Widzę pusty parter Folies-Bergère: każda szczelina roi się od karaluchów i wszy, i pluskiew – widzę, jak ludzie drapią się niby opętani, drapią i drapią aż do krwi. Widzę robaki łażące wśród rekwizytów jak armia czerwonych mrówek: pożerają wszystko w zasięgu wzroku. Widzę, jak chórzystki zrzucają tiulowe tuniki i biegają nago między rzędami foteli; widzowie na parterze też zrzucają ubrania i drapią się nawzajem jak stado małąp.

Usiłuję się uspokoić. Ostatecznie znalazłem tu dom, gdzie codziennie będę się mógł najeść. A Serge to swój człowiek, nie ulega wątpliwości. Ale nie mogę zasnąć. Czuję się, jakbym spał w kostnicy. Materac jest przesiąknięty płynem do balsamowania zwłok. To kostnica dla wszy, pluskiew, karaluchów, tasiemców. Nie mogę tego znieść. Nie zniosę tego! Ostatecznie jestem człowiekiem, nie wszą.

Rano czekam, aż Serge załaduje ciężarówkę. Proszę go, by mnie podwiózł do Paryża. Nie mam serca mu powiedzieć, że się wynoszę. Zostawiam plecak, w którym jest tych kilka przedmiotów, jakie mi pozostały. Kiedy dojeżdżamy do Place Péreire, wyskakuję. Nie ma jakiegoś szczególnego powodu, bym akurat tu wysiadał. Nie ma żadnego szczególnego powodu do czegokolwiek. J e s t e m w o l n y – to najważniejsze...

Lekki jak ptaszek fruвам z jednej dzielnicy do drugiej. Czuję się jak wypuszczony z więzienia. Patrzę na świat innymi oczyma. Wszystko żywo mnie interesuje. Nawet błahostki. Na rue du Faubourg Poissonnière zatrzymuję się przed oknem salonu kultury fizycznej. Są tu fotografie przedstawiające okazy męskości „przed i po”. Same żabojady. Niektórzy z nich są nadzy, jeśli nie liczyć *pince-nez* albo brody. Nie rozumiem, jak te ptaszki ulegają urokowi drążków i hantli. Żabojad powinien mieć odrobinę wystający kałdun, jak baron de Charlus. Powinien mieć brodę i *pince-nez*, ale nie powinien się fotografować nago. Powinien nosić błyszczące wysokie buty z prawdziwej skóry, a z kieszonki jego sakpala winna wystawać biała chusteczka na jakieś trzy czwarte cala. Jeśli to możliwe, powinien mieć czerwoną wstążeczkę w butonierce. Idąc spać powinien zakładać piżamę.

Zbliżając się pod wieczór do Place Clichy, mijam małą kurewkę z drewnianym kikutem, stojącą dzień w dzień naprzeciwko pałacu Gaumont. Nie wygląda na choćby o jeden dzień więcej niż osiemnaście lat. Podejrzewam, że ma stałych klientów. Po północy stoi tam w swojej czarnej sukience niby wrośnięta w ziemię. Za nią jest wąska uliczka, płonąca jak piekło. Gdy tak mijam ją teraz z lekkim sercem, dziwnie przypomina mi gęś uwiązaną do kołka, gęś z chorą wątrobą, tak by świat mógł się rozkoszować *paté de foie gras*. Dziwnie musi być iść do łóżka z drewnianym kikutem. Człowiek wyobraża sobie najróżniejsze rzeczy – drzazgi itp. Ale w końcu są gusta i guściki...

Zdążając w dół rue des Dames wpadam na Peckovera, jeszcze jednego wariata z gazety. Narzeka, że śpi tylko trzy, cztery godziny na dobę – musi wstawać o ósmej rano i pracować w gabinecie dentystycznym. Nie robi tego dla pieniędzy – wyjaśnia – tylko po to, by móc sprawić sobie sztuczną szczękę.

– Trudno jest robić korektę, kiedy się zasypia na stojąco – stwierdza. – Moja żona mówi: „Ty to masz dobrze. Co zrobimy, jeśli stracisz pracę?” – pyta mnie wciąż.

Ale Peckover ma gdzieś tę pracę; nie ma z niej nawet kieszonkowego. Musi zbierać własne niedopałki – używa ich potem jako tytoniu fajkowego. Płaszcz zapina na agrafki, ma cuchnący oddech i pocą mu się dłonie, a do tego tylko trzy godziny snu na dobę.

– Tak nie wolno traktować człowieka – skarży się. – A ten mój szef drze na mnie mordę, gdy przeoczę średnik.

Opowiada o żonie i dodaje: – Ta moja stara za grosz nie ma, kurwa, wdzięczności, mówię ci!

Rozstając się z nim udaje mi się wyciągnąć od niego półtora franka. Usiłuję wycisnąć jeszcze pięćdziesiąt centymów, ale nic z tego. Tak czy owak wystarczy mi na kawę i *croissants*. Koło dworca St. Lazare znam bar, gdzie ceny są niższe niż gdzie indziej.

Trzeba trafu, że w *lavabo* znajduję bilet na koncert. Lekki jak piórko idę teraz do Salle Gaveau. Bileter sprawia wrażenie wstrząśniętego, ponieważ zapominam o napiwku. Za każdym razem, gdy mnie mija, patrzy pytająco, jakby miał jeszcze nadzieję, że sobie nagle przypomnę.

Tak długo już nie przebywałem w towarzystwie ludzi dobrze ubranych, że ogarnia mnie lekka panika. Wciąż czuję smród formaldehydu. Może Serge i tutaj go dostarcza. Ale, dzięki Bogu, nikt się nie drapie. Subtelny zapach perfum... bardzo subtelny. Jeszcze zanim zabrzmie muzyka, na twarzach pojawia się znudzony wyraz. Taki koncert to łagodna forma tortury zadawanej samemu sobie. Przez chwilę, kiedy dyrygent postukuje batutą, przez publiczność przebiega dreszcz napięcia, spazm skupienia, po którym prawie natychmiast następuje gremialne osunięcie się w fotele, spoczynek przypominający wegetację roślin, wywołany ciągłą, nieprzerwaną mżawką orkiestry. Mój umysł jest dziwnie pobudzony, jakbym miał w czaszce tysiąc luster. Nerwy mam napięte, rozedrgane. Dźwięki przypominają szklane kulki tańczące na niezliczonych strumieniach wody. Nigdy przedtem nie byłem na koncercie z tak pustym żołądkiem. Nic nie umyka mojej uwagi, nawet odgłos spadającej szpilki. To tak, jakbym siedział bez ubrania, a każdy por mego ciała był oknem; wszystkie okna są otwarte i światło zalewa moje wnętrza. Czuję, jak wiruje pod sklepieniem żeber, które wiszą tam jak w pustej nawie i drżą od odbitych dźwięków. Nie mam pojęcia, jak długo to trwa; straciłem poczucie miejsca i czasu. Po tym, co wydaje się trwać wieczność, następuje stan półświadomości, dla którego przeciwwagą stanowi taki spokój, że czuję w środku wielkie jezioro, jezioro opalizującego blasku, jego chłodną jak galaretka taflę, a ponad nim, wznoszące się majestatycznie po spirali, stada wędrownych ptaków o szcudłowatych nogach i mieniącym się upierzeniu. Stado za stadem wznosi się znad chłodnej, nieruchomej powierzchni jeziora i przefruwając pod moimi obojczykami, przepada w białym morzu przestrzeni. A potem powoli, bardzo powoli, tak jakby starowinka w białym czepcu dokonywała obchodu korytarzy mego ciała, okna zamykają się jedno po drugim, a moje narządy powracają na swoje miejsce. Nagle rozbłyskują światła i mężczyzna w białej łoży, którego brałem za tureckiego oficera, okazuje się kobietą z doniczką na głowie.

Rozlega się dzwonek i wszyscy, którzy chcą kaszleć, kaszlą sobie do woli. Słysząc odgłos szurania nogami i trzaskania foteli, ciągną, roznosząc się hałas ludzi poruszających się bez celu; szeleszczą programami udając, że je czytają, upuszczają je potem i grzebią pod fotelami, wdzięczni za najbłahszy incydent, byleby nie musieli odpowiadać na pytanie, o czym myśleli, bo gdyby sobie uświadomili, że nie myśleli o niczym, mogliby oszaleć. W jaskrawym blasku lamp patrzą na siebie bezmyślnie i w ich spojrzeniach dostrzega się jakieś dziwne napięcie. A

kiedy dyrygent znowu stuka, popadają z powrotem w stan kataleptyczny – drapią się bezwiednie albo nagle przypominają sobie witrynę, w której widzieli szalik czy kapelusz... Pamiętają każdy drobiazg na tej wystawie ze zdumiewającą jasnością, ale gdzie to dokładnie było – tego nie mogą sobie przypomnieć. I to im nie daje spokoju, spędza sen z powiek, denerwuje i drażni. Słuchają teraz koncertu ze zdwojoną uwagą, są przecież całkiem rozbudzeni, ale bez względu na to, jak wspaniale brzmi muzyka, z ich świadomości nie znika ani natrętna witryna, ani ów szalik, ani tamten kapelusz.

Atmosfera napiętej uwagi udziela się; nawet orkiestra wydaje się pobudzona do niezwykłego skupienia. Drugi utwór rozkręca się jak dziecięcy bąk – tak szybko, że kiedy muzyka nagle cichnie i zapalają się światła, część widzów nadal tkwi w fotelach jak marchewki na grządkach. Ich szczęki pracują spazmatycznie, a gdyby krzyknąć im do ucha: *Brahms, Beethoven, Mendelejew, Hercegowina*, odpowiedzieliby bez zastanowienia – 4, 967, 289.

Gdy dochodzimy do Debussy'ego, nastrój wydaje się całkowicie zatruty. Łapię się na rozmyślaniach, co czuje kobieta podczas stosunku, czyjej rozkosz jest pełniejsza itd. Usiłuję sobie wyobrazić, jak coś wbija mi się w krocze, ale odczuwam tylko niewyraźny ból. Próbuję się na tym skupić, ale muzyka jest zbyt drażliwa. Na myśl przychodzi mi jedynie wolno obracająca się waza, figurki odrywające się od niej, by ulecieć w przestrzeń. W końcu pozostaje tylko obracające się światło, choć jak może obracać się światło, pytam sam siebie. Mężczyzna obok mnie śpi w najlepsze. Z tym dużym brzuszyskiem i wywoskowanymi wąsami wygląda na maklera. Wzbudza moją sympatię, zwłaszcza ten jego wielki kałdun i wszystko, co go tak ukształtowało. Dlaczego nie ma sobie smacznie pospać? Jeśli zechce posłuchać muzyki, zawsze może wytrzasnąć pieniądze na bilet. Zauważam, że im lepiej są ubrani, tym mocniej śpią. Mają czyste sumienia – te bogate typy. Jeśli biedak zdrzemnie się na koncercie, choćby na kilka sekund, płonie ze wstydu; wydaje mu się to zbrodnią wobec kompozytora.

Podczas hiszpańskiego kawałka sala była zelektryzowana. Wszyscy siedzieli na brzeżkach foteli – obudziły ich bębny. Kiedy zagrzmiały, myślałem, że będą tak grać bez końca. Spodziewałem się ujrzeć, jak ludzie wypadają z łóż albo wyrzucają pod sufit kapelusze. Było w tym utworze coś heroicznego i Ravel mógł nas doprowadzić do szaleństwa, gdyby zechciał. Ale to do niego niepodobne. Nagle wszystko ucichło. Jakby nagle wśród szaleństw przypomniał sobie, że ma na sobie frak. Pohamował się. To duży błąd, moim skromnym zdaniem. Sztuka to niepohamowany pęd, nie można się zatrzymać w pół drogi. Jeśli się zacznie od bębnow, trzeba skończyć na dynamicie lub trotylu. Ravel poświęcił coś dla formy, dla jarzyny, którą ludzie muszą strawić przed udaniem się do łóżka.

Myśli mi się rozbiegły. Teraz, kiedy zamilkły bębny, muzyka wymyka mi się. Wszędzie wokół ludzie stworzeni są na jakąś miarę. Koło światelka „wyjście” siedzi jakiś Werter pogrążony w rozpacz; wspiera się na łokciach, ma szkliste oczy. Przy drzwiach, opatulony w wielką pelerynę, stoi Hiszpan z sombrero w ręku. Wygląda, jakby pozował do „Balzaka” Rodina. Z twarzy przypomina Buffalo Billa. Na galerii naprzeciwko mnie, w pierwszym rzędzie, siedzi kobieta z szeroko rozstawionymi nogami; wygląda, jakby miała szczękoscisk, jej wygięta do tyłu szyja sprawia wrażenie zwichniętej. Kobieta w czerwonym kapeluszu drzemiąca przy barierce – jakże wspaniale byłoby, gdyby dostała krwotoku, gdyby nagle wylała z siebie całe wiadro krwi na tych nadętych głupków w dole. Wyobraźcie sobie tylko tych cholernych nijakich ludzi, jak wracają do domu z okrwawionymi palantami.

Nutą przewodnią jest sen. Nikt już nie słucha. Nie można jednocześnie słuchać i myśleć. Nie można nawet oddawać się sennym marzeniom, gdy sama muzyka jest wyłącznie snem. Kobieta w białych rękawiczkach trzyma na kolanach łabędzia. Legenda mówi, że kiedy Leda została zapłodniona, powiła bliźniaki. Każdy coś płodzi – każdy z wyjątkiem tej tam lesbijki

na galerii. Głowę unosi do góry, szyję ma odsłoniętą; cała jest napięta, aż drży od kaskady iskier sypiących się z tej radowej symfonii. Jowisz przeszywa jej uszy. Drobne powiedzonka zasłyszane w Kalifornii, wieloryby o wielkich płetwach, Zanzibar, Alkazar. Wzdłuż Gwadalkiwiru jaśniały tysiące meczetów. Toniemy w głębi lodowych gór, a dnie są całe w bzach. Money Street z dwoma białymi słupkami do przywiązywania koni. Gargulce... facet z wypocinami Jaworskiego... światła na rzece... i jeszcze...

W Ameryce miałem kilku znajomych Hindusów – dobrych, złych, obojętnych. Zbiegiem okoliczności znajdowałem się w takiej sytuacji, że na szczęście to ja mogłem im służyć pomocą; załatwiałem im pracę, udzielałem schronienia i żywiłem w razie potrzeby. Muszę przyznać, że byli bardzo wdzięczni; w gruncie rzeczy do tego stopnia, że swoimi wyrazami wdzięczności dosłownie mnie zamęczali. O ile się w tym wyznaję, dwóch z nich było świętymi, a już z pewnością Gupte, odkryty kiedyś z gardłem poderżniętym od ucha do ucha. W małym pensjonacie w Greenwich Village pewnego ranka znaleziono go martwego. Leżał wyciągnięty zupełnie nago na łóżku, ze swoim nieodłącznym fletem obok, a gardło miał rozplątane, jak mówiłem, od ucha do ucha. Nie wyjaśniono nigdy, czy został zamordowany, czy też było to samobójstwo. Ale nie o to chodzi...

Przypominam sobie ciąg okoliczności, które mnie w końcu przywiodły do mieszkania Niyogiego. Jakie to dziwne, że całkiem zapomniałem o nim aż do chwili, gdy znalazłem się w obskurnym pokoju hotelowym na rue Cels. Leżę sobie na żelaznym łóżku rozmyślając o tym, jakim jestem zerem, jakim kompletnym zerem się stałem, kiedy nagle – buch! – wyskakuje skądś słowo NIJAKI! Tak właśnie nazywaliśmy go wtedy w Nowym Jorku – Nijaki. Pan Nijaki.

Teraz leżę na podłodze w tym wspaniałym apartamencie, którym tak się przechwalał w Nowym Jorku. Niyogi bawi się w miłosiernego samarytanina, dał mi dwie szorstkie końskie derki, w które zawijam się na zakurzonej podłodze. O każdej porze znajdują tu dla człowieka jakieś zajęcie, to znaczy, jeśli byłbym na tyle głupi, żeby siedzieć w pokoju. Rano budzi mnie ordynarnie i poleca przygotować warzywa na lunch: cebulę, czosnek, fasolę itp. Jego przyjaciel Kepi ostrzega mnie, bym tego nie jadł – uważa, że to szkodliwe. Szkodliwe czy nie, co za różnica? To jest j e d z e n i e , a o to przecież chodzi. Za odrobinę żarcia gotów jestem zamiatać dywany złamaną szczotką, prać mu bieliznę i zbierać okruchy z podłogi, gdy tylko skończy jeść. Od czasu mego pojawienia się stał się przesadnie wrażliwy na punkcie czystości: wszystko trzeba teraz odkurzać, krzesła ustawiać w określony sposób, zegar musi wybijać godziny, a woda w klozecie dobrze spływać... Wariat z tego Hindusa, jakich mało! A głupi jak fasola szparagowa. Uśmieję się z niego do łez, gdy już wydostanę się z jego szponów, ale na razie jestem więźniem, człowiekiem bez przynależności kastowej, „niedotykalnym”...

Jeśli nie wracam na noc, by zawinąć się w te jego derki, wita mnie o poranku słowami:

– Ach, więc ty żyjesz? Myślałem już, że umarłeś.

I chociaż doskonale zdaje sobie sprawę, że jestem bez grosza, codziennie opowiada mi o jakimś tanim pokoju, który akurat odkrył w pobliżu.

– Wiesz przecież, że jeszcze nie mogę pozwolić sobie na pokój – mówię.

Wtedy on, mrużąc oczy niczym jakiś żółtek, odpowiada bez chwili wahania:

– Ach, prawda, zapomniałem, że nie masz pieniędzy. Ciągle o tym zapominam, Endree... Ale kiedy nadejdzie przekaz... kiedy panna Mona przyśle ci pieniądze, wtedy pójdziesz ze mną poszukać pokoju, dobrze?

A już po chwili namawia mnie, bym pozostał, jak długo zechcę – „Sześć, siedem miesięcy, Endree... Jesteś tu dla mnie dobry”.

Niyogi jest akurat jednym z tych Hindusów, dla których nic nie zrobiłem w Ameryce. Przedstawił mi się jako bogaty kupiec, handlarz pereł, posiadający luksusowy apartament na rue Lafayette w Paryżu, willę w Bombaju, bungalow w Darjeeling. Na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że to półgłówek, ale przecież półgłówki mają niekiedy dość geniuszu, by

zbić fortunę. Nie wiedziałem wówczas, że rachunek za hotel w Nowym Jorku zapłacił kilkoma grubymi perłami. Śmiać mi się chce, gdy przypomnę sobie, jak ten mały kaczor udawał ważniaka w holu hotelowym w Nowym Jorku! Paradował z hebanową laską, rozstawiał boyów po kątach, zamawiał lunch dla swoich gości, wysyłał portiera po bilety do teatru, na cały dzień wynajmował taksówki itp., itd. I wszystko to bez jednego sou w kieszeni. Miał tylko na szyi sznur grubych pereł, które w miarę upływu czasu spieniężał po jednej. A to jego idiotyczne poklepywanie mnie po plecach, kiedy dziękował za życzliwość okazywaną przeze mnie młodym Hindusom: „To bardzo inteligentni chłopcy, Endree... Bardzo inteligentni!”. Dodawał przy tym, że dobry bóg taki-a-taki wynagrodzi kiedyś moją życzliwość dla nich. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego ci inteligentni hinduscy chłopcy tak chichotali, kiedy ich namawiałem, by naciągnęli Niyogiego na pięć dolców.

W jakże dziwny sposób dobry bóg taki-a-taki wynagradza teraz moje dobre uczynki. Jestem oto niewolnikiem tego tłustego nędznego kaczora. Przydaje mu się tu – mówi mi to prosto w oczy. Ma mnie na każde zawołanie. Idąc do sracza woła: „Endree, przynieś mi dzbanek wody, proszę. Muszę się podmyć”. Nie przyjdzie mu do głowy, by użyć papieru toaletowego. Pewnie to sprzeczne z jego religią. Nie, woła o dzbanek wody i szmatkę. On jest d e l i k a t n y, ten tłusty kaczor. Niekiedy, gdy piję filiżankę bladej herbaty, do której wrzucił liść róży, przechodzi obok mnie i pierdzi mi głośno prosto w twarz. Nigdy nie powie „przepraszam”. Pewnie brakuje tego słowa w jego słowniku gudzarati.

W dniu, w którym zjawiłem się w apartamencie Niyogiego, dokonywał właśnie swych ablucji, to znaczy tkwił nad brudną miską usiłując dosięgnąć karku wykrzywioną ręką. Obok miski stał mosiężny puchar, którym zmieniał wodę. Poprosił mnie, bym podczas całej ceremonii zachował ciszę. Siedziałem więc cicho, jak sobie życzył, i obserwowałem go – śpiewał, modlił się i od czasu do czasu spluwał do umywalki. Więc to jest ten wspaniały apartament, o którym tyle opowiadał w Nowym Jorku! Na rue Lafayette! Ulica ta wydawała mi się wtedy taką ważną ulicą. Sądziłem, że mieszkają na niej sami milionerzy i handlarze pereł. Rue Lafayette! Ta nazwa brzmi wspaniale, kiedy się jest po drugiej stronie wielkiej wody. To samo jest z Piątą Aleją, kiedy się jest tutaj. Trudno sobie wyobrazić, jakim śmietnikiem bywają te bajeczne ulice. Tak czy owak jestem tu w końcu, siedzę sobie w tym przepysznym apartamencie na rue Lafayette. A ten pomyłony kaczor z ułomną ręką celebrował rytuał obmywania się. Krzesło, na którym siedzę, jest złamane, łóżko się rozlatuje, tapeta w strzępach, pod łóżkiem otwarta waliza wypchana brudną bielizną. Mogę stąd dojrzeć nędzne podwórko w dole, gdzie zasiada arystokracja rue Lafayette pałac gliniane fajki. Słuchając, jak intonuje doksologię, zastanawiam się, jak też wygląda ten jego bungalow w Darjeeling. A te jego pienia i modlitwy trwają bez końca.

Tłumaczy mi, że jest zobowiązany myć się w określony sposób – to nakaz jego religii. Za to w niedziele bierze kąpiel w blaszanej wannie – Najwyższe JAM JEST przymknie na to oko, powiada. Kiedy się ubierze, podchodzi do kredensu, klęka przed małym posążkiem na trzeciej półce i powtarza swoje klepanki. Jeśli tak się modlisz co dzień, nic ci się nie stanie, zapewnia mnie. Dobry bóg jak-mu-tam nie zapomina nigdy o swym wiernym słudze. A potem pokazuje mi ramię okaleczone w wypadku samochodowym; bez wątpienia przydarzył mu się w dniu, w którym odpuścił sobie fragment rytualnych zawodzeń i tańców. Jego ramię wygląda jak złamany cyrkiel; to już nie ramię, to odprysk kości z doczepionym kikutom. Od czasu kiedy złożono mu rękę, utworzyły mu się pod pachą dwa spuchnięte gruczoły, małe, tłuste gruczoły, zupełnie jak psie jądra. Płacząc nad swoim losem nagle przypomina sobie, że lekarz zalecił mu bogatszą dietę. Natychmiast błaga, bym usiadł i sporządził menu zawierające dużo ryb i mięsa. „A co powiesz na ostrygi, Endree – dla *le petit frère?*” i to wszystko jedynie po to, by zrobić na mnie wrażenie. Nie ma najmniejszego zamiaru kupić sobie ani ostryg, ani mięsa, ani ryb. Przynajmniej tak długo, jak ja tu jestem. Na razie będziemy się odżywiać soczewicą, ryżem i całym tym suchym prowiantem zgromadzonym na

strychu. Masło kupione przez niego jeszcze w zeszłym tygodniu też się nie zmarnuje. Kiedy zaczyna coś smażyć, smród jest nie do zniesienia. Z początku szybko wybiegałem, gdy tylko się do tego zabierał, ale teraz i to znoszę dzielnie. Byłby wniebowzięty, gdyby udało mu się doprowadzić mnie do wymiotów; odzyskałby to, co zjadłem – można by to również schować do kredensu, gdzie leży już suchy chleb, spleśniały ser i małe tłuste ciasteczka, które sam robi ze skwaśniałego mleka i zjełczałego masła.

Wygląda na to, że przez ostatnich pięć lat nie kiwnął nawet palcem i nie zarobił ani pensa. Tak więc interes się sypie. Opowiada mi o perłach z Oceanu Indyjskiego – dużych, grubych perłach, które mogą ci zapewnić utrzymanie do końca życia. Mówi, że to Arabowie rujnują interes. A tymczasem modli się do boga takiego-a-takiego i to podtrzymuje go na duchu. Jest w świetnej komitywie ze swoim bóstwem: doskonale wie, jak mu się przypochlebić, jak się wdzięczyc, by wydebić od niego tych kilka sou. Ten układ między nim a jego bogiem ma charakter czysto handlowy. W zamian za codzienne wygibasy i mruczanki odprawiane przed kredensem otrzymuje swoją porcję fasoli i czosnku, nie wspominając już o napuchłych jądram pod pachami. Jest przekonany, że w końcu wszystko się dobrze ułoży. Pewnego dnia, kiedy dobry bóg Boomaroom tak postanowi, znów pojawi się popyt na perły. Może nastąpi to za pięć, a może za dwadzieścia lat... „A kiedy interes się rozkręci, Endree, ty dostaniesz swoje dziesięć procent – za pisanie listów. Ale najpierw, Endree, musisz napisać list z zapytaniem, czy otrzymamy kredyt z Indii. Minie sześć miesięcy, nim nadejdzie odpowiedź, może nawet siedem... statki w Indiach nie poruszają się zbyt szybko”. On zupełnie nie ma poczucia czasu, ten mały kaczor. Kiedy pytam go, czy dobrze spał, odpowiada: „O, tak, Endree, ja bardzo dobrze śpię... czasami dziewięćdziesiąt dwie godziny przez trzy dni”.

Rano jest zwykle zbyt słaby, by zrobić cokolwiek. Jego ramię! Ten żalorny złamany kikut! Czasami, widząc, jak go wykręca, by sięgnąć karku, zastanawiam się, czy uda mu się odgiąć go z powrotem. Gdyby nie jego brzuch, przypominałby mi człowieka-gumę z Cirque Medrano. Powinien jeszcze złamać nogę. Kiedy przygląda się, jak zamiatam dywan, i widzi chmurę wznoszonego przeze mnie kurzu, cmoka jak Pigmej: „Dobrze! Bardzo dobrze, Endree. A ja teraz pobieram kłaki”. Znaczy to, że przeoczyłem kilka drobin pyłu; w taki oto uprzejmy sposób okazuje sarkazm.

Po południu wpada zawsze z wizytą kilku jego kumpli – handlarzy pereł. Są to co do jednego gładkie w obejściu skurwysyny, z miodowymi słówkami na końcu języka, o łagodnych sarnich oczach; siedzą wokół stołu, popijają perfumowaną herbatę wydając przy tym głośny syczący dźwięk, a Niyogi skacze jak pajac na sprężynie albo wskazuje jakiś okruch na podłodze i mówi tym swoim słodkim, oślizłym głosem: „Bądź tak dobry i podnieś to, Endree”. Kiedy przybywają goście, idzie do kredensu i z obłudną miną wyjmuje suche kromki chleba, które opiekl jakiś tydzień temu, a które teraz nabrały intensywnego smaku spleśniałego drewna. Nie wyrzuca się nawet okrucha. Zbyt kwaśny chleb zanosí na dół do dozorczyń, która – jak twierdzi – okazała mu wiele serca. Jego zdaniem jest zachwycona, że dostaje stare pieczywo; robi z niego chlebowy budyń.

Pewnego dnia przyszedł mnie odwiedzić mój przyjaciel Anatole. Niyogi był wniebowzięty. Nalegał, by Anatole został na herbacie. Namawiał, by spróbował małych, tłustych ciasteczek i... starego chleba.

– Musi pan przychodzić codziennie – mówi – i uczyć mnie rosyjskiego. Ładny język, rosyjski... chciałbym go znać. Jak to się mówi, powiedz jeszcze raz, Endree, borszcz? Zapisz mi to, Endree, proszę...

Muszę to w dodatku wystukać na maszynie, tak by mógł widzieć jak się pisze. Kupił maszynę, gdy zainkasował ubezpieczenie za swoje ramię, ponieważ lekarz zalecił mu pisanie jako ćwiczenie lecznicze. Wkrótce jednak zmęczył się – była to a n g i e l s k a maszyna.

Kiedy dowiedział się, że Anatole gra na mandolinie, stwierdził:

– Świetnie! Musi pan przychodzić codziennie i uczyć mnie muzyki. Kupię mandolinę, jak tylko interesy zaczną iść lepiej. To dobrze zrobi na moje ramię.

Następnego dnia pożyczca od dozorczy gramofon.

– Proszę, naucz mnie tańczyć, Endree. Mam za duży brzuch.

Ciągle żywię nadzieję, że pewnego dnia kupi befsztyk z polędwicy i wówczas będę mógł mu powiedzieć: „Proszę pogryźć go za mnie, p a n i e Niyogi. Moje zęby są zbyt słabe!”.

Jak już mówiłem, od czasu mego przybycia stał się niezwykle skrupulatny.

– Wczoraj – wypomina – popełniłeś trzy błędy, Endree. Po pierwsze, zapomniałeś zamknąć drzwi w ubikacji i całą noc robiły bach-bach; po drugie, zostawiłeś w kuchni otwarte okno i dziś rano ono pęknięte. I zapomniałeś wystawić butelkę na mleko! Zawsze będziesz wystawiać butelkę na mleko, proszę, przed pójściem do łóżka, a rano proszę cię o przynoszenie chleba.

Codziennie wpada jego przyjaciel Kepi, by zobaczyć, czy nie przyjechali z Indii jacyś goście. Czeka, aż Niyogi wyjdzie, a wtedy pędzi do kredensu i pożera paluszki ukryte w szklanym słoju. Nie smakują mu, twierdzi, ale wsuwa je jak szczur. Kepi jest żebrakiem, takim ludzkim kleszczem, który wpije się w skórę choćby najbiedniejszemu rodakowi. W oczach Kepiego oni wszyscy są nababami. Za cygaro Manila i pieniądze na drinka wlezie w dupę każdemu Hindusowi. Hindusowi, zwróćcie, proszę, uwagę, ale nie Anglikowi. Zna adres każdego burdelu w Paryżu i obowiązujące tam stawki. Otrzymuje prowizję nawet z takich dziur, gdzie taksa wynosi dziesięć franków. W dodatku zawsze zna najkrótszą drogę do miejsca, którego akurat szukasz. Najpierw zapyta cię, czy chcesz tam dojechać taksówką. Jeśli odpowiesz, że nie, zaproponuje autobus, a jeśli i to okaże się za drogie, wtedy tramwaj lub metro. Albo też zaproponuje ci, że zaprowadzi cię tam na piechotę, by zaoszczędzić franka lub dwa, wiedząc doskonale, że trzeba po drodze przejść koło *tabac*, i że będziesz na tyle dobry, proszę, i kupisz mi cygaro.

Kepi jest postacią na swój sposób interesującą, ponieważ nie ma żadnych ambicji poza tą, by codziennie ciupciać nową panienkę. Każdego zarobionego pensa, a ma ich cholernie mało, przepuszcza na dansingach. W Bombaju żona i ośmioro dzieci, ale to nie przeszkadza mu proponować małżeństwa każdej mizernej *femme de chambre*, na tyle głupiej i łatwowiernej, by się na to nabrać. Ma malutki pokój na rue Condorcet, za który płaci sześćdziesiąt franków miesięcznie. Sam go wytapetował i jest z niego bardzo dumny. Używa fioletowego atramentu, ponieważ uważa, że starcza go na dłużej. Sam czyści sobie buty, prasuje spodnie, pierze ubrania. Za małe cygarko, najchętniej *cheroot*, jeśli łaska, oprowadzi cię po całym Paryżu. Gdy zatrzymujesz się, by popatrzeć na jakąś koszulę czy spinkę do kołnierzyka, jego oczy ożywiają się. „Nie kupuj tego tutaj – powie. – Za dużo żądają. Pokażę ci tańszy sklep”. I zanim zdążysz się zastanowić, porwie cię i postawi przed inną wystawą, gdzie rzeczywiście są takie same krawaty, koszule i spinki. Może nawet jest to ten sam sklep! – ale tobie trudno to stwierdzić. Jak tylko Kepi usłyszy, że chcesz coś kupić, jego dusza ożywia się. Zada ci tyle pytań i pociągnie w tyle miejsc, że musisz poczuć pragnienie i zaprosić go na drinka, i odkryjesz nagle, że znów stoisz w *tabac* – może w tym samym *tabac* – a Kepi tym swoim cichym, obłudnym głosem powie: „Będziesz, proszę, tak dobry i kupisz mi małe cygaro *cheroot*?”. Bez względu na to, co zaproponujesz, Kepi znajdzie sposób, by na tym zaoszczędzić. Pokaże ci najkrótszą drogę, najtańszą restaurację, największe danie, ponieważ cokolwiek byś zrobił, musisz minąć po drodze *tabac*, a bez względu na to, czy trwa rewolucja, lokaut lub kwarantanna, Kepi musi być w Moulin Rouge albo w Olympii, albo Ange Rouge, gdy tylko zabrzmi muzyka.

Któregoś dnia przyniósł mi książkę. Dotyczyła słynnego procesu między pewnym świętym mężem a redaktorem jakiejś indyjskiej gazety. Redaktor, zdaje się, otwarcie oskarżył świętego męża o prowadzenie rozwiązłego życia; posunął się dalej i oskarżył go, że coś podłapał. Kepi twierdzi, że to musiała być francuska choroba, ale Niyogi zaręcza, że chodziło

o japońskiego trypra. Niyogi stale lubi wszystko wyolbrzymiać. W każdym razie zwraca się do mnie wesoło:

– Bądź tak dobry, proszę, i powiedz mi, Endree, co tam piszą. Nie mogę czytać – boli mnie ramię. – Po czym, aby mnie zachęcić, dodaje:

– To ciekawa książka. O pierdoleniu, Endree. Kepi przyniósł ją specjalnie dla ciebie. Nie potrafi myśleć o niczym poza dziewczynami. Tyle ich zalicza... jak Kriszna. My nie przywiązujemy już takiej wagi do tej czynności, nieprawdaż, Endree?...

Chwilę później wiedzie mnie na strych, wypełniony po brzegi puszkami i jakimiś indyjskimi duperelami, zawiniętymi w konopne płótno i papiery po sztucznych ogniach.

– To tutaj przyprowadzam dziewczyny – zwierza się. Po czym ciągnie tonem pełnym smutku i tęsknoty: – Nie jestem zbyt dobry w pierdoleniu, Endree. Właściwie to już nie różną dziewczyn. Trzymam je tylko w objęciach i mówię im różne rzeczy. Wystarczy mi, że do nich mówię.

Nie muszę go dalej słuchać. Wiem, że teraz opowie o swoim ramieniu. Widzę, jak leży tu z tym złamanym zawiasem dyndającym z boku łóżka. Ale ku memu zaskoczeniu dodaje:

– Nie nadaję się do rypania, Endree. Nigdy nie byłem dobry. Mój brat, o ten to jest dobry! Trzy razy dziennie, dzień w dzień! Kepi – on też jest dobry – zupełnie jak Kriszna.

Jego świadomość opanowała teraz niepodzielnie kwestia pierdolenia. Na dole, w pokoiku, w którym klęka przed otwartą gablotką, wyjaśnia mi, jak to wyglądało, gdy był bogaty, a jego żona z dziećmi była tu razem z nim. W święta zabierał ją do House of Ali Nations, gdzie wynajmował pokój na jedną noc. Każdy urządzony był w innym stylu. Jego żonie bardzo się tam podobało.

– Ależ tam można było się cudownie pieprzyć, Endree. Znam wszystkie pokoje...

Ściany pokoiku, w którym siedzimy, obwieszane są od góry do dołu fotografiami. Przedstawiają każdą gałąź jego rodziny, to jakby przekrój Cesarstwa Indii. W większości przedstawiciele jego drzewa genealogicznego wyglądają jak uschnięte liście. Kobiety są wątle, a ich spojrzenia wyrażają lęk i niepewność; mężczyźni mają bystry, inteligentny wyraz twarzy wykształconych szympanów. Są tam wszyscy, około dziewięćdziesięciu osób, ze swoimi białymi wołami, plackami krowiego łajna, kościstymi nogami, staroświeckimi okularami; niekiedy w tle dostrzec można fragment wyschniętej ziemi, wałącego się frontonu, bóstwa z powykręcanyh rękoma przypominającego człekokształtną stonogę. Jest w owej galerii postaci coś tak fantastycznego, tak absurdalnego, że nieuchronnie przywodzi to na myśl rozsiane po całym kraju świątynie, ciągnące się od Himalajów aż po kraniec Cejlonu, tę zdumiewającą swym ogromem mozaikę architektury, której piękno przyprawia o zawrót głowy, ale która jednocześnie jest monstrualna, monstrualnie odrażająca, ponieważ nasuwa się refleksja, że płodność kipiąca i fermentująca w tych niezliczonych rozgałęzieniach formy wyjałowiła jakby glebę samych Indii. Patrząc na mrowie postaci tłoczących się na fasadach świątyń, ulega się przemożnemu wrażeniu potencji tych śniadych, urodziwych ludzi, którzy połączyli swoje tajemnicze życiodajne strumienie w erotycznym uścisku, trwającym już trzydzieści wieków albo jeszcze dłużej. Ci wąтли mężczyźni i kobiety, spoglądający przesywającym wzrokiem z fotografii, wydają się spłowiałymi cieniami owych płodnych, masywnych figur ucieleśnionych w kamieniu i freskach od jednego krańca Indii po drugi, by heroiczne mity ras, które się tu przemieszały, pozostały na zawsze wplecione w serca ich rodaków. Kiedy patrzę choćby na fragment tych wspaniałych snów wykutych w kamieniu, tych wałących się, ospałych budowli usianych klejnotami, spojonych ludzką spermą jak zaprawą, przytłacza mnie osłepiający blask wzlotów ich wyobraźni, dzięki którym pół miliarda ludzi różnego pochodzenia zdołało utrwalić najbardziej nieuchwytnie objawy swej tęsknoty.

Jakże dziwna, niepojęta mieszanina uczuć osacza mnie teraz, gdy Niyogi plecie o swojej siostrze zmarłej podczas porodu. Oto widać na ścianie wątlą, nieśmiałą istotę w wieku

dwunastu czy trzynastu lat, uczeptioną rękoma zdziecinniałego starca. Gdy miała dziesięć lat, wydano ją za tego starego rozpustnika, który zdążył już pochować pięć żon. Miała siedmioro dzieci, z których jedno tylko ją przeżyło. Oddano ją temu podstarzałemu gorylowi, aby „perły pozostały w rodzinie”. Kiedy umierała (tak przynajmniej przedstawia to Niyogi), szepnęła do doktora: „Mam dość tego jebania. Nie chcę się już więcej pieprzyć, doktorze”. Opowiadając mi to, drapie się poważnie w głowę swoją uschniętą ręką.

– Ten cały interes z pieprzeniem jest do niczego, Endree – mówi. – Ale dam ci słowo, które zawsze ci przyniesie szczęście, musisz tylko wymawiać je codziennie, raz po raz, milion razy musisz je wymówić. To najlepsze słowo, jakie istnieje, Endree... wypowiedz je teraz... OOMAHARUMOOMA!

– OOMARABOO...

– Nie, Endree... to tak... OOMAHARUMOOMA!

– OOMAMABOOMBA...

– Nie, Endree... to tak...

...Ale biorąc pod uwagę kiepskie oświetlenie, partacki druk, podartą okładkę, postrzępione strony, niezdarne paluchy, pchły fikające fokstrotą, wszy-śpiochy, pianę na pysku, łzawe oczy, ściśnięte gardło, alkohol w szklance, swędzenie dłoni, świszczące posapywania, żaloszny oddech, mgłę umysłowego wyczerpania, drgnienie sumienia, szczyt szału, wytrysk z tyłka, ogień w gardle, łaskotanie zadka, kuku na muniu, szum i brud w jego uszach, a także to, że upłynął miesiąc, zanim się tu podkradł, zawziął się, by nauczyć się więcej niż jednego słowa na tydzień...

Zapewne nigdy nie wydostałbym się ze szponów Niyogiego, gdyby nie uśmiech losu. Pewnego wieczoru, tak chciał traf, Kepi spytał mnie, czy nie zabrałbym jednego z jego klientów do pobliskiego burdelu. Ten młody człowiek przybył właśnie z Indii i nie mógł pozwolić sobie na zbyt duże wydatki. Był jednym z ludzi Gandhiego, należał do tej malej grupki, która odbyła historyczny marsz do morza podczas konfliktu o sól. Był to, muszę przyznać, bardzo wesoły uczeń Gandhiego, mimo iż złożył ślub wstrzemięźliwości. Najwyraźniej całe wieki nie widział kobiety. Jedyne, co mogłem zrobić, to zaprowadzić go na rue Laferriere; przypominał psa z wywieszonym ozorem. W dodatku był z niego nadęty, próżny palant. Odstawił się w sztruksowy garnitur, beret, laskę i szeroki krawat; kupił sobie dwa wieczne pióra, aparat Kodaka i luksusową bieliznę. Wydawał pieniądze, które były darem kupców z Bombaju; wysyłali go do Anglii, by głosił ewangelię Gandhiego.

Kiedy znaleźliśmy się w przybytku panny Hamilton, zaczął tracić swoją *sang-froid*. Znalazłszy się nagle w gronie nagich kobiet, spojrział na mnie skonsternowany.

– Wybierz sobie którąś – powiedziałem. – Wybór należy do ciebie.

Był tak przejęty, że ledwie mógł się rozejrzeć.

– Zrób to za mnie – mruknął, rumieniąc się gwałtownie.

Otaksowałem je zimno: wybrałem młodą tłuściutką panienkę, która sprawiała wrażenie dziewczyny z ikrą. Usiedliśmy w saloniku, czekając na drinki. *Madame* zapytała, dlaczego ja nie wziąłem sobie dziewczyny.

– Tak, weź sobie też jakąś – powiedział młody Hindus.

Znów przyprowadzono dziewczynki i wybrałem dla siebie dość wysoką, szczupłą, o melancholijnych oczach. Zostawiono nas samych, całą czwórkę, w saloniku. Po chwili mój młody Gandhi nachyla się ku mnie i szepcze mi coś do ucha.

– Jasne, jeśli wolisz tę, weź ją – odpowiedziałem i dość niezręcznie, z niejakim zażenowaniem, wyjaśniłem dziewczynkom, że chcielibyśmy się nimi zamienić. Zobaczyłem od razu, że popełniliśmy *faux pas*, ale ponieważ mój znajomy zrobił się wesoły i lubieżny, nie pozostawało nic innego, jak iść szybko na pięterko i mieć to już z głowy.

Wzięliśmy pokoje obok siebie, połączone drzwiami. Sądzę, że mój towarzysz myślał o jeszcze jednej zamianie, kiedy tylko nasyci swój ostry, dręczący głód. W każdym razie, gdy tylko panienki opuściły pokój, by się przygotować, usłyszałem pukanie do drzwi i pytanie: „Słuchaj, gdzie tu jest toaleta?”. Nie przypuszczając, że chodzi o coś grubszego, zachęciłem go, by skorzystał z bidetu. Wracają dziewczynki z ręcznikami w dłoniach. W pokoju obok słychać jego chichot.

Kiedy wkładam spodnie, słyszę nagle odgłosy awantury: dziewczyna wymyśla Hindusowi, że jest świnia, wstrętną świnia. Nie mam pojęcia, co mogłoby usprawiedliwiać taki wybuch. Stoję tak z jedną nogą w nogawce i nasłuchuję uważnie. On usiłuje coś wytłumaczyć po angielsku, podnosi głos coraz bardziej, potem krzyczy.

Słyszę trzaśnięcie drzwiami i za chwilę wpada do mojego pokoju *madame* z purpurową twarzą, wymachując rękoma jak opętana.

– Powinien się pan wstydzić! – wrzeszczy – kogoś takiego przyprowadzać do mojego lokalu. To barbarzyńca... Świnia... to...!

Mój towarzysz stoi za nią z wyrazem całkowitego zmieszania na twarzy.

– Coś ty narobił? – pytam go.

– Co zrobił? – drze się *madame*. – Pokażę panu... Proszę za mną!

I chwytając mnie za ramię ciągnie do pokoju obok.

– Tu! Tu! – wrzeszczy, wskazując na bidet.

– Chodź, zmywajmy się stąd – zwraca się do mnie hinduski chłopak.

– Chwileczkę, nie ujdzie wam to tak łatwo.

Madame stoi obok bidetu, wścieka się i awanturuje. Dziewczynki też tam stoją z ręcznikami. Cała nasza piątka stoi i wpatruje się w bidet. Pływają tam dwa ogromne kawały gówna. *Madame* pochyla się i przykrywa bidet ręcznikiem.

– Przerażające! Coś okropnego! – lamentuje. – Czegoś podobnego w życiu nie widziałam! Świnia! Mała wstrętna Świnia!

Młody Hindus patrzy na mnie z wyrzutem.

– Powinieneś być mnie uprzedzić! – mówi. – Nie wiedziałem, że nie spłyną. Pytałem cię, gdzie pójść, a ty powiedziałaś, bym skorzystał z tego.

Jest bliski płaczu.

W końcu *madame* bierze mnie na stronę. Trochę się już uspokoiła. Ostatecznie to tylko pomyłka. Może zechce pan pójść na dół i zamówić po jednym drinku dla dziewczynek. To był dla nich wielki szok. Nie są przyzwyczajone do podobnych rzeczy. I jeśli szanowny pan byłby tak uprzejmy i nie zapomniał o *femme de chambre*... To niezbyt przyjemne dla niej – to świństwo, paskudne świństwo. Wzrusza ramionami i mruga do mnie. Godny pożalowania incydent. Ale zdarzają się takie wypadki. Jeśli panowie chwilę zaczekają, służąca przyniesie drinki. Czy panowie zechcieliby się napić szampana? Tak?

– Wolałbym już się stąd zmyć – mówi cicho młody Hindus.

– Niech pan się tym tak bardzo nie przejmuje – mówi *madame*. – Już po wszystkim. Czasami zdarzają się pomyłki. Następnym razem zapyta pan o ubikację.

Zaczyna rozwodzić się na temat ubikacji, po jednej na każdym piętrze, jak nas informuje. I po jednej łazience.

– Wielu moich klientów to Anglicy – kontynuuje *madame*. Wszyscy są dżentelmenami. A pan jest Hindusem? Czarujący ludzie ci Hindusi. Tacy inteligentni, tacy przystojni...

Kiedy lądujemy na ulicy, czarujący młody dżentelmen jest bliski płaczu. Żałuje teraz, że kupił sobie sztruksowy garnitur, laskę i wieczne pióro. Mówi o ośmiu ślubach, które złożył, o panowaniu nad podniebieniem itd. Podczas marszu do Dandi nie wolno było nawet zjeść porcji lodów. Opowiada mi o kołowrotku, o tym, jak grupka zwolenników Satyagrahy naśladowała poświęcenie swego mistrza. Z dumą relacjonuje, jak kroczył obok rozmawiając z nimi. Odnoszę wrażenie, że znajduję się w towarzystwie jednego z dwunastu apostołów.

W ciągu kilku następnych dni widujemy się dość często; trzeba zaaranżować wywiady dla prasy i wykłady dla paryskich Hindusów. Zdumiewające, jak te pozbawione kręgosłupa lajdaki pomiatają sobą nawzajem; równie zdumiewające jest to, jak nieudolni są we wszystkim, co dotyczy spraw praktycznych. I ta ich zazdrość i intrygi, nieuczciwie prowadzona rywalizacja. Gdy tylko zejdzie się dziesięciu Hindusów, od razu masz całe Indie z ich sektami i schizmami, antagonizmami rasowymi, religijnymi i politycznymi. W osobie Gandhiego przez krótką chwilę przeżywają cud jedności, ale kiedy jego zabraknie, nastąpi katastrofa – całkowity nawrót do konfliktów i chaosu, tak charakterystycznych dla ludu Indii.

Mój młody Hinduś jest, rzecz jasna, optymistą. Był w Ameryce, gdzie zaraził się tanim optymizmem Amerykanów, zachwycił wszechobecną wanną, drobiazgami po pięć i dziesięć centów, tempem, wydajnością, techniką, wysokimi płacami, bibliotekami publicznymi itp., itd. Idealem byłaby dla niego amerykanizacja Indii. Wcale nie jest zachwycony obsesją Gandhiego nawrotu do przeszłości. Naprzód, powtarza, zupełnie jak facet z YMCA. Kiedy tak słucham jego bajań o Ameryce, widzę, jak absurdalne jest oczekiwanie od Gandhiego cudu, którym odwróciłby bieg przeznaczenia. Wrogiem Indii jest nie Anglia, lecz Ameryka. Wrogiem Indii jest duch czasu, wskazówka, której nie da się cofnąć. Na nic się zda próba zneutralizowania tego wirusa zatruwającego cały świat. Ameryka jest samym uosobieniem zła. Pociągnie za sobą cały świat w bezdenną otchłań.

On uważa Amerykanów za ludzi bardzo łatwowiernych. Opowiada mi o tych różnych prostodusznych kwakrach, unitarianach, teozofach, głosicielach nowej myśli, adwentystach dnia siódmego i innych, którzy mu tam przychodzili z pomocą. Ten bystry młody człowiek wiedział, gdzie skierować swoją łódź. Wiedział, jak i kiedy doprowadzić ich do łez, jak przeprowadzić zbiórkę pieniędzy, jak zjednać sobie żonę pastora i jak jednocześnie kochać się z matką i z córką. Patrząc na niego można odnieść wrażenie, że to święty. I to rzeczywiście jest święty, święty dnia dzisiejszego, święty splugawiony, jednym tchem klepiący o miłości, braterstwie, wannach, higienie, wydajności *etc.*

Jego ostatni wieczór w Paryżu jest poświęcony „sprawie rypania”. Przez cały dzień miał niezwykle bogaty program – konferencje, telegramy, wywiady, fotografie do gazet, czułe pożegnania, wskazówki dla wiernych itp., itd. W porze obiadowej postanowił odsunąć na bok kłopoty. Zamawia szampana, strzela palcami na kelnera i w ogóle zachowuje się jak nieokrzesany chłopak, jakim w istocie jest. A ponieważ przejadły mu się już ekskluzywne lupanary, proponuje teraz, bym mu pokazał coś bardziej prymitywnego. Chciałby pójść do taniego burdeliku i zamówić dwie lub trzy dziewczyny na raz. Prowadzę go więc wzdłuż boulevard de la Chapelle, ostrzegając przez cały czas, by uważał na portfel. Koło Aubervilliers dajemy nura do taniego kurwidółka i od razu mamy ich całe stado. Już po paru minutach tańczy z jakąś nagą dziwą, wielką blondyną z fałdami tłuszczu na podgardlu. Widzę jej dupę odbitą dziesięciokrotnie w lustrach, którymi wyłożone są ściany pokoju, i te jego ciemne, kościste palce obłapiające ją gorączkowo. Na stole pełno kufli, mechaniczny fortepian rzezi i sapie. Dziewczynki bez zajęcia siedzą spokojnie na skórzanych ławach, drapiąc się flegmatycznie jak rodzina szympansów. W powietrzu atmosfera wyciszonego pandemonium, aura stłumionej przemocy, jak gdyby do nieuchronnego przecież wybuchu brakowało jakiegoś drobiazgu, czegoś najzupełniej małego, a jednocześnie całkowicie nie zaplanowanego i nieoczekiwanego, jednej drobnej iskiej. W tym stanie połowicznej refleksji pozwalającej mi na branie udziału w wydarzeniach, a jednocześnie na obserwowanie ich z dystansu, ten drobny brakujący szczegół zaczął w sposób nieokreślony, ale uporczywy krzepnąć, przybierać swą zwyrodniałą, krystaliczną formę, jak mróz osiadający na szybie. I podobnie jak rysunki mrozu, które wydają się tak dziwne, tak całkowicie swobodne i fantastyczne, są przecież uwarunkowane niewzruszonymi prawami, tak i to kiełkujące we mnie doznanie zaczęło się oblekać w formę, poddając się niezmiennym prawom. Całe moje jestestwo reagowało na nakaz atmosfery nigdy przedtem nie doświadczonej; to, co mógłbym

nazwać sobą, zdawało się kurczyć, gęstnieć i opuszczać przyjęte granice ciała, którego obwody znały jedynie modulacje koniuszków nerwów.

I im bardziej krzepł, im bardziej konkretny kształt przybierał rdzeń mego ja, tym delikatniejsza i bardziej dostępna wydawała się ta bliska, namacalna rzeczywistość, z której byłem wypychany. W tym samym stopniu, w jakim ja stawałem się coraz bardziej metaliczny, pęczniała także scena przed moimi oczami. Stan napięcia był już tak subtelnie wyznaczony, że – jak wspomniałem – wprowadzenie jednej obcej cząsteczki, bodaj zupełnie miniaturowej, rozsądziłoby całość. Może przez ułamek sekundy doświadczyłem tej całkowitej jasności widzenia, która – jak mówią – dana jest epileptykom. W tej jednej chwili straciłem złudne poczucie czasu i przestrzeni: świat rozpostarł swój dramat jednocześnie w każdym punkcie wytraconego z równowagi południka. W tej króciutkiej chwili jakby wieczności poczułem, że wszystko ma swoje uzasadnienie, głębokie uzasadnienie; poczułem wewnątrz wojny, które pozostawiły po sobie miazgę i ruinę; poczułem, jak kipią zbrodnie, by jutro pojawić się w krzykliwych tytułach sensacyjnych gazet; poczułem wreszcie cierpienie i niedolę, ścierane na coraz drobniejsze cząsteczki w mózdzierzu, długotrwałą szarą niedolę, kapiącą kropla po kropli z brudnych chustek do nosa. Na południku czasu nie ma niesprawiedliwości, jest jedynie poezja ruchu stwarzająca iluzję prawdy i dramatu. Jeśli w jakiejś chwili ktoś stanie gdzieś twarzą w twarz z absolutem, zamarznie wielkie współczucie, dzięki któremu tacy ludzie jak Gautama i Jezus wydają się bosczy. Potworne jest nie to, że ludzie wyhodowali róże na tej kupie gnoju, ale że – z tego czy innego powodu – *chcieli* je wyhodować. Z tego czy innego powodu człowiek z utęsknieniem wygląda cudu: by go sprawić, gotów jest nurzać się we krwi. Będzie się opychał ideami, poniży do roli cienia, byleby choć przez moment móc zamknąć oczy na ohydę rzeczywistości. Można znieść wszystko – hańbę i upokorzenie, nędzę i wojnę, zbrodnię, nawet *ennui* – jeśli się wierzy, że w nocy zdarzy się cud, dzięki któremu życie stanie się znośne. A jednocześnie przez cały czas w środku bije licznik i żadna ręka nie sięga, by go wyłączyć. Przez cały czas ktoś zjada chleb życia i żłopie wino – jakiś wstrętny, spasiony jak karaluch klecha, przyczajony w piwnicy, a w górze, w świetle ulicy, jakaś zwodnicza hostia dotyka warg i krew jest blada jak woda. A nie kończąca się męka i cierpienie nie przynoszą ani cudu, ani ociupiny ulgi, a jedynie idee – blade, rozrzedzone idee, które trzeba podtuczyć urządzając rzeź, idee podchodzące do gardła jak żółć, wylewające się niczym trzewia z rozplatanego cielska świni.

I tak sobie myślę, jaki to byłby cud, gdyby ów upragniony, od niepamiętnych czasów oczekiwany przez człowieka, cud okazał się niczym innym jak tylko dwoma kawałami gówna upuszczonymi do bidetu przez wiernego apostoła. Co by to było, gdyby w ostatniej chwili, kiedy nakryto stół, przygotowano bankiet i słychać już uderzenia w czynele, pojawił się nagle, bez żadnego ostrzeżenia, srebrny półmisek, na którym nawet ślepy dostrzegłby ni mniej, ni więcej, tylko dwa wielkie kawały gówna. Sądzę, że byłoby to cudowniejsze od tego, czego człowiek z utęsknieniem wyczekiwał. Byłoby cudowniejsze jako rzecz zupełnie nie spotykana w najbardziej nawet zwariowanych snach, ponieważ *każdy* byłby w stanie wyobrazić sobie coś takiego, ale nikt tego nigdy nie uczynił i prawdopodobnie już nie uczyni.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie można żywić żadnych nadziei, podziało to na mnie wręcz zbawiennie. Tygodniami, miesiącami, całymi latami, tak naprawdę przez całe życie oczekiwałem, że coś się stanie, że nastąpi we mnie przełom, który odmieni moje życie. I nagle teraz, pobudzony absolutną beznadzieją wszystkiego, poczułem taką ulgę, jakby mi zdjęto z ramion ogromny ciężar. O świecie rozstałem się z młodym Hindusem, naciągnawszy go przedtem na kilka franków, kwotę wystarczającą na wynajęcie pokoju. Idąc w kierunku Montparnasse postanowiłem poddać się fali, nie stawiać najmniejszego oporu losowi, bez względu na postać, pod jaką się on objawi. Nic, co przydarzyło mi się do tej pory, nie zdołało mnie zniszczyć; właściwie nic nie uległo zagładzie poza moimi złudzeniami. Ja zaś pozostałem nienaruszony. I świat pozostał nienaruszony. Może już jutro wybuchnie rewolucja

albo zaraza, nastąpi trzęsienie ziemi, może już jutro nie będzie nikogo, do kogo można by się zwrócić z prośbą o pomoc, współczucie, wiarę. Odniosłem wrażenie, że wielki kataklizm już się objawił, że nigdy nie mógłbym czuć się bardziej samotny niż w tej właśnie chwili. Postanowiłem, że odtąd nie będę niczego posiadał, niczego oczekiwał, że będę żył jak zwierzę, jak drapieżnik, jak pirat i grabieżca. Nawet gdyby wypowiedziano wojnę i przyszłoby mi na nią iść, złapałbym za bagnet i wbijał go, wbijał aż po samą rękojęść. I gdyby nakazem dnia było gwałcić, gwałciłbym, gwałcił, ile wlezie. Czy w tej chwili, w łagodnym świetle nowego dnia ziemia nie słania się od nadmiaru ludzkich zbrodni i ludzkiej niedoli? Czy choć jeden element człowieczej natury uległ zmianie, jakiejś zasadniczej, istotnej zmianie pod wpływem nieprzerwanego marszu historii? Stało się jedynie to, że człowiek został zdradzony przez to, co nazywa swą lepszą naturą. Na krańcach swego duchowego bytu człowiek odkrywa znów, że jest nagi jak dzikus. Można powiedzieć, że znalazłszy Boga, jest oczyszczony do kości jak szkielet. Musi na powrót zanurzyć się w życiu, by odzyskać ciało. Słowo musi stać się ciałem; duszę dręczy pragnienie. Gdy moje oko zatrzyma się na okruszynie chleba, chwycę ją w szpony i pożrę. Jeśli rzeczą najważniejszą jest żyć, będę żył, choćbym miał stać się ludożercą. Do tej pory usiłowałem ocalić swą cenną skórę, uchronić tych kilka kawałków mięsa okrywających moje kości. Koniec z tym! Jestem u kresu wytrzymałości. Przyparty do muru, nie mogę się cofnąć dalej. Z punktu widzenia historii jestem martwy. Jeśli istnieje coś na drugim świecie, będę musiał znaleźć się na powrót tutaj. Odnalazłem Boga, ale On mi nie wystarcza. Martwy jest jedynie mój duch. Ciało wciąż żyje. Moralność nie ogranicza mojej wolności. Świat, który porzuciłem, to menażeria. Nastaje świt nowego świata – świata dżungli, przemierzanego wzdłuż i wszerz przez chuderlawe istoty o ostrych szponach. Jeżeli jestem hieną, to hieną wychudłą i zgłodniałą: ruszam przed siebie, aby się podtuczyć.

Zgodnie z umową o wół do drugiej wpadłem do Van Nordena. Ostrzegł mnie, że jeśli nie otworzy, będzie to znaczyło, że śpi z kimś, prawdopodobnie z tą swoją pizdą z Georgii.

Tak czy owak był u siebie, w przytulnym zaciszu hotelowego numeru, ale jak zwykle sprawiał wrażenie zmęczonego. Ten człowiek budzi się z przekleństwem na ustach – przeklina siebie albo swoją pracę, albo życie w ogóle. Budzi się znudzony do cna i przegrany, jakby zmartwiony myślą, że tej nocy nie umarł.

Siadam przy oknie i pocieszam go jak mogę. To żmudne zajęcie. Trzeba go w gruncie rzeczy błagać, by raczył wstać. Rankiem – a to dla niego dowolna pora między pierwszą a piątą po południu – rankiem więc, jak mówię, oddaje się swoim zwariowanym refleksjom. Przeważnie marzy o przeszłości, o swoich dawnych „pizdach”. Usiłuje sobie przypomnieć, jakie były, co mówiły w krytycznym momencie, gdzie je rznął itp., itd. Leżąc z grymasem i przekleństwami na ustach, porusza palcami z charakterystycznym dla siebie znudzeniem, jakby chciał sprawić wrażenie, że jego odraza jest zbyt wielka, by można ją wyrazić słowami. Na ramie łóżka wisi irygator – na wypadek niespodzianek, dla *dziewic*, które tropi jak policyjny pies. Nawet gdy się już prześpi z jedną z tych mitycznych istot, dalej będzie ją nazywał dziewczicą, prawie nigdy nie wymieniając imienia. „Moja dziewczica” – powie i zabrzmii to tak samo jak „moja pizda z Georgii”. Idąc do ubikacji mówi:

– Jeżeli zadzwoni moja pizda z Georgii, każ jej zaczekać. Powiedz, że tak kazałem. I wiesz co, możesz ją mieć, jeśli chcesz. Mam jej już dość.

Rzuca przelotne spojrzenie przez okno, by zobaczyć, jaka jest pogoda, i wzdycha głęboko. Jeżeli pada, mówi: „Co za pierdolony klimat, nic tylko chandra”. A gdy świeci słońce, powie: „Co za pierdolone słońce, oślepnąć można”. Kiedy zaczyna się golić, nagle przypomina sobie, że nie ma czystego ręcznika. „Co za pierdolony hotel, są zbyt skąpi, by codziennie dać ci czysty ręcznik”. Bez względu na to, co robi albo dokąd idzie, nic nie gra. I zawsze przyczyną jego niedyspozycji i niezadowolenia jest albo ten pierdolony kraj, albo jego pierdolona praca, albo jakaś pierdolona pizda.

– Mam całkiem spróchniałe zęby – mówi płucząc gardło. – To ten pierdolony chleb, który musimy tutaj jeść.

Otwiera szeroko usta odciągając w dół dolną wargę.

– Widzisz? Wczoraj wyrwano mi sześć. Wkrótce będę sobie musiał sprawić nową protezę. Uczciwie pracujesz na życie. I oto co cię spotyka. Kiedy żyłem z zasiłku, miałem wszystkie zęby własne, a oczy przejrzyste i błyszczące. Spójrz na mnie teraz! To cud, że jeszcze mogę poderwać jakąś pizdę. O Jezuu, tak chciałbym znaleźć sobie jakąś bogatą cipę – jak ten przebiegły kutas Carl. Czy on ci kiedyś pokazywał jej listy? Wiesz może, kim ona jest? Ten skurwysyn nie chciał mi nawet zdradzić jej imienia... boi się pewnie, że mógłbym mu ją odbić.

Jeszcze raz płucze gardło i przygląda się dziurawym zębom.

– Ty to masz szczęście – ogłasza ponuro. – Masz przynajmniej przyjaciół. Ja nie mam nikogo poza tym chytrym kutasem, który mnie doprowadza do szału opowieściami o tej swojej bogatej pizdzie.

– Słuchaj – mówi – nie znasz przypadkiem takiej cipy, która ma na imię Norma? Kręci się koło Dôme przez cały dzień. Myślę, że to lesbijka. Sprowadziłem ją tu wczoraj, pieściłem jej dupcię. Na nic mi nie pozwoliła. Położyłem ją na łóżku... ściągnąłem nawet majtki... a potem – dałem spokój. O Jezuu, nie chce mi się tak z nimi zмагаć. Gra niewarta świeczki. Dają dupy albo nie – to idiotyzm tracić czas na jakieś zapasy z nimi. Kiedy mocujesz się z

taką dziwką, na *terrasse* jest może z tuzin cip i aż się proszą, by je wyruchać. To fakt! Wszystkie przychodzą tu po to, żeby się pierdolić. Myślą, że to grzech... n a i w n i a c z k i ! Niektóre nauczycielki z zachodnich stanów to naprawdę dziewice... Słowo daję! Przez cały dzień siedzą na dupie, myśląc tylko o tym. I nawet nie musisz się z nimi zbytnio wysilać. Wprost nie mogą się doczekać. Miałem tu któregoś dnia mężatkę, która się nie pieprzyła od sześciu miesięcy. Możesz sobie wyobrazić coś takiego? Jezu, ale była napalona. Myślałem, że mi urwie chuja. I cały czas jęczała: „A ty? A ty?”. Powtarzała to w kółko jak wariatka. I wiesz, co ta dziwka sobie ubzduriała? Chciała się tu wprowadzić. Wyobraź to sobie! Nie wiedziałem nawet, jak jej na imię. Nigdy tego nie wiem... Nie chcę wiedzieć. Te mężatki! Chryste, gdybyś widział te wszystkie mężatki, które przewijają się przez moje łóżko, nie miałbyś żadnych złudzeń. Są gorsze od dziewic. Nie czekają, aż ty się do nich zabierzesz – same sięgają do twoich spodni. A potem mówią o miłości. To wstrętne. Wiesz, ja naprawdę zaczynam nienawidzić cipy.

Znowu wygląda przez okno. Siąpi deszcz, tak samo jak przez ostatnich pięć dni.

– Idziemy do Dôme, Joe?

Nazywam go Joe, ponieważ on mnie nazywa Joe. Kiedy jest z nami Carl, on też jest Joe. Każdy z nas to Joe – coś takiego ułatwia nam rozmowę, a także stanowi sympatyczne przypomnienie, by nie traktować siebie zbyt poważnie. W każdym razie Joe nie chce iść do Dôme – ma tam zbyt duże długi. Chce zajrzeć do Coupole. A przedtem chce się trochę przejść.

– Przecież pada, Joe.

– Wiem, ale do diabła z tym! Muszę pospacerować dla zdrowia, wypłukać brudy z bebechów.

Kiedy to mówi, mam wrażenie, że cały świat mieści się w jego brzuchu, że oplata mu kiszki i gnije.

Gdy się ubiera do wyjścia, znowu wpada w stan niemal śpiączki. Stoi tak z jedną ręką w rękawie płaszcza i w kapeluszu nałożonym tyłem na przód i zaczyna marzyć na głos – o Riwierze, o słońcu, o leniwym, wygodnym życiu.

– Jedyne, czego chcę od życia – stwierdza – to kilka książek, kilka marzeń i kilka cip.

Mrucząc to w zadumie, patrzy na mnie i uśmiecha się najłagodniejszym i najbardziej fałszywym z uśmiechów.

– Podoba ci się ten uśmiech? – pyta, po czym dodaje z odrazą: – Jezu, gdybym tylko znalazł jakąś bogatą cipę, do której mógłbym tak się wykrzywiać. – Teraz już tylko jakaś bogata pizda może mnie uratować – mówi i aż czuć jego krańcowe wyczerpanie.

– Można się w końcu znudzić tym ciągłym uganianiem się za nowymi dupami. To staje się mechaniczne. Problem, widzisz, polega na tym, że nie potrafię się zakochać. Jestem zbyt wielkim egoistą. Potrzebuję kobiet, bo pomagają mi marzyć, to wszystko. To nałóg, jak opium czy alkohol. Codziennie muszę mieć nową dupę; jeśli jej nie mam, popadam w depresję. Za dużo myślę. Czasami sam się dziwię, jak szybko mi to przychodzi – i jak niewiele w gruncie rzeczy znaczy. Robię to jakby automatycznie. Bywa, że wcale nie myślę o kobiecie, aż tu nagle spostrzegam, jak przygląda mi się jakaś i wtedy pstryk! – wszystko zaczyna się od nowa. Nie zastanawiam się nawet, co robię, a już mam jąw pokoju. Nie pamiętam zupełnie, co jej naopowiadałem. Przyprawiam je do hotelu, klepię po tyłku i zanim się zorientuję, o co chodzi, już jest po wszystkim. Jakbym śnił... wiesz, co mam na myśli?

Joe nie ma wielkiego pożytku z Francuzek. Wprost ich nie znosi.

– Chodzi im albo o pieniądze, albo żebyś się z nimi ożenił. W gruncie rzeczy to same kurwy. Już chyba wolę siłować się z dziewicą – mówi. – One przynajmniej dają ci pewne złudzenie. Przynajmniej stawiają opór.

Mimo to, gdy spoglądamy na *terrasse*, okazuje się, że nie ma tam ani jednej kurwy, której by kiedyś nie zerznął. Stojąc przy barze pokazuje mi jedną po drugiej, dokonując przeglądu ich anatomii, opisując zalety i wady.

– Wszystkie są oziębłe – mówi. I zaczyna zacierać ręce, myśląc pewnie o ładnych, soczystych dziewczynach, które wprost nie mogą się doczekać, żeby je przeleciał.

W trakcie tych chaotycznych wywodów przerywa nagle i chwytając mnie za rękę, pokazując kobietę ogromną jak wieloryb, która właśnie sadowi się na krześle.

– O, moja duńska cipa – mamrocze. – Widzisz tę dupę? Należy do Dunki. Jak ona to lubi! Dosłownie błaga mnie, żeby jej wsadzić. Chodź tutaj... spójrz na nią teraz, z boku! Popatrz tylko na tę dupę! Jest ogromna. Mówię ci, kiedy na mnie włązi, z trudem mogę ją objąć rękoma. Przesłania cały świat. Kiedy z nią jestem, czuję się jak robaczek pełzający w jej wnętrzu. Nie wiem, dlaczego mam do niej taką słabość, ale myślę, że to ta jej dupa. Jest nie z tej ziemi. Cała w fałdach tłuszczu. Takiego dupska nie można zapomnieć. To fakt... niezaprzeczalny fakt. Co do innych, mogą cię nudzić albo dać ci tylko chwilowe złudzenie, ale ona – z taką dupą! – wielkie nieba! Takiej nie zapomnisz... jakbyś leżał w łóżku przywalony posągiem.

Wygląda na to, że owa duńska cipa zelektryzowała go. Pozbył się już całej swojej ospałości, oczy mało mu nie wyskoczą z orbit. I, jak zwykle, jedna rzecz przypomina mu inną. Chce wynieść się z tego pierdolonego hotelu, bo przeszkadza mu hałas. Chce też napisać książkę, by zająć czymś umysł. Ale znowu na przeszkodzie staje ta cholerna praca.

– Ta pierdolona praca odbiera mi chęć pisania. Nie chcę pisać o Montparnassie... Chcę opisać swoje życie, swoje myśli. Chcę usunąć świństwa z bebechów... Słuchaj, dobież się do tej tam! Miałem ją dawno temu. Urzędowała wówczas koło Hal. Zabawna dziwka. Kładła się po prostu na skraj łóżka i zadzierała kieckę. Próbowaleś tak? To całkiem niezłe. Nie ponaglała mnie też specjalnie. Leżała na plecach bawiąc się kapeluszem, gdy ją posuwałem. A kiedy się w niej spuszczałem, ona pyta znudzonym głosem: „Skończyłeś?”. Jakby było jej to zupełnie obojętne. Oczywiście miała rację: to jest obojętne, wiem o tym aż nazbyt dobrze... ale dosyć mi się podobała jej zimna krew... fascynowała mnie, wiesz? A kiedy szła się umyć, to sobie podśpiewywała, a jak wychodziliśmy z hotelu, śpiewała dalej. Nawet nie powiedziała *Au revoir!* Oddalała się, wymachując kapeluszem i coś sobie nucąc. To jest kurwa dla ciebie! Świetnie się pierdoli. Myślę, że wolałem ją od mojej dziewczyny. Jest coś perwersyjnego w pieprzeniu kobiety, którą to gówno obchodzi. Coś takiego rozgrzewa ci krew...

Po chwili namysłu dodaje: – Możesz sobie wyobrazić, jaka mogłaby być, gdyby i ona jakoś to przeżywała?

– Słuchaj – odzywa się po chwili – chciałbym, żebyś jutro po południu poszedł ze mną do klubu... mają być tańce.

– Jutro nie mogę. Obiecałem pomóc Carlowi...

– Słuchaj, zapomnij o tym chuju! Chcę cię prosić o przysługę.

I znowu zaczyna zacierać ręce.

– Mam nagrany jedną taką cipę... obiecała się ze mną przespać w moją wolną nockę. Ale ja jeszcze się nie zdecydowałem. Widzisz, ona ma matkę... taką zasraną malarzkę, zamęcza mnie gadaniem, ilekroć ją spotkam. Wydaje mi się, że matka jest zazdrosna. Myślę, że nie miałyby mi zbytnio za złe, gdybym najpierw ją przeleciał. Wiesz, jak to jest... Tak czy owak, pomyślałem, że nie przeszkadzałoby ci specjalnie zająć się jej matką... nie jest taka zła... Gdybym nie zobaczył najpierw córki, sam bym się nią zainteresował. Córka jest ładna i młoda, taka świeża, wiesz, o czym mówię? Pachnie czystością...

– Słuchaj, Joe, lepiej znajdź sobie kogoś innego...

– Daj spokój, to nie tak! Wiem, co o tym sądzisz. Proszę cię tylko o małą przysługę. Nie wiem, jak pozbyć się starej kwoki. Pomyślałem najpierw, że upiję się i jakoś ją załatwię – nie sądzę jednak, by to spodobało się młodszej. Obie są trochę sentymentalne. Pochodzą z

Minnesoty czy coś w tym rodzaju. Tak czy owak, wpadnij jutro i obudź mnie, dobrze? Inaczej zaśpię. A poza tym chcę, byś mi pomógł znaleźć pokój. Wiesz, że jestem mało zaradny. Znajdź mi pokój przy jakiejś spokojnej uliczce, gdzieś tu w pobliżu. Muszę trzymać się tej okolicy... mam tu kredyt. Słuchaj, obiecaj, że zrobisz to dla mnie. Mimo wszystko wpadnij – zwariuję rozmawiając tylko z tymi głupimi pizdami. Chcę z tobą pogadać o Havelocku Ellisie. Jezu, mam tę książkę od trzech tygodni i nawet do niej nie zajrzałem. Tu się po prostu gnije. Czy uwierzysz, że nigdy nie byłem w Luwrze ani w Comédie Française? Warto się tam wybrać? W każdym razie to z pewnością pozwala ci nie myśleć o innych rzeczach. Co ty robisz przez cały dzień? Nie nudzisz się? A jak z pieprzeniem? Słuchaj... chodź tu! Nie uciekaj jeszcze... czuję się samotny. Wiesz co – jeśli to potrwa jeszcze rok, zwariuję. Muszę się wydostać z tego pierdolonego kraju. Nic tu po mnie. Wiem, że kiepsko tam teraz w Ameryce, ale mimo to... Tutaj ci odbija szajba... wszyscy ci mami zasrańcy – siedzą cały dzień na dupie i przechwalają się swoją pracą, a każdy z nich jest gównem wart. To wszystko faceci, którym się nie udało – dlatego tu przyjeżdżają. Słuchaj, Joe, ty nigdy nie tęsknisz za krajem? Śmieszny z ciebie facet... wygląda na to, że ci się tu podoba. Co ty tu widzisz?... Powiedz mi. Chciałbym, na Boga, przestać myśleć o sobie. Jestem cały poskręcany w środku... jakbym miał tam jakiś węzeł... Słuchaj, wiem, że cię nudzę jak jasna cholera, ale muszę z kimś pogadać. Nie mogę rozmawiać z tymi facetami z piętra... wiesz, co to za skurwysyny... zawsze sprzątną ci sprzed nosa co lepsze artykuły. A ten mały kutas Carl, cholerny z niego samolub. Ja jestem egoistą, ale nie samolubem. To różnica. Wydaje mi się, że jestem neurotykiem. Nie mogę przestać myśleć o sobie. I nie chodzi o to, że uważam siebie za coś tak ważnego... Po prostu nie mogę myśleć o niczym innym i to wszystko. Gdybym mógł zakochać się w jakiejś kobiecie, może trochę by mi to pomogło. Ale nie mogę znaleźć takiej, która by mnie zainteresowała. Jestem w fatalnym stanie, widzisz to chyba, nie? Co mi radzisz? Co byś zrobił na moim miejscu? Słuchaj, nie chcę cię już dłużej zatrzymywać, ale obudź mnie jutro o wpół do drugiej – dobrze? Dam ci jeszcze coś ekstra, jeśli wyczyścisz mi buty. I słuchaj, jeżeli masz jakąś zapasową koszulę, czystą, to przynieś mi, dobrze? Kurwa, odgniatam sobie jaja w tej pracy i nie mam nawet na czystą koszulę. Traktują nas jak bandę czarnuchów. Do licha! Pójdę się przejść... wypłukać brudy z bebeczków. Nie zapomnij, jutro!

Pół roku albo i dłużej trwała nasza korespondencja z tą bogatą cipą, Irene. Ostatnio meldowałem się u Carla codziennie, by przyspieszyć sprawę, ponieważ jeśli chodzi o Irène, mogłoby to trwać w nieskończoność. W ciągu ostatnich kilku dni wymieniliśmy istną lawinę listów; ostatni wysłany przez nas miał prawie czterdzieści stron i był napisany w trzech językach. Było to prawdziwe *pot-pourri*, ten ostatni list – fragmenty starych powieści, kawałki z dodatku niedzielnego, zrekonstruowane wersje starych listów do Llony i Tani, zniekształcone wypisy z Rabelais'go i Petroniusza. Krótko mówiąc, wyczerpaliśmy swoje możliwości. Irene postanawia wreszcie wyjść ze swojej muszli, przychodzi list ustalający *rendez-vous* w jej hotelu. Carl robi ze strachu w spodnie. Co innego pisać listy do nieznajomej kobiety, a zupełnie co innego złożyć jej wizytę i kochać się z nią. W ostatniej chwili tak się trzęsie, że zaczynam się obawiać, iż będę go musiał zastąpić. Kiedy wysiadamy z taksówki przed jej hotelem, jest tak roztrzęsiony, że muszę wpierw trochę z nim pospacerować. Strzelił sobie dwa pernody, ale nie dały spodziewanego efektu. Już sam wygląd hotelu przytłacza; to pretensjonalny gmach, w którym znajduje się jeden z tych ogromnych pustych holów, gdzie godzinami przesiadują Angielki z pustką w oczach. Aby upewnić się, że nie zwieje w ostatniej chwili, stałem obok, gdy portier dzwonił, by go zaanonsować. Irène była u siebie i oczekiwała go. Kiedy wsiadał do windy, rzucił mi ostatnie, pełne trwogi spojrzenie, przypominające ciche skomlenie psa, któremu zakładają pętlę na szyję. Wychodząc przez obrotowe drzwi, pomyślałem o Van Nordenie...

Wracam do hotelu i czekam na telefon. Carl ma tylko godzinę i obiecał powiadomić mnie, jak poszło, przed pójściem do pracy. Przeglądam kopie listów do niej. Usiłuję sobie wyobrazić sytuację, taką jaka jest, ale to mnie przerasta. Jej listy są o wiele lepsze od naszych – są szczere, to pewne. Teraz mieli już dość czasu, by wzajemnie ocenić swoją wartość. Ciekawe, czy wciąż robi w spodnie.

Dzwoni telefon. Jego głos brzmi dziwnie, piskliwie, jak gdyby był przerażony i jednocześnie rozradowany. Prosi mnie, bym zastąpił go w redakcji.

– Powiedz temu skurwysynowi, co chcesz! Powiedz, że jestem umierający...

– Słuchaj, Carl... możesz mi powiedzieć?...

– Halo! Pan Henry Miller?

Kobięcy głos. To Irène. Przesyła mi pozdrowienia. Jej głos brzmi pięknie przez telefon... prze-ślicz-nie. Przez chwilę ogarnia mnie prawdziwa panika. Nie wiem, co jej powiedzieć. Chciałbym rzec: „Słuchaj, Irène, wydaje mi się, że jesteś piękna... myślę, że jesteś cudowna”. Chciałbym jej powiedzieć to jedno jedyne prawdziwe zdanie, bez względu na to, jak głupio zabrzmiałoby, gdyż teraz, gdy usłyszałem jej głos, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Ale zanim mogę pozbierać myśli, Carl bierze słuchawkę i mówi tym dziwnym, piskliwym głosem:

– Podobasz się jej, Joe. Opowiedziałem jej o tobie wszystko...

W biurze muszę asystować Van Nordenowi przy korekcie.

Kiedy nadchodzi czas na przerwę, bierze mnie na stronę. Jest posępny, jakby przybity.

– A więc ten mały kutas jest umierający, tak? Słuchaj, o co tu chodzi?

– Myślę, że poszedł zobaczyć się z tą swoją bogatą cipą – odpowiadam spokojnie.

– Co? Mówisz, że poszedł do niej?

Van Norden wychodzi z siebie.

– Słuchaj, gdzie ona mieszka? Jak się nazywa?

Udaję, że nie wiem.

– Słuchaj – mówi – porządny z ciebie facet. Dlaczego, do diabła, nie dopuściłeś mnie do udziału w tej hecy?

Aby go ugłaskać, obiecuję w końcu, że opowiem mu wszystko, gdy tylko dowiem się od Carla szczegółów. Sam nie mogę się doczekać spotkania z nim.

Nazajutrz koło południa pukam do drzwi Carla. Jest już na nogach i namydla sobie brodę. Wyraz jego twarzy nie zdradza niczego. Nie mam nawet pewności, czy powie mi prawdę. Słońce wlewa się przez otwarte okno, ptaki śpiewają, a mimo to, sam nie wiem czemu, pokój wydaje się jeszcze bardziej pusty i biedny niż przedtem; podłoga zachlapana pianą, na wieszaku dwa brudne ręczniki, nigdy nie zmieniane. I Carl też się wcale nie zmienił, a to zadziwia mnie bardziej niż wszystko inne. Tego ranka cały świat powinien być odmieniony, odmieniony na dobre lub na złe, ale inny, całkowicie inny. A przecież Carl stoi tam namydlając sobie twarz i żaden szczegół nie uległ najmniejszej zmianie.

– Siadaj... siadaj tam na łóżku – mówi. – Usłyszysz wszystko... ale wpięrow poczekaj... poczekaj trochę.

Ponownie mydli twarz, ostrzy brzytwę. Robi nawet jakąś uwagę o wodzie... znów nie ma ciepłej.

– Słuchaj, Carl, siedzę jak na rozżarzonych węglach. Jeśli chcesz, możesz mnie dręczyć później, ale teraz mi powiedz, powiedz jedno... jak poszło: dobrze czy źle?

Odwraca się od lustra z pędzlem w rękę i uśmiecha się dziwnie.

– Poczekaj tylko! Wszystko ci opowiem...

– Znaczy, że kłapa.

– Nie – mówi, przeciągając głoski. – To nie była kłapa, ale też nie można tego nazwać sukcesem... Aha, słuchaj, załatwiłeś za mnie wszystko w pracy? Co im powiedziałaś?

Widzę, że nie ma sensu nic z niego wyciągać. Kiedy dojrzeje, sam mi opowie. Nie wcześniej. Kładę się na łóżku, milczę jak ryba. On dalej się goli.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczyna opowiadać, z początku chaotycznie, potem coraz bardziej składnie, śmiało. Stacza z sobą walkę, by wyrwać to z siebie, ale wydaje się zdecydowany zdać mi pełną relację, jakby chciał zrzucić wielki ciężar z serca. Wspomina nawet to swoje spojrzenie posłane mi, gdy jechał windą na górę. Rozwodzi się nad tym długo, jak gdyby chciał zasugerować, że wszystko zawarło się w tej jednej ostatniej chwili, jakby chciał powiedzieć, że gdyby w jego mocy leżało zmienić bieg wypadków, nigdy nie wyszedłby z windy.

Miała na sobie peniuar, kiedy wszedł. Na toaletce stało wiaderko z szampanem. Było dość ciemno, a jej głos brzmiał cudownie. Opisuje mi wszystkie szczegóły dotyczące pokoju, szampana, sposobu, w jaki kelner otworzył butelkę, opowiada mi, jak wystrzelił korek, jak szeleścił jej peniuar, kiedy szła przywitać się z nim – słowem wszystko, z wyjątkiem tego, co najbardziej chciałbym usłyszeć.

Było gdzieś koło ósmej, kiedy się u niej zjawił. O wpół do dziewiątej denerwował się myśląc o pracy.

– Zadzwoiłem do ciebie koło dziewiątej, prawda?

– Tak, coś koło tego.

– Widzisz, byłem zdenerwowany...

– Wiem, co dalej?

Nie wiem, czy wierzyć mu, czy nie, zwłaszcza po preparowaniu listów do niej. Nie jestem nawet pewien, czy mnie nie myli słuch, bo to, co opowiada, brzmi absolutnie fantastycznie. A jednocześnie wydaje mi się, że mówi prawdę, znam go przecież tak dobrze. I wówczas przypominam sobie jego głos przez telefon, tę dziwną mieszkankę radości i przerażenia. Tylko dlaczego teraz nie jest jeszcze bardziej rozradowany? Uśmiecha się przez cały czas, uśmiecha jak mała różowa pluskwa, która nałopała się do syta.

– Zadzwoiłem do ciebie koło dziewiątej, zgadza się? – pyta po raz drugi.

Potakuję niechętnie. Tak, była dziewiąta. Jest teraz pewny, że to było o dziewiątej, gdyż pamięta, jak wyjął zegarek. W każdym razie, kiedy znowu nań spojrzął, była dziesiąta. Ona leżała na otomanie, obejmując rękoma cycki. W ten sposób mi to relacjonuje – kropla po kropli. O jedenastej wszystko było postanowione – mieli zamiar uciec razem, na Borneo. Pies jebał męża! I tak go nigdy nie kochała. Nie napisałaby przecież tego pierwszego listu, gdyby jej mąż nie był tak stary i tak beznamiętny.

– A potem ona do mnie: „Ale słuchaj, kochanie, skąd wiesz, że się mną nie znudzisz?”.

W tym momencie wybucham śmiechem. Wydaje mi się, że to bzdura, nic na to nie poradzę.

– I co ty na to?

– A cóż miałem powiedzieć? „Jak ktoś mógłby kiedykolwiek znudzić się tobą?” – odpowiedziałem.

Potem opisuje, co było dalej, jak pochylił się i całował jej piersi i jak po tych namiętnych pocałunkach włożył je z powrotem w gorset, czy jak tam one to zwą. I potem jeszcze jeden *coupe* szampana.

Koło północy pojawia się kelner z piwem i kanapkami – kanapkami z kawiozem. A przez cały ten czas, jak mówi, strasznie chciało mu się sikać. Raz miał wzwód, ale jakoś minął. Przez cały czas z tak pełnym pęcherzem, że mało mu nie pękł, ale wyobrażał sobie, ten cwany chujek, że sytuacja wymaga delikatności.

O wpół do drugiej ona chce wynająć samochód i przejechać się po Bois. A on myśli tylko o jednym – jak tu się odlać.

– Kocham cię... uwielbiam... – mówi jej. – Pojadę z tobą, gdzie tylko zechcesz – do Istambułu, Singapuru, Honolulu. Ale teraz muszę już iść... Robi się późno.

Wszystko to opowiada mi w tym swoim nędznym zaniedbanym pokoiku, do którego wpada słońce i odgłosy ptaków ćwierkających jak oszalałe. Nie wiem jeszcze, czy ona jest piękna, czy nie. On sam tego nie wie, imbecyl. Wydaje mu się, że nie. W pokoju było ciemno, a poza tym szampan i jego rozstrojone nerwy...

– Powinieneś jednak móc cokolwiek o niej powiedzieć – jeśli to wszystko nie jest wierutnym kłamstwem.

– Poczekaj chwilę – mówi. – Poczekaj... niech pomyślę! Nie, nie jest piękna. Jestem teraz pewien. Pamiętam pasmo siwych włosów nad czołem... Ale to jeszcze nie jest najgorsze – jak widzisz, niemal o tym zapomniałem. Najgorsze były jej ramiona – takie cienkie... cienkie i kruche.

Zaczyna chodzić tam i z powrotem. Nagle staje jak wryty.

– Gdyby była choć o dziesięć lat młodsza! – wykrzykuje. – Gdyby była o dziesięć lat młodsza, gotów byłbym zapomnieć o tym paśmie siwych włosów... i nawet o jej kruchych ramionach. Ale ona jest po prostu za stara. Widzisz, kiedy chodzi o taką cipę, liczy się każdy rok. Za rok ona nie będzie starsza o rok – będzie starsza o dziesięć lat. Jeszcze rok i przybędzie jej dwadzieścia lat. A ja ciągle będę wyglądał młodziej – przynajmniej przez najbliższych pięć lat...

– Ale jak to się skończyło? – przerywam mu.

– W tym cała rzecz... wcale się nie skończyło. Obiecałem spotkać się z nią we wtorek koło piątej. To fatalnie, wiesz! Miała na twarzy zmarszczki, które o wiele gorzej będą wyglądać w świetle dziennym. Myślę, że chce, bym ją we wtorek wypierdolił. Rypać za dnia – tego nie robi się z taką pizdą jak ona. Zwłaszcza w takim hotelu. Wolałbym to zrobić, kiedy będę miał wolną noc... ale we wtorek nie mam. Nie dość na tym. Obiecałem jej do tego czasu list. Jak ja mam teraz do niej pisać? Nie mam nic do powiedzenia... Kurwa! Gdyby chociaż była o te dziesięć lat młodsza. Myślisz, że powinienem pojechać z nią... na Borneo, czy gdzie tam ma ochotę mnie zabrać? Przecież nie umiem strzelać. Boję się broni i tym podobnych rzeczy. Poza tym będzie chciała, żebym ją pierdolił dzień i noc... przez cały czas nic, tylko polowania i rąbanie dupy w wyrze... nie ma mowy!

– Może nie będzie tak źle, jak myślisz. Ona będzie ci kupować krawaty i tym podobne...

– Nie pojechałbyś z nami, co? Opowiedziałem jej o tobie wszystko...

– Powiedziałeś jej, że jestem biedny? Powiedziałeś, że potrzebuję wielu rzeczy?

– Powiedziałem jej wszystko. Kurwa, wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko była choć o dziesięć lat młodsza. Powiedziała, że zbliża się do czterdziestki. To znaczy, że ma pięćdziesiątkę albo i sześćdziesiątkę. To tak, jakbym pierdolił własną matkę... nie wolno tego robić... to niemożliwe.

– Ale musiała mieć w sobie coś atrakcyjnego... mówiłeś, że całowałeś jej piersi?

– Całowałem – i co z tego? Poza tym, mówię ci, było ciemno.

Gdy zakłada spodnie, urywa mu się guzik.

– Sam widzisz. Ten cholerny garnitur rozłazi się. Noszę go już siedem lat... Nawet za niego nie zapłaciłem. Kiedyś to był dobry garnitur, ale teraz jest do niczego. A ta pizda kupowałyby mi garnitury i zapewne wszystko, czego bym zapragnął. Ale tego właśnie nie lubię, być utrzymankiem jakiegoś babsztyla. Nigdy w życiu nie byłem w takiej sytuacji. To już bardziej w twoim stylu. Ja wolałbym żyć sam. Kurwa, to niezły pokój, nie? Co tu jest nie tak? O niebo lepszy od jej pokoju, może nie? Nie podoba mi się ten jej elegancki hotel. Nie znoszę takich. Powiedziałem jej to. Odparła, że jej wszystko jedno gdzie mieszka... powiedziała, że zamieszka ze mną, jeśli zechcę. Możesz sobie wyobrazić, jak wprowadza się tutaj ze swoimi wielkimi walizkami i pudłami na kapelusze, i całą pieprzoną resztą, którą ze sobą wlecze? Ma za dużo rzeczy – za dużo kiecek i buteleczek i tym podobnych dupereli. Jej pokój przypomina klinikę. Jeśli zadraśnie się w palec, to już poważna sprawa. A do tego musi poddawać się masażom, musi układać sobie włosy i nie wolno jej jeść tego i owego. Słuchaj,

Joe, ona byłaby OK, gdyby była odrobinę młodsza. Młodej cipie można wszystko wybaczyć. Młoda cipa nie musi mieć oleju w głowie. Nawet lepiej, jak nie ma. Ale stara cipa, nawet gdy posiada błyskotliwą inteligencję, gdy jest najbardziej czarującą kobietą na świecie, to i tak bez różnicy, bo to na nic. W młodą cipę warto zainwestować, stara cipa to czysta strata. Jedyne, co może dla ciebie zrobić, to kupować ci prezenty. Ale od tego jej ramiona nie stają się krągłejsze ani nie przybywa jej soków między nogami. Nie jest zła ta Irene. W gruncie rzeczy sądzę, że spodobałaby ci się. W twoim przypadku wszystko wygląda inaczej. Ty nie musisz jej pierdolić. Stać cię na to, by ją polubić. Może nie przypadłyby ci do gustu te wszystkie szmatki, flakoniki i co tam jeszcze, ale mógłbyś zdobyć się na wyrozumiałość. Nie zanudziłaby cię, możesz być pewny. Powiedziałbym nawet, że jest interesująca. Ale uschnięta. Jej piersi są jeszcze w porządku, ale te ramiona! Obiecałem przyprowadzić cię kiedyś ze sobą. Dużo jej o tobie mówiłem... Nie wiedziałem, o czym z nią rozmawiać. Może ci się spodoba, zwłaszcza w ubraniu. Nie wiem...

– Słuchaj, ona jest bogata, tak? A więc mi się spodoba! Nie obchodzi mnie, że jest stara, jeśli oczywiście nie jest jakąś wiedźmą...

– Nie jest żadną wiedźmą! Skąd ci to przyszło do głowy? Jest czarująca, mówię ci. Ładnie mówi. Ładnie wygląda... tylko te jej ramiona...

– W porządku, jeżeli tak się sprawy mają, ja ją wypierdolę, skoro ty nie chcesz. Powiedz jej to. Ale zrób to jakoś subtelnie. Z taką kobietą należy postępować delikatnie. Przyprowadzisz mnie i zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie. Chwal mnie jak jasna cholera. Udawaj trochę zazdrosnego... Kurwa, może wypierdolimy ją obaj... i będziemy razem podróżować i dobrze jadać... jeździć samochodami, polować i modnie się ubierać. Jeśli chce jechać na Borneo, niech nas zabierze ze sobą. Ja też nie umiem strzelać, ale to bez znaczenia. Jej to wcale nie obchodzi. Ona chce tylko, żeby ją pierdolić, to wszystko. Bez przerwy wybrzydzasz na jej ramiona, no nie? Lepiej przyjrzyj się tej kapie na łóżku! Spójrz w lustro! To się nazywa życie? Chcesz pozostać delikatnisiem i żyć do końca życia jak wesz? Nie stać cię nawet na zapłacenie rachunku za hotel... a przecież masz pracę. Tak nie można żyć. A niech sobie ma i siedemdziesiąt lat, lepsze to niż życie tutaj...

– Słuchaj, Joe, wypierdol ją za mnie... wtedy wszystko będzie grało. Może od czasu do czasu i ja ją zerżnę... jak będę miał wolną nockę. Od czterech dni dobrze się nie wysrałem. Coś mi się tam przylepia, jak łupiny winogron...

– Masz hemoroidy, nic więcej.

– W dodatku wypadają mi włosy... powinienem też pójść do dentysty. Czuję, że się sypię. Opowiedziałem jej, jaki z ciebie świetny facet... Zrobisz to za mnie, co? Nie grzeszysz delikatnością, prawda? Jeżeli pojedziemy na Borneo, wyleczę się z hemoroidów. Może nabawię się czegoś innego... jeszcze gorszego... malarii... albo cholery. Kurwa, już lepiej umrzeć na jakąś porządną chorobę, niż przeżyć życie pracując w byle gazecie z winogronami w dupie i urywającymi się od spodni guzikami. Chciałbym być bogaty, choćby przez tydzień, a potem trafić do szpitala z jakąś porządną chorobą – najlepiej śmiertelną – i mieć w pokoju kwiaty i żeby tańczyły koło mnie pielęgniarki i przychodziły telegramy. Jeśli jesteś bogaty, dobrze się tobą opiekują. Myją cię watką i czeszą. Kurwa, wiem to. Może dopisze mi szczęście i wcale nie umrę. Może zostaną do końca życia kaleką... może mnie sparaliżuje i dokonam żywota na wózku inwalidzkim. Ale wówczas i tak będą się mną zajmować... nawet gdybym był bez grosza. Jeśli jesteś inwalidą – p r a d z i w y m inwalidą – nie umrzesz z głodu. I dadzą ci czyste łóżko... i codziennie będą zmieniać ręczniki. A tutaj... chuj każdego obchodzi, co się z tobą stanie, zwłaszcza jeśli masz pracę. Wszystkim się wydaje, że człowiek winien być szczęśliwy, gdy ma pracę. Co byś wolał: być kaleką do końca życia czy mieć pracę... albo ożenić się z bogatą cipą? Widzę, że wybrałbyś bogatą cipę. Ty myślisz wyłącznie o jedzeniu. Ale założmy, że ożeniłbyś się z nią i przestałaby ci stawiać – to się czasem zdarza – co byś wtedy zrobił? Byłbyś zdany na jej łaskę i niełaskę. Musiałbyś jej jeść

z ręki, niby jakiś pudelek. Byłoby ci dobrze, nie? A może nie myślisz o takich sprawach? Ja myślę o wszystkim. Myślę o garniturach, które bym sobie sprawił, i o tym, gdzie chciałbym pojechać, ale myślę też i o czymś więcej, bo liczy się tylko to jedno. Po co ci wspaniałe krawaty i piękne garnitury, jeśli już ci nie stanie? Nie mógłbyś jej nawet zdradzić, bo przez cały czas deptałaby ci po piętach. Nie, najlepiej byłoby się z nią ożenić i od razu zachorować. Tylko nie na syfilis. Powiedzmy, na cholere albo na żółtą febrę. Tak więc, gdyby zdarzył się cud i uszedłbyś z życiem, zostałbyś kaleką na resztę swoich dni. Nie musiałbyś się wówczas martwić tym, że trzeba ją codziennie pierdolić, ani przejmować się komornym. Pewnie kupiłaby ci ładny wózek inwalidzki na ogumionych kołach, z różnymi dźwigniami, bajerami itepe. Może nawet będziesz miał sprawne ręce – przynajmniej na tyle, żeby móc pisać. Albo, skoro już o tym mowa, mógłbyś mieć sekretarkę. Właśnie, to najlepsze wyjście dla pisarza. Na co takiemu facetowi nogi i ramiona? Do pisania nie są mu potrzebne. Potrzebne jest mu poczucie bezpieczeństwa... spokój... i opieka. Ci wszyscy bohaterowie defilujący na wózkach inwalidzkich – wielka szkoda, że nie są pisarzami. Gdybym idąc na wojnę mógł mieć pewność, że urwie mi tylko nogi... gdybym był tego pewien, powiedziałbym – niech jutro wybuchnie wojna. Pies jebał ich medale – mogliby je sobie zatrzymać. Wszystko, czego bym pragnął, to dobry wózek inwalidzki i trzy posiłki dziennie. Wtedy dopiero dałbym im coś poczytać, tym chujom.

Następnego dnia, o wpół do drugiej, idę do Van Nordena. To jego wolny dzień, a raczej wolna noc. Zostawił Carlowi wiadomość, że mam mu dziś pomóc w przeprowadzce.

Zastaję go w stanie niezwykłego przygnębienia. Skarży się, że przez całą noc nie zmrużył oka. Coś zaprzęta mu myśli, coś go gryzie. Nie mija wiele czasu, a odkrywam, co to takiego; czekał niecierpliwie na moje przybycie, by to z siebie wyrzucić.

– Ten facet – zaczyna, mając na myśli Carla – ten facet jest artystą. Opisał dokładnie każdy szczegół. Opowiedział mi to z takimi detalami, że wiem: to wszystko wierutne kłamstwo... ale nie przestaję o tym myśleć. Wiesz, jak pracuje mój umysł!

Przerywa, by zapytać, czy Carl opowiedział mi wszystko. W jego umyśle nie pojawia się nawet cień podejrzenia, że Carl mógł opowiedzieć co innego mnie, a co innego jemu. Zdaje się sądzić, że cała opowieść została wymyślona wyłącznie po to, by go dręczyć. Nawet mu zbyt nie przeszkadza, że to wymysł. Te „obrazy” – jak je nazywa – które Carl pozostawił w jego mózgu, prześladowają go. Te obrazy są prawdziwe, nawet jeśli cała historia jest zmyślona. A poza tym nie da się zaprzeczyć, że istotnie jest tutaj ta bogata cipa i że Carl naprawdę złożył jej wizytę. To, co w istocie zaszło, ma dla niego znaczenie drugorzędne; przyjmuje za pewnik, że Carl ją splewił. Do rozpaczki doprowadza go jednak myśl, że sceny, które opisał Carl, mogły się zdarzyć n a p r a w d ę .

– To w stylu tego faceta – mówi – pochwalić się, że zrobił to z nią sześć czy siedem razy. Wiem, że to gówno prawda, i nawet mi to tak bardzo nie przeszkadza, ale kiedy opowiada, że wynajęła samochód i zawiozła go do Bois, że przykryli się futrem jej męża, to tego już za wiele. Pewnie opowiadał ci, jak to szofer czekał pełen szacunku... i, słuchaj, czy mówił także, jak silnik przez cały czas cichuteńko mruczał? Jezu, ależ ślicznie to wykoncypował! To właśnie w jego stylu pomyśleć o takim drobiazgu... to jeden z tych szczegółów, dzięki którym całość staje się prawdopodobna z psychologicznego punktu widzenia... nie można potem o tym zapomnieć. I opowiada mi to tak gładko, tak naturalnie... Ciekaw jestem, czy wymyślił to przedtem, czy wyszło mu to ot, tak, mimochodem? Jest tak zdolnym kłamcą, że nie można się od niego oderwać, kiedy zaczyna nawijać... to tak, jakby pisał do ciebie list, jeden z tych jego kwiatów doniczkowych, które fabrykuje przez noc. Nie rozumiem, jak można napisać taki list... nie potrafię zgłębić mentalności, która się za tym kryje... to jakiś onanizm... co o tym sądzisz?

Zanim jednak mogę pozwolić sobie na wyrażenie opinii albo roześmiać mu się w twarz, Van Norden ciągnie swój monolog.

– Słuchaj, pewnie wszystko ci opowiedział... czy wspomniał, jak całował ją stojąc na balkonie w poświacie księżyca? Teraz brzmi to banalnie, ale sposób, w jaki ten typ to opisuje... dosłownie widzę, jak ten kutas stoi tam z kobietą w ramionach i jednocześnie pisze do niej kolejny list, kolejny kwiat doniczkowy o szczytach dachów i całej tej pieprzonej reszcie kradzionej od autorów francuskich. Ten facet nigdy nie powie nic oryginalnego, wreszcie to odkryłem. Dosyć, że masz jakiś trop... wystarczy się dowiedzieć, kogo ostatnio czytał... a trudno to ustalić, ponieważ jest tak cholernie skryty. Słuchaj, gdybym nie wiedział, że ty także z nim tam poszedłeś, nie uwierzyłbym, że ta kobieta istnieje. Facet tego pokroju mógłby pisać listy sam do siebie. A mimo to dopisuje mu szczęście... jest tak cholernie malutki, tak kruchy, tak romantycznie wygląda, że od czasu do czasu kobiety na niego lecą... jakby chcąc go zaadoptować... sędzę, że im po prostu go żal. A niektóre pizdy lubią dostawać kwiaty doniczkowe... to zwiększa ich poczucie wartości. Przecież to kobieta inteligentna, tak przynajmniej on utrzymuje. Ty powinieneś coś o tym wiedzieć... widziałeś jej listy. Jak sądzisz, co taka kobieta mogła w nim zobaczyć? Rozumiem, że mogła dać się złapać na te listy... ale jak według ciebie poczuła się, kiedy go *zobaczyła*?

– Ależ słuchaj, to wszystko nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o sposób, w jaki mi to opowiedział. Wiesz, jak on upiększa te swoje opowieści... Tak więc po scenie na balkonie – podaje mi to jako przystawkę, wiesz – wtedy, jak mówi, weszli do środka i on rozpiął jej pizamę. Dlaczego się uśmiechasz? Wcisnął mi to?

– Nie, skądże! Mnie opowiadał dokładnie to samo. I co dalej?

– Potem – tu Van Norden sam musi się uśmiechnąć – potem więc, uważaj, opowiada, jak usiadła na krześle, zadzierając nogi do góry... a nie miała na sobie niczego... on siedzi na podłodze spoglądając na nią, mówi jej, jak pięknie wygląda... czy powiedział ci, że wyglądała jak z Matisse'a? Poczekaj chwilę... chciałbym sobie dokładnie przypomnieć jego słowa. Miał w tym miejscu taki ładny bajer o odalisce... co to właściwie jest, do cholery, odaliska? Powiedział to po francusku, dlatego tak trudno mi przypomnieć sobie to kurewstwo... ale rzecz brzmiała dobrze. Była tak bardzo w jego stylu. A ona może myślała, że sam to wymyślił, pewnie uważa go za poetę albo coś w tym rodzaju. Ale słuchaj... to jeszcze nic... Biorę poprawkę na jego wyobraźnię. Do szalu doprowadza mnie to, co stało się potem. Przez całą noc rzucałem się na łóżku, bawiąc się tymi obrazami, które pozostawił w mojej głowie. Nie mogę przestać o tym myśleć. Brzmi to dla mnie tak realnie, że gdyby się nie zdarzyło, mógłbym skurwysyna udusić. Facet nie ma prawa wymyślać takich rzeczy. Chyba że jest chory...

To, o co mi chodzi, to ten moment, kiedy, jak mówi, padł na kolana i swymi dwoma smukłymi palcami rozdziawił jej piczkę. Pamiętasz? Mówi, że jak tam siedziała i jej nogi zwisały z oparcia krzesła, to nagle przyszło natchnienie. I to wtedy, kiedy zerznął ją już parę razy... po tej jego odzywce o Matissie. Klęka – u w a ż a j t e r a z – i dwoma palcami... właściwie, zwróć uwagę, tylko koniuszkami palców... rozchyła te małe płatki... *cik-ciuk*... tak właśnie. Taki lepki, cichuteńki dźwięk... prawie niesłyszalny. *Cik-ciuk!* Jezu, słyszałem to przez całą noc! A potem mówi – jakby mi tego nie było dość – potem mówi, że zanurzył głowę w jej mufce. A kiedy to zrobił, Boże zlituj się, ona oplotła mu szyję nogami, przytrzymując go tam. T o m n i e w y k o ń c z y ło! Wyobraź to sobie! Wyobraź sobie tylko, że taka ładna, wrażliwa kobieta obejmuje udami j e g o s z y j ę! Jest w tym coś niezdrowego. To tak fantastyczne, że aż brzmi przekonująco. Gdyby opowiedział mi tylko o szampanie i przejażdżce po Bois, czy nawet o tej scenie na balkonie, mógłbym machnąć ręką. Ale to jest już tak nieprawdopodobne, że nie wygląda na kłamstwo. Nie uwierzę, że coś podobnego mógł gdzieś przeczytać, i niby skąd miałby wziąć taki pomysł, jeśli nie byłoby w tym źdźbła prawdy. Wiesz, gdy się ma do czynienia z chujkiem, wszystko może się zdarzyć.

Może wcale jej nie pierdolił, może tylko pozwoliła mu się popieścić... z tymi bogatymi cipami nigdy nie wiadomo, czego od ciebie oczekują...

Kiedy wreszcie Van Norden wyłazi z wyra i zaczyna się golić, jest już dobrze po południu. Udało mi się w końcu przestawić jego umysł na inne tory, głównie na przeprowadzkę. Pokojówka przychodzi sprawdzić, czy jest gotów – miał opuścić pokój do południa. Van Norden właśnie wkłada spodnie. Trochę mnie dziwi, że jej nie przeprasza i nie raczy się nawet odwrócić. Widząc, jak nonszalancko zapina rozporek i wydaje jej polecenia, zaczynam chichotać.

– Nie przejmuj się nią – mówi, rzucając jej spojrzenie pełne najwyższej pogardy – to tylko duża maciora. Jeśli chcesz, uszczypnij ją w tyłek. Słowa nie powie.

A potem, zwracając się do niej po angielsku, mówi:

– Chodź tutaj, ty dziwko, i weź go do ręki!

Słyszając to, nie mogę się już dłużej powstrzymać. Wybucham śmiechem, histerycznym śmiechem, który udziela się pokojówce, chociaż ona wcale nie wie, o co chodzi. Dziewczyna zaczyna zdejmować ze ścian obrazy i fotografie przedstawiające przeważnie samego Van Nordena.

– Ty – mówi on, przywołując ją gestem – chodź tu! Masz coś na pamiętkę – i zdiera ze ściany fotografię – kiedy wyjdę, możesz się tym podetrzeć. Widzisz – stwierdza, zwracając się do mnie – jaka głupia dziwka. Nie sprawiałaby zresztą wrażenia bardziej inteligentnej, gdyby to usłyszała po francusku.

Pokojówka stoi, z otwartą gębą; jest najwyraźniej przekonana, że on zbzikował.

– Hej – drze się na nią, jak gdyby była głucha. – Hej, ty! Tak, ty! O tak...! – i bierze fotografię, swoją własną fotografię, i podciera nią sobie tyłek.

– *Comme ça!* Kapujesz? Jej trzeba by to narysować – mówi, wysuwając do przodu dolną wargę w grymasie najwyższej odrazy.

Apatycznie przygląda się, jak ona wrzuca jego rzeczy do walizek.

– Masz, włóż i to – mówi – podając jej szczoteczki i gumowy irygator. Połowa jego rzeczy leży na podłodze. Walizy są wyładowane po brzegi i nie ma gdzie włożyć obrazów, książek i butelek opróżnionych do połowy.

– Usiądź na chwilkę – zwraca się do mnie. – Mamy mnóstwo czasu. Musimy to najpierw przemyśleć. Gdybyś nie przyszedł, nigdy bym się stąd nie wydostał. Widzisz, jaki jestem bezradny. Przypomnij mi, że bym zabrał żarówki... są moje, kosz na śmieci też mój. Te skurwysyny chcą, byś żył jak Świnia.

Pokojówka zeszła na dół po sznurek.

– Poczekaj, a zobaczysz... policzy mi za ten sznurek, choćby kosztował tylko trzy sou. Nawet guzika do spodni nie przyszyją ci tutaj za darmo. Cholerni, obrzydliwi skąpcy!

Zdejmuje z półki nad kominkiem butelkę calvadosu dając mi znak, bym wziął drugą.

– Nie ma sensu ciągnąć ich ze sobą. Wypijmy to tutaj. Ale jej nie częstuj! Tej cholerze nie zostawiłbym nawet kawałka papieru toaletowego. Chętnie przed odejściem zdemolowałbym pokój. Słuchaj... nasikaj na podłogę, jeśli masz ochotę. Bo ja chciałbym nasrać do szuflady biurka.

Jest tak doszczętnie zde gustowany sobą i wszystkim innym, że nie wie, co zrobić, by dać upust tym uczuciom. Podchodzi do łóżka z butelką w ręku, odrzuca kołdrę i chlapie calvadosem na materac. Niezupełnie z tego zadowolony wbija weń obcasy. Niestety, nie ma na nich błota. Chwyta w końcu prześcieradło i czyści nim sobie buty.

– Będą przynajmniej mieli zajęcie – mruczy mściwie, po czym, biorąc spory łyk do ust, odrzuca głowę do tyłu, przepłukuje sobie bardzo dokładnie gardło i opluwa lustro.

– Macie, dusigrosze, macie, skurwysyny! Zetrzyjcie to sobie, gdy odejdę! – Chodzi tam i z powrotem, mamrocząc do siebie. Spozstrzega na podłodze swoje dziurawe skarpety, podnosi je

i drze na kawałki. Obrazy wzmagają wściekłość. Podnosi jeden z nich – to jego portret wykonany przez pewną znajomą lesbijkę – i dziurawi butem.

– To dziwka! Ty wiesz, o co ona ośmieliła się mnie poprosić? Otóż chciała, żebym podsyłał jej moje cipy, gdy z nimi skończę. Nie dała mi ani grosza za napisanie o niej pozytywnej recenzji. Myślała pewnie, że szczerze podziwiam jej prace. Nie udałoby mi się wyciągnąć od niej nawet tego obrazu, gdybym nie obiecał umówić jej z tą pizdą z Minnesoty. Miała fioła na jej punkcie... łąziła za nią niczym suka z cieczką... nie mogliśmy się od tej dziwki odczepić! Ciągłe zawracała mi głowę. Doszło do tego, że nieledwie bałem się sprowadzić sobie jakąś cipę, a to ze strachu, że tu nagle wpadnie. Skradałem się jak złodziej i zamykałem drzwi na klucz, gdy tylko wszedłem... Ona i ta pizda z Georgii przyprawiają mnie o fioła. Jedna jest zawsze napalona, a druga wiecznie głodna. Nie lubię pierdolić się z głodnymi babami. To tak jakby wpychać takiej żarcie, a potem je wypychać... Boże, coś mi to przypomniało... gdzie ja położyłem niebieską maść? To ważne. Miałeś to już kiedyś? Gorsze od syfa. Nie wiem nawet, gdzie to złapałem. W zeszłym tygodniu miałem tu tyle kobiet, że straciłem rachubę. Co dziwniejsze, one wszystkie tak świeżo pachniały. Ale wiesz, jak to jest...

Pokojówka ułożyła jego rzeczy na chodniku. *Patron* przygląda się nam kwaśno. Kiedy wszystko zostało załadowane do taksówki, pozostało tylko miejsce dla jednego z nas. Gdy ruszamy, Van Norden wyciąga gazetę i zaczyna owijać garnki i patelnie; w nowym hotelu gotowanie jest surowo zabronione. Gdy dojeżdżamy na miejsce, jego walizy nagle się otwierają; nie byłoby to takie krępujące, gdyby w chwili naszego przyjazdu właścicielka nie uchyliła drzwi.

– Mój Boże! – wykrzyknęła. – Czyje to wszystko, do diabła? Co to ma znaczyć?

Van Norden jest tak przestraszony, że nic mu nie przychodzi do głowy poza: – *C'est moi... c'est moi, madame!* I odwracając się do mnie, mamrocze z wściekłością: – A to kwoka! Widziałeś jej dziób? Zatruje mi życie!

Hotel położony jest na tyłach obscurnego pasażu i tworzy prostokąt do złudzenia przypominający nowoczesny zakład penitencjarny. *Bureau* jest wielkie i ponure pomimo światła odbijającego się od kafelków na ścianie. Wszędzie w oknach wiszą klatki z ptakami i emaliowane tabliczki, upraszające gości językiem, który dawno już wyszedł z użycia, by nie robili tego i nie zapominali o tamtym. Jest prawie nieskazitelnie czysto, ale panuje tu absolutna bieda, zniszczenie, smutek. Wyściełane skórą krzesła trzymają się dzięki jakimś konstrukcjom z drutu, nasuwając nieprzyjemne skojarzenie z krzesłem elektrycznym. Pokój Van Nordena znajduje się na piątym piętrze. Gdy wchodzimy po schodach, informuje mnie, że mieszkał tu kiedyś Maupassant. I jednym tchem dodaje, że w holu unosi się jakiś dziwny smród. Na piątym piętrze brakuje paru szyb w oknach; przystajemy na chwilę, gapiąc się na lokatorów po drugiej stronie podwórza. Zbliża się pora obiadu i ludzie rozchodzą się do swoich numerów w atmosferze zmęczenia i przygnębienia biorącej się z uczciwego zarabiania na życie. Większość okien jest szeroko otwarta: obscurne pokoje wyglądają jak ziewające usta. Ich mieszkańcy także ziewają albo stale się drapią. Poruszają się apatycznie i na pozór bez celu; równie dobrze można by ich wziąć za lunatyków.

Kiedy skręcamy korytarzem do pokoju 57, nagle przed nami otwierają się drzwi i ukazują się stara wiedźma z wiechciem włosów na głowie i oczami maniaczki. Jesteśmy tak zaskoczeni, że stajemy jak wryci. Przez całą minutę stoimy wszyscy troje, niezdolni do jakiegoś ruchu czy choćby sensownego gestu. Za starą wiedźmą widzę stół kuchenny i leżące na nim niemowlę, całkiem rozebrane; drobny, mały berbec nie większy niż oskubany kurczak. W końcu stara podnosi wiadro z pomyjami stojące obok i rusza naprzód. Ustępujemy jej z drogi i gdy tylko zamykają się za nią drzwi, niemowlę wydaje przesywający wrzask. To pokój 56, a pomiędzy numerami 56 i 57 znajduje się toaleta, gdzie ta wiedźma wylewa nieczystości.

Od chwili, kiedy weszliśmy na schody, Van Norden zachowuje milczenie. Wyraz jego twarzy mówi jednak sam za siebie. Kiedy otwiera drzwi do pokoju 57, przez moment mam uczucie, że popadam w obłąd. Ogromne lustro pokryte zielonkawą mgłą i nachylone pod kątem 45 stopni wisi na wprost wejścia, a pod nim stoi dziecięcy wózek wypełniony książkami. Van Norden nawet się nie uśmiecha; zamiast tego podchodzi z nonszalancją do wózka i biorąc do ręki jakąś książkę, zaczyna ją przeglądać, zupełnie jak ktoś, kto wchodzi do biblioteki publicznej i machinalnie sięga do pierwszej z brzegu półki. I może samo to nie wydawałoby mi się tak śmieszne, gdybym jednocześnie nie ujrzał leżącej w kącie kierownicy roweru. Emanuje z niej tak absolutny spokój i zadowolenie, jakby drzemała tam latami, toteż nagle wydaje mi się, jakbyśmy stali w tym pokoju, dokładnie w tej samej pozycji, przez niezmiernie długi czas, że przyjęliśmy ją we śnie, z którego do tej pory nie obudziliśmy się, a który pryśnie przy najmniejszym geście, choćby przy mrugnięciu powiek. Ale jeszcze bardziej godne uwagi jest nachodzące mnie nagle wspomnienie prawdziwego snu z minionej nocy, snu, w którym widziałem Van Nordena właśnie w takim kącie, tyle że zamiast kierownicy tkwiła tam skulona kobieta z nogami uniesionymi do góry. Widzę go stojącego nad nią z tym swoim czujnym, łakomym wyrazem oczu, pojawiającym się, ilekroć czegoś bardzo pragnie. Ulica, przy której to się dzieje, jest jakby zamazana – jedynie kąt utworzony przez dwie ściany widać wyraźnie, i tę skuloną kobietę postać. Widzę, jak Van Norden zabiera się do niej na swój szybki, zwierzęcy sposób, nie bacząc na to, co się dzieje wokół, zdecydowany jedynie dopiąć swego. Jego spojrzenie zdaje się mówić: „Potem możecie mnie zabić, ale teraz pozwólcie, że jej wsadzę... muszę jej go wsadzić!”. I oto stoi tam, pochylony nad nią, ich głowy uderzają o ścianę, a on ma tak wielki wzwód, że jest po prostu niemożliwością, by zdołał go wsadzić. Nagle, z tym wyrazem zniechęcenia, który jedynie on potrafi przywołać, podnosi się i poprawia na sobie ubranie. Już ma odejść, kiedy nagle zauważa, że jego penis leży na chodniku. Jest mniej więcej wielkości odciętego kija od miotły. Z nonszalancją podnosi go i wsadza sobie pod pachę. Kiedy odchodzi, widzę dwie cebule tulipanów, ogromne bulwy dyndające na końcu kija od szczotki i słyszę, jak mamrocze do siebie: „Kwiaty doniczkowe... kwiaty doniczkowe”.

Pojawia się zdyszany i spocony *garçon*. Van Norden patrzy na niego, nic nie rozumiejąc. Teraz wkracza majestatycznie właścicielka i, podchodząc prosto do Van Nordena, wyjmując mu z ręki książkę, wrzuca do wózka i bez słowa wyprowadza go na korytarz.

– Ależ to dom wariatów – mówi Van Norden, uśmiechając się ze smutkiem. Jest to tak błady i nie do opisanego uśmiech, iż na chwilę powraca wrażenie, że to sen, że стоимy na końcu długiego korytarza, zakończonego pofałdowanym lustrem. W dół tego właśnie korytarza, wymachując swym strapieniem jak mętym światłem, podąża chwiejnym krokiem Van Norden, wtacza się lub wylatuje z drzwi, które otwierają się tu i ówdzie, wciągany czyjąś ręką albo wykopywany czyimś kopytem. I im bardziej się oddala, tym bardziej ponure staje się jego strapienie; obnosi się z nim jak z latarką, którą cykliści trzymają nocą w zębach, kiedy jezdnia jest mokra i śliska. Wchodzi i wychodzi z obskurnych numerów, a kiedy usiłuje usiąść, krzesło się rozlatuje. Gdy otwiera walizkę, okazuje się, że nie ma w niej niczego poza szczoteczką do zębów. W każdym pokoju znajduje się lustro, przed którym z uwagą się zatrzymuje, przeżuwając swą wściekłość, i od tego ciągłego przeżuwania, od utyskiwania, od mamrotania, mrużenia i przeklinania szczęki wyskoczyły mu z zawiasów i zaczynają... opadać, i kiedy pociera brodę, kruszą się, a on jest tak pełen wstrętu do siebie, że nadeptuje na własną szczękę i rozgniatają na kawałki potężnymi obcasami.

Tymczasem wnoszą bagaże. I wszystko staje się jeszcze bardziej zwariowane niż przedtem – zwłaszcza gdy Van Norden przymocowuje ekspander do ramy łóżka i rozpoczyna swoje ćwiczenia.

– Podoba mi się tutaj – stwierdza, uśmiechając się do *garçona*. Zdejmuje płaszcz i kamizelkę. *Garçon* przygląda mu się zdumiony, w jednej ręce trzyma walizę, w drugiej

irygator. Ja natomiast stoję sam w przedpokoju, trzymając zamglone na zielono lustro. Żaden przedmiot nie wydaje się mieć praktycznego zastosowania. Sam przedpokój jest równie bezużyteczny jak przedsionek stodoły. Wrażenie jest identyczne z tym, którego doznaję wchodząc do Comédie Française albo teatru Palais-Royal: w świat bibelotów, zapadni w podłodze, gipsowych ramion i popiersi, woskowanych podłóg, kandelabrow i mężczyzn w zbrojach, bezokich rzeźb i miłosnych listów w szklanych gablotach. Coś się dzieje, ale nie ma w tym sensu, tak samo jak dopijanie butelki calvadosu tylko dlatego, że nie było dla niej dość miejsca w walizce.

Jak już powiedziałem, kiedy wspinaliśmy się na schody, Van Norden wspomniał, że mieszkał tu kiedyś Maupassant. Zdaje się, że ten zbieg okoliczności zrobił na nim wrażenie. Chciałby pewnie wierzyć, że to właśnie w tym pokoju Maupassant stworzył sporo tych makabrycznych opowieści, na których opiera się jego reputacja. „Tym biednym skurwysynom przyszło tu żyć jak świniom” – mówi Van Norden. Siedzimy przy okrągłym stole na dwóch wygodnych starych fotelach, powiązanych paskami i kłami; łóżko jest tuż obok, w gruncie rzeczy tak blisko, że możemy położyć na nim stopy. *Armoire* stoi w rogu za nami, też dogodnie, w zasięgu ręki. Van Norden wyrzucił brudną bieliznę na stół; siedzimy więc ze stopami zagrzebanymi w jego brudne skarpety i koszule, palimy z zadowoleniem. Ten obskurny pokój rzucił chyba na niego jakiś urok: podoba mu się tu. Kiedy wstaję, by zapalić światło, proponuje, byśmy zagrali w karty, zanim pójdziemy coś przekąsić. Siadamy zatem przy oknie, na podłodze wala się brudna bielizna, a na lampie wisi ekspander Sandowa, i gramy kilka partyjek bezika. Van Norden odłożył fajkę i wsadził sobie prymkę tytoniu pod dolną wargę. Od czasu do czasu spluwa przez okno, duże zdrowe jagody brązowego soku z plaśnięciem rozpryskują się na chodniku. Sprawia teraz wrażenie zadowolonego.

– W Ameryce – mówi – nigdy nie przyszłoby ci do głowy, żeby zamieszkać w takiej norze. Nawet wtedy, gdy żyłem z zasiłku, sypiałem w lepszych pokojach niż ten. Ale tutaj to wydaje się naturalne, tak samo jak książki, które tu czytujesz. Jeżeli kiedykolwiek tam wrócę, postaram się zapomnieć o życiu tutaj, jakby było wyłącznie koszmarnym snem. Pewnie nawet będę żył tak jak niegdyś, jeśli kiedykolwiek tam wrócę. Czasami leżę na łóżku oddając się rozmyśleniom o przeszłości i wydaje mi się ona tak realna, że muszę się uszczypnąć, by zdać sobie sprawę, gdzie jestem. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, kiedy obok mnie jest kobieta; kobieta wyzwala to we mnie bardziej niż cokolwiek innego. Jedyne, czego od nich oczekuję, to zapomnienie. Czasami tak zatracam się w tych rozmyśleniach, że nie mogę sobie przypomnieć imienia dupy leżącej obok, ani nawet skąd ją wytrzasnąłem. Zabawne, nie? Dobrze jest mieć obok siebie świeże, ciepłe ciało, kiedy się człowiek budzi rano. Daje ci to takie poczucie świeżości. Stajesz się niemal uduchowiony... dopóki one nie zaczną odstawiać tej gadki o miłości itd. Dlaczego wszystkie cipy tyle mówią o miłości, może ty wiesz? Widocznie nie wystarcza im, że je dobrze wypierdolisz... pragną jeszcze twojej duszy.

Słowo „dusza”, tak często pojawiające się w monologach Van Nordena, wywierało na mnie z początku wrażenie nieodparcie komiczne. Kiedy tylko usłyszałem z jego ust to słowo, popadałem w histerię; na ogół wydawało się fałszywą monetą, zwłaszcza że przeważnie towarzyszyło mu strzyknięcie brązowym sokiem, który spływał mu z kącika ust. A jako że nigdy nie omieszkałem roześmiać mu się w twarz, niezmiennie wyglądało to tak, że kiedy padało to słówko, Van Norden milkł na chwilę, pozwalając mi zachichotać, ale tylko raz, po czym ciągnął swój monolog, powtarzając je coraz częściej i za każdym razem coraz pieszczotliwiej. To jego duszę próbowały posiąść kobiety – dawał mi jasno do zrozumienia. Tłumaczył mi to wielokrotnie, ale i tak ustawicznie powraca, jak paranoik, do swojej obsesji. W pewnym sensie Van Norden jest szalony, tego jestem pewien. Jediną rzeczą, której się obawia, jest to, że może zostać sam, i obawa ta jest w nim tak głęboko zakorzeniona i tak uporczywa, że nawet gdy leży na kobiecie, nawet gdy się do niej przyspawa na dobre, nie może uciec z więzienia, które sam sobie zbudował.

– Próbuję różnych rzeczy – wyjaśnia mi. – Czasami nawet próbuję liczyć albo roztrząsać jakiś problem natury filozoficznej, ale i to na nic. To tak, jakbym składał się z dwóch osób, z których jedna przez cały czas obserwuje drugą. Tak się cholernie na siebie wściekam, że mógłbym się zabić... i w pewnym sensie to właśnie czynię za każdym razem, gdy mam orgazm. To tak, jakbym na sekundę się unicestwił. Nie ma żadnych dwóch osób... jest nicość... nie istnieje nawet pizda leżąca obok. To jak przyjęcie komunii. Naprawdę! Przez kilka sekund czuję się uduchowiony, jakbym jaśniał jakimś niezmiernym blaskiem... i może trwałoby to wiecznie – skąd można wiedzieć? – gdyby nie to, że obok leży jakaś kobieta, a potem w ruch idzie irygator i z kranu leci woda... Te wszystkie drobiazgi, przez które czujesz się tak przeraźliwie świadom własnego ja, tak przeraźliwie samotny. I dla tej jednej chwili wolności musisz wysłuchiwać tych wszystkich bzdur o miłości... momentami doprowadza mnie to do szału... chcę je natychmiast wykopać z wyra... i czasem to robię. Ale to ich nie zniechęca, a może nawet wydaje się pociągające. Im mniej poświęcasz im uwagi, tym bardziej się za tobą uganiają. Kobiety cechuje jakaś szczególna perwersja... w głębi serca wszystkie są masochistkami.

– Ale czego ty tak naprawdę oczekujesz od kobiet? – chcę się dowiedzieć.

Zaczyna zacierać ręce, opada mu dolna warga. Wydaje się całkowicie zagubiony. Kiedy w końcu jest zdolny wyjąkać kilka rwących się zdań, robi to w głębokim przeświadczeniu, że jego słowa kryją przytłaczające poczucie daremności.

– Chcę móc całkowicie poddać się kobiecie – wyrzuca z siebie. – Chcę, by oderwała mnie od siebie samego. Ale żeby tak się stało, powinna być lepsza ode mnie; powinna mieć rozum, a nie tylko pizdę. Musi mnie przekonać, że jej potrzebuję, że nie mogę bez niej żyć. Znajdź mi taką dupę, dobrze? Gdyby ci się udało, oddałbym ci swoją posadę. Nie obchodziłoby mnie, co stanie się ze mną potem: nie potrzebowałbym ani pracy, ani przyjaciół, ani książek; nie potrzebowałbym niczego. Gdyby tylko zdołała mnie przekonać, że jest na świecie coś ważniejszego niż ja sam. Jezu, jak ja siebie nienawidzę! Ale jeszcze bardziej nienawidzę tych kurewskich cip – wszystkie są niewiele warte.

– Ty myślisz, że ja siebie lubię – ciągnie dalej. – A to znaczy, że mało mnie znasz. Zdaję sobie sprawę, że jestem wspaniałym facetem... nie miałbym tych problemów, gdybym nie miał żadnych atutów. Ale zżera mnie, że nie mogę znaleźć dla siebie środka wyrazu. Ludzie uważają mnie za dziwkarza. Oto jak płyty są ci intelektualiści, przesiadujący jak dzień długi na tarasach kawiarni i przeżuujący tę psychologiczną sieczkę... To całkiem niezłe, nie uważasz? – psychologiczna sieczka. Zapisz to, proszę. Wykorzystam to za tydzień w swojej rubryce... *À propos*, czytałeś Stekela? Jak sądzisz, jest dobry? Mnie się to wydaje tylko i wyłącznie historią odosobnionych przypadków choroby. Na rany Chrystusa, chciałbym zdobyć się na odwagę i pójść wreszcie do psychoanalityka... oczywiście dobrego. Nie chcę chodzić do tych naszych wyfraczonych kanciarzy z kozimi bródkami, jak twój przyjaciel Borys. Jak możesz tolerować takich bufonów? Nie nudzą cię śmiertelnie? Widzę, że gadasz z każdym. Gównem cię to. Wszystko obchodzi. Może masz rację. Chciałbym nie być tak cholernie krytyczny. Ale te zapyziałe Żydki kręcące się koło Dôme, Jezu, na ich widok dostaję gęsiej skórki. Mówią, jakby czytali z podręcznika. Gdybym mógł z tobą rozmawiać codziennie, może zrzuciłbym z siebie ciężar tych wszystkich myśli. Ty potrafisz słuchać. Wiem, że guzik cię w sumie obchodzi, ale jesteś cierpliwy. I nie masz żadnych teorii, które chciałbyś na mnie wypróbować. Pewnie później zapisujesz wszystko w tym swoim notesie. Posłuchaj, nie obchodzi mnie, co o mnie opowiadasz, ale proszę cię, nie rób ze mnie faceta uganiającego się bez przerwy za dupami – to zbyt proste. Kiedyś napiszę o sobie książkę, zbiorę w niej swoje refleksje. Nie mam na myśli zwykłej analizy introspektywnej... zamierzam obnażyć się jak na stole operacyjnym, wywlec swoje wnętrze... pokazać wszystko, kawałek po kawałku. Czy ktoś to już kiedyś zrobił? Dlaczego się uśmiechasz, do diabła? Uważasz, że brzmi to naiwnie?

Uśmiecham się, ponieważ ilekroć poruszamy temat książki, którą zamierza kiedyś napisać, pewne sprawy nabierają jakiegoś absurdalnego aspektu. Wystarczy, że powie „moja książka”, i świat od razu kurczy się do prywatnych rozmiarów Van Nordena i Spółki. Ta książka musi być całkowicie oryginalna, absolutnie doskonała. To jeden z powodów, dla których nie może się do niej zabrać. Gdy tylko wpadnie na jakiś pomysł, zaczyna go kwestionować. Przypomina sobie, że wykorzystał go już Dostojewski albo Hamsun, albo jeszcze ktoś inny. „Nie mówię, że chcę być od nich lepszy, ale chcę być inny” – wyjaśnia. Tak więc, zamiast zabrać się do swojej książki, czyta jednego autora po drugim, bo chce być całkowicie pewny, że nie wejdzie na czyjś teren. A im więcej czyta, tym większe okazuje lekceważenie. Żaden z nich go nie zadowala; żaden nie osiąga tego stopnia perfekcji, jaki on sam sobie wyznacza. I zupełnie zapominając, że nie napisał nawet jednego rozdziału, mówi o nich z taką wyższością, jakby miał za sobą całą półkę książek noszących jego nazwisko, dzieł na tyle znanych, że nie ma potrzeby wymieniać tytułów. I mimo że nigdy otwarcie nie skłamał na ten temat, jest oczywiste, że ludzie, którym wierci dziurę w brzuchu, wyjawiając swoją prywatną filozofię, uwagi krytyczne i pretensje, są przekonani, że za jego luźnymi uwagami kryje się pokaźny dorobek literacki. Odnosi się to zwłaszcza do tych młodych, głupiutkich dziewczyn, które zwabia do swego pokoju pod pretekstem, że przeczyta im swoje wiersze, albo stosuje jeszcze lepszy wybieg, udając, że zależy mu na ich opinii. Bez najmniejszego poczucia zażenowania wciska im do ręki kawałek poplamionej kartki, na której nabazgrał kilka wersów – podwaliny nowego wiersza, jak to nazywa – i z największą powagą żąda od nich uczciwej opinii o tym skrawku „twórczości”. A że przeważnie nie są one w stanie, wystąpić z żadnym komentarzem, oszołomione bezsensu tych wersów, Van Norden Wykorzystuje to, by wyłożyć im swój pogląd na sztukę, pogląd – nie trzeba chyba dodawać – tworzony przezeń spontanicznie w zależności od sytuacji. Tak doskonale opanował tę rolę, że przebycie drogi od *Cantos* Ezry Pounda do łóżka jest równie proste i naturalne, jak przejście z jednej tonacji w drugą; w rzeczy samej, gdyby owo przejście nie nastąpiło, powstałby dysonans, co zresztą zdarza się od czasu do czasu, gdy przez pomyłkę trafi na którąś z tych kretynek, które zwykł nazywać „popychadłami”. Naturalnie, biorąc pod uwagę jego konstytucję psychiczną, niechętnie wspomina o tych fatalnych pomyłkach w ocenie ich charakteru. Ale kiedy zdobędzie się już na przyznanie do swego błędu, robi to z absolutną szczerością: w gruncie rzeczy wydaje się czerpać jakąś perwersyjną radość z rozwodzenia się nad własną nieudolnością. Jest na przykład pewna kobieta, którą usiłuje zaliczyć już od blisko dziesięciu lat – najpierw w Ameryce, a w końcu tu, w Paryżu. To jedyna osoba płci odmiennej, z którą łączą go serdeczne, wręcz zażyłe stosunki. Nie dość, że zdają się wzajemnie lubić, ale chyba nawet doskonale się rozumieją. Z początku sądziłem, że gdyby udało mu się z nią przespać, jego problemy zostałyby rozwiązane. Były tu wszystkie elementy udanego związku – poza tym podstawowym. Na swój sposób Bessie była równie niezwykła jak on. Do kwestii oddania się mężczyźnie przywiązywała tak małą wagę jak do rodzaju deseru po obiedzie. Zwykle sama wybierała obiekt swego zainteresowania i sama proponowała zbliżenie. Nie była brzydka, choć nie można powiedzieć, aby była ładna. Miała piękne ciało, był to j ej naj większy atut – i, jak się to mówi, lubiła to robić.

Oboje byli ze sobą spoufaleri tak dalece, że niekiedy chcąc zaspokoić jej ciekawość, a nadto powodowany daremną nadzieją, że zachęci ją swoją sprawnością, Van Norden ukrywał ją w szafie podczas jednego ze swoich „seansów”. Gdy było już po wszystkim, Bessie wychodziła z ukrycia i dyskutowali całą sprawę rzeczowo, to znaczy okazując całkowitą obojętność wobec wszystkiego poza „techniką”. „Technika” to był jeden z jej ulubionych terminów, przynajmniej podczas tych dyskusji, których miałem zaszczyt być świadkiem. „Co jest nie tak z moją techniką?” – pytał Van Norden. A Bessie odpowiadała: „Jesteś zbyt prymitywny. Jeśli kiedykolwiek zechcesz mnie zaliczyć, będziesz musiał być subtelniejszy”.

Jak powiedziałem, rozumieli się oboje tak doskonale, że często gdy wpadałem do Van Nordena o wpół do drugiej, zastawałem Bessie siedzącą na łóżku; kołdra odrzucona, a Van Norden prosi ją, by zechciała popieścić mu członek... „tylko kilka jedwabistych dotknięć – mówi – a nabiorę odwagi, by wstać”. Albo zachęcał ją, by nań podmuchała, a gdy odmawiała i tego, sam się łapał za fajfusa i potrząsał nim jak dzwonkiem, przy czym oboje zaśmiewali się do rozpuku. „Nigdy nie przelecę tej dziwki” – mawiał. – „Nie ma dla mnie za grosz szacunku. Oto zapłata za to, że nie mam przed nią żadnych tajemnic”. A potem ni stąd, ni zowąd: „Co sądzisz o tej blondynce, którą ci wczoraj pokazywałem?”. Zwracał się z tym oczywiście do Bessie, która kpiła z niego, odpowiadając, że ma fatalny gust. „Ależ, tego mi nie wmawiaj” – protestował. A potem, dla zabawy, może po raz tysięczny, gdyż był to już ich powszedni żart, proponował: „Słuchaj, Bessie, co byś powiedziała na jeden szybki numer? Tylko raz..., co?”. A kiedy jak zwykle przechodziło to bez echa, dodawał tym samym tonem: „A co byś powiedziała na niego? Może jeden szybki numer z nim bardziej by ci odpowiadał?”.

Główną cechą Bessie było to, że nie potrafiła, lub po prostu nie chciała, uważać się za panienkę, którą można by, ot tak sobie, zerznąć. Mówiła o namiętności tak, jakby to słowo wymyślono dopiero przed chwilą. Wszystko robiła z namiętym uniesieniem, nawet coś tak błahaego jak kopulacja. Musiała wkładać w to całą duszę.

– Czasem ja też bywam namiętny – zapewniał Van Norden.

– Ty? – okazywała zdziwienie Bessie. – Ty jesteś po prostu wyniszczonym przez rozpustę satyrem. Nie wiesz, co to namiętność. Kiedy ci staje, to już dla ciebie namiętność.

– Dobrze, może to nie jest namiętność... ale nie sposób jej okazywać bez wzrodu, prawda?

Te historie z Bessie i innymi kobietami codziennie zaciągany przez niego do hotelowych numerów przypominają mi się w drodze do restauracji. Tak już przywykłem do jego monologów, że bez przerywania własnych rozmyślań automatycznie mówię odpowiednią uwagę, gdy jego głos zamiera. Tworzymy swoisty duet i, jak to w duecie, rzecz polega na tym, że partnera słucha się uważnie tylko dlatego, by nie przegapić sygnału do zabrania głosu. Jako że ma wolną noc, a i tak obiecałem dotrzymać mu towarzystwa, z obojętnością wysłuchuję jego tyrad. Wiem, że nim skończy się wieczór, będę krańcowo wyczerpany; jeśli mi się poszczęści, to znaczy, jeśli uda mi się pod byle pretekstem wyciągnąć od niego kilka franków, zwieję mu, kiedy pójdzie do toalety. Ale on zna moją chęć ulotnienia się i bez obrazy, chroni się przede mną, pilnie strzegąc swoich sou. Jeśli go poproszę o pieniądze na papierosy, uprze się, że pójdzie po nie ze mną. Nie chce zostać sam nawet przez chwilę. Nawet kiedy uda mu się zgarnąć jakąś babę, myśl, że zostanie z nią sam na sam, napawa go przerażeniem. Gdyby to było możliwe, kazałby mi siedzieć w pokoju podczas swoich erotycznych wyczynów. Znaczyłoby to dla niego akurat tyle, co poprosić mnie, bym zaczekał, aż się ogoli.

W wolną nockę Van Nordenowi przeważnie udaje się mieć co najmniej pięćdziesiąt franków w kieszeni, choć okoliczność ta nie przeszkadza mu wcale próbować naciągnąć każdego, kto się nawinie. „Cześć – mówi – daj mi dwadzieścia franków... potrzebuję ich”. Potrafi przy tym sprawiać wrażenie człowieka śmiertelnie przerażonego. W przypadku odmowy staje się bezczelny. „Może chociaż postawisz mi kolejkę”. A gdy to osiągnie, mówi już nieco łagodniej: „Słuchaj, daj mi choć pięć franków... no, niech będą dwa...”. Wędrujemy tak od baru do baru, szukając jakiejś drobnej rozrywki i zawsze przy okazji zyskując kilka franków.

W Coupole wpadamy na znajomego pijaka z gazety, jednego z facetów rezydujących na piętrze. Mówi nam, że właśnie zdarzył się w biurze wypadek. Jeden z korektorów wpadł do szybu windy. Wszystko wskazuje na to, że nie przeżyje.

Z początku Van Norden jest wstrząśnięty, do głębi wstrząśnięty. Ale kiedy dowiaduje się, że chodzi o tego Anglika, Peckovera, doznaje ulgi.

– Biedaczysko! – mówi – lepiej będzie skurczybykowi na tamtym świecie niż na tym. W dodatku nie tak dawno sprawił sobie sztuczną szczękę...

Wzmianka o protezie doprowadza tego z piętra do łez. Śliniąc się opowiada o pewnym drobiazgu związanym z wypadkiem. Jest mu z tego powodu bardzo przykro, o wiele bardziej niż z powodu samego nieszczęścia. Wygląda na to, że gdy Peckover runął na dno szybu, odzyskał przytomność, zanim ktokolwiek się przy nim znalazł. Podobno z połamanymi nogami i żebrami dźwignął się na czworaki i szukał na oślep swojej protezy. W karetkce lamentował w szoku, że stracił zęby; sprawa była żalosna, a zarazem zabawna. Facet z piętra nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, kiedy o tym opowiadał. Był to drażliwy moment, ponieważ z kimś tak pijanym jak on wystarczyłby jeden fałszywy gest, a rozwaliliby ci butelkę na głowie. Nigdy zbyt nie przyjaźnił się z Peckoverem, jeśli chodzi o ścisłość, rzadko zaglądał do korektorów: tak jakby między facetami z góry i z dołu stała niewidzialna ściana. Ale teraz, gdy poczuł dotyk śmierci, chciał okazać swoje poczucie koleżeństwa. Gotów był łkać, jeśli mu się to udało, by pokazać, że z niego równy gość. A Joego i mnie, którzy znaliśmy Peckovera dobrze i wiedzieliśmy, jak niewiele był wart, nawet paru łez, nas zezłościł ten jego pijacki sentymentalizm. Chcieliśmy mu to zresztą powiedzieć, ale wobec takiego faceta nie można sobie pozwolić na szczerość; trzeba kupić wieniec, iść na pogrzeb i udawać, że strasznie ci żal. I trzeba jeszcze pogratulować mu, że napisał taki subtelny nekrolog. Miesiącami będzie go nosił przy sobie i cholernie przechwalał się okazaniem w tej sytuacji wyczuciem. Wszystko to uzmysłowiliśmy sobie z Joe'em nie zamieniając ze sobą ani słowa. Po prostu staliśmy tam, słuchając go z morderczą, milczącą pogardą. I gdy tylko nadarzyła się okazja, urwaliśmy się, zostawiając go w barze bełkoczącego do siebie nad szklaneczką pernodu.

Znalazszy się już poza zasięgiem jego wzroku, zaczęliśmy się histerycznie śmiać. Sztuczna szczęka! Cokolwiek mówiliśmy o tym biedaku, a powiedzieliśmy też kilka rzeczy pozytywnych, ciągle powracaliśmy do tej sztucznej szczęki. Są na świecie ludzie tak groteskowi, że nawet w obliczu śmierci nie nabierają powagi. I im straszliwsza jest śmierć, tym bardziej jej ofiary wydają się śmieszne. Na nic się zdadzą próby obdarzenia ich zgonu odrobiną godności – trzeba być beczelnym kłamcą i hipokrytą, by w ich odejściu dopatrywać się jakiegokolwiek tragizmu. A ponieważ my nie musieliśmy udawać, mogliśmy śmiać się serdecznie z owego wypadku. Przez cały wieczór dostarczał nam mnóstwo uciechy – w przerwach dawaliśmy upust naszej pogardzie i obrzydzeniu dla facetów z piętra, tych nadętych głupków, usiłujących bez wątplenia przekonać samych siebie, że Peckover był porządnym gościem, a jego śmierć – katastrofą. Wspominaliśmy najróżniejsze zabawne rzeczy, ot, choćby średniki, które przegapił i za które dostawał niezgorszy wycisk. Nieźle zależli mu za skórę tymi pieprzonymi średnikami i ułamkami, które zawsze przekręcał. Raz chcieli go nawet zwolnić, ponieważ zjawił się w pracy cuchnąc alkoholem. Lekceważyli go, bo wyglądał jak półtora nieszczęścia ze swoją egzemą i łupieżem. Był po prostu nikim, przynajmniej dla nich, ale teraz, kiedy umarł, wszyscy skwapliwie zbierają na ogromny wieniec i składają jego nazwisko wersalikami w rubryce nekrologów. Uczynią wszystko, by rzucić na siebie trochę blasku; zrobiliby z niego nie lada figurę, gdyby tylko mogli. Niestety, w przypadku Peckovera niewiele mogli wymyślić. Był zerem, i nawet fakt, że nie żyje, nie doda ani jednej cyferki do jego nazwiska.

– Jest tylko jedna dobra strona całej sprawy – mówi Joe.

– Może dostaniesz się na jego miejsce. A gdy ci się poszczęści, może też wpadniesz do szybu windy i skręcisz sobie kark. Kupimy ci ładny wieniec, możesz na to liczyć.

Przed świtem siedzimy na tarasie Dôme. Już dawno zapomnieliśmy o nieszczęsnym Peckoverze. Trochę rozerwaliśmy się w Bal Negre i umysł Joe'ego powrócił do tematu, który absorbuje go nieustannie: do kwestii cipy. To właśnie o tej porze, kiedy kończy mu się wolna noc, jego niepokój osiąga apogeum. Wspomina kobiety mijane wcześniej tego wieczoru i swoje stałe panienki, które mógłby mieć na każde skinienie, gdyby nie to, że ma ich już serdecznie dosyć. I jak zwykle ten nastrój przywodzi mu na myśl ową pizdę z Georgii, która uganiała się za nim ostatnio, błagając, by ją przygarnął do siebie, przynajmniej do czasu, gdy znajdzie pracę.

– Nie mam nic przeciw dokarmianiu jej od czasu do czasu – mówi – ale nie mógłbym jej wziąć na stałe... byłaby to katastrofa dla moich pozostałych dup.

Co go najbardziej w niej pociąga, to fakt, że nie przybiera na wadze.

– To tak, jakbyś szedł do łóżka ze szkieletem – stwierdza.

– Któregoś wieczoru wziąłem ją ze sobą, było mi jej zwyczajnie żal, i – jak myślisz – co zrobiła ta szalona dziwka? Wygoliła się do gołej skóry... nie zostawiła ani jednego włoska. Miałaś kiedyś kobietę z wygoloną cipą? To odpychające, prawda? I śmieszne. Takie jakieś nienormalne. To już wtedy nie wygląda jak cipa: raczej jak ostryga czy coś w tym rodzaju.

Po czym opisuje mi, jak powodowany ciekawością wstał z łóżka i zaczął szukać latarki.

– Kazałem jej rozchylić szparę i poświeciłem latarką. Żałuj, że mnie wówczas nie widziałeś... to było przekomiczne. Tak mnie zafascynowała jej cipa, że zapomniałem o niej samej. Nigdy w życiu nie wpatrywałem się w pizdę z podobną uwagą. Można nawet powiedzieć, że tak naprawdę nigdy przedtem jej nie widziałem. A im dłużej się przyglądałem, tym mniej ciekawa wydawała mi się, co dowodzi, że w sumie nie ma w niej nic interesującego, zwłaszcza gdy jest wygolona. Tylko włosy dodają jej tajemniczości. Dlatego posąg nie jest w stanie cię poruszyć. Raz tylko widziałem rzeźbę z prawdziwą cipą – autorstwa Rodina. Powinieneś ją kiedyś zobaczyć... te szeroko rozkraczone nogi... Mam wrażenie, że nie miała nawet głowy. Nic, tylko pizda, można by rzec. O Jezu, wyglądała okropnie. Właściwie one wszystkie są do siebie podobne. Gdy patrzysz na ubrane, wyobrażasz sobie Bóg wie co; obdarzasz je czymś w rodzaju osobowości, której, rzecz jasna, nie posiadają. A to po prostu szpara między nogami, na którą napalasz się jak diabli; później zaś nawet na nią dobrze nie spojrzysz. Wiesz, że jest, i myślisz tylko o tym, żeby wsadzić tam swój wycior; tak jakby twój penis myślał za ciebie. To wszystko iluzja! Na próżno się tak roznamietniasz – chodzi przecież o szparę porośniętą włosami, albo i nie. Jest czymś tak nieistotnym, że oglądanie jej pochłonęło mnie bez reszty. Wpatrywałem się w nią chyba z dziesięć minut, jeśli nie dłużej. Kiedy się jej przyglądasz, niejako obiektywnie, przychodzą ci do głowy różne śmieszne myśli. Ta cała aura tajemnicy otaczająca seks, by wreszcie odkryć, że to nic takiego – po prostu pustka. Czy nie byłoby zabawne znaleźć w środku harmonijkę ustną... albo kalendarz? Ale tam nie ma nic... absolutnie nic. To odpychające. Mało nie oszalałem... Słuchaj, wiesz, co zrobiłem potem? Szybko ją zerznąłem i odwróciłem się plecami. Ha, wziąłem książkę i zacząłem czytać. Zawsze można mieć jakiś pożytek z książki, nawet ze złej książki... ale pizda to czysta strata czasu...

Zbiegiem okoliczności, właśnie gdy kończył tę przemowę, jakaś kurwa puściła do nas oko. I nagle, bez najmniejszego przejścia, Van Norden zwraca się do mnie:

– Chciałbyś ją przelecieć? To nie wyniesie zbyt dużo... weźmie nas obu.

I nie czekając na odpowiedź, wstaje chwiejnie i podchodzi do niej. Po paru minutach wraca.

– Załatwione – mówi. – Dokończ piwo. Ona jest głodna. O tej porze nic się tu już nie dzieje... weźmie nas obu za piętnaście franków. Pójdziemy do mojego pokoju... taniej wypadnie.

W drodze do hotelu dziewczyna dygoce z zimna, więc wstępujemy do kafejki, by jej postawić kawę. Jest dość łagodnym stworzeniem, a co więcej, nie pozbawionym uroku. Wygląda na to, że zna Van Nordena i wie, że niczego po nim nie można oczekiwać poza tymi piętnastoma frankami.

– Pamiętaj, nie masz żadnego szmalu – mamrocze do mnie Van Norden pod nosem.

Jako że nie mam w kieszeni ani centyma, nie bardzo wiem, o co mu chodzi, aż zniecierpliwiony wybucha:

– Tylko, na Boga, pamiętaj: jesteśmy splukani. Niech ci nie zmięknie serce, kiedy wejdziemy na górę. Na pewno poprosi cię o coś ekstra – znam tę pizdę! Mógłbym ją mieć za dziesięć franków, gdybym zechciał. Nie ma ich co rozpieszczać...

– *Il est méchant, celui-là* – zwraca się do mnie ona, mimo swojej tępoty wyczuwając charakter jego uwag.

– *Non, il n'est pas méchant, il est très gentil.*

Śmiejąc się potrząsa głową:

– *Je le connais bien, ce type.*

Po czym zaczyna snuć smętną opowieść, jakiego to ma pecha w życiu – o szpitalu, zaległym komornym i dziecku na wsi. Nie posuwa się jednak za daleko. Zdaje sobie sprawę, że jesteśmy głusi na jej gadkę, ale ma w środku pasmo udręki, zalega tam jak kamień, nie pozostawiając miejsca innym myślom. Nie chce zerować na naszym współczuciu – po prostu z miejsca na miejsce przesuwa w sobie jakiś wielki ciężar. Nawet mi się podoba. Tylko, na Boga, mam nadzieję, że nie jest zarażona...

W pokoju mechanicznie zaczyna sposobić się do pracy.

– Nie ma tu gdzieś przypadkiem kromki chleba? – pyta, kucając nad bidetem. Van Norden śmieje się z niej.

– Masz, napij się – mówi, podając jej butelkę. Ale ona nie chce pić; narzeka, że żołądek ma do niczego.

– To jej zwykła śpiewka – uprzedza Van Norden. – Nie pozwól jej grać na twoich uczuciach.

Mimo to wolałbym, żeby mówiła o czymś innym. Jak, u diabła, można wykrzesać z siebie namiętność, mając do czynienia z zagłodzoną pizdą.

Właśnie, w tym cały problem – nie ma w nas namiętności, w żadnym z nas dwóch. A jeśli chodzi o nią, prędzej można oczekiwać, że wyjmie skądś brylantową kolię, niż objawi iskrę podniecenia. Ale chodzi o piętnaście franków i coś trzeba z tym fantem zrobić. To tak jak z wojną: gdy już nas w nią wpakowano, nikt nie myśli o niczym innym, tylko o pokoju, o tym, by zaprzestać walki. A przecież nikt nie ma odwagi złożyć broni, powiedzieć: „Mam tego dość... ja to pieprzę!”. Nie, zawsze stawką jest jakieś tam piętnaście franków, które nikogo już nie obchodzą i których nikt w końcu i tak nie dostanie, ale te piętnaście franków jest przyczyną wszystkiego i zamiast posłuchać głosu własnego „ja” i zostawić w cholerę tę przyczynę, człowiek poddaje się sytuacji, szlachtując bliźnich bez chwili wytchnienia, a im bardziej czuje się tchórzem, tym więcej heroizmu potrafi okazywać, aż po dzień, kiedy czara się przepełnia i nagle milkną karabiny, a sanitariusze zbierają okaleczonych, krwawiących bohaterów i przypinają im do piersi medale. Później, przez resztę życia można sobie rozmyślać o tych piętnastu frankach. Człowiek stracił oczy, ręce lub nogi, ale na pociechę może marzyć do końca swoich dni o piętnastu frankach, o których wszyscy inni dawno zapomnieli.

Zupełnie jak na wojnie – nie mogę pozbyć się tego wrażenia. Patrząc, jak ona dobiera się do mnie, by rozniecić iskierkę pożądania, zaczynam myśleć o tym, jakim byłbym cholernie marnym żołnierzem, gdybym kiedykolwiek okazał się na tyle głupi, by dać się schwytać w potrzask i zaciągnąć na front. Sam dobrze wiem, że oddałbym wszystko, włącznie z honorem, by wydostać się z tego szamba. Mam na to za delikatny żołądek – to wszystko. Ale

dziewczyna ma w głowie tylko myśl o piętnastu frankach i jeśli nie zechcę o nie walczyć, ona mnie do tego zmusi. Nie można jednak wmówić woli walki mężczyźnie, który jej nie posiada. Niektórzy mężczyźni są takimi tchórzami, że nic nie robi z nich bohaterów, nawet śmiertelny strach. Może za dużo wiemy. Niektórzy spośród nas żyją nie w czasie teraźniejszym, lecz albo go wyprzedzają, albo zostają w tyle. Mój umysł pochłonięty jest bez reszty traktatem pokojowym. Nie potrafię zapomnieć, że to piętnaście franków jest przyczyną całego tego ambarasu. Piętnaście franków! Czymże jest dla mnie piętnaście franków, zwłaszcza że te piętnaście franków nie należy do mnie?

Van Norden – jak się zdaje – nie ma podobnych rozterek. W tej chwili guzik go obchodzi piętnaście franków; intryguje go sytuacja sama w sobie. A ta zdaje się wymagać pokazu ognistego temperamentu – bądź co bądź w grę wchodzi jego męskość. Te piętnaście franków już i tak przepadło – bez względu na to, czy nam się z nią uda, czy nie. Chodzi o coś więcej – może nie tyle o męskość, ile o wolę. To znowu tak jak z facetem w okopach: sam właściwie już nie wie, dlaczego powinien nadal żyć, ponieważ nawet jeśli teraz uda mu się uciec, dopadną go później, ale brnie dalej i – chociaż ma duszę karalucha i stać go na przyznanie się do tego przed samym sobą – dajcie mu tylko karabin lub nóż, ba, wystarczą gołe ręce, zęby i pazury, a pogrąży się w tej rzezi, w tych jatkach, wyrżnie milion podobnych do siebie, miast zatrzymać się i zapytać: w imię czego, po co to wszystko?

Gdy obserwuję, jak Van Norden się do niej zabiera, odnoszę wrażenie, że patrzę na jakiś mechanizm, w którym nawaliła blokada. Pozostawieni sobie samym, mogliby to robić w nieskończoność, rżąc i trąc się jak koła zębate, i nic by to nie dało. Widok tych dwojga parzących się niczym cap z kozą bez najmniejszej iskiej emocji, widok tej mechanicznej harówki, pozbawionej wszelkiego uzasadnienia poza sumą piętnastu franków, pozbawia mnie resztek uczuć, poza nieludzkim wprost pragnieniem zaspokojenia własnej ciekawości. Dziewczyna leży na skraju łóżka, a Van Norden pochyla się nad nią jak satyr, dwiema nogami solidnie zapierając się o podłogę. Siedzę za nim na krześle, obserwując chłodno, z naukowym obiektywizmem ich ruchy, choćby to miało trwać wieczność, nie robi mi to różnicy. Czuję się tak, jakbym przyglądał się jednej z tych zwariowanych maszyn, wyrzucających z siebie gazety; miliony, miliardy gazet wypełnionych bezsensownymi tytułami. Maszyna wydaje się bardziej rozsądna, nawet w swoim bezmyślnym szaleństwie, toteż ogląda się ją z większą fascynacją niż ludzi i zdarzenia, dzięki którym pracuje. Moje zainteresowanie Van Nordenem i dziewczyną jest równe zeru; gdybym mógł tu sobie po prostu siedzieć i obserwować wszystkie podobne widowiska rozgrywające się w tej chwili na całym świecie, moje zainteresowanie byłoby jeszcze mniejsze. Nie byłbym w stanie odróżnić tych zjawisk od opadów deszczu czy erupcji wulkanów. Dopóki nie ma w tym iskry namiętności, całe to przedstawienie pozbawione jest znamion człowieczeństwa, jedynej cechy mogącej mu nadać jakiegokolwiek znaczenie. Lepiej już obserwować maszynę. A tych dwoje zachowuje się jak maszyna z zatartymi trybami. By ją naprawić, potrzebne jest dotknięcie ludzkiej ręki. Przydałby się jakiś mechanik.

Kląkam za Van Nordenem i z większą uwagą przyglądam się tej maszynerii. Dziewczyna odwraca głowę i rzuca mi rozpaczliwe spojrzenie.

– To bez sensu – mówi. – Nic z tego nie będzie.

Słyszając to Van Norden zabiera się do roboty ze zdwojoną energią, zupełnie jak stary cap. Jest tak uparty, że raczej połamię sobie rogi, niż zrezygnuje. Zaczyna się wściekać, ponieważ łaskoczę go w tyłek.

– Na Boga, Joe, daj spokój! Zamęczysz tę dziewczynę na śmierć.

– Zostaw mnie w spokoju – mamrocze. – Tym razem prawie go wsadziłem.

Jego postawa i determinacja, z jaką mówi, przywodzą mi nagle na myśl, już po raz drugi, mój wczorajszy sen. Teraz jednak wydaje mi się, że ów kij od miotły, który Van Norden z taką nonszalancją wsadził sobie pod pachę odchodząc, zaginął bezpowrotnie. To jakby dalszy

ciąg snu – ten sam Van Norden, ale bez przyczyny. Jest jak wracający z wojny bohater – biedny, głupi, okaleczony skurwysyn, przeżywający rzeczywistość swoich snów. Kiedy siada, krzesło się rozlatuje; gdy otwiera jakieś drzwi, pokój okazuje się pusty; cokolwiek włoży do ust, czuje niesmak. Wszystko jest takie samo jak przedtem; akcesoria pozostają nie zmienione, sen nie różni się niczym od rzeczywistości. Tyle że między zaśnięciem a przebudzeniem skradziono mu ciało. Przypomina maszynę wyrzucającą z siebie gazety; miliony, miliardy gazet, dzień za dniem; ich tytułowe strony roją się od katastrof, rozruchów, zderzeń i eksplozji, ale on nic nie czuje. Jeśli ktoś nie przekręci wyłącznika, nigdy nie dowie się, co znaczy śmierć; nie możesz umrzeć, skoro okradziono cię z ciała. Możesz zająć się pizdą i obrabiać ją jak cap przez całą wieczność; możesz trafić do okopów i pozwolić się rozerwać na kawałki; nic nie wywoła tej iskry namiętności bez interwencji ludzkiej ręki. Ktoś musi wsadzić rękę w tryby tej maszyny i pozwolić ją sobie urwać, żeby koła mogły zaskoczyć. Ktoś musi to zrobić, nie kierując się przy tym nadzieją nagrody ani zainteresowaniem piętnastoma frankami; ktoś o piersi tak chudej, że medal przypięty do niej uczyniłby z niego garbusa. I ktoś musi nakarmić głodną pizdę bez obawy, że wypchnie z niej ten posiłek. Bez tego ten spektakl będzie trwał wiecznie. Nie ma wyjścia z tego szamba...

Przez cały tydzień włożyłem w dupę mojemu szefowi – co było niezbędne – i udało mi się dostać na miejsce Peckovera. Jak można było przewidzieć, umarł, biedny kretyn, kilka godzin po swoim upadku. I jak przewidywałem, urządzili mu paradny pogrzeb, z uroczystą mszą, ogromnymi wieńcami i całą resztą. *Tout compris*. Po ceremonii zaś ci faceci z piętra wyprawili sobie w bistro prawdziwą ucztę. Wielka szkoda, że Peckover nie mógł tam wpaść i czegoś przekąsić – byłby taki szczęśliwy mogąc siedzieć z nimi i słuchać, jak często w rozmowie pada jego nazwisko.

Od razu muszę przyznać, że nie mam prawa narzekać. Przypomina to pobyt w domu wariatów, gdzie wszystkim pozwolono onanizować się do końca życia. Podtykają mi pod sam nos cały świat żądając jedynie, bym zachował w tym ogromie nieszczęść poprawną interpunkcję. Nie istnieje nic, na czym ci ulizani faceci z piętra nie położyliby łapy: żadna radość, żadne cierpienie nie umknie ich uwagi. Tkwią wśród okrutnych faktów, które niesie życie, w samym sercu tego, co zwykle się nazywać rzeczywistością. Tyle że jest to rzeczywistość bagna, a oni są żabami, które nie mają nic lepszego do roboty poza bezmyślnym rechotaniem. Im bardziej skrzeczą, tym bardziej życie wydaje im się rzeczywiste. Adwokat, ksiądz, lekarz, polityk, dziennikarz – wszystko to szarlatani trzymający rękę na pulsie świata. Nieustająca atmosfera katastrofy. Coś wspaniałego! Zupełnie jakby barometr zastygł, jakby flaga zatrzymała się w połowie masztu. I oto można pojąć, jak idea raju opanowuje ludzką świadomość, jak zdobywa sobie w niej coraz więcej miejsca, mimo że wszystkie jej filary usunięto jednym kopniakiem. Musi przecież istnieć jakiś inny świat poza tym bagnem, do którego pospiesznie wyrzuca się wszystko bez ładu i składu. Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda to niebo, o którym śnią ludzie. Jest to jednak bez wątpienia niebo żab: wyziewy, brudna piana, lilie wodne, znieruchomiła woda. Siedzisz nie napastowany przez nikogo na liściu lilii wodnej, rechocząc jak dzień długi. Jakoś tak to sobie wyobrażam.

Teksty o katastrofach, które porządkuję ołówkiem, wywierają na mnie cudownie uzdrawiający wpływ. Wyobraźcie sobie stan doskonałej nietykalności, bajeczną egzystencję w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa pośród kolonii trujących zarazków. Nie porusza mnie nic – ani trzęsienia ziemi, ani eksplozje, ani zamieszki. Nie reaguję na głód, kolizje, wojny i rewolucje. Jestem uodporniony przeciw wszelkim chorobom, nieszczęściom, smutom i cierpieniom. To jakby apogeum życia pełnego hartu ducha. Gdy tak siedzę w swoim kąciku, wszystkie trucizny, które codziennie wydziela ten świat, przechodzą przez moje ręce. I nie brudzę sobie nawet paznokcia. Jestem całkowicie uodporniony. Znalazłem się nawet w korzystniejszej sytuacji niż laborant, bowiem nie ma tu przykrych woni poza

swędem roztopionego ołowiu. Świat może wylecieć w powietrze – pozostanę tu tak czy owak, by w odpowiednie miejsce wstawić przecinek lub średnik. Mogę nawet załapać się na jakieś nadgodziny, bo takie wydarzenie na pewno będzie wymagało ostatniego dodatku nadzwyczajnego. Kiedy świat wyleci w powietrze i ostatnie wydanie powędruje do druku, korektorzy spokojnie pozbierają wszystkie przecinki, średniki, myślniki, odsyłacze, nawiasy, kropki, wykrzykniki itp. I włożą je do pudełka nad krzesłem redaktora. *Comme ça tout est réglé...*

Żaden z moich współpracowników nie pojmuje, dlaczego sprawiam wrażenie tak zadowolonego. Oni nieustannie narzekają, miewają ambicje, okazują swą urażoną dumę i chandrę. Dobry korektor nie ma ambicji, ani dumy, ani chandry. Dobry korektor przypomina nieco wszechmocnego Boga: zstąpił na ten padół, ale sam nie jest z tego świata. Pojawia się tylko od święta, bo w niedziele ma wolne. W niedziele zstępuje z wysokości i pokazuje dupę rzeszom wiernych. Raz w tygodniu wysłuchuje wszystkich intymnych skarg i nieszczęść świata; starczy mu ich na cały tydzień. Pozostały czas spędza na zamrażniętych moczarach, gdzie wiecznie trwa zima; jest absolutem, absolutem bez skazy, którego jedynie ślad po szczepieniu ospy odróżnia od wielkiej próżni.

Największym nieszczęściem dla korektora jest groźba utraty pracy. Kiedy zbieramy się podczas przerwy, przyprawia nas o dreszcze pytanie: „Co zrobisz, jeśli cię zwolnią?”. W człowieku z bydłęcego wagonu, którego praca polega na zmiataniu końskiego nawozu, największe przerażenie budzi wizja świata bez koni. Uświadomienie mu, że to obrzydliwe spędzać życie na zmiataniu ciepłych jeszcze gówień, byłoby idiotyzmem. Człowiek potrafi pokochać gówno, jeśli od tego zależą jego środki do życia, jeśli w grę wchodzi jego osobiste szczęście.

Życie, które – gdybym wciąż jeszcze był człowiekiem posiadającym dumę, honor, ambicję itepe – wydawałoby się dnem poniżenia, to życie przyjmuję teraz z radością, jak kaleka witający upragnioną śmierć. Jest to, podobnie jak śmierć, rzeczywistość negatywna – coś w rodzaju nieba, tyle że bez bólu i strachu towarzyszących śmierci. W tym infernalnym świecie jedyne, co posiada jakieś znaczenie, to ortografia i interpunkcja. Nie jest ważna sama katastrofa, lecz to, czy jej opis nie zawiera błędów ortograficznych. Wszystko traktuje się jednakowo, czy chodzi o najmodniejsze suknie wieczorowe, o nowy pancernik, zarazę, materiał wybuchowy, odkrycie astronomiczne, nagłe wycofanie wkładów z banku, katastrofę kolejową, hossę na giełdzie, gry hazardowe, egzekucję, napad rabunkowy, morderstwo polityczne, czy o coś innego. Nic nie umyka uwagi korektora, ale też i nic nie przenika jego kuloodpornej kamizelki. Do Hindusa nazwiskiem Agha Mir pani Scheer (z domu Esteve) pisze, że jest całkiem zadowolona z jego starań. „Wysłałam za mąż szóstego czerwca i serdecznie Panu dziękuję. Jesteśmy bardzo szczęśliwi i mam nadzieję, że dzięki Pańskiej niezwyklej mocy będzie tak zawsze. Przesyłam panu przekazem telegraficznym kwotę... tytułem wynagrodzenia...”. Hindus Agha Mir przepowiada przyszłość i czyta w twoich myślach w sposób precyzyjny i niewytłumaczalny. Udzieli ci porady, pozwoli pozbyć się wszelkich zmartwień i nękających cię kłopotów, itp. *Z a d z w o ñ l u b n a p i s z : 2 0 A v e n u e M a c M a h o n , P a r i s .*

Czyta w twoich myślach w sposób cudowny! Rozumiem, że bez żadnych wyjątków, od najzwyklejszych po najbardziej wstydlive. Ów Agha Mir musi dysponować ogromną ilością czasu. A może koncentruje się wyłącznie na myślach tych, którzy telegraficznie przesyłają opłatę? W tym samym numerze zauważam tytuł oznajmiający, że „wszechświat rozrasta się w takim tempie, iż może się rozpaść”, a pod nim reklama środka na dotkliwy ból głowy. Nieco dalej gadka o perle, podpisana: Tecla. Ostryga wytwarza dwa rodzaje pereł, informuje Tecla wszystkich razem i każdego z osobna, a to perłę „dziką”, najlepszego gatunku, oraz „hodowlaną”. W tym samym dniu, w katedrze w Trier, Niemcy wystawiają „Szatę Chrystusa”; po raz pierwszy od czterdziestu dwóch lat wyjęto ją z naftaliny. Nic nie piszą o

spodniach i kamizelce. Tego samego dnia, w Salzburgu, przyszły na świat dwie myszy – znaleziono je, wiercie lub nie, w ludzkim żołądku. Prezentują też słynną aktorkę filmową z nogą założoną na nogę: odpoczywa sobie w Hyde Parku, a poniżej znany malarz stwierdza: „Przyznam, że pani Coolidge ma tyle osobistego uroku i taką osobowość, że uznano by ją za jedną z tuzina największych sław Ameryki, nawet gdyby jej mąż nie był prezydentem”. Z wywiadu, którego udzielił pan Humhal, mieszkaniec Wiednia, wybieram tę oto wypowiedź: „Na koniec – zauważa on – chciałbym powiedzieć, że bezbłędny krój i dopasowanie nie wystarczą; dzieło dobrego krawca ocenia się na kliencie. Garnitur musi dopasowywać się do figury, ale zachować swoją linię, kiedy jego właściciel chodzi lub siedzi”. A kiedy tylko nastąpi wybuch w kopalni – brytyjskiej kopalni – zauważcie proszę, że para królewska zawsze przesyła kondolencje bezzwłocznie, t e l e g r a f i c z n i e . I zawsze też oboje bywają na ważniejszych wyścigach konnych, chociaż zdaje się, że w trakcie derby „zaczął padać gwałtowny deszcz, ku wielkiej konsternacji króla i królowej”. Ale jeszcze bardziej rozzadzająca serce jest następująca notatka; „Twierdzi się we Włoszech, że prześladowania nie są skierowane przeciw Kościołowi, niemniej jednak dotyczą one najznakomitszych sfer Kościoła. Utrzymuje się, że nie są wymierzone w osobę Papieża, ale godzą w samo serce i oczy Papieża”.

Musiałem dosłownie odbyć podróż dookoła świata, by znaleźć taki wygodny, przytulny kącik, jak ten, który zajmuję w redakcji. To wręcz niewiarygodne. Jak mogłem przewidzieć, będąc w Ameryce, gdzie – dla dodania animuszu i odwagi – wsadzają ci w tyłek petardę, że idealna posada dla człowieka z moim usposobieniem polegać będzie na wyszukiwaniu błędów ortograficznych? Tam u nas nie myśli się o niczym innym jak tylko o tym, by pewnego dnia zostać prezydentem USA. Potencjalnie każdy jest materiałem na prezydenta. Tutaj wygląda to inaczej. Tu każdy jest potencjalnym zerem. Jeżeli zostaniesz kimś lub coś osiągniesz, to przypadek, prawdziwy cud. Masz jedną szansę na tysiąc, że nigdy nie opuścisz swej rodzinnej wioski. Masz jedną szansę na tysiąc, że ci przestrzelą nogi albo wyłupią oczy. Chyba że nastąpi cud i zostaniesz generałem lub kontradmirałem.

Ale właśnie dlatego, że wszystko obraca się przeciw tobie, że nadzieje na cokolwiek są tak nikłe, życie tutaj nie pozbawione jest słodyczy. Dzień za dniem. Bez wczoraj, bez jutra. Barometr zastygł, flaga na zawsze zatrzymała się w połowie masztu. Nosisz czarną opaskę na ramieniu i małą wstążeczkę w butonierce, a jeśli masz szczęście i pieniądze, kupujesz sobie parę protez z lekkiego metalu, najlepiej z aluminium. I wszystko to nie przeszkadza ci cieszyć się aperitifem ani chodzić do zoo czy też flirtować z żeńskimi sępami szybującymi po bulwarach, zawsze czujnie wypatrującymi nowej padliny. Czas płynie. Jeśli jesteś obcokrajowcem, a twoje papiery są w porządku, możesz narażać się na infekcję bez obawy, że zachorujesz. Jeszcze lepiej, jeśli ci się uda otrzymać pracę korektora. *Comme ça, tout s'arrange*. Znaczy to, że gdy przypadkiem wracasz pieszo do domu o trzeciej nad ranem i zostaniesz zatrzymany przez gliniarzy na rowerach, możesz machnąć na nich ręką. Rano, kiedy targ się rozkręci, możesz kupić belgijskie jajka po pięćdziesiąt centymów za sztukę. Korektor nie wstaje zwykle przed południem, raczej trochę później. Dobrze jest więc zamieszkać w hotelu położonym niedaleko kina, bo jeśli masz skłonności do przesypiania, dzwonek budzi cię, gdy zaczyna się poranny seans. A jeżeli nie możesz znaleźć hotelu koło kina, wybierz sobie ulokowany w pobliżu cmentarza, rezultat będzie ten sam. Przede wszystkim nigdy nie poddawaj się rozpacz. *Il ne faut jamais désespérer*.

Tę właśnie zasadę usiłuję co wieczór wbić do głowy Carlowi i Van Nordenowi. Świat odbiera nam nadzieję, ale to nie powód do rozpacz. Czuję się, jakby mnie nawrócono na nową religię, jak gdybym codziennie uczestniczył w nowennie poświęconej Matce Boskiej Nieustającej Pomocy. Nie wyobrażam sobie, co zyskałbym zostając redaktorem tej gazety, czy nawet prezydentem USA. Znajduję się w ślepej uliczce i jest mi tu zacisznie i wygodnie. Trzymając w ręku arkusze korekty słucham rozbrzmiewającego wokół koncertu, tego

mruczanda ludzkich głosów, dzwonek linotypów, jakby tysiąc srebrnych bransoletek przepuszczano przez wyżymaczkę; od czasu do czasu przemknie nam pod nogami szczur albo karaluch zejdzie ze ściany tuż przed nami, poruszając się żwawo i ostrożnie na swych delikatnych odnóżach. Podtykają ci tu pod sam nos wydarzenia całego dnia, spokojnie, niezbyt ostentacyjnie, tylko od czasu do czasu jakaś poprawka lub nazwisko autora poświadczy obecność ludzkiej ręki, przejaw *ego*, cień próżności. Obok przechodzi ten korowód, pogodnie, niespiesznie niczym orszak żałobny wstępujący w cmentarną bramę. Warstwa papieru pod biurkiem korektora jest tak gruba, że w dotyku przypomina puszysty dywan. Pod biurkiem Van Nordena pokryta jest plamami brązowego soku. Około jedenastej zjawia się sprzedawca fistaszków, pewien armeński półgłówek, także niezwykle zadowolony z życia.

Co pewien czas otrzymuję telegram od Mony, w którym zawiadamia mnie, że przybędzie następnym statkiem. Ciągłe dodaje: „List w drodze”. Trwa to od dziewięciu miesięcy, ale jej nazwiska nigdy nie ma na liście przybyłych pasażerów, ani też *garçon* nie przynosi mi jakoś listu na srebrnej tacy. Z tej strony również więc niczego nie oczekuję. Jeśli kiedyś naprawdę przyjedzie, może mnie poszukać na parterze, za ubikacją. Pewnie od razu powie mi, że to niehigieniczne. To pierwsze, co uderza Amerykanki w Europie – że jest tu niehigienicznie. Nie są one w stanie wyobrazić sobie rajy bez nowoczesnej kanalizacji. Gdy znajdą pluskwę, chcą natychmiast pisać do ministra. Jakie mam szanse wytłumaczyć jej kiedykolwiek, że czuję się tu dobrze? Powie, że się zdegenerowałem. Znam jej śpiewkę od początku do końca. Będzie chciała znaleźć pracownię z przyległym ogrodem – i oczywiście z wanną. Chce być biedna w romantycznym stylu. Znam ją dobrze. Ale tym razem jestem na jej przyjazd przygotowany.

Są jednak takie dni, kiedy po zachodzie słońca zostawiam udeptaną ścieżkę – wtedy myślę o niej z głodem w sercu. Raz po raz, pomimo ponurego zadowolenia, zaczynam myśleć o innym sposobie życia i zastanawiać się, czy to, że miałbym u boku młodą, pełną życia istotę, stanowiłoby jakąś różnicę. Kłopot polega na tym, że prawie nie pamiętam, jak ona wygląda i co czułem trzymając ją w objęciach. Wszystko, co związane jest z przeszłością, spoczęło jakby na dnie morza; pozostały wspomnienia, ale obrazy utraciły ostrość, stały się martwe i przypadkowe, jak nadgryzione zębem czasu mumie pogrążone w bagnie. Gdy usiłuję sobie przypomnieć moje życie w Nowym Jorku, powraca jedynie kilka okruchów, fragmentów, koszmarnych i pokrytych grynszpanem. Wydaje się, jakby moja właściwa egzystencja już się gdzieś zakończyła, chociaż nie mogę odkryć, gdzie się to stało. Nie jestem już przecież Amerykaninem ani nowojorczykiem, a jeszcze mniej Europejczykiem czy paryżaninem. Nie jestem nikomu winien posłuszeństwa, nie mam obowiązków ani zmartwień, nie ma we mnie uprzedzenia ani nienawiści, nie ma namiętności. Nie jestem ani za, ani przeciw. Zachowuję neutralność.

Kiedy co noc wracamy do domu we trójkę, zdarza się często, że po początkowych spazmach obrzydzenia zaczynamy rozmawiać o tym, jak sprawy stoją, z entuzjazmem, na jaki potrafią się zdobyć jedynie ludzie nie biorący w życiu czynnego udziału. Czasem wydaje mi się dziwne, kiedy włożę do łóżka, że cały ten entuzjazm wzbudzamy tylko i wyłącznie po to, aby zabić czas i unicestwić te trzy kwadransy, których potrzeba na przejście z redakcji na Montparnasse. Może i miewamy najbardziej błyskotliwe, najłatwiejsze do urzeczywistnienia pomysły udoskonalenia tego i owego, ale nie dysponujemy żadnym sposobem ich realizacji. I co dziwniejsze, brak jakiegokolwiek związku między tymi pomysłami a życiem nie sprawia nam bólu ani przykrości. Jesteśmy już tak przystosowani, że gdyby jutro kazano nam chodzić na rękach, uczynilibyśmy to bez najmniejszego odruchu protestu. Pod warunkiem, oczywiście, że gazeta ukazałaby się jak zwykle. I że regularnie zgarnialibyśmy naszą pensję. Nic poza tym nas nie obchodzi. Zupełnie nic. Ulegliśmy wpływom Wschodu. Staliśmy się kulisami, uciszanymi co dzień garstką ryżu. Któregoś dnia przeczytałem, że szczególną cechą

czaszek Amerykanów jest obecność w potylicy pewnej dodatkowej kości zwanej *os Incae*. Wiąże się ona, kontynuował ów uczony mąż, z faktem przetrwania poprzecznego szwu potylicznego, który zwykle zrasta się podczas rozwoju płodu. Jest to więc oznaka zahamowanego rozwoju wskazująca na podrzędność rasy. „Przeciętna pojemność czaszki Amerykanina – ciągnął dalej swe wywody – jest mniejsza niż pojemność czaszki rasy białej, a większa niż u rasy czarnej. Biorąc pod uwagę obie płci, dzisiejsi paryżanie mają pojemność czaszki około 1448 cm³, Murzyni – 1344 cm³, a Indianie amerykańscy – 1376 cm³”. Nic z tego dla mnie nie wynika, ponieważ jestem Amerykaninem, a nie Indianinem. Ale to ślicznie móc tak to sobie wyjaśnić – obecnością jakiejś kości, na przykład *os Incae*. Wcale nie burzy jego teorii stwierdzenie, że pojedyncze egzemplarze czaszek Indian osiągały niezwykle dużą pojemność 1920 centymetrów sześciennych, wielkość nie przekrozoną przez żadną inną rasę. Z satysfakcją zauważam jednak, że paryżanie płci obojga zdają się mieć normalną pojemność czaszki. Widocznie poprzeczny szew potyliczny nie zachował się u nich w reliktowej formie. Potrafią cieszyć się aperitifem i nie martwią się tym, że ich domy są nie otynkowane. Musi być więc jakieś inne wytłumaczenie sztuki życia, którą opanowali w stopniu tak doskonałym.

Na tyłach bistro, które prowadzi monsieur Paul, znajduje się salka dla ludzi z gazety, gdzie możemy jadać na kredyt. Jest tam bardzo przyjemnie: podłogę wysypano trocinami, a muchy dokuczają przez cały rok. Kiedy mówię, że jest zarezerwowana dla ludzi z gazety, nie usiłuję sugerować, że możemy tam jadać w odosobnieniu; wręcz przeciwnie, znaczy to, że dany jest nam przywilej obcowania z kurwami i alfonsami, stanowiącymi zdecydowaną większość klienteli. Ten układ pasuje jak ulał facetom z piętra, ponieważ bez przerwy rozglądają się za spódniczkami i nawet ci, którzy mają stałą dziewczynę Francuzkę, nie są przeciwni jakiegokolwiek odmianie od czasu do czasu. Problem polega tylko na tym, żeby nie złapać syfa; wiele wskazuje na to, że co i rusz w redakcji wybucha epidemia – może da się to wytłumaczyć faktem, że oni wszyscy spiąją z tą samą kobietą. Tak czy siak, serce mi rośnie, gdy widzę, jak bywają przybici ci z piętra, kiedy muszą siedzieć obok alfonsa, który – mimo drobnych trudów związanych z jego profesją – w porównaniu z nimi żyje luksusowo.

Mam na myśli szczególnie pewnego wysokiego blondyna doręczającego na rowerze informacje agencji Havas. Zawsze trochę się spóźnia na obiad, poci się obficie, a twarz ma umazaną błotem. Wchodzi do bistro ze swoistym wdziękiem, trochę niezgrabnie, salutuje każdemu dwoma palcami i biegnie prosto do umywalki, mieszczącej się dokładnie między toaletą a kuchnią. Wycierając twarz, szybko omiata wzrokiem wiktuały; jeżeli zobaczy na stole ładny stek, bierze go do ręki i obwąchuje albo zanurza chochlę w wielkim garze, by skosztować zupy. Przypomina psa myśliwskiego z nosem nieustannie przy ziemi. Zakończywszy te czynności wstępne, po zrobieniu siusiu i energicznym wydmuchnięciu nosa, podchodzi nonszalancko do swojej panienki i daje jej głośnego całusa, poklepując czule po tyłku. Jeśli chodzi o tę panienkę, to nigdy nie widziałem, żeby wyglądała inaczej niż nieskazitelnie czysto i schludnie, nawet o trzeciej rano, po całonocnej pracy. O każdej porze sprawia wrażenie, jak gdyby przed chwilą wyszła z tureckiej łaźni. Przyjemnie jest patrzeć na takie zdrowe okazy zwierząt, widzieć podobny luz, przywiązanie i apetyt, które demonstrują. Mam teraz na myśli podwieczorek, tę drobną przekąskę, którą zwykła zjadać przed przystąpieniem do pełnienia swych obowiązków. Za chwilę będzie zmuszona opuścić swego wielkiego zwierzaka o blond włosach, klapnąć gdzieś przy bulwarze i sączyć *digestif*. Jeśli jej praca jest przykra, nużąca czy wyczerpująca, to w żaden sposób tego nie okazuje. A gdy pojawia się ten wielki facet, głodny jak wilk, obejmuje go i całuje namiętnie – w oczy, nos, policzki, włosy, kark... pocałowała by go i w tyłek, gdyby wypadało to robić publicznie. Widać że przepelnia ją wdzięczność. Nie jest niewolnicą zmuszoną harować za psi grosz. W trakcie posiłku przez cały czas śmieje się spazmatycznie. Nikomu nie przyszłoby do głowy,

że może mieć jakieś troski. A od czasu do czasu, by dać upust uczuciu, wymierza mu głośny policzek, trzaśnięcie, które korektora wprawiliby w efektowny piruet.

Oboje zdają się nie zauważać niczego poza sobą i jedzeniem, którym opychają się niezwykle łąpczywie. Cóż za beztroska, cóż za harmonia, jakież wzajemne zrozumienie. Ich widok doprowadza wręcz Van Nordena do szaleństwa. Zwłaszcza kiedy ona wsuwa temu drażalowi rękę w rozporek i pieści go, na co on reaguje, łapiąc ją za cycek i ściskając go swawolnie.

Jest tam jeszcze jedna parka, zjawiająca się mniej więcej o tej samej porze; ci zachowują się zupełnie jak małżeństwo. Miewają sprzeczki, piorą publicznie swoje brudy i gdy uda im się stworzyć sytuację wielce nieprzyjemną dla siebie i innych, po groźbach i przekleństwach, wyrzutach i wzajemnym obwinianiu się, usiłują wynagrodzić to sobie pieszczotami i gruchaniem, zupełnie jak para gołąbków. Lucienne, jak on ją nazywa, jest solidnie zbudowaną platynową blondynką; z jej twarzy emanuje okrucieństwo i cynizm. Ma grubą dolną wargę, którą przygryza w jadowym grymasie, kiedy wpadnie w złość, i zimne oczka, małe jak paciorki, w kolorze wypłowiałego błękitu. Kiedy go nimi przyszpili, na czoło występuje mu pot. Ale jest niezła, ta Lucienne, mimo profilu kondora, który nam prezentuje, ilekroć zaczyna się sprzeczka. W torbie ma zawsze mnóstwo forsy i jeśli wydziela mu ją z namysłem, to tylko dlatego, że nie chce popierać jego złych nawyków. Jeśli brać poważnie tyrady Lucienne, jej partner ma słaby charakter. Potrafi wydać pięćdziesiąt franków w jeden wieczór, czekając na jej powrót z pracy. A jak kelnerka chce przyjąć zamówienie, okazuje się, że on nie ma apetytu.

– Co, znowu nie jesteś głodny! – warczy Lucienne. – Więc to tak! Zupełnie jakbyś czekał na mnie na Faubourg Montmartre. Mam nadzieję, że wyśmienicie się bawiłeś, kiedy harowałam na ciebie jak niewolnica. G a d a j , i m b e c y l u , g d z i e b y ł e ś ?

Gdy tak wybuchła, kiedy się wścieka, on patrzy na nią nieśmiało, a potem, postanawiając zapewne, że najlepiej jest milczeć, spuszcza głowę i zaczyna bawić się serwetką. Ale ten drobny gest, doskonale jej znany i napawający ją cichą radością, ponieważ utwierdzają w przekonaniu, że ma on coś na sumieniu, tylko potęguje gniew Lucienne.

– G a d a j , i m b e c y l u ! – drze się.

On zaś tłumaczy żałośnie nieśmiałym, piskliwym głosem, iż czekając na nią zgłodniał tak dalece, że musiał wpaść na kanapkę i piwo. To wystarczyło, by stracił apetyt – mówi płacząco, choć to oczywiste, że jedzenie stanowi dlań w tym momencie najmniejszą z trosk.

– Ale – usiłuje mówić tonem bardziej przekonującym – przez cały czas czekałem na ciebie.

– Kłamiesz – wrzeszczy ona. – Jesteś kłamcą! Ale na szczęście ja też potrafię kłamać... i to lepiej od ciebie! Rzygać mi się chce, gdy słyszę te twoje niezdarne kłamstewka. Dlaczego nie stać cię na jakieś wielkie kłamstwo?

On znów zwiesza głowę, z roztargnieniem zbiera z obrusa kilka okruchów i pakuje do ust, a ona uderza go po rękę.

– Przestań! Przez ciebie czuję się zmęczona. Taki imbecyl! A w dodatku kłamca! Poczekaj tylko! Powiem ci coś: ja też umiem kłamać, ale przynajmniej nie jestem imbecylem.

A po chwili siedzą już blisko siebie, trzymając się za ręce, ona zaś mruczy do niego cichutko:

– Ach, mój króliczku, jak ciężko mi cię teraz zostawiać. Chodź, pocałuj mnie! Co będziesz robił wieczorem? Powiedz prawdę, mój małeńki... Przykro mi, że mam taki paskudny charakter.

On całuje ją nieśmiało, właśnie jak króliczek z długimi różowymi uszami, cmoka ją w usta, jakby skubał liść kapusty. Jednocześnie jego błyszczące okrągłe oczka spoglądają pieszczotliwie na jej torebkę, która leży otwarta obok niej na ławce. Czyha tylko na moment,

gdy ona go łaskawie opuści; marzy o tym, by się stąd wydostać i usiąść w jakiejś cichej kawiarence na rue du Faubourg Montmartre.

Znam go, tego niewinnego łajdaka o okrągłych przerażonych oczkach królika. I wiem, jaką łajdacką ulicą jest Faubourg Montmartre z mosiężnymi tabliczkami na eleganckich odrzwiach i gumowymi utensyliami w podejrzanych sklepikach, ze światłami migocącymi przez całą noc i seksem spływającym ulicą niczym ścieki w rynsztoku. Spacer od rue Lafayette do bulwaru przypomina przejście wzdłuż szpaleru policjantów z pałami; wczepiają się w ciebie jak pijawki, wgryzają niczym mrówki, przymilają się, wdzięczą, schlebiają, zaklinają, usiłują to robić po niemiecku, angielsku, hiszpańsku, obnażają swoje rozdarłe serca i pokazują zdarte buty; jeszcze długo po tym, jak uda ci się oswobodzić z ich macek, gdy ucichnie już ten gwar i harmider, masz w nozdrzach zapach *lavabo* – to woń *Parfum de Danse*, których skuteczność gwarantowana jest tylko z odległości dwudziestu centymetrów. Można przesrać całe życie na tym małym odcinku między bulwarem a rue Lafayette. Każdy bar tętni życiem, pulsuje, kości zaraz pójdą w ruch, krupierzy ulokowani na wysokich stołkach przypominają sępy, a pieniądze, które zgarniają, przesiąknięte są ludzkim fetorem. Nie ma w Banque de France ekwiwalentu dla krwawicy będącej tam w obiegu, pieniędzy lśniących od ludzkiego potu, przechodzących z rąk do rąk gwałtownie jak pożar lasu, pozostawiających po sobie dym i smród. Mężczyzna, który zdoła przejść wieczorem przez Faubourg Montmartre nie dysząc z żądz i nie pocąc się, bez modlitwy czy przekleństw na ustach, taki mężczyzna jest pozbawiony jaj, a jeśli je ma, to należałoby go wykastrować.

Przypuśćmy, że nasz zastraszony króliczek naprawdę wyda pięćdziesiąt franków w jeden wieczór, czekając na swoją Lucienne. Przypuśćmy, że rzeczywiście zgłodnieje i kupi sobie kanapkę i piwo albo przystanie na chwilę, by porozmawiać z dziwką innego faceta. Pomyślicie, że zmęczy go ta runda, powtarzana co wieczór. Pomyślicie, że go przytłoczy, stłamsi, zanudzi na śmierć. Nie uważacie chyba, iż alfons nie jest człowiekiem? Alfons także miewa swoje prywatne smutki i zmartwienia, nie zapominajcie o tym. Może pragnęłby co wieczór stać na rogu ulicy z parą białych psów i przyglądać się, jak sikają. Chciałby może – gdy wejdzie do domu – ujrzeć ją w fotelu, pogrążoną w lekturze „Paris-Soir”, zobaczyć, jak jej oczy zamykają się do snu. Może to wcale nie takie rozkoszne pochyłać się nad Lucienne i czuć oddech innego faceta. Może już lepiej mieć ledwo trzy franki w kieszeni i parę białych psów sikających na rogu niż poczuć smak zmalretowanych warg? Założę się, że kiedy ona obejmie go mocno, gdy błaga go o ten zastrzyk miłości, który tylko on potrafi jej dać, założę się, że walczy wówczas jak sto diabłów, by go podrajcować, by zatrzeć ślady tych zastępów, które przemaszerowały między jej nogami. Może, gdy na jej ciele ćwiczy jakąś nową melodyjkę, nie jest to wcale z jego strony wyłącznie namiętność i ciekawość, ale walka w ciemności, walka w pojedynkę przeciwko całej armii zdobywców tej twierdzy, armii, która po niej przeszła, stratowała ją i która pozostawiła w niej takie nienasycone pragnienie, że nawet jakiś Rudolph Valentino nie mógłby go zaspokoić. Kiedy słyszę zarzuty podnoszone przeciwko dziewczynom w rodzaju Lucienne, kiedy słyszę, jak się ją obmawia lub pogardza nią za to, że jest zimna i sprzedaj na, że robi to zbyt mechanicznie albo zbyt pośpiesznie, że to i że tamto, wówczas mówię do siebie: chwileczkę, robaczku, nie tak prędko! Pamiętaj, że jesteś ostatni w kolejce, pamiętaj, że szturmowała ją cała armia i zostawiła jałową, ograbioną, złupioną. Mówię do siebie – słuchaj, ptaszyno, nie żałuj tych pięćdziesięciu franków, które jej dałeś, chociaż wiesz, że jej alfons przesrywa je na Faubourg Montmartre. To jej pieniądze i jej alfons. To pieniądze zroszone krwią, pieniądze, które nigdy nie zostaną wycofane z obiegu, ponieważ w całym Banque de France nie ma niczego, za co można by je wykupić.

Często o tym rozmyślam siedząc w swojej niszy i żonglując raportami Havas lub rozplątując teleks z Chicago, Londynu czy Montrealu. Pomiedzy rynki gumy i jedwabiu a pszenicy z Winnipeg wkradają się wówczas odgłosy Faubourg Montmartre, jej gwar i harmider. Kiedy obligacje kruszą się jak glina, mocne akcje stają dęba, a mniej ważne

wyparowują, gdy na giełdzie panuje hossa i naniesiono już wszystkie znaki przestankowe, sprawdzono, ostatecznie skorygowano, zaczopowano i wyżęto przez srebrne bransoletki każdą pieprzoną katastrofę, każdą reklamę, każdą informację ze sportu i świata mody, każdy powrót transatlantyku i każdą plotkę, kiedy słyszę odgłosy nadawania ostatecznego kształtu stronie tytułowej i widzę, jak żabojady tańczą wokół niej niczym syczące fajerwerki, wówczas biegnę myślami do Lucienne, szybującej wzdłuż bulwaru z rozpostartymi skrzydłami jak wielki srebrny kondor zawieszony nad ospałą falą ulicznego ruchu, przedziwny ptak z wierzchołków Andów o różowobiałym podbrzuszu i wilgotnym małym koraliku. Niekiedy wracam do domu samotnie i wówczas podążam za nią przez dziedziniec Luwru, przez Ponts des Arts, pod arkadami, przez szpary i szczeliny, przedzieram się przez senność i narkotyczną biel, przez żelazne kraty Ogrodów Luksemburskich, splątane gałęzie, odgłosy chrapania i jęki, zielone listwy ławek, brzdąkanie i brzęczenie, ostre ramiona gwiazd lśniących jak cekiny, drewniane pomosty nad Sekwaną, markizy w niebieskie i białe pasy, muśnięte przez nią koniuszkami skrzydeł.

W niebieskawej poświacie elektrycznego świtu łupiny po fistaszkach są kruche i pogniecione; wzdłuż nabrzeża na Montmartre lilie wodne pochylają się i łamią. Kiedy nadchodzi odpływ i na mieliźnie, w błocie, pozostaje zaledwie kilka zasyfionych rusałek, Dôme przypomina strzelnicę po przejściu cyklonu. Wszystko na powrót sączy się do kanału ściekowego. Przez jakąś godzinę panuje martwy bezruch, uprząta się jedynie rzygowiny. Nagle drzewa zaczynają skrzeczeć. Od jednego końca bulwaru po drugi niesie się obłąkańcza pieśń, jak sygnał obwieszczający zamknięcie giełdy. Jeżeli ktoś żywił jakieś nadzieje, trafiają one do kosza. Nadchodzi chwila wydalenia ostatniej porcji uryny. Dzień nadciąga niczym trędownaty...

Jeśli pracujesz w nocy, musisz się wystrzegać jednej rzeczy: nie wolno ci odstąpić od swego rozkładu dnia; jeżeli nie pójdziesz do łóżka, zanim zaczną skrzeczeć ptaki, nie ma sensu w ogóle się kłaść. Tego ranka, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem do *Jardin des Plantes*. Mają tam wspaniałe pelikany z Chapultepec i gapiące się na ciebie głupio pawie o ogonach wysadzanych klejnotami. Nagle zaczęło padać.

Wracając autobusem na Montparnasse zauważyłem naprzeciwko małą Francuzkę siedzącą w pozie sztywnej i wyprostowanej, jakby sposobila się do rozpostarcia pióropusza. Przycupnęła na brzeżku ławki, jakby się bała, że połamie swój przepyszny ogon. Jakże cudownie byłoby, pomyślałem, gdyby nagle wzdrygnęła się i z jej *derrière* otworzyły się olbrzymi wachlarz długich jedwabistych piór wysadzanych klejnotami.

W Café de l'Avenue, gdzie wstąpiłem, by coś przegryźć, kobieta z nabrzmiałym brzuchem usiłuje zainteresować mnie swoim stanem. Chciałaby, abym poszedł z nią do pokoju i spędził godzinkę lub dwie. Pierwszy raz zdarzyło mi się otrzymać podobną propozycję od kobiety ciężarnej i aż mnie korci spróbować. Gdy tylko dziecko przyjdzie na świat i zostanie przekazane władzom, powróci do swego zawodu, mówi. Jest modystką. Spostrzegłszy, że moje zainteresowanie nią przygasa, bierze mnie za rękę i kładzie ją sobie na brzuchu. Czuję, jak coś się rusza w środku. Odbiera mi to apetyt.

Nigdy nie widziałem miasta takiego jak Paryż, jeśli chodzi o różnorodność seksualnego menu. Gdy tylko kobieta traci jeden z przednich zębów lub nogę, pozbywa się wszelkich zahamowań. W Ameryce zginęłaby z głodu, gdyby nie miała innych walorów poza kalectwem. Tu wygląda to inaczej. Brakujący ząb, wyżarty nos czy wypadającą macicę, każdą ułomność osłabiającą urok i naturalne ciepło kobiecie uważa się tu za coś przydadającego pikanterii i pobudzającego słabnący apetyt mężczyzny.

Mam naturalnie na myśli ów świat typowy dla wielkich miast, świat mężczyzn i kobiet, z których maszyna wycisnęła ostatnią kroplę soku – tych męczenników postępu. To owa masa kości i spinek od kołnierzyka, którą malarzowi tak trudno przyoblec w ciało.

Dopiero później, po południu, znalazłszy się w galerii sztuki na rue de Sèze w otoczeniu mężczyzn i kobiet Matisse'a, zostaje z powrotem zwabiony do stref właściwych światu ludzi. Na progu wielkiej sali, której ściany skąpane są teraz w ogniu, przystaje na chwilę, by otrząsnąć się z szoku, jakiego się doświadcza, gdy powszednia szarość świata ulega rozdarciu, a barwy życia wytryskują pieśnią i wierszem. Nagle jestem w świecie tak naturalnym i tak doskonałym, że czuję się zagubiony. Mam wrażenie, że zanurzam się w krwiobiegu życia, w samym centrum istnienia niezależnie od tego, jakie zajmę miejsce, jaką przybiorę postawę i jaką przyjmę pozycję. Czuję się równie zagubiony jak kiedyś, gdy zagłębiłem się w samym sercu kwitnącego gaju i usadowiony w jadalni ogromnego świata Balbec po raz pierwszy zrozumiałem głęboki sens noszonych w głębi serca martwych natur, manifestujących swoją obecność poprzez egzorcyzm wzroku i dotyku. Stojąc oto na progu świata stworzonego przez Matisse'a, doświadczam na nowo mocy objawienia, które pozwoliło niegdyś Proustowi na taką deformację obrazu życia, że tylko podobnie jak on wrażliwi na alchemię dźwięków i wrażeń są w stanie nadać negatywnej rzeczywistości życia konkretny i doniosły kształt dzieła sztuki. Jedynie ci, którzy potrafią dopuścić światło do swojego wnętrza, mogą przetłumaczyć to, co nosimy w sercu. Wyraźnie przypominam sobie teraz, jak rozszczepił się migotliwy blask światła odbitego od masywnych kandelabrow, ociekając krwią i nakrapiając wierzchołki fal uderzających monotonnie w matowe złoto za oknem. A na plaży – płatanina masztów i kominów i szybująca na falach jak niewyraźny cień postać Albertyny, która – wtapiając się w tajemnicze jądro i pryzmat protoplazmatycznego królestwa – połączyła swój cień ze snem i zwiastunem śmierci. U schyłku dnia, jak mgła podnosi się z ziemi ból, osacza nas smutek i żaluzje przesłaniają nie kończący się horyzont, gdzie morze łączy się z niebem. Na narzucie łóżka leżą bezwładnie dwie woskowe dłonie, a wzdłuż białych żył tęskny szmer muszli powtarza legendę jej narodzin.

Każdy namalowany przez Matisse'a wiersz zawiera historię drobiny ludzkiego ciała, które nie poddało się śmierci. Cały płatek ciała od włosów po paznokcie wyraża cud oddychania, tak jakby oko wewnętrzne, powodowane pragnieniem większego realizmu, przekształciło wszystkie pory ciała w głodne, widzące usta. Przechodząc obok każdej z tych wizji można odnaleźć zapachy i dźwięki podróży. Nie można spojrzeć na jakikolwiek zakątek jego snów i nie odczuć wznoszącej się fali i chłodu rozbryzgującej się piany. On tymczasem stoi u steru, niebieskimi oczyma niezłomnie wpatrzony w skoroszyt czasu. W jakież to odległe ustronia nie zawędrowało, obiegając Ziemię, jego dalekosiężne spojrzenie. Spoglądając w dół szerokiego wzniesienia swego nosa ujrzał wszystko – Kordyliery osypujące się do Pacyfiku, historię diaspory spisaną na welinie, żaluzje naśladujące tęskny szelest plaży, fortepian skreślony jak muszla, korony kwiatów rozbrzmiewające diapazonami światła, kameleony przygniecione prasą drukarską, seraje ginące w oceanach pyłu, muzykę buchającą ogniem z ukrytej chromosfery bólu, zarodek i madrepore zapładniające ziemię, pępki rzygające jasnym nasieniem udręki... Matisse jest błyskotliwym mędrcom, tańczącym prorokiem – jednym pociągnięciem pędzla usuwa ohydne rusztowanie, do którego łańcuch nieodwracalnych kolei życia przykuwa człowieka ciało. To on właśnie, jeśli ktokolwiek posiada dziś jeszcze ten dar, wie, jak roztopić ludzką postać, ma odwagę poświęcić jedną harmonijną kreskę, by odkryć rytm i szept krwi, wziąć światło załamane w swoim wnętrzu i zalać nim klawiaturę barw. Dostrzega niewidzialny porządek ukryty za drobnostkami, za chaosem i parodią życia; swoje odkrycia ogłasza w metafizycznym pigmentcie przestrzeni. Nie kieruje nim chęć szukania wzorów, krzyżowania idei ani żaden inny przymus poza pędem tworzenia. Nawet w chwili, gdy świat się wali, pozostaje w jego rdzeniu jeden człowiek, coraz pewniej zakotwiczony, coraz bliższy środka, podczas gdy proces rozkładu stale postępuje.

Świat coraz bardziej przypomina sen entomologa. Ziemia wypada z orbity, oś została przesunięta, z północy wieje śniegiem, który tworzy olbrzymie zasy, błękitne jak błysk noża.

Nadchodzi nowa epoka lodowcowa, poprzeczne szwy Ziemi zrastają się i na całym obszarze uprawy zbóż świat zarodkowy zamiera, przekształcając się w martwy wyrostek sutkowy. Cał po calu wysychają delty rzek, a ich koryta stają się gładkie jak szkło. Nastaje nowy dzień, dzień metalurgiczny, kiedy Ziemia zabrzęczy od deszczu jaskrawożółtej rudy. Gdy termometr opada, forma świata ulega zamazaniu; zachodzi jeszcze wprawdzie osmoza, nawet okluzja, lecz na obrzeżach żyły są już całkiem zwapniałe, a fale świetlne załamują się f słońce krwawi jak pęknięty odbył.

Matisse tkwi w samej piaście tego rozpadającego się koła. I będzie wirował tak do czasu, gdy wszystko, co weszło w skład tego koła, ulegnie rozpadowi. Już przejechał spory kawałek globu przez Persję, Indie i Chiny, jak magnes zbierając mikroskopijne cząsteczki z Kurdystanu, Beludżystanu, Timbuktu, Somali, Angkoru, Ziemi Ognistej. Odaliski przyozdobił malachitem i jaspisem, ich ciała osłonił woalkami tysiąca perfumowanych oczu, zanurzonych w spermie wielorybów. Gdziekolwiek zawieje bryza, pojawiają się piersi chłodne jak galaretka, białe gołębie zaczynają trzepotać skrzydłami i parzyć się w żyłach Himalajów, błękitnych jak lód.

Tapeta, którą ludzie nauki przysłonili rzeczywistość, rozpada się na strzępy. Wielki burdel, jaki uczynili z życia, nie wymaga dekoracji; chodzi o to, by właściwie działała kanalizacja. Piękno, to kocie piękno, które trzyma nas w Ameryce za jaja, należy do przeszłości. By pojąć nową rzeczywistość, trzeba najpierw rozebrać rury kanalizacyjne, otworzyć zgangrenowane kanały układu moczowo-płciowego, który dostarcza ekskrementów sztuce. Zapachem dnia jest odór nadmanganianu i formaldehydu. Przewody kanalizacyjne zatkane są uduszonymi embrionami.

Świat Matisse'a jest wciąż jeszcze piękny pięknem starych sypialni. Na jego obrazach nie ma łożysk kulkowych ani stalowych płyt, tłoka ani klucza francuskiego. To ten sam stary świat, który wesoło udawał się do Bois w idyllicznych czasach wina i zbiorowych orgii. Kojące i pokrzepiające jest móc poruszać się wśród tych stworzeń o żywych oddychających porach, których pochodzenie jest trwałe i solidne jak światło. Odczuwam to, zwłaszcza gdy spaceruję wzdłuż boulevard de la Madeleine, gdy kurwy z szelestem sukienek przemykają obok, a ich widok przyprawia mnie o drżenie. Czy to dlatego, że są egzotyczne lub dobrze odżywione? Nie, rzadko można spotkać piękną kobietę na boulevard de la Madeleine. Ale u Matisse'a, w wędrówkach jego pędzla, ukazuje się ten drżący blask świata, wymagający jedynie obecności kobiety dla wykryształizowania się najbardziej ulotnych aspiracji. Napotkać kobietę oferującą się obok pisuaru, gdzie znajdują się reklamy bibulek do papierosów, rumu, cyrku, wyścigów konnych, w miejscu, gdzie potężne korony drzew rozsadzają gigantyczną masę ścian i dachów, jest doświadczeniem zaczynającym się tam, gdzie kończą się granice znanego świata. Od czasu do czasu, gdy wieczorem okrążam cmentarz, natykam się na widma odalisek Matisse'a przylgnięte do pni drzew, a ich splecione włosy są mokre od żywicznego soku. Zaledwie kilka stóp dalej, a jednocześnie odległy o niezliczone eony czasu, leży twarzą do ziemi, owinięty jak mumia, duch Baudelaire'a, przedstawiciela tego świata, który już nigdy nie beknie. W mrocznych zakątkach kawiarni mężczyźni i kobiety trzymają się za ręce, a ich lędźwie są całe w plamach; tuż obok stoi kelner z fartuchem pełnym drobnych, cierpliwie czekając na przerwę, by zwalić się na swoją żonę i posunąć ją. Mimo że świat się rozkłada, Paryżem należącym do Matisse'a wstrząsają oślepiające, ciężko dyszące orgazmy, powietrze jest ciężkie od zapachu spermy, a drzewa splecione jak włosy. Na swej rozchwianej osi koło uporczywie toczy się w dół; nie ma hamulców, łożysk kulkowych ani balonowych opon. Koło się rozpada, lecz nic nie jest w stanie zakłócić jego obrotów...

Jak grom z jasnego nieba przychodzi pewnego dnia list od Borysa, którego nie widziałem od kilku miesięcy. Dziwny to dokument i nie mam zamiaru udawać, że wszystko dobrze rozumiem. „Tym, co zaszło między nami – w każdym razie, jeśli chodzi o mnie – jest fakt, że poruszyłeś mnie do głębi, dotknąłeś mego życia, to jest jego jedynego punktu, w którym pozostają żywy: mojej śmierci. Dzięki temu impulsowi uczuć na powrót pogrążyłem się w nurcie życia. Zmartwychwstałem, ożyłem. I to nie dzięki wspomnieniom, jak w innych przypadkach, lecz cieleśnie”.

Taki był początek. Ani słowa pozdrowienia, daty czy adresu. Napisane cienkimi, okazałymi kulfonami na wydartym z notesu liniowanym papierze. „Dlatego też, czy mnie akceptujesz, czy nie – a w głębi duszy podejrzewam, że mnie nienawidzisz – jesteś mi bardzo bliski. Dzięki tobie wiem, jak szczęłem; widzę raz jeszcze, jak umieram; n a p r a w d ę umieram. To jest coś. To więcej niż być martwym. Może dlatego tak bardzo obawiam się spotkania z tobą; może zrobiłeś mi kawał i umarłeś. Wszystko dzisiaj dzieje się tak szybko”.

Czytam list raz jeszcze, linijka po linijce. Chyba zbzikował – takie wrażenie robi na mnie ta cała czcza gadanina o życiu i śmierci, i o tym, że wszystko dzieje się tak szybko. Według mnie nic się nie dzieje, poza zwykłymi katastrofami na tytułowej stronie gazety. On zaś przez ostatnie pół roku żył pogrążony w całkowitej samotności, zaszyty w jakimś tanim pokoju hotelowym – zapewne utrzymując telepatyczną łączność z Cronstadtem. Wspomina coś o utraconych pozycjach, ewakuacji itp., itd., jakby siedział w okopie i sporządzał raport dla dowództwa. Zapewne zasiadając do pisania włożył frak i pewnie zatarł kilka razy ręce, jak wówczas, kiedy ktoś przychodził oglądać mieszkanie. „Powodem, dla którego chciałem, byś popełnił samobójstwo...” – ciągnie dalej. W tym miejscu wybucham śmiechem. Pamiętam, jak w Villa Borghese albo u Cronstadta, gdziekolwiek tylko była, że tak powiem, przestrzeń spacerowa, chodził tam i z powrotem z ręką wetkniętą za połę fraka i klepał te swoje bzdury o życiu i śmierci, ile wlezie. Muszę wyznać, że nigdy nie rozumiałem z tego ani słowa, ale było to niezłe widowisko, a jako goja interesowało mnie oczywiście, co też się dzieje w menażerii pod jego czaszką. Niekiedy wyciągał się jak długi na kanapie, wyczerpany natłokiem myśli cisnących mu się do łba. Jego stopy zawadzały niemal o półkę z książkami, na której trzymał swego Platona i Spinozę – nie mógł zrozumieć, dlaczego uważałem, że nic mi po nich. Muszę przyznać, że gdy o nich mówił, brzmiało to interesująco, chociaż nie miałem najmniejszego pojęcia, o co mu chodzi. Czasami ukradkiem zaglądałem do jakiegoś tomu, by sprawdzić te szalone idee, które tam znajdował, ale zachodził tu związek zbyt wątły, zbyt naciągany. Mówił swoim własnym językiem, mam na myśli Borysa, kiedy byłem z nim sam na sam, ale gdy słuchałem Cronstadta, wydawało mi się, że Borys dokonuje plagiatu jego wspaniałych idei. Oni obaj mówili jakby formułami wyższej matematyki. Nic z ciała i krwi nigdy tam nie przeniknęło; to wszystko było przedziwne, makabryczne, upiornie abstrakcyjne. Kiedy przechodzili do problemu śmierci, brzmiało to nieco konkretniej: w końcu topór czy tasak musi mieć rękojeść. Sesje te sprawiały mi ogromną radość. Po raz pierwszy w życiu śmierć wydawała mi się wręcz fascynująca – wszystkie te abstrakcyjne śmierci pociągające za sobą bezkrwawe agonie. Od czasu do czasu gratulowali mi, że żyję, ale w taki sposób, że odczuwałem zażenowanie. Robili to tak, że czułem się jak atawistyczny przeżytek z XIX wieku, romantyczny rekwizyt, sentymentalny *Pithecanthropus erectus*. Zwłaszcza Borys bawił się wyśmianicze, drażniąc się ze mną w ten sposób; chciał, bym żył po to, by on mógł umrzeć zgodnie ze swoim głębokim pragnieniem. Można było pomyśleć, że te miliony na

ulicy nie są niczym innym jak martwymi krowami, jeśli się weźmie pod uwagę sposób, w jaki na mnie patrzył i atakował mnie... Wracając jednak do listu... zapomniałem o nim...

„Powodem, dla którego chciałem, byś popełnił samobójstwo tego wieczoru u Cronstadta, kiedy Moldorf stał się Bogiem, było to, że byłem ci wówczas bardzo bliski. Może bliższy, niż będę kiedykolwiek. I bałem się, strasznie się bałem, że pewnego dnia mnie zdradzisz, umrzesz na moich rękach. A ja pozostanę jak ryba bez wody, mając jedynie wyobrażenie ciebie i nic, co by je mogło podtrzymać. Nigdy bym ci tego nie wybaczył”.

Być może potraficie wyobrazić go sobie mówiącego takie rzeczy! Dla mnie nie jest jasne, jakie wyobrażenie miał o mnie, co najwyżej jasne jest, że byłem czystą ideą, fikcją utrzymującą się przy życiu bez pokarmu. Nigdy nie przywiązywał wielkiej wagi, mówię o Borysie, do sprawy jedzenia. Usiłował karmić mnie ideami i wyobrażeniami. Wszystko było ideą. Mimo to, kiedy zdecydował się na wynajęcie mieszkania, nie zapomniał o założeniu nowej uszczelki w ubikacji. Tak czy owak nie chciał, bym mu umarł na rękach. „Musisz być dla mnie życiem do samego końca – pisze. – To jedyny sposób, bym mógł zachować moje wyobrażenie o tobie. Ponieważ, jak sam widzisz, wplątałeś się w coś o tak żywotnym dla mnie znaczeniu, nie sądzę, bym kiedykolwiek potrafił się od ciebie uwolnić. Zresztą nie pragnę tego. Życzyłbym sobie, byś każdego dnia żył bardziej witalnie, jako że ja jestem martwy. Dlatego kiedy rozmawiam o tobie z innymi, ogarnia mnie pewne zażenowanie. Trudno jest mówić o własnym ja tak otwarcie”.

Wyobrażacie sobie zapewne, że pragnął się ze mną zobaczyć albo że interesował się, co porabiam – ależ nie! – ani linijki o rzeczach konkretnych czy osobistych, chyba że w języku życia-śmierci. Nic poza krótkim meldunkiem z okopów, poza zapachem trującego gazu, by powiadomić wszystkich razem i każdego z osobna, że wojna wciąż trwa. Czasami zastanawiam się, jak to się dzieje, że pociągam jedynie osobników stukniętych, neurasteników, neurotyków, psychopatów – a już szczególnie Żydów. Musi być coś w zdrowym okazie goja, co ekscytuje żydowską mentalność, podobnie jak widok razowego chleba. Był wśród nich na przykład Moldorf, który kreował się na Boga, jak twierdzą Borys i Cronstadt. Szczerze mnie nienawidził, mała zmija, a jednocześnie nie potrafił trzymać się ode mnie z daleka. Przychodził regularnie, by otrzymać swą małą porcję obelg – działała na niego jak balsam. Z początku, co prawda, byłem dla niego łagodny; w końcu płacił mi, bym go wysłuchiwał. I chociaż nigdy nie okazałem mu zbyt wiele zrozumienia, wiedziałem, jak zachować milczenie, kiedy w grę wchodził obiad i jakieś kieszonkowe. Jednak później, gdy zorientowałem się, jaki zeń masochista, pozwalałem sobie od czasu do czasu roześmiać mu się w twarz; odczuwał to jak smagnięcie biczem, powodujące wzmożony dopływ żalu i cierpienia. I może wszystko między nami ułożyłoby się gładko, gdyby nie czuł się w obowiązku chronić Tani. Ale fakt, że Tania jest Żydówką, stanowił kwestię moralną. Chciał, bym nadal trzymał się panny Claude, dla której – muszę przyznać – żywiłem prawdziwe uczucie. Od czasu do czasu dawał mi nawet pieniądze, bym się z nią przespał. Do chwili, gdy zdał sobie sprawę, że jestem beznadziejnym przypadkiem rozpustnika.

Wspominam o Tani, ponieważ właśnie wróciła z Rosji – nie dalej jak parę dni temu. Sylwester pozostał tam, by wkręcić się do jakiejś pracy. Całkowicie zrezygnował z literatury, poświęcając się nowej Utopii. Tania chce, bym z nią tam pojechał, najlepiej na Krym, i rozpoczął nowe życie. Któregoś dnia urządziliśmy niezłą popijawę w pokoju Carla i omawialiśmy różne możliwości. Chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób mógłbym tam zarabiać na życie – czy znalazłbym, na przykład, pracę korektora. Odpowiedziała, że nie muszę się tym przejmować – oni znajdą mi pracę, pod warunkiem że będę traktował wszystko szczerze i poważnie. Chciałem sprawić wrażenie przejętego, ale musiało to wyglądać żałośnie. Tam w Rosji nie chcą oglądać smutnych twarzy; masz być pogodny i wesoły, przejawiać entuzjazm i optymizm. Bardzo mi to przypominało Amerykę. Entuzjazm tego rodzaju nie został mi dany wraz z narodzinami. Oczywiście nie pisałem o tym ani słówka,

ale w duchu modliłem się, aby zostawiono mnie w spokoju, bym mógł wrócić do swojego zacisza i tkwić tam aż do wybuchu wojny. Cały ten hokus-pokus z Rosją trochę mnie wyprowadził z równowagi. Tania tak się tym podniecała, że wykończyliśmy z pół tuzina butelek *vin ordinaire*. Carl podskakiwał wokół nas jak karaluch. Jest Żydem w dostatecznym stopniu, by stracić głowę z powodu takiej idei jak Rosja. Nie wymyślił nic innego, jak ożenić nas – natychmiast. „Żeń się – mówi – nie masz nic do stracenia”. A potem udaje, że ma coś pilnego do załatwienia, pozwalając nam na jeden szybki numer. I mimo iż Tania miała na to ochotę, tak nabiła sobie głowę tą całą sprawą z Rosją, że zmarnowała ten czas, trując niemiłosiernie, co wprawilo mnie w zły humor i zniecierpliwienie. Tak czy owak musieliśmy pomyśleć o zjedzeniu czegoś i pójściu do pracy, więc wpakowaliśmy się do taksówki na boulevard Edgar-Quinet, o krok od cementarza, i ruszyliśmy. Była właśnie dobra pora, by oblecieć Paryż kabrioletem, a dzięki winu szumiącemu nam w żyłach miasto wydawało się jeszcze piękniejsze niż zwykle. Carl siedział naprzeciw nas, na strapontenie, z twarzą czerwoną jak burak. Był szczęśliwy, ten biedny skurwysyn, na myśl o tym wspaniałym życiu, które go czekało na drugim krańcu Europy. Jednocześnie, jak zauważyłem, był nieco przygnębiony. Tak naprawdę to nie chciał opuszczać Paryża, tak samo jak ja. Paryż nie był dla niego łaskawy w takim samym stopniu, w jakim nie był dla mnie ani dla innych, jeśli już o tym mowa, ale kiedy wycierpiałeś swoje i zniosłeś tu najgorsze, wówczas Paryż dobiera się do ciebie, można by rzec, chwyta cię za jaja, niczym jakaś spragniona miłości dziwka, która wolałaby raczej umrzeć niż wypuścić cię z rąk. Tak to wyglądało w jego przypadku, co widziałem wyraźnie. Gdy przetaczaliśmy się nad Sekwaną, uśmiechał się głupawo i rozglądał na boki, wpatrując się w budynki i pomniki, jakby widział je we śnie. Mnie też to trochę przypominało sen: ulokowałem rękę na biuście Tani i ścisnąłem jej piersi z całej siły, dostrzegając jednocześnie wodę pod mostami i barki, i daleko w dole Notre Dame, identyczną jak na pocztówkach. I pomyślałem sobie z pijackim rozrzewnieniem, że tak oto pozwalam się wyruchać, ale jednocześnie nie dałem niczego po sobie poznać i wiedziałem, że nigdy nie zamieniłbym tego całego zamętu wokół na Rosję ani na nic innego na świecie. To było miłe popołudnie, myślałem, a wkrótce napchamy sobie brzuchy. Zastanawiałem się, co moglibyśmy zamówić, by uczcić to spotkanie – jakieś dobre ciężkie wino, w którym utonie cały ten podejrzany interes z Rosją. Kobiet takich jak Tania, pełnych soków i ikry, nie obchodzi, co się z tobą stanie, gdy nabiją sobie czymś głowę. Pozwól im na zbyt wiele, a ściągną ci portki tu, w taksówce. Mimo to wspaniale było tak w kółko kręcić się w tym tłoku, z twarzami całkiem upačkanymi różem, z winem bulgocącym w nas jak w rynsztoku, zwłaszcza kiedy skręciliśmy w rue Laffitte, na tyle jedynie szeroką, że może stanowić obramowanie małej świątyni na jej końcu, a ponad nią wznosi się Sacré-Coeur, coś w rodzaju egzotycznej mozaiki stylów architektonicznych, klarowna francuska idea, która przebija się przez alkoholowe zamroczenie i ciska cię w wir przeszłości, w płynny sen, budząc gwałtownie, a jednocześnie nie szarpiąc ci nerwów.

Wraz z powrotem Tani i ponieważ ja mam stałą pracę, do tego mieliśmy tę pijacką rozmowę o Rosji, i nocne powroty piechotą do domu, i Paryż w pełni lata, życie wydaje się trochę lepsze. Może właśnie dlatego list taki jak Borysa wydaje się czymś zupełnie pomyłonym. Niemal codziennie spotykam się z Tanią koło piątej! by napić się razem porto, jak ona to nazywa. Pozwalam jej zabierać się do lokali, których nigdy przedtem nie widziałem, wytwornych barów w pobliżu Champs-Élysées, gdzie dźwięki jazzu i jękliwe zawodzenie dziecięcych głosów wydają się sączyć wprost z mahoniowej boazerii. Nawet kiedy idzie się do *lavabo*, te papko watę, soczyste tony ścigają cię, sączą się do kabiny przez wentylatory, czyniąc z życia mydlane, opalizujące bańki. Czy to dlatego, że nie ma tu Sylwestra i ona czuje się przez to wolna, czy też z jakiegoś innego powodu, Tania naprawdę stara się być aniołem.

– Brzydko mnie potraktowałeś tuż przed moim odjazdem – mówi do mnie pewnego dnia. – Dlaczego tak się zachowałeś? Nie zrobiłam nic, aby cię zranić, przyznaj sam.

Stawaliśmy się sentymentalni, co nie jest takie dziwne, jeśli się weźmie pod uwagę łagodne oświetlenie i tę śmietankową, gładką muzykę sączącą się zewsząd. Zbliżał się czas pójścia do pracy, a my wciąż byliśmy bez obiadu. Talony leżały przed nami – takie za sześć, cztery i pół, siedem, dwa i pół franka – podliczałem je machinalnie, zastanawiając się jednocześnie, czy nie wolałbym być barmanem. Często się zdarzało, że gdy ona mówiła do mnie, wywnętrzając się na temat Rosji, tego, co nas czeka, miłości i innych bzdetów, zaczynałem myśleć o rzeczach zupełnie nie związanych z jej monologami – o tym, że chciałbym zostać czyścibutem albo dziadkiem klozetowym – tym ostatnim dlatego, że w tych przybytkach, do których mnie zaciągała, było tak przytulnie i nigdy mi nie przyszło do głowy, że kiedyś będę całkiem trzeźwy i może stary i zgarbiony... nie, wyobrażałem sobie zawsze, że przyszłość – jakkolwiek skromną – otaczać będzie taka właśnie aura, te same melodie będą rozbrzmiewać w mojej głowie, szklanki będą pobrzękiwać, a wlokąca się za każdą kształtną dupką szeroka na jard woń perfum tłumić będzie smród życia, nawet na dole, w *lavabo*.

Dziwne, że nie zepsuło mnie łożenie z nią do tych wykwintnych barów. Oczywiście niełatwo było mi się z nią rozstawać. Zwykle prowadziłem ją na krużganek kościoła w pobliżu redakcji i stojąc tam po ciemku obejmowaliśmy się na pożegnanie, a ona szeptała: „Chryste, co ja teraz zrobię?”.

Chciała, bym rzucił pracę i mógł się z nią kochać dniem i nocą, już nawet nie obchodziła jej tak bardzo Rosja, bylebyśmy tylko mogli być razem. Ale gdy ją opuszczałem, w głowie nieco mi się rozjaśniało. Kiedy przechodziłem przez wahadłowe drzwi, witała mnie muzyka innego rodzaju, nie tak jękliwa, ale mimo to dobra. Perfumy też były inne, nie miały tylko jarda szerokości, ale były wszechobecne, stanowiły mieszaninę potu i paczuli, jakby wydzielala je maszyna. Ponieważ zwykle przychodziłem wstawiony, przypominało to nagłe zejście na niską wysokość. Przeważnie gnałem najpierw do toalety, co mnie trochę otrzeźwiało. Było tam nieco chłodniej, albo przynajmniej odgłos płynącej wody sprawiał takie wrażenie. Toaleta przypominała zimny tusz. Była prawdziwa. Zanim wszedłeś głębiej, musiałeś minąć szereg Francuzów zrzucających z siebie ciuchy. Uff! – jakże oni śmierdzieli, ci kretyni! I jeszcze dobrze im za to płacono. Tkwili tam rozebrani, jedni w długich kalesonach, inni brodaci, a większość wyglądała jak blade, wychudłe szczury z ołowiem w żyłach. Siedząc w ubikacji [można było sporządzić inwentarz ich gnuśnych myśli] Ściany pokrywały rysunki i napisy, z których wszystkie były nieprzyzwoitymi żartami, dość przejrzystymi, ale w sumie raczej wesołymi i sympatycznymi. By wykonać niektóre z nich, potrzebna była, jak sądzę, drabina, ale gra warta była świeczki, choćby patrzeć na to wyłącznie z psychologicznego punktu widzenia. Czasami, gdy stałem tam odlewając się, zastanawiałem się, jakie wrażenie zrobiłyby te napisy na owych szykownych damulkach, które obserwowałem wchodzące i wychodzące z pięknych ubikacji na Champs-Élysées. Zastanawiałem się, czy stroszyłyby tak piórka, gdyby mogły zobaczyć, co sądzi się o dupie tutaj. W ich świecie wszystko było bez wątpienia z gazy i aksamitu – przynajmniej takie chciały sprawiać wrażenie, wydając te miłe wonie, kiedy mijały cię z szelestem sukienek. Niektóre z nich nie były zresztą aż takimi damami i szeleściły tak, by zwrócić uwagę na swoją profesję. I być może, gdy były same, kiedy mówiły na głos w zaciszu swoich buduarów, także z ich ust wyrzywały się jakieś dziwne rzeczy, ponieważ na tym świecie – tak jak i na każdym innym – przytłaczająca część tego, co dzieje się wokół, jest tylko błotem i brudem, odrażającym jak pierwszy z brzegu pojemnik na śmieci. Tyle że one mają to szczęście, iż mogą sobie pozwolić na to, by go przysłonić pokrywą.

Jak mówię, popołudnia z Tanią nie miały na mnie złego wpływu. Od czasu do czasu bywałem zanadto schlany i musiałem wsadzać sobie palec do gardła, ponieważ trudno robić korektę, kiedy umysł masz nie w pełni sprawny. Wykrycie brakującego przecinka wymaga

większej koncentracji niż streszczenie filozofii Nietzschego. Po pijanemu możesz się czasem zdobyć na błyskotliwość, ale przy korekcie jest ona zupełnie nie na miejscu. Daty, ułamki, średniki – to wszystko, co się tu liczy. I jednocześnie są to rzeczy najtrudniejsze do wykrycia, kiedy głowa ci płonie. Raz po raz strzelałem jakąś gafę i nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż zwolniono by mnie, gdyby nie to, że nauczyłem się całować szefa w dupę. Pewnego dnia otrzymałem nawet pismo od wielkiej szchy z piętra, faceta, którego nigdy nie spotkałem, tak wysoką zajmował pozycję; obok kilku sarkastycznych uwag na temat mojej ponadprzeciętnej inteligencji pismo zawierało przejrzystą aluzję do tego, żebym nie podskakiwał i grzecznie robił, co mi każą, bo inaczej oberwę. Szczerze mówiąc przestraszyłem się jak cholera. Już nigdy więcej nie używałem potem w rozmowie słów wielosylabowych; jeśli chodzi o ścisłość, przez całą noc prawie nie otwierałem gęby. Udawałem stuprocentowego kretyna; było to coś, czego ode mnie oczekiwano. Od czasu do czasu, by trochę przypocholebić się szefowi, szedłem do niego i uprzejmie pytałem, co znaczy takie to a takie słowo. Bardzo to lubił. Ten facet był czymś w rodzaju chodzącego słownika i kalendarium. Bez względu na to, ile piwa wyłopał w czasie przerwy – a zorientowałem się ze sposobu, w jaki się szarogęsił, że robił sobie prywatne przerwy – nigdy nie można go było złapać na wpadce, jeśli chodziło o jakąś datę czy definicję. Był do tej pracy stworzony. Żałowałem jedynie, że zbyt wiele wiem. Czasami jednak dawało się to zauważyć pomimo wszystkich przedsięwziętych przeze mnie środków ostrożności. Kiedy przypadkiem przyszedłem do pracy z książką pod pachą, nasz szef od razu to zauważał, a jeśli była to dobra książka, robił się jadowniczo złośliwy. Ale nigdy nie zrobiłem celowo czegoś, co by go mogło zirytować; nazbyt lubiłem tę pracę, by samemu zakładać sobie pętlę na szyję. Mimo to i trudno rozmawiać z człowiekiem, kiedy nie ma się z nim nic wspólnego; to zdrada wobec samego siebie, nawet jeśli używa się jedynie słów jednosylabowych. O, ten mój szef doskonale wiedział, że nie przejawiałem najmniejszego zainteresowania jego bajdurzeniem, a jednak, wyjaśnijcie to sobie jak chcecie, sprawiało mu przyjemność odciąganie mnie od moich marzeń i wbijanie mi do głowy dat i wydarzeń historycznych; sądzę, że mścił się na mnie w ten sposób.

W rezultacie nabawiłem się drobnej nerwicy. Gdy tylko wyszedłem na powietrze, popadałem w afektację. Bez względu na to, co było akurat przedmiotem rozmowy, gdy wczesnym rankiem ruszaliśmy w kierunku Montparnasse, zaraz kierowałem na niego gaśnicę i tłamsiłem go, by popisywać się swymi perwersyjnymi snami. Najbardziej lubiłem gadać o sprawach, o których żaden z nas nie miał najmniejszego pojęcia. Popadłem w łagodną odmianę choroby psychicznej, zdaje się, że nosi to nazwę echolalii. Wszystkie końcówki korygowanych na nocnej zmianie tekstów płażały na końcu mego języka. D a l m a c j a – robiłem korektę reklamy tej przepięknej perły kurortów. W porządku, weźmy D a l m a c j ę . Wsiadasz do pociągu i rano pot cieknie z ciebie wszystkimi porami, a miąższ winogron rozsadza skórkę. Mogłem tak nawijać o Dalmacji od wielkiego bulwaru do pałacu kardynała Mazarina, a nawet dalej, jeżeli miałem ochotę. Nie wiem nawet, gdzie leży na mapie ta Dalmacja, i nie chcę wiedzieć, ale o trzeciej nad ranem, mając w żyłach cały ten ołów, ubranie przesiąknięte potem i wonią paczuli, a w głowie brzęk bransoletek przechodzących przez wyżymaczkę i te przesycone piwem opowieści, które cierpliwie znosiłem, takie drobiazgi, jak geografia, ubiory, język, architektura, nie miały żadnego znaczenia. Dalmacja należy do określonej pory nocy, gdy milkną wysokie tony gongów, a dziedziniec Luwru wydaje się tak zachwycająco absurdalny, że masz ochotę rozpłakać się bez powodu, tylko dlatego, że jest tak cudownie cichy, tak pusty i zupełnie niepodobny do tytułowej strony gazety i tych facetów z piętra rzucających kości do gry. Z owym skrawkiem Dalmacji, spoczywającym jak zimne ostrze noża na moich pulsujących nerwach, mogłem doświadczać wrażeń najcudowniejszych podróży. I co zabawniejsze, mogłem podróżować po całym świecie, ale nigdy nie przyszła mi na myśl Ameryka; zapodziała się jeszcze dalej niż zagubiony kontynent, ponieważ do zagubionych kontynentów czułem jakieś tajemnicze

przywiązanie, a w przypadku Ameryki nie czułem absolutnie nic. Czasami, to prawda, myślałem o Monie, jednak niejako o kimś w określonej scenerii czasu i przestrzeni, lecz jako o kimś osobnym, oderwanym, jakby stała się wielką chmuropodobną formą wymazującą przeszłość. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na zbyt długie myślenie o niej; gdybym to zrobił, skoczyłbym z mostu. To dziwne, pogodziłem się z życiem bez niej, a jednak, gdy myślałem o niej choć przez minutę, wystarczało to, by zniweczyć moje zadowolenie, zniszczyć mnie do szpiku kości i zepchnąć na powrót w agonię, którą była moja podobna do ścieku przeszłość.

Przez siedem lat dniem i nocą myślałem tylko o jednym – o niej. Gdyby jakiś chrześcijanin był równie wiemy swemu Panu jak ja jej, wszyscy bylibyśmy dziś Jezusami Chrystusami. Myślałem o niej w dzień i w nocy, nawet gdy ją oszukiwałem. Bywa, że jeszcze teraz, w samym sercu codziennej krzątaniny, kiedy czuję, że uwolniłem się już od tego wszystkiego, nagle, gdzieś za zakrętem ulicy, ukazuje mi się znienacka mały skrawek, zaledwie kilka drzew i ławka, odludne miejsce, gdzie staliśmy kłócąc się zapamiętałe i doprowadzaliśmy się do szału, robiąc sobie gorzkie sceny zazdrości. Zawsze był to jakiś odludny zakątek, jak na przykład Place de l'Estrapade albo te obskurne, ponure uliczki prowadzące do meczetu, albo biegnące wzdłuż otwartego grobu avenue de Breteuil, tak cichej i martwej o dziesiątej wieczorem, że ma się ochotę popełnić jakąś zbrodnię, morderstwo lub samobójstwo, cokolwiek, co zostawiłoby ślad ludzkiego dramatu. Kiedy zdaję sobie sprawę, że ona odeszła, może na zawsze, otwiera się przede mną głęboka otchłań i czuję, że spadam, spadam i spadam w bezdenną mroczną przestrzeń. I to jest gorsze od łez, głębsze od żalu, bólu i smutku; to otchłań, w którą wrzucono Szatana. Nie można stamtąd wspiąć się z powrotem, nie ma tam źdźbła światła, dźwięku ludzkiego głosu ani dotyku ludzkiej ręki.

Ileż tysięcy razy, gdy spacerowałem nocą po ulicach, zastanawiałem się, czy nadejdzie kiedyś dzień, gdy znowu będzie przy mnie: te wszystkie tęskne spojrzenia, jakimi obdarzałem budynki i posągi, patrzyłem na nie z takim pragnieniem, z taką rozpaczą, że moje myśli musiały się już w te budynki i posągi wtopić, przesycając je moją udręką. Nie mogłem też powstrzymać się od refleksji, że kiedy spacerowaliśmy razem po tych ponurych, zaniedbanych uliczkach, tak przepojonych teraz mymi snami i tęsknotą, ona niczego nie dostrzegała, niczego nie odczuwała: dla niej nie różniły się one niczym od innych ulic, może były trochę bardziej obskurne, to wszystko. Nie pamiętała, że na pewnym rogu zatrzymałem się, by podnieść jej spinkę do włosów, albo że kiedy nachyliłem się, by zawiązać jej sznurowadło, to zapamiętałem miejsce, gdzie spoczywała jej stopa, i że dla mnie będzie ona tam na zawsze, będzie tam nawet wtedy, gdy katedry ulegną zniszczeniu, a cała cywilizacja łacińska zniknie na zawsze z powierzchni ziemi.

Jednej nocy, kiedy szedłem w dół rue Lhomond w napadzie niezwyklej udreki i poczuciu osamotnienia, pewne rzeczy objawiły mi się z bolesną jasnością. Czy spowodował to fakt, że tak często przechodziłem tędy pogrążony w rozpacz, z goryczą w sercu, czy wspomnienie pytania, które rzuciła pewnej nocy, kiedy staliśmy na Place Lucien-Herr, nie wiem. „Dlaczego nie pokażesz mi tego Paryża – zapytała – o którym tyle pisałeś?”. Wiem tylko, że na wspomnienie tych słów nagle zdałem sobie sprawę, iż to niemożliwe, bym kiedykolwiek odsłonił przed nią Paryż poznany przeze mnie, Paryż, którego *arrondissements* nie dadzą się określić, Paryż, który nigdy nie istniał, będąc jedynie wytworem mojej samotności, mego pożądania i tęsknoty za nią. Jakże ogromne było to miasto! Trzeba by całego życia, aby je poznać na nowo. Ten Paryż, do którego tylko ja jeden mam klucz, niezbyt nadaje się do zwiedzania przez turystów, nawet gdy się ma najlepsze intencje; jest to Paryż, w który należy wierzyć, którego należy doświadczać codziennie w tysiącu różnych tortur, Paryż rozwijający się w tobie jak rak, rozprzestrzeniający się coraz bardziej, by cię w końcu pożreć.

Niepewnie stąpając w dół rue Mouffetard, z umysłem ożywionym takimi refleksjami, przypomniałem sobie jeszcze jeden dziwny fakt z przeszłości, z tego przewodnika po Paryżu,

którego kartki miałem jej pokazać, ale którego nie zdołałem nawet otworzyć, gdyż jego okładka była za ciężka. Zupełnie bez powodu – ponieważ w tym momencie moje myśli zajmował Salavin, po którego dzielnicy akurat kluczyłem – zupełnie więc, jak mówię, bez powodu, przyszło mi do głowy wspomnienie dnia, kiedy zainspirowany mijaną codziennie tablicą, wszedłem wiedziony impulsem do pensjonatu Orfila, prosząc o pokazanie mi pokoju zajmowanego przez Strindberga. Do tego czasu nie przydarzyło mi się właściwie nic strasznego, chociaż straciłem wszelkie swoje ziemskie dobra i wiedziałem, co znaczy łązić po ulicach, będąc głodnym i w strachu przed policją. Do tego czasu nie znalazłem w Paryżu ani jednego przyjaciela, co było okolicznością nie tyle przygnębiającą, ile dziwną, gdyż gdziekolwiek dotąd wędrowałem po tym świecie, sprawą najłatwiejszą było dla mnie znajdowanie przyjaciół. Ale w gruncie rzeczy nic strasznego jeszcze mnie nie spotkało. Można żyć bez przyjaciół, tak jak można żyć bez miłości, czy nawet bez pieniędzy, tego rzekomego *sine qua non*. A w Paryżu można żyć – ja to odkryłem! – mając za pokarm jedynie żal i udrękę. Gorzka to strawa, ale może najlepsza z możliwych w przypadku pewnych ludzi. W każdym razie nie znalazłem się jeszcze u kresu, kokietowałem tylko katastrofę. Miałem dość wolnego czasu i uczucia, by podglądać życie innych ludzi, flirtować z martwą materią romansów, która – jakkolwiek makabryczna – wydaje się cudownie odległa i anonimowa, gdy mieści się między okładkami książki. Wychodząc stamtąd zdałem sobie sprawę z ironicznego uśmiechu błakającego się na moich wargach, jakbym mówił do siebie: „Poczekaj jeszcze, pensjonacie Orfila!”.

W owym czasie pojąłem wreszcie to, co każdy szaleniec odkrywa w Paryżu wcześniej czy później: że dla ludzi udręczonych nie ma gotowych recept na piekło.

Wydaje mi się, że trochę lepiej rozumiem teraz, dlaczego taką ogromną radość czerpała z lektury Strindberga. Widzę ją, jak podnosi głowę znad książki po przeczytaniu p y s z n e g o fragmentu i ze łzami radości w oczach mówi do mnie: „Jesteś równie szalony jak on... ty c h c e s z ponieść karę!”. Jakąż rozkoszą dla sadystki musi być znalezienie dla siebie prawdziwego masochisty! Tak jakby kąsała się sama, by sprawdzić, jak ostre są jej zęby. Wówczas, kiedy dopiero co ją poznałem, była przesiąknięta Strindbergiem. Ten szalony karnawał czerwii, którym tak się delektował, ten wieczny pojedynek płci, to pajęczce okrucieństwo, które uczyniło go bliskim ospałym prostakom z Północy, właśnie ono zbliżyło nas do siebie. Stało się to podczas tańca śmierci i tak szybko zostałem wessany przez wir, że kiedy znowu wychynałem na powierzchnię, nie poznawałem tego świata. Kiedy się wreszcie z tej toni uwolniłem, muzyka ucichła, karnawał się skończył, a ja byłem oczyszczony do białej kości.

Tego popołudnia po wyjściu z pensjonatu Orfila poszedłem do biblioteki i tam, po kąpieli w Gangesie i zastanowieniu się nad znakami zodiaku, zacząłem rozważać znaczenie tego piekła, tak bezlitośnie przedstawionego przez Strindberga. I gdy tak przemyślałem nad tym, jasna stawała się dla mnie tajemnica jego pielgrzymki, ów lot poety nad powierzchnią Ziemi, po którym następuje, jakby pod wpływem nakazu, by ponownie odegrać zagubiony dramat, heroiczne zstąpienie do samych wnętrzności Ziemi, mroczny i przerażający pobyt w brzuchu wieloryba, krwawa walka, by się uwolnić, by zrzucić z siebie przeszłość i wynurzyć się jako jaśniejący, okrwawiony bóg słońca, wyrzucony na nieznaną brzeg. Już wtedy nie było dla mnie tajemnicą, dlaczego podobnie jak inni (Dante, Rabelais, van Gogh *etc., etc.*) odbył pielgrzymkę do Paryża. Zrozumiałem wówczas, jak to się dzieje, że to miasto przyciąga udręczonych, nawiedzonych przez halucynacje wielkich maniaków miłości. Zrozumiałem, dlaczego tu właśnie, w samej piaście koła, można przyjąć najbardziej fantastyczne, najbardziej nieprawdopodobne teorie, nie znajdując w nich nic zadziwiającego; to właśnie tu czyta się ponownie książki młodości i zagadki nabierają nowych znaczeń, z których jedno przypada na każdy siwy włos. Stąpa się tu po ulicach ze świadomością własnego szaleństwa i obłądki, albowiem jest rzeczą zupełnie oczywistą, że te zimne, obojętne twarze to oblicza

strażników. Tutaj wszystkie granice znikają i świat okazuje się tym, czym jest – oszalałą jatką. Kierat rozciąga się w nieskończoność, luki są szczelnie zamknięte, logika popada w obłąd, w górze błyska okrwawiony topór. Powietrze jest lodowate i nieruchome, język jest językiem apokalipsy. Nigdzie nie widać napisu „wyjście”; nie ma innej kwestii poza śmiercią. Ślepy zaułek, na końcu którego czeka szafot.

Wieczne miasto – Paryż! Bardziej wieczne niż Rzym, bardziej okazałe niż Niniwa. Pępek świata, do którego jak ślepy, po omacku szukający drogi idiota można się tylko czołgać na czworakach. I jak korek zniesiony w martwy punkt oceanu, dryfuje się tu wśród szumowin i wodorostów, biernie, bez nadziei, nie zwracając nawet uwagi na mijającego nas Kolumba. Kolebką cywilizacji są cuchnące kloaki świata, kostnica, której śmierzdzące łona powierzają swoje krwawe paczki mięsa i kości.

Ulice były moim azylem. Nikt nie zdoła zrozumieć ich uroku, dopóki nie zostanie zmuszony szukać wśród nich schronienia, dopóki nie stanie się słomką, miotaną tu i tam przez najmniejszy zefirek. Człowiek idzie ulicą w zimowy dzień i widząc psa na sprzedaż wzrusza się do łez. A tymczasem po drugiej stronie, radosna jak cmentarz, stoi nędzna szopa nazywająca się „Hôtel du Tombeau des Lapins”. Można się uśmieć, można umrzeć ze śmiechu. Dopóki nie zauważy się, że wszędzie są hotele, hotele dla królików, psów, wszy, imperatorów, ministrów, właścicieli lombardów, końskich rzeźników itp. A niemal co drugi to „Hôtel de l’Avenir”. To doprowadza do jeszcze większej hysterii. Tyle hoteli przyszłości! Nie ma jakoś hoteli imiesłowu czasu przeszłego, trybu łączącego, *coniunctivitis*. Wszystko jest wiekowe, przerażające, najeżone zabawą, nabrzmiąle przyszłością, jak ropień dziąsła. Pijany od tej frywolnej egzemy przyszłości, zataczając się podążam na Place Violet, cały w barwach fiołkoworóżowych i ciemnoszarych, gdzie wszystkie bramy są tak niskie, że tylko karły i chochliki mogłyby się w nie wśliznąć; nad zmatowiałą czaszką Zoli kominy wypływają czystą kokainę, podczas gdy Madonna Kanapek swymi kapuścianymi uszami nasłuchuje bulgotania zbiorników z gazem, tych pięknych nadętych ropuch, przykucniętych przy drodze.

Dlaczego nagle przypominam sobie Passage des Thermopyles? Ponieważ tego właśnie dnia jakaś kobieta zwróciła się do swego pieska apokaliptycznym językiem jatki, a mała suczka natychmiast pojęła, o czym mówi ta zdzira, ta lepka od brudu akuszerka. Jakże mnie to przygnębiło! Bardziej nawet niż widok skomlących kundelków sprzedawanych na rue Brandon, ponieważ tak naprawdę to nie psy napełniały mnie takim żalem, lecz potężne żelazne sztachety, te zardzewiałe pręty, które zdawały się stać pomiędzy mną a należnym mi życiem. W sympatycznej alejce niedaleko Abattoir de Vaugirard (Abattoir Hippophagique), noszącej nazwę rue des Périchaux, odkryłem wówczas tu i ówdzie ślady krwi. Tak jak Strindberg w swym szaleństwie dostrzegał wróżby i znaki na posadzce pensjonatu Orfila, tak i mnie się przydarzyło, że gdy włóczyłem się bez celu po tej zabłoconej alejce obryzanej krwią, fragmenty przeszłości odrywały się i bezwładnie unosiły przed moimi oczami, szydząc ze mnie najstraszniejszymi przecuciami. Ujrzałem, jak rozlano moją własną krew, a błotnista droga była nią splamiona, jeśli dobrze pamiętam, na całej swej długości, chyba od samego początku. Człowiek zostaje wyrzucony w świat jak mała brudna mumia; drogi śliskie są od krwi i nikt nie wie, dlaczego tak być musi. Każdy podąża własną ścieżką i choćby ziemia wydawała tyle owoców, że aż gnilyby od nadmiaru, nie byłoby czasu ich zebrać; każdy pędzi do światelka „wyjście” i panuje taka panika, tak się wszyscy spieszą, by uciec, że słabi i bezradni zostają wdeptani w błoto i nikt nie słyszy ich wołania.

Mój świat, świat ludzi, umarł; zostałem sam, a przyjaciółmi były mi ulice i to one przemawiały do mnie tym smutnym, gorzkim językiem, na który składa się ludzkie cierpienie, tęsknota, żal, poczucie klęski i daremności wszelkich usiłowań. Przechodząc pewnej nocy pod wiaduktem koło rue Broca, po tym jak mnie poinformowano, że Mona choruje i przymiera głodem, nagle przypomniałem sobie, że to właśnie tu w nędzy i szarzyźnie tej zapadniętej ulicy, może wiedziona ponurym przecuciem, Mona przywarła do mnie i drżącym

głosem błagała, bym obiecał, że nigdy jej nie opuszczę, nigdy, bez względu na to, co się zdarzy. A ledwie parę dni później stałem na peronie dworca St. Lazare patrząc, jak odjeżdża jej pociąg, pociąg, który ją zabierał: wychylała się przez okno tak samo jak wówczas, kiedy zostawiałem ją w Nowym Jorku, i tak samo na jej twarzy błąkał się smutny, nieodgadniony uśmiech, to ostatnie spojrzenie, które ma przekazać tak wiele, a które okazuje się jedynie maską wykrzywioną obojętnym uśmiechem. Nie dalej jak kilka dni temu tak rozpaczliwie tuliła się do mnie, a potem nastąpiło coś, czego do dziś nie rozumiem, po czym z własnej woli wsiadła do pociągu i znowu spoglądała na mnie z tym smutnym, zagadkowym uśmiechem, który mnie zawsze zbija z tropu, który jest niesprawiedliwy, nienaturalny i któremu nie dowierzam z całej duszy. I oto, stojąc w cieniu wiaduktu, wyciągam teraz do niej rękę, chcę wtulić się w nią rozpaczliwie i na moich ustach pojawia się identyczny, równie nieodgadniony uśmiech, maska wciśnięta na twarz, by przesłonić smutek. Mogę tu stać, uśmiechając się obojętnie i bez względu na to, jak gorliwe są moje modlitwy, bez względu na to, jak rozpaczliwa jest moja tęsknota, dzieli nas ocean; ona zostanie tam i umrze z głodu, zaś będę wałęsał się tu z jednej ulicy na drugą, a gorące łzy będą parzyły mi twarz.

To właśnie tego rodzaju okrucieństwem wybrukowane są ulice; to *ono* gapi się na nas ze ścian i napawa nas przerażeniem, gdy nagle reagujemy na nie nazwany lęk, kiedy nasze dusze ogarnia zniecałkowiona przeraźliwa panika, wywołując w nas uczucie mdłości. To właśnie owo okrucieństwo upiornie wygina uliczne latarnie i sprawia, że przyzywają nas i wabią w swe śmiertelne objęcia; to właśnie przez nie pewne domy wyglądają jak strażnicy sekretnych zbrodni, a ich ślepe okna przypominają puste oczodoły, które widziały zbyt wiele. To właśnie coś takiego – wpisanego w ludzką fizjonomię ulic – zmusza mnie do ucieczki, gdy ujrzę nagle nad głową inskrypcję „Impasse Satan”. To *ono* wywołuje drżenie, kiedy u samego wejścia do meczetu dostrzegam napis: „Poniedziałki i czwartki *tuberculosis*; środy i piątki *syphilis*”. Na każdej stacji metra wyszczerzone czaszki witają mnie słowami: „*Défendez-vous contre la syphilis!*”. Wszędzie gdzie stoją mury, są też i plakaty, na których jaskrawe, jadowite kraby zwiastują nadejście raka. Gdziekolwiek byś poszedł, czegokolwiek byś tknął, czyha tam rak i syfilis. Wypisany na nieboskłonie, jarzy się i tańczy jak zła wróżba. Wzარł się nam w dusze i jesteśmy tylko martwym przedmiotem, martwym jak księżyc.

To chyba w Święto Niepodległości ponownie wyszarpięto mi krzesło spod tyłka. Bez słowa ostrzeżenia. Jakiś wszechmocny ważniak zza Wielkiej Wody postanowił zaoszczędzić; zmniejszenie liczby korektorów i bezradnych małych *dactylos* pozwoliło mu na opłacenie kosztów podróży w tę i z powrotem i pałacowych komnat, które zajął u Ritza. Po zwróceniu niewielkich długów, których się dorobiłem wobec operatorów linotypów i okazaniu symbolicznego dowodu dobrej woli w bistro naprzeciwko, pozwalającego na dalszy kredyt, nie pozostało mi prawie nic z mojej ostatniej już pensji. Musiałem powiadomić właściciela hotelu, że się wyprowadzam; nie powiedziałem mu dlaczego, ponieważ zamartwiałyby się o swe nędzne dwieście franków.

„Co zrobisz, kiedy stracisz pracę?”. Zwrot ten bez przerwy dzwonił mi w uszach. *Ça y est maintenant! Ausgespielt!* Nie mam innego wyjścia, jak znowu iść na ulicę, spacerować, kręcić się tu i tam, przesiadywać na ławkach, zabijać czas. Oczywiście na Montpamassie moja twarz była już dość znana; przez jakiś czas mogłem udawać, że nadal pracuję w gazecie. W ten sposób trochę łatwiej będzie naciągnąć kogoś na śniadanie czy obiad. Nastąpiło lato i zewsząd gromadnie ściągali turyści. Miałem w zanadru pomysły, jak ich trochę oskubać. „Co zrobisz, kiedy...?”. No cóż, z głodu nie umrę, to pewne. Jeśli nie będę robił nic innego i skoncentruję się najedzeniu, to wystarczy, bym się nie rozsypał. Przez tydzień lub dwa mógłbym nadal chodzić do monsieur Paula i co wieczór zjadać coś porządnego; nie będzie miał pojęcia, czy pracuję, czy też nie. Najważniejsza rzecz to jedzenie. Co do reszty trzeba zaufać Opatrzności!

Ma się rozumieć, pilnie nadstawiałem ucha na każdy ton, w którym pobrzękiwała zapowiedź jakiejś forsy. I oczywiście podtrzymywałem też całą gamę nowych znajomości – unikanych dotychczas skwapliwie nudziarzy, zniechęconych przeze mnie pijaczków, artystów posiadających jakieś drobne pieniądze, laureatów Nagrody Guggenheima itp. Nietrudno nawiązywać znajomości, kiedy przesiaduje się na tarasie kawiarni dwanaście godzin na dobę. W tych okolicznościach poznaje się każdego moczymordę na Montpamassie. Przyczepiają się do ciebie jak wszy, nawet jeśli nie możesz im zaoferować nic poza gotowością słuchania.

Teraz, kiedy straciłem pracę, Carl i Van Norden witali mnie nowym tekstem: „Co będzie, jeśli zjawi się twoja żona?”. No i co z tego? Najwyżej dwie gęby do nakarmienia zamiast jednej. Miałbym przynajmniej towarzyszkę niedoli. I, o ile nie straciła urody, pewnie lepiej by mi się wiodło w podwójnym zaprzęgu niż w pojedynkę: pięknej kobiecie świat nigdy nie pozwoli umrzeć z głodu. A jeżeli idzie o Tanię, nie mogłem liczyć na to, że wiele dla mnie zrobi; posyłała pieniądze Sylwestrowi. Myślałem z początku, że może mi pozwoli dzielić ze sobą pokój, ale bała się, że będzie to ją kompromitowało; poza tym musiała być miła wobec swego pana.

Pierwszymi ludźmi, do których należy się zwrócić, gdy jesteś bez grosza, są Żydzi. Niemal od razu miałem ich pod ręką aż trzech. Współczujące istoty. Jeden z nich był emerytowanym handlarzem filter, którego korciło, by zobaczyć swoje nazwisko w gazetach; zaproponował napisanie serii artykułów firmowanych jego nazwiskiem dla nowojorskiego dziennika żydowskiego. Jak skaut musiałem tropić wpływowych Żydów w pobliżu Dôme i Cuopole. Pierwszy, którego dopadłem, był sławnym matematykiem; nie znał ani słowa po angielsku. Musiałem pisać mu artykuły o teorii drgań na podstawie schematów, które mi rysował na papierowych serwetkach, i opisywać ruchy ciał astralnych, burząc przy tym teorię Einsteina. I to wszystko za jedne dwadzieścia pięć franków. Kiedy zobaczyłem swoje publikacje w

gazecie, nie byłem w stanie ich czytać; mimo to robiły wrażenie, zwłaszcza że były opatrzone pseudonimem handlarza futer.

W tym okresie wiele pisałem pod pseudonimami. Kiedy otwarto nowy duży lupanar nad boulevard Edgar-Quinet, otrzymałem niewielką prowizję za napisanie reklamówek. Prawdę mówiąc, w grę wchodziła tylko butelka szampana i darmowy numer z jedną panienką w pokojach egipskich. Gdyby udało mi się ściągnąć klienta, miałem otrzymać coś ekstra, tak jak dawniej Kepi. Pewnego wieczoru przyprowadziłem Van Nordena; chciał mi dać odrobinę zarobić na swoich przyjemnościach na piętorku. Ale kiedy madame dowiedziała się, że jest dziennikarzem, nie chciała od niego wziąć pieniędzy; znowu skończyło się na butelce szampana i darmowym sztosie. Nic z tego nie miałem. Na dokładkę musiałem jeszcze napisać za niego ten artykuł, ponieważ nie wiedział, jak to zrobić bez wspomnienia o charakterze lokalu. Podobne rzeczy zdarzały mi się co chwila. Ruchano mnie na prawo i lewo.

Najgorszą robotą, której się podjąłem, było napisanie pracy magisterskiej dla głuchoniemego psychologa: rozprawy na temat opieki nad kalekimi dziećmi. Głowa pękała mi od chorób, szyn, przyrządów rehabilitacyjnych i teorii dotyczących wpływu świeżego powietrza; zajęło mi to z niewielkimi przerwami prawie sześć tygodni, a potem – jakby tego było jeszcze mało – musiałem zrobić korektę owego plugastwa. Praca była po francusku, napisana językiem, jakiego w życiu nie widziałem i nie słyszałem. Ale dzięki temu codziennie jadałem dobre amerykańskie śniadanie – sok pomarańczowy, płatki owsiane, kawa ze śmietanką, a od czasu do czasu, dla odmiany, jajka na szynce. Był to jedyny okres podczas mojego pobytu w Paryżu, kiedy mogłem sobie pozwolić na porządne śniadanie, i to tylko dzięki kalekim dzieciom z Rockaway Beach, East Side i wszystkich zatoczek i zalewów graniczących z tymi ogniskami choroby.

Później zgadałem się któregoś dnia z pewnym fotografem przygotowującym dla jakiegoś degenerata z Monachium kolekcję zdjęć z najbardziej odpychających kurwidołków Paryża. Zapytał mnie, czy pozowałbym mu z opuszczonymi spodniami i na inne jeszcze sposoby. Pomyślałem wtedy o tych kościstych, małych karłach wyglądających jak chłopcy hotelowi, których widuje się niekiedy na pornograficznych pocztówkach w witrynach małych księgarń, o tych tajemniczych zjawach zamieszkujących rue de la Lune i inne smrodliwe dzielnice miasta. Niezbyt podobał mi się pomysł reklamowania swojej fizys w towarzystwie tej elity. Ale jako że fotografie trafiają do najzupełniej prywatnej kolekcji i skoro miejscem ich przeznaczenia było Monachium, wyraziłem zgodę. Kiedy nie jesteś w swoim rodzinnym mieście, możesz sobie pozwolić na pewne niezbyt konwencjonalne posunięcia, zwłaszcza z tak szlachetnych pobudek, jak chęć zarobienia na chleb powszedni. W końcu, jeśli chodzi o ścisłość, nie byłem zbyt czuły na tym punkcie nawet w Nowym Jorku. Zdarzały mi się wieczory, kiedy byłem tak cholernie zdesperowany, tam w kraju, że musiałem wyjść na ulicę we własnej dzielnicy i żebrać.

Nie chodziliśmy do znanych turystom lokali ze striptizem, ale do małych spelunek, gdzie atmosfera była znacznie sympatyczniejsza, a po południu można było zagrać partyjkę przed przystąpieniem do pracy. Dobry był kompan z tego fotografa. Znał miasto od podszewki, zwłaszcza jego mury; często opowiadał mi o Goethem, czasach Hohenstaufów i o masakrze Żydów w epoce, którą niepodzielnie władała Czarna Śmierć. Były to interesujące tematy i zawsze w jakiś niejasny sposób związane z tym, co akurat porabiał. Miewał też doprawdy zdumiewające pomysły na scenariusze, ale nikt nie miał dość odwagi, by je zrealizować. Widok konia, rozplatanego na pół niczym drzwi *saloonu*, był dla niego inspiracją do gadki o Dantem albo Leonardzie da Vinci czy Rembrandcie; z rzeźni na Vilette wskakiwał w taksówkę i pędził ze mną do muzeum Trocadero, aby pokazać mi jakąś fascynującą go czaszkę czy mumię. Dokładnie zbadaliśmy piątą, trzynastą, dziewiętnastą i dwudziestą *arrondissement*. Ulubionymi miejscami odpoczynku były dla nas tak ponure zakątki, jak Place Nationale, Place des Peupliers, Place de la Contrescarpe, Place Paul-Verlaine. Wiele z tych

miejsz znałem przedtem, ale teraz widziałem je wszystkie w innym świetle i zawdzięczałem to osobliwemu posmakowi jego opowieści. Gdybym, na przykład, przypadkiem przeszedł się dziś po rue du Château-des-Rentiers, wdychając smród szpitalnych łóżek, którymi cuchnie dzielnica, moje nozdrza zapewne rozdęłyby się z rozkoszy, ponieważ – zmieszane z odorem skwaśniałego moczu i formaldehydu – doleciałyby stamtąd zapachy naszych urojonych podróży po kostnicach Europy, będących dziełem Czarnej Śmierci.

To dzięki niemu poznałem pewnego osobnika o inklinacjach metafizycznych nazwiskiem Kruger, rzeźbiarza i malarza. Z jakiegoś powodu Kruger polubił mnie; nie mogłem wprost odzepić się od niego, kiedy tylko odkrył, że mam chęć słuchać jego „ezoterycznych” idei. Są na tym świecie ludzie, na których słowo „ezoteryczny” zdaje się działać jak boski ichor, jak „Skończone” na Herr Peeperkoma z *Czarodziejskiej góry*. Kruger był jednym z tych świętych, którzy zesłali na manowce, masochistą, typem analnym, dla którego prawem jest skrupulatność, rzetelność, sumiennosc. Był facetem, który – mając zły dzień – bez żadnych skrupułów potrafiłby wybić komuś zęby. Zdawał się sądzić, iż dojrzałem już dostatecznie, by przejść na kolejną „wyższą” płaszczyznę, jak to zwykł określać. Szczerze mówiąc, gotów byłem przejść na dowolną płaszczyznę, jaką mi wyznaczy, pod warunkiem że nie musiałbym mniej jeść i pić. Truł ciągle o „osnowie duszy”, „ciele przyczynowym”, „ablacji”, Upaniszadach, Plotynie, Krishnamurtim, „karmie jako szacie zdobiącej duszę”, „świadomości nirwany” itp.; zawracał mi głowę tymi dubami smalonymi nadciągającymi ze Wschodu jak powiew zarazy. Bywało, że wpadał w trans i opowiadał o swoich poprzednich wcieleniach, a przynajmniej o tym, jak je sobie wyobrażał. Albo opowiadał swoje sny, które – przynajmniej dla mnie – były całkowicie bezbarwne, prozaiczne, niewarte nawet uwagi freudysty, ale dla niego miały głębię, kryły obszerne ezoteryczne fenomeny i to ja miałem pomóc mu pojąć ich znaczenie. Przenicował się na wskroś jak płaszcz o wyliniałym włosie.

Pozyskałem jego zaufanie, krok za krokiem wkradając się do jego serca. Doprowadziłem go do tego, że potrafił biec za mną ulicą, by zapytać, czy nie chcę pożyczyć parę franków. Chodziło mu o to, bym się nie rozsypał, bym jakoś dotrwał do przejścia na wyższą płaszczyznę. Zachowywałem się jak gruszka dojrzewająca na drzewie. Co rusz mój stan ulegał pogorszeniu i mogłem się przyznać do potrzeby bardziej ziemskiego pokarmu – odwiedzenia Sphinxu czy też rue St. Apolline, bo wiedziałem, że sam też tam chodzi w momentach słabości, kiedy potrzeby ciała dawały o sobie znać w sposób zbyt natarczywy.

Jako malarz był zerem, jako rzeźbiarz reprezentował sobą jeszcze mniej. Mimo to muszę przyznać, że był doskonałym gospodarzem. W dodatku cechowała go niezwykła oszczędność. Nic się u niego nie marnowało, nawet papier, w który zawijano mięso. W piątek wieczorem otwierał swoją pracownię dla kolegów artystów. Zawsze było wtedy sporo do picia i dobre kanapki, a jeśli przypadkiem coś z tego zostało, wpadałem następnego dnia, by to spałaszować.

Na tyłach Bal Bulier znajdowała się inna pracownia, którą też miałem w zwyczaju odwiedzać – należała do Marka Swifta. Jeśli ten zjadliwy Irlandczyk nie był geniuszem, to bez wątpienia był niezgorszym ekscentrykiem. Pozowała mu Żydówka, z którą żył od lat; teraz miał tego dość i szukał pretekstu, by się jej pozbyć. Ale jako że przepuścił wiano, które mu kiedyś wniosła, głowił się, jak ma się wykpić bez żadnej rekompensaty. Najprościej było zrazić ją do siebie do tego stopnia, by wolała umrzeć z głodu niż nadal znosić jego okrucieństwa.

Ta jego kochanka była pełna dobroci; jeśli w ogóle dało się powiedzieć o niej coś złego, to tylko tyle, że straciła urodę, a tym samym zdolność zapewniania mu środków do życia. Sama malowała i wśród tych, którzy utrzymywali, że się na tym znają, mówiło się, że ma o wiele większy talent niż on. Ale bez względu na to, jak nieznośnym czynił jej życie, ona nadal była *fair*: nigdy nie pozwalała nikomu powiedzieć, że on nie jest wielkim malarzem. To właśnie dlatego, że naprawdę jest geniuszem, mawiała, ma taki paskudny charakter. Na ścianach nie

wisiały nigdy jej obrazy, zawsze tylko jego. Jej płótna poniewierały się w kuchni. Raz zdarzyło się, w mojej obecności, że ktoś bardzo chciał zobaczyć jej prace. Rezultat był dość przykry.

– Widzisz tę postać – powiedział Swift, wskazując jedno z jej płócien swą wielką stopą. – Ten facet stojący w drzwiach ma właśnie zamiar iść się odlać. Nie trafi jednak z powrotem, ponieważ ma źle osadzoną głowę... Weź teraz tamten akt... Był całkiem dobry, dopóki nie zaczęła malować pizdy. Nie mam pojęcia, o czym wtedy myślała, ale cipa wyszła jej taka duża, że ześliznął się pędzel i już go stamtąd nie wyciągnęła.

Chcąc pokazać, jak powinien wyglądać akt, wywleka wielkie płótno, które niedawno ukończył. Obraz przedstawiał właśnie ją i był wspaniałym aktem zemsty inspirowanej nieczystym sumieniem. Było to dzieło szaleńca – pełne jadu, małostkowe, podłe, błyskotliwe. Odnosiło się wrażenie, że podglądał ją przez dziurkę od klucza i uchwycił w chwili słabości, kiedy z roztargnieniem dłubała w nosie albo drapała się w tyłek. Siedziała na sofie z końskiego włosia w pokoju pozbawionym wentylacji, olbrzymim pokoju bez okien; równie dobrze mógł to być wewnętrzny płat szyszynki. Za nią biegły zygzakiem schody prowadzące na balkon, przykryte dywanem w kolorze zielonkawej żółci; ten odcień zieleni mógł pochodzić jedynie ze zdychającego wszechświata. Najbardziej rzucały się w oczy jej pośladki, umieszczone krzywo i pokryte strupami; wyglądało to tak, jakby lekko odchyliła tyłek, by głośno pierdnąć. Jej twarz natomiast wyidealizował: była słodka i dziewicza, przejrzysta jak krople na kaszel. Za to piersi miała rozdęte, jakby wypełnione wyziewami kanałów ściekowych. Odnosiło się wrażenie, że pływa w morzu menstruacyjnych soków, niby przerośnięty płód o tępych, syropowatym spojrzeniu anioła.

Mimo wszystko trudno go było nie lubić. Niezmordowany w pracy, był człowiekiem, którego nie interesowało nic poza malowaniem. Co więcej, był przebiegły jak ryś. To on właśnie poradził mi, bym spróbował zyskać przyjaźń Fillmore'a, młodzieńca pozostającego w służbie dyplomatycznej, który jakimś trafem znalazł się w tym wąskim kręgu ludzi otaczających Krugera i Swifta. „Pozwól, by ci pomagał – mówił do mnie. – On sam nie wie, co robić z pieniędzmi”.

Gdy ktoś wydaje to, co ma, wyłącznie na siebie, gdy potrafi czerpać ze swoich pieniędzy prawdziwą uciechę, ludzie powiedzą zaraz: „Nie wie, co robić z forszą”. Ze swej strony nie widzę lepszego sposobu korzystania z bogactw. O takich osobnikach nie można powiedzieć, że są skąpi lub rozrzutni. Wprowadzają pieniądze do obiegu – to najważniejsze. Fillmore wiedział, że pozostało mu już niewiele dni we Francji, toteż był zdecydowany wykorzystać je do cna. A ponieważ prawie każdy lepiej bawi się w towarzystwie, było ze wszech miar naturalne, że w poszukiwaniu potrzebnego mu kompana zwróci się do kogoś takiego jak ja, dysponującego nieograniczoną ilością czasu. Ludzie utrzymywali, że to nudziarz i – jak przypuszczam – był nim w samej rzeczy, ale kiedy potrzebujesz jedzenia, możesz wytrzymać znacznie więcej niż to, że cię ktoś zanudza. Ostatecznie, niezależnie od tego, że bez przerwy gadał, i to zwykle o sobie albo o autorach, których niewolniczo uwielbiał – takich rarogach, jak Anatole France i Joseph Conrad – potrafił uatrakcyjnić moje wieczory na inne sposoby. Lubił tańczyć, lubił dobre wina, lubił kobiety. To, że lubił również Byrona i Victora Hugo, można mu było wybaczyć; bądź co bądź dzieliło go od ukończenia studiów zaledwie kilka lat, toteż miał przed sobą mnóstwo czasu, by wyleczyć się z tego rodzaju upodobań. A mnie podobała się jego skłonność do osobliwych przygód.

Jeszcze lepiej poznaliśmy się, a nawet rzec można, zbliżyliśmy, za sprawą dziwnego incydentu, który zdarzył się podczas mojego krótkiego pobytu u Krugera. Stało się to po przybyciu Collinsa, marynarza poznanego przez Fillmore'a w drodze z Ameryki. Zwykle całą trójką spotykaliśmy się na tarasie Rotonde przed pójściem na obiad. Nieodmiennie zamawialiśmy pernod, napój wprawiający Collinsa w dobry humor i stanowiący swego rodzaju podkład dla wina, piwa, *fines* itp., które mieliśmy jeszcze wyłopać. Przez cały czas

pobytu Collinsa w Paryżu żyłem jak książkę; nic, tylko drób i wina dobrych roczników, i desery, o których przedtem nigdy nawet nie słyszałem. Miesiąc takiego życia, a czułbym się zobowiązany pojechać do Baden-Baden, Vichy albo Aix-les-Bains. Tymczasem gościny w swojej pracowni udzielił mi Kruger. Ciężko było ze mną wytrzymać, gdyż nigdy nie zjawiałem się przed trzecią rano i trudno było ściągnąć mnie z łóżka przed południem. Wprawdzie Kruger nigdy nie czynił mi wyrzutów, przynajmniej na głos, ale jego zachowanie wskazywało jasno, że w jego opinii schodzę na psy.

Pewnego dnia ległem złożony chorobą. Przyczyna – nazbyt obfite odżywianie. Sam nie wiem, co mi dolegało, ale nie mogłem wstać z łóżka. Straciłem cały wigor, a wraz z nim i resztkę odwagi. Kruger musiał troszczyć się o mnie, robić mi buliony itp. Wymagało to od niego wiele cierpliwości, tym bardziej że miało miejsce w przededniu organizowanej przez niego we własnej pracowni wystawy, prywatnego pokazu dla kilku zamożnych koneserów sztuki, od których oczekiwał pomocy materialnej. Moje składane łóżko stało w pracowni; nie było innego pomieszczenia, w którym można by mnie położyć.

Rano w dniu wernisazu Kruger obudził się w fatalnym nastroju. Gdybym był w stanie utrzymać się na nogach, wiem, że dałby mi w szczękę i wyrzucił za drzwi. Ale leżałem plackiem, słaby jak kociak. Usiłował obietnicami wywabić mnie z łóżka, chcąc zamknąć mnie w kuchni, kiedy przyjdą goście. Zdawałem sobie sprawę, że wszystko mu psuję. Trudno podziwiać obrazy i rzeźby, gdy ktoś umiera tuż obok. Kruger naprawdę myślał, że umieram. Ja zresztą także. Właśnie dlatego, mimo poczucia winy, nie stać mnie było na najmniejszy entuzjazm, kiedy zaproponował, że zadzwoni po karetkę, by przewieziono mnie do American Hospital. Chciałem wygodnie umrzeć tutaj, w pracowni; nie podobało mi się, że ktoś mnie ponagla, bym wstał i poszukał sobie lepszego miejsca do umierania. Zresztą nie obchodziło mnie, gdzie umrę, byle nie kazano mi wstawać.

Kiedy Kruger usłyszał tę moją śpiewkę, zaniepokoił się. Jediną rzeczą, jaka mogła być gorsza od zaprezentowania gościom chorego faceta, był ów facet w roli umarlaka. Coś takiego kompletnie zrujnowałoby jego szanse, które i tak były mizerne. Oczywiście nie postawił sprawy w ten sposób, ale jego wzburzenie wskazywało, że właśnie tego się obawiał. Wyzwolilo to we mnie opór. Nie zgadzałem się, by zadzwonił do szpitala. Nie zgadzałem się, by wezwał lekarza. Nie zgadzałem się na nic.

W końcu wściekł się na mnie tak bardzo, że mimo moich protestów zaczął mnie ubierać. Byłem zbyt wyczerpany, by się dłużej opierać. Jedyne, co mogłem zrobić, to mamrotać pod nosem: „Ty cholerny skurwysynu!”. Choć na dworze było ciepło, dygotałem jak pies. Kiedy już mnie ubrał, narzucił mi na ramiona płaszcz i wyskoczył zatelefonować: „Nie pójdę! Nigdzie nie pójdę!” – powtarzałem, ale zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Wrócił po kilku minutach i bez słowa zaczął się krzątać po pracowni. Ostatnie przygotowania. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. To Fillmore. Poinformował mnie, że na dole czeka Collins.

Fillmore i Kruger wzięli mnie pod ręce i postawili na nogi. Gdy wlekli mnie do windy, Kruger zmiękł. „To dla twego dobra – powiedział. – A poza tym, to nie *fair* wobec mnie. Wiesz o moich zmaganiach przez te wszystkie lata. O mnie też powinienes pomyśleć”. Naprawdę był bliski łez.

Mimo że czułem się nad wyraz nędznie, wręcz fatalnie, na jego słowa omal się nie uśmiechnąłem. Był znacznie starszy ode mnie i chociaż był kiepskim malarzem, na wskroś marnym artystą, zasługiwał na łut szczęścia – przynajmniej raz w życiu.

– Nie mam ci tego za złe – wyszeptalem. – Rozumiem, jak jest.

– Wiesz, że zawsze cię lubilem – odparł. – Kiedy wyzdrowiejesz, możesz tu wrócić... i zostać, jak długo zechcesz.

– Jasne, wiem o tym... jeszcze nie zamierzam wykorkować – zdołałem wymamrotać.

Jakimś cudem widok czekającego na dole Collinsa tchnął we mnie nowego ducha. Jeśli ktokolwiek wydawał się pełen życia, zdrowy, radosny i wielkoduszny, to właśnie on. Wziął

mnie na ręce jak szmacianą lalkę i ułożył na tylnym siedzeniu taksówki – bardzo delikatnie, co potrafiłem docenić szczególnie po tym, jak sponiewierał mnie Kruger.

Kiedy zajechaliśmy do hotelu – tego, w którym zatrzymał się Collins – odbyła się krótka dyskusja z właścicielem; ja tymczasem leżałem wyciągnięty na sofie w *bureau*. Słyszałem, jak Collins mówi hotelarzowi, że to nic takiego... małe załamanie nerwowe... za kilka dni przyjdzie do siebie. Widziałem, jak wsunął facetowi do ręki szeleszczący banknot, po czym, odwracając się żwawo, wrócił do mnie:

– Chodź, weź się w garść. Nie powinien myśleć, że zaraz wykorkujesz – powiedział, jednym szarpnięciem postawił mnie na nogi i obejmując ramieniem poprowadził do windy.

Nie powinien myśleć, że zaraz wykorkujesz! Jasne – umrzeć komuś na rękach byłoby w złym guście. Umierać należy na łonie rodziny, w atmosferze, rzecz można, prywatności. Jego słowa dodały mi otuchy. Zacząłem to wszystko uważać za kiepski żart. Na gorze natychmiast zaniknęli drzwi, rozebrali mnie i położyli do łóżka.

– Nie możesz teraz umrzeć, niech to licho! – powiedział Collins ciepło. – Postawiłbyś mnie w głupiej sytuacji... Poza tym, co ci się, do diabła, stało? Nie służy ci wygodne życie? Głowa do góry! Za dzień lub dwa będziesz wsuwał stek z polędwicy. Wmawiasz sobie, że jesteś chory. Chryste, poczekaj, aż złapiesz syfa! Tym dopiero należałoby się przejmować...

I zaczął z humorem opowiadać o swojej podróży w dół Jangcy, kiedy to wypadały mu włosy i psuły się zęby. Mimo że byłem w kiepskiej formie, niestworzone historie, które opowiadał, wywierały na mnie dziwnie kojący wpływ. Pozwoliły mi całkowicie zapomnieć o sobie. To był facet z jajami. Może ze względu na mnie zanadto popuścił wodze fantazji, ale w tym momencie nie byłem nastawiony krytycznie. Cały zamieniłem się w słuch. Oczyma wyobraźni widziałem brudnożółte ujście rzeki, światła zapalające się w Hanków, morze żółtych twarzy, sampany przeskakujące przez przełomy i katarakty, ziejące siarkowym oddechem smoków. Cóż to była za opowieść! Kulisi tłoczyli się codziennie wokół łodzi, bagrując dno w poszukiwaniu odpadków wyrzucanych za burtę, Tom Slattery unosił się z łoża śmierci, by rzucić ostatnie spojrzenie na światła Hanków, piękny Eurazjata leżał w mroku, napełniając sobie żyły trucizną, monotonia niebieskich kurtek i żółtych twarzy, milionów i milionów twarzy wymizerowanych głodem, wyniszczonych przez choroby, ludzi żywiących się szczurami, psami i korzonkami, odgryzających żdźbła trawy, pożerających własne dzieci. Trudno sobie wyobrazić, iż ciało tego mężczyzny było kiedyś jednym wielkim wrzodem, że unikano go jak trędowatego; głos miał tak spokojny i łagodny, jakby jego dusza została oczyszczona przez cierpienie. Gdy sięgnął po swego drinka, jego rysy złagodniały jeszcze bardziej, a słowa były kojącą pieśnią. I przez cały czas unosiły się nad nami Chiny jak samo Przeznaczenie. Chiny poddane rozkładowi, rozsypujące się w proch niczym ogromny dinozaur, ale do końca zachowujące swoją świadomość, czar, tajemniczość, okrucieństwo swoich prastarych legend.

Nie byłem w stanie śledzić dłużej toku jego opowieści; myślami cofnąłem się do Święta Niepodległości, kiedy po raz pierwszy w życiu kupiłem paczkę sztucznych ogni, a wraz z nią długie, jakże kruche, kawałki huby, na którą należy dmuchać, by uzyskać dobry czerwony blask; huby, której zapach pozostaje na palcach tygodniami, wywołując niepokojące sny. W Święto Niepodległości ulice usłane są jaskrawoczerwonymi papierkami, na których wytłoczono czarne i złote postacie, i wszędzie walają się malutkie fajerwerki z przedziwnymi rzeczami w środku. Leżą ich całe paczki, połączone cienkimi, płaskimi, krótkimi baraniami jelitami w kolorze ludzkiego mózgu. Przez cały dzień w powietrzu unosi się zapach prochu i huby, a złoty proszek z jaskrawoczerwonych opakowań przylepia ci się do palców. Nie myśli się wówczas o Chinach, ale one są tam, na opuszkach palców; to przez nie swędzi cię nos i jeszcze długo potem, gdy już prawie zapomniawsz, jak pachną fajerwerki, pewnego dnia budzisz się czując, że dusi cię złoty liść przylepiony do krtani, połamane kawałki huby wciąż wydzielają gryzącą woń, a jaskrawoczerwone opakowania wywołują nostalgię za ludem i

ziemią, której nigdy nie znałeś, ale która tkwi w twojej krwi, bo w jakiś tajemniczy sposób przedostała się tam, jak poczucie czasu i przestrzeni, nietrwała stała wartość, ku której z wiekiem zwracasz się coraz częściej, którą usiłujesz ogarnąć rozumem, ale to na nic, ponieważ wszystko co chińskie jest mądrością i tajemnicą, i nie możesz tego pojąć umysłem ani objąć dłońmi, lecz musisz pozwolić, by jak pyłek starła się i przyłgnęła ci do palców, pozwolić, by niespiesznie przedostała się do twych żył.

Kilka tygodni później, po otrzymaniu nagłego wezwania od Collinsa, który wrócił do Hawru, Fillmore i ja wsiedliśmy pewnego ranka w pociąg, mając zamiar spędzić we trzech weekend. Od czasu mego przyjazdu do Francji po raz pierwszy byłem poza Paryżem. Przez całą drogę na wybrzeże zdrowo ciągnęliśmy anjou, co nie pozostało bez wpływu na nasz nastrój. Collins podał nam adres baru, gdzie mieliśmy się spotkać; nazywał się Bar Jimmie'ego i podobno znał go każdy mieszkaniec Hawru.

Na stacji wsiedliśmy w odkryty powozik i żwawym kłusem ruszyliśmy na spotkanie; zostało nam jeszcze pół butelki anjou, które wykończyliśmy podczas jazdy. Hawr wyglądał na wesołe, słoneczne miasto; powietrze było rześkie i miało silny słony posmak, który sprawił, że niemal zatęskniłem za Nowym Jorkiem. Wszędzie wyrastały maszty i kadłuby, jaskrawe kawałki bander, duże otwarte place i kawiarnie o wysokich sufitach, jakie spotyka się tylko na prowincji. Miasto od razu zrobiło na nas dobre wrażenie: witało nas otwartymi ramionami.

Zanim dotarliśmy do baru, zauważyliśmy Collinsa podążającego truchtem ulicą, bez wątpienia w kierunku stacji – jak zwykle się spóźnił. Fillmore natychmiast zaproponował pemod. Klepaliśmy się wszyscy po plecach, śmiejąc się i parskając, już pijani słońcem i słonym morskim powietrzem. Z początku Collins wydawał się niezdecydowany na pemod. Nabawił się trypra, jak nas poinformował. Nic poważnego – zapewne jakaś łagodna odmiana. Pokazał nam buteleczkę, którą miał w kieszeni – nazywało się to, o ile dobrze pamiętam, „Vénétienne”. Marynarski środek na trypra.

Zatrzymaliśmy się w jakiejś restauracji, by coś przekąsić przed udaniem się do Baru Jimmie'ego. Była to ogromna tawerna z dużymi osmalonymi krokwiemi i stołami uginającymi się odjedzenia. Obficie raczyliśmy się winami* polecanymi przez Collinsa. Usiedliśmy potem na tarasie, by napić się kawy i likiem. Collins opowiadał o baronie de Charlus, człowieku, który – jak twierdził – bardzo przypadł mu do serca. Od blisko roku siedział w Hawrze, wydając pieniądze zgromadzone w okresie, gdy szmuglował alkohol. Jego upodobania były proste – jedzenie, picie, kobiety i książki. I własna łazienka! Stanowczo przy tym obstawał.

Rozmawialiśmy wciąż o baronie de Charlus, gdy przybyliśmy do Baru Jimmie'ego. Było późne popołudnie i knajpa dopiero się zapelniała. Był tam Jimmie z twarzą czerwoną jak burak, a obok jego połowica, przyjemna czysta Francuzka o błyszczących oczach. Powitanie było niezwykle gorące. Znów przed każdym z nas stał pernod, gramofon rzeził, ludzie paplali jak najęci po angielsku, francusku, holendersku, norwesku i hiszpańsku, a Jimmie i jego żona, oboje pełni werwy i energii, poklepywali się i całowali z całego serca, wznosząc toasty i stukając się szklaneczkami – wszystko to razem tworzyło tak wesołą wrzawę i jazgot, że miałeś ochotę ściągnąć ubranie i wykonać taniec wojenny. Kobiety przy barze stłoczyły się jak muchy. Fakt, że byliśmy przyjaciółmi Collinsa, oznaczał, że jesteśmy bogaci. To, że przyszliśmy w znoszonych ciuchach, było bez znaczenia; wszyscy *Anglais* tak się ubierają. Nie miałem w kieszeni ani jednego sou, co wcale się nie liczyło, jako że byłem gościem honorowym. Mimo to czułem się z lekka zakłopotany, gdy dwie kurwy o oszalamiającej urodzie uczeplone moich ramion czekały, aż coś zamówię. Postanowiłem chwycić byka za rogi. Trudno już było stwierdzić, które drinki stawał gospodarz, a za które należało zapłacić. Musiałem być dzentelmenem, mimo że nie miałem przy sobie ani grosza.

Yvette – żona Jimmie’ego – była dla nas niezwykle łaskawa i przyjazna. Szykowała na naszą cześć coś na ząb, ale żarcie nie było jeszcze gotowe. Chcąc, byśmy mogli cieszyć się jedzeniem, nakazała nam zachować umiar w picciu. Gramofon grał jak wściekły, a Fillmore tańczył z piękną Mulatką, ubraną w obcisłą aksamitną sukienkę odsłaniającą wszystkie uroki. Collins przysunął się do mnie i szepnął kilka słów o dziewczynie u mego boku. „*Madame* zaprosi ją na obiad – powiedział – jeśli zechcesz”. Była eks-prostytutką, właścicielką pięknego domu na przedmieściu, a obecnie utrzymanką jakiegoś kapitana marynarki. Właśnie wypłynął w rejs, toteż nic mi nie groziło. „Jeśli jej się spodobaś, zabierze cię do siebie” – dodał.

Nie trzeba było mi niczego więcej. Od razu zwróciłem się ku Marcelle i zacząłem umizgać się do niej, ile wlezie. Staliśmy przy narożniku baru, udając, że tańczymy, a w rzeczywistości macaliśmy się zapamiętane. Jimmie zrobił do mnie oko i z aprobatą pokiwał głową. Była zmysłową, a i nie pozbawioną wdzięku dziwką ta Marcelle. Zauważyłem, że spławiła tę drugą panienkę i wtedy zasiedliśmy do długiej intymnej rozmowy, którą przerwała niestety zapowiedź obiadu.

Do stołu zasiadło prawie dwadzieścia osób, mnie z Marcelle ulokowano w jednym jego końcu naprzeciw Jimmie’ego z małżonką. Wystrzały otwieranego szampana rozpoczęły kolację, po czym przyszła kolej na pijackie toasty, w trakcie których zabawialiśmy się z Marcelle pod stołem. Kiedy nadeszła moja kolej, by wstać i wygłosić kilka słów, musiałem zasłaniać się serwetką, co było deprymujące, ale i podniecające. Byłem zmuszony skrócić znacznie swoją mowę, ponieważ Marcelle ciągle łaskotała mnie w krocze.

Kolacja trwała prawie do północy. Nie mogłem doczekać się nocki z Marcelle w tym jej pięknym domu nad morzem, ale nie było nam dane spędzić jej razem. Collins umyślił sobie pokazać nam miasto i niezręcznie było się wykręcać.

– Nie martw się o nią – powiedział mi. – Najesz się jeszcze tego do syta przed odjazdem. Poproś ją, by zaczekała tu na ciebie do naszego powrotu.

Marcelle trochę się obruszyła, ale gdy poinformowaliśmy ją, że zostaniemy tu jeszcze parę dni, rozchmurzyła się. Kiedy wyszliśmy na dwór, Fillmore z wielką powagą wziął nas pod rękę mówiąc, że musi się do czegoś przyznać. Był blady i wyglądał na zaniepokojonego.

– No, o co więc chodzi? – zapytał łagodnie Collins. – Wykrztuś to, stary!

Fillmore jakoś nie mógł nic z siebie tak od razu wydusić. Kluczył i chrząkał, aż w końcu oznajmił wzburzony: – No, wiecie, kiedy przed chwilą poszedłem do toalety, dostrzegłem, że...

– A więc też go masz – z triumfem w głosie powiedział Collins i zaczął wymachiwać buteleczką „*Vénétienn*e”.

– Nie wybieraj się tylko do lekarza – dodał zjadliwie. – Te zachłanne skurwysyny wykrwawiają cię na śmierć. I nie przestawaj pić. To wszystko bzdury. Bierz to dwa razy dziennie... wstrząśnij przed użyciem. I pamiętaj – nie ma nic gorszego niż się zamartwiać, rozumiesz? Chodź już. Strzykawkę i nadmanganian dam ci, kiedy wrócimy.

I tak wyruszyliśmy w tę noc w kierunku nabrzeża, gdzie rozbrzmiewała muzyka, krzyki i pijackie przekleństwa. Collins opowiadał przez cały czas o tym i owym, o chłopcu, w którym się zakochał, o cholernych tarapatkach, z jakich musiał się wykaraskać, kiedy rodzice chłopaczka wyczuli pismo nosem. Powrócił następnie do barona de Charlus, a potem do Kurtza, wciąż zagubionego podczas podróży w górę rzeki. Podobał mi się sposób, w jaki Collins posługiwał się literaturą jako tłem swych opowieści, niczym milioner, który nigdy nie rozstaje się ze swym rolls-royce’em. Nie było dlań strefy przejściowej między rzeczywistością a światem idei. Kiedy weszliśmy do burdelu na Quai Voltaire, nawet gdy rzucił się na kanapę i zadzwonił po alkohole i dziewczynki, nadal wiosłował w górę rzeki wraz z Kurtzem i dopiero kiedy panienki klapnęły obok niego na łóżku i zamknęły mu usta pocałunkami, zaprzestał tych dywagacji. Wówczas jakby nagle zdał sobie sprawę z tego,

gdzie się znajduje, zwrócił się do starszej pani, która prowadziła ów lokal, i zasunął jej elokwentną gadkę na temat swoich dwóch przyjaciół przybyłych z Paryża wyłącznie po to, by zobaczyć jej burdel. W pokoju znajdowało się około pół tuzina dziewczynek, wszystkie nagie i, muszę przyznać, atrakcyjne dla oka. Skakały dookoła jak ptaszęta, podczas gdy my trzej usiłowaliśmy podtrzymać rozmowę ze starszą panią. W końcu ta przeprosiła nas, zachęcając, byśmy się czuli jak u siebie w domu. Zauroczyła mnie bez reszty, była bowiem tak miła i pełna słodyczy, tak wyjątkowo łagodna i macierzyńska. A jakie miała maniery! Gdyby była nieco młodsza, zacząłbym się do niej zalecać. Któż by pomyślał, że znajdujemy się w jaskini występku, jak nazywa się podobne miejsca.

W każdym razie spędziliśmy tam godzinę albo dwie, a jako że tylko ja jeden byłem w stanie korzystać z przyjemności właściwych temu przybytkowi, Collins został na dole z Fillmore'em, gawędząc z pensjonariuszkami. Po powrocie stwierdziłem, że obaj leżą wyciągnięci na łóżku; dziewczynki otaczały ich półkolem, śpiewając anielskimi głosikami refren *Róż Pikardii*. Wychodząc z tego lokalu byliśmy sentymentalnie przygnębieni – zwłaszcza Fillmore. Collins szybko skierował nas do jakiejś mordowni, pełnej pijanych marynarzy na przepustce: posiedzieliśmy tam trochę delektując się atmosferą lekko homoseksualnej zabawy, która rozkręciła się na całego. Kiedy podnieśliśmy wreszcie żagle i zabraliśmy się stamtąd, musieliśmy przejść przez dzielnicę czerwonych latarenek, gdzie jeszcze więcej starszych pań z szalami na ramionach siedziało na schodkach, wachlując się i przyjaźnie kiwając głowami do przechodniów. Wszystkie były tak ładne i sympatyczne, jakby zajmowały się niańczeniem dzieci. Niewielkie grupki marynarzy nadeszły maszerując zawadiacko i hałaśliwie torując sobie drogę do wnętrza tych krzykliwie udekorowanych spelunek. Wszędzie panoszył się seks: przelewał się i pulsował jak przypływ podmywający fundamenty miasta. Zatrzymaliśmy się trochę dłużej na obrzeżu basenu portowego. Wszystko było pomieszane i splątane; odnosiło się wrażenie, że te wszystkie statki, te trawlerzy, jachty, szkunery i barki wyrzucił na brzeg jakiś gwałtowny sztorm.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin tyle się zdarzyło, że wydawało się nam, jakbyśmy byli w Hawrze miesiąc albo i dłużej. Zamierzaliśmy wyjechać w poniedziałek o świcie, ponieważ Fillmore musiał być z powrotem w pracy. Niedzielę spędziliśmy – syf nie syf – na picu i balowaniu. Tego popołudnia Collins zwierzył się nam, że rozważa możliwość powrotu na swoje rancho w Idaho; nie był w domu od ośmiu lat i chciał znów popatrzeć na góry przed kolejną podróżą na Wschód. Siedzieliśmy właśnie w burdelu, czekając na pojawienie się pewnej dziewczynki; obiecał dosypać jej do drinka trochę kokainy. Wyznał nam, że mierzi go już ten Hawr. Zbyt wiele sępów ma tutaj na karku. W dodatku zakochała się w nim żona Jimmie'ego i wybuchami zazdrości psuła mu zabawę. Niemal co wieczór robiła mu sceny. Od chwili naszego przyjazdu zachowywała się grzecznie, ale zapewnił nas, że nie potrwa to długo. Była szczególnie zazdrosna o pewną Rosjankę, która wpadała czasem do baru, zwłaszcza gdy za dużo wypija. Zawsze sprowadzała kłopoty. Co gorsza, Collins był beznadziejnie zakochany w chłopcu, o którym opowiadał nam pierwszego dnia.

– Taki chłoptaş może ci złamać życie – stwierdził. – Jest tak cholernie ładny. I taki okrutny. Uśmialiśmy się z tego. Brzmiało to zupełnie niedorzecznie, ale Collins mówił całkiem serio.

Wreszcie w niedzielę, gdzieś koło północy, Fillmore i ja udaliśmy się na spoczynek; dano nam pokój mieszczący się nad barem. Było parno jak diabli, powietrze w bezruchu. Przez otwarte okno słyszeliśmy krzyki z dołu i grający bez przerwy gramofon. Nagle zerwała się burza – prawdziwe oberwanie chmury. A pośród grzmotów i ulewy smagającej okna usłyszeliśmy odgłosy innej jeszcze burzy, która wybuchła na dole w barze. Szalała przeraźliwie krótko i brzmiała groźnie; kobiety darły się jak opętane, roztrzaskiwały się butelki, przewracano stoły, słychać było też tak dobrze znany, wywołujący mdłości głuchy łoskot ludzkiego ciała padającego na podłogę.

Okolo szóstej zajrzał do nas Collins. Twarz miał całą w plastrach, a jedną rękę na temblaku. Jego oblicze jaśniało szerokim uśmiechem.

– Tak jak wam mówiłem – powiedział. Wpadła wczoraj w szal. Słyszeliście pewnie tę rozróbę. Ubraliśmy się szybko i zeszlismy na dół, by pożegnać się z Jimmie'em. Lokal był kompletnie zdemolowany: żadna butelka nie stała na swoim miejscu, nie ocalało ani jedno krzesło. Lustro i witryna były całkiem strzaskane. Jimmie przyrządzał sobie ajerkoniak.

W drodze na stację uporządkowaliśmy sobie jego relację. Ta Rosjanka wpadła do baru tuż po tym, jak my poszliśmy do łóżek, a Yvette natychmiast ją obraziła, nawet nie czekając na żaden pretekst. Zaczęły się ciągnąć za włosy, szamotały się, interweniował jakiś wielki Szwed, który trzepnął mocno Rosjanek w szczękę – by ją przywołać do porządku. Od tego się zaczęło. Collins był ciekaw, jakim prawem ten matoł wtrąca się w prywatną sprzeczkę. Odpowiedzią był cios w szczękę, i to niezły – Collins przeleciał na drugi koniec baru.

– Masz za swoje! – wrzasnęła Yvette, wykorzystując okazję, by cisnąć butelką w głowę Rosjanki. I w tym momencie rozpętała się na dworze burza. Przez jakiś czas panowało istne piekło, kobiety wpadły w histerię i zapragnęły wykorzystać tę szansę do załatwienia swoich prywatnych porachunków. Nie ma nic lepszego niż dobra rozróbka w barze... tak łatwo wówczas wsadzić komuś nóż w plecy albo dołożyć butelką leżącemu pod stołem. Biedny Szwed znalazł się w gnieździe os; miał przeciw sobie całą knajpę, a zwłaszcza swoich kolegów ze statku. Nie odczuwaliby wielkiego żalu, gdyby ktoś go załatwił. Zamknęli więc drzwi na klucz i odsuwając stoły na bok utworzyli przed barem wolną przestrzeń, gdzie ci dwaj mogli się zmierzyć. Tak też się stało! Kiedy już było po wszystkim, musieli zanieść biedaka do szpitala. Collins miał sporo szczęścia – właściwie nic mu się nie stało wyjąwszy zwichnięty nadgarstek, kilka wywichniętych palców, rozwalony nos i podbite oko. Parę zadrapań, jak sam to ujął. Ale jeżeli kiedyś znajdzie się z tym Szwedem na jednym statku, zabije go. To jeszcze nie koniec – obiecał nam.

Na tym jednak awantura się nie zakończyła. Po wszystkim Yvette musiała zalać się w innym lokalu. Czuła się znieważona i postanowiła z tym wszystkim skończyć. Wzięła więc taksówkę i poleciła kierowcy jechać na skraj urwistego brzegu. Miała zamiar się zabić, o to jej właśnie chodziło. Ale była tak pijana, że kiedy wygramoliła się z taksówki, rozplakała się i nim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, zaczęła zrzucać z siebie ciuchy. Taksówkarz przywiózł ją z powrotem w takim właśnie stanie, na wpół rozebraną; kiedy zobaczył to Jimmie, tak się wściekł, że wziął pas do ostrzenia brzytwy i stłukł ją na kwaśne jabłko, co tej suce bardzo się spodobało.

– Jeszcze, jeszcze trochę... – błagała go na kolanach, obejmując za nogi. Ale Jimmie miał tego dość.

– Ty wycieruchu, ty Świnio! – krzyczał i dał jej kopa w żołądek, co pozbawiło ją tchu i wybiło nieco z głowy erotyczne zapędy.

Czas było jechać. W świetle wczesnego poranka miasto wyglądało zupełnie inaczej. Oczekując na odjazd pociągu jako ostatni poruszaliśmy temat Idaho. Wszyscy trzej byliśmy Amerykanami. Pochodziliśmy z różnych stron, ale mieliśmy coś wspólnego, a nawet – rzekłbym – bardzo dużo. Stawaliśmy się sentymentalni, jak zwykle Amerykanie, kiedy się rozstają. Mówiliśmy przeróżne głupstwa o krowach, owcach i ogromnych otwartych przestrzeniach, gdzie mężczyźni są mężczyznami. I tym podobne pierdoły. Gdyby zamiast pociągu pojawił się statek, wskoczylibyśmy na pokład, mówiąc „do widzenia” Francji i wszystkiemu, co się z nią wiązało. Ale, jak dowiedziałem się później, Collins nie miał już nigdy zobaczyć Ameryki, a Fillmore... Fillmore także miał ponieść karę, i to taką, jakiej żaden z nas się wówczas nie spodziewał. Najlepiej tak właśnie widzieć Amerykę, zawsze w tle, jako coś w rodzaju pocztówki, po którą sięgasz w chwilach słabości. W ten sposób wyobrazasz sobie, że zawsze tam na ciebie czeka, nie zmienia się i nie wynaturza, ogromna, swojska, otwarta przestrzeń, gdzie żyją krowy, owce i mężczyźni o czułych sercach, gotowi

wsadzić każdemu, kto się nawinie, mężczyźnie, kobiecie czy bydłociu. Ameryka nie istnieje.
To tylko nazwa nadana pewnej abstrakcyjnej idei...

Paryż przypomina kurwę. Z daleka wydaje się przepiękna, nie możesz się doczekać, kiedy ją weźmiesz w ramiona. Pięć minut później czujesz pustkę i wstręt do samego siebie. Czujesz się oszukany.

Wróciłem do Paryża z forszą w kieszeni – miałem kilkaset franków, które wcisnął mi na pożegnanie Collins. Było tego dość, by zapłacić za pokój i odżywiać się dobrze co najmniej przez tydzień. Od kilku lat nie miałem w rękę tyle forsy na raz. Rozsadzała mnie radość – miałem poczucie, że otwiera się przede mną nowe życie. Chciałem zachować te pieniądze jak najdłużej, więc znalazłem tani hotelik nad piekarnią na rue de Chateau, o krok od Rue de Vanves, wskazany mi kiedyś przez Eugene'a. O kilka jardów stamtąd znajdował się wiadukt nad torami Montparnasse'u. Tak więc – dzielnica dobrze mi znana.

Mogłem dostać pokój za sto franków miesięcznie, oczywiście bez żadnych wygód – nawet bez okna – i może wziąłbym go, gdyby nie fakt, że aby się doń dostać, musiałbym przechodzić przez pokój zajmowany przez niewidomego. Myśl o tym, że co wieczór będę mijał jego łóżko, bardzo mnie przygnębiała. Postanowiłem poszukać czegoś gdzie indziej. Poszedłem na rue Cels, tuż za cmentarzem, obejrzeć pewną szczurzą norę z balkonami okalającymi podwórko. Tu także zwieszały się z nich klatki z ptakami wzdłuż całej dolnej kondygnacji. Może i jest to radosny widok, ale mnie kojarzył się z przepelnioną salą w szpitalu. Do tego właściciel wydawał się nie mieć wszystkiego po kolei. Postanowiłem dać sobie tej nocy spokój, dobrze się wpięrować, a potem wybrać atrakcyjny mały hotelik w jakiejś spokojnej, bocznej uliczce.

W porze obiadowej wydałem piętnaście franków na jedzenie, prawie dwa razy więcej, niż zaplanowałem. Tak mnie to przygnębiło, że nie pozwoliłem sobie na wstąpienie do kawiarni, mimo że zaczęło się siąpić. Nie, połażę trochę, a potem o jakiejś rozsądnej godzinie grzecznie pójdę do łóżka. Od razu czułem się kiepsko, narzucając sobie w ten sposób oszczędne gospodarowanie swoimi zasobami. Nigdy w życiu tego nie robiłem; było to wbrew mojej naturze.

W końcu zaczęło lać jak z cebra, co mnie bardzo uradowało. Miałem pretekst, by się gdzieś schować i rozprostować nogi. Ciągłe było za wcześnie, by iść do łóżka. Przypieszyłem kroku, kierując się ponownie na boulevard Raspail. Nagle podchodzi jakaś kobieta i zatrzymuje mnie na środku ulicy, w strugach deszczu. Pyta, która godzina. Mówię jej, że nie mam zegarka. I wtedy ona wybucha, tak po prostu:

– Szanowny panie, czy nie mówi pan przypadkiem po angielsku?

Kiwam potakująco głową. Leje, jakby oberwała się chmura.

– Może, zacny człowieku, będzie pan tak łaskawy i zaprosi mnie na kawę. Tak pada, a ja nie mam pieniędzy, by gdzieś trochę posiedzieć. Proszę mi wybaczyć, drogi panie, ale panu tak dobrze patrzy z oczu... Od razu wiedziałam, że jest pan Anglikiem.

Mówiąc to, uśmiecha się do mnie dziwnym, trochę nieprzytomnym uśmiechem.

– Może zechciałby mi pan coś poradzić, drogi panie. Jestem zupełnie sama na świecie... mój Boże, to straszne być bez grosza...

To „drogi panie”, „mój dobroczyńco”, „zacny człowieku” itp. doprowadziło mnie do granic hysterii. Było mi jej żal, a jednocześnie chciało mi się śmiać. I roześmiałem się. Roześmiałem się jej prosto w twarz. I wtedy ona też się zaśmiała – był to bardzo dziwny, niemelodyjny, wysoki śmiech, zgoła niestosowny chichot. Ująłem ją pod ramię i pobiegliśmy pędem do najbliższej kawiarni. Chichotała jeszcze, kiedy wchodziliśmy do środka.

– Mój drogi panie – zaczęła znowu – może pan myśli, że kłamię? Jestem przyzwoitą dziewczyną... pochodzę z dobrej rodziny. Tylko – i tu posłała mi ten błady nieporadny uśmiech – tylko znajduję się w tak pechowej sytuacji, że nie mam się gdzie podziąć.

Słyszac to, znowu się roześmiałem. Nic na to nie mogłem poradzić – wyrażenia, jakich używała, dziwnie brzmiący akcent, zwariowany kapelusz, zbzikowany uśmiech...

– Słuchaj – przerwałem jej – jakiej jesteś narodowości?

– Jestem Angielką – odparła. – To znaczy, urodziłam się w Polsce, ale mój ojciec jest Irlandczykiem.

– I dlatego jesteś Angielką?

– Tak – odrzekła i znowu zaczęła chichotać, nieśmiało, ale starając się przy tym stworzyć pozory kokieterii.

– Pewnie znasz jakiś przyjemny hotelik, do którego możesz mnie zabrać?

Powiedziałem to nie dlatego, że miałem ochotę z nią iść, ale po to, by zaoszczędzić jej zwykłych w takich wypadkach wstępów.

– Ależ, drogi panie! – oburzyła się, jak gdybym popełnił bardzo poważny nietakt. – Jestem przekonana, że nie mówi pan tego poważnie! Nie jestem jedną z tych dziewczyn. Zażartował pan sobie ze mnie, teraz to widzę. Taki pan dobry... tak dobrze panu z oczu patrzy. Nie ośmieliłabym się tak zaczepić jakiegoś Francuza. Oni od razu stają się tacy wulgarni...

Przez jakiś czas ciągnęła w tym stylu. Miałem zamiar się urwać, ale nie chciała zostać sama. Bała się – jej papiery nie były zupełnie w porządku. Czy nie byłbym tak dobry, by odprowadzić ją do hotelu? A może byłbym w stanie „pożyczyć” jej piętnaście lub dwadzieścia franków, by udobruchać patrona? Odprowadziłem ją do hotelu, w którym się zatrzymała, tak przynajmniej twierdziła, i wsunąłem jej w rękę banknot pięćdziesięciofrankowy. Albo była bardzo przebiegła, albo całkiem niewinna – czasami trudno to odróżnić – w każdym razie poprosiła, bym poczekał chwilę, aż pobiegnie do bistro i przyniesie mi resztę. Powiedziałem, żeby się nie trudziła. Słyszac to, spontanicznie chwyciła mnie za rękę i podniosła do ust. Byłem tak zaskoczony, że chciałem jej oddać wszystko, co miałem. Tak mnie poruszył ten drobny, zwariowany gest. Pomyślałem sobie – jak dobrze od czasu do czasu być bogatym, choćby po to, by doznawać takich nie znanych, mocnych wrażeń. Mimo to nie straciłem głowy tak bez reszty. Roztrwonić pięćdziesiąt franków! Wystarczyło tego na jeden deszczowy wieczór. Gdy się oddalałem, pomachała mi tym zwariowanym kapelusikiem, którego nie umiała nosić. Tak, jakbyśmy bawili się razem w piaskownicy. Czułem się głupio i kręciło mi się w głowie. „Mój drogi panie... tak dobrze panu z oczu patrzy... jest pan tak dobry, itp.”. Czułem się jak święty.

Kiedy mało nie pękasz z dumy, nie tak łatwo jest od razu pójść spać. Czujesz, że powinieneś odpokutować te niespodziewane porywy dobroci. Przechodząc koło Jungle, zobaczyłem niewielki wycinek kręgu tanecznego: kobiety o nagich plecach, ze sznurami pereł zaciskającymi się im na szyjach – tak to przynajmniej wyglądało – kręciły w moją stronę swymi ślicznymi tyłeczkami. Podszedłem prosto do baru i zamówiłem *coupe* szampana. Kiedy muzyka ucichła, piękna blondynka – wyglądała na Norweżkę – zajęła miejsce obok mnie. Lokal nie był tak przepełniony ani tak rozbawiony, jak to się wydawało z zewnątrz. Tkwiło tu może tylko jakieś sześć par – zapewne traf chciał, że naraz wzięły się do tańca. Zamówiłem jeszcze jedną *coupe* szampana, by nie stracić odwagi.

Gdy wstałem, chcąc zatańczyć z blondynką, na parkiecie nie było nikogo poza nami. W innych okolicznościach czułbym się skrępowany, ale szampan i sposób, w jaki się do mnie przytulała, przyćmione światła i solidne poczucie pewności siebie płynące z faktu posiadania kilkuset franków sprawiały, że, ach, zresztą... Zatańczyliśmy raz jeszcze, dając jakby prywatny pokaz, a potem zaczęliśmy rozmawiać... Rozpłakała się i tak to się zaczęło. Pomyślałem, że może za dużo wypiła, więc udawałem, że nie zwracam na to uwagi.

Równocześnie rozglądałem się wokół, by stwierdzić, czy jest tam jeszcze jakiś inny „towar”. Ale lokal był kompletnie pusty.

Gdy znajdziesz się w pułapce, należy wiać – i to natychmiast. Jeżeli tego nie zrobisz, wpadłeś. Co mnie powstrzymywało, to – o dziwo – myśl, że po raz drugi będę musiał zapłacić za szatnię. Człowiek zawsze wpakuje się w coś takiego przez jakieś głupstwo.

Jak niebawem odkryłem, płakała dlatego, że właśnie pochowała swoje dziecko. Nie była wcale Norweżką, ale Francuzką, i do tego akuszerką. Bardzo szykowną akuszerką, muszę przyznać, nawet gdy po twarzy spływały jej łzy. Zapytałem, czy coś mocniejszego nie pomogłoby nieco ukoić jej bólu, na co ona z miejsca zamówiła jedną whisky, wychylając ją w mgnieniu oka.

– Wypiłaś jeszcze jedną? – zaproponowałem łagodnie.

Miała ochotę, czuła się fatalnie, była tak strasznie przybita.

Miała też chęć na paczkę cameli.

– Nie, poczekaj – powiedziała – wolałabym chyba *les pall malle*.

Pal, co chcesz, pomyślałem, ale, na Boga, przestań płakać, bo czuję się nieswojo. Dość obcesowo postawiłem ją na nogi, by jeszcze raz zatańczyć. W tańcu była zupełnie kimś innym. Może smutek dodaje kobiecie seksu, nie wiem. Szepnąłem jej, byśmy się stąd urwali.

– Gdzie pójdziemy? – spytała bez namysłu.

– Och, byle gdzie. W jakieś spokojne miejsce, gdzie można porozmawiać.

Poszedłem do toalety i raz jeszcze przeliczyłem pieniądze. Banknoty stufrankowe ukryłem w kieszonce na zegarek, zostawiając w spodniach pięćdziesiąt franków i drobne. Wróciłem do baru z postanowieniem, że powiem prosto z mostu, o co chodzi.

Ułatwiła mi to sama poruszając ten temat. Miała kłopoty. Nie dość, że straciła dziecko, ale jej matka, leżała w domu chora, ciężko chora, trzeba zapłacić za lekarza, kupić lekarstwa *itepe, itede*. Nie wierzyłem, rzecz jasna, ani jednemu słowu. Ale, jako że i tak musiałem znaleźć dla siebie hotel, zaproponowałem, by poszła ze mną i została na noc. Wyniesie taniej, pomyślałem sobie. Ale ona nie chciała się zgodzić. Upierała się, że powinna pójść do domu; mówiła, że ma własne mieszkanie, a poza tym musi opiekować się matką. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że jeszcze taniej będzie przespać się u niej – powiedziałem więc, dobrze, chodźmy zaraz. Jednak nim ruszyliśmy, zdecydowałem, że najlepiej będzie powiedzieć jej, jak stoję finansowo, żeby uniknąć jakichś nieporozumień w ostatniej chwili. Myślałem, że zemdleje, kiedy usłyszała, ile pieniędzy mam w kieszeni.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła śmiertelnie obrażona. Myślałem, że zrobi mi awanturę... Jednak dzielnie stawiłem jej czoło.

– Dobrze, wobec tego żegnam – powiedziałem spokojnie. – Być może pomyliłem się.

– Pewnie, że tak – wykrzyknęła, łapiąc mnie jednocześnie za rękaw. – *Écoute, ché-ri... sois raisonnable!* Słyszac to, odzyskałem pewność siebie. Wiedziałem, że to tylko kwestia obiecania jej czegoś ekstra i wszystko będzie OK.

– W porządku – powiedziałem znudzonym tonem. – Będę dla ciebie miły, zobaczysz.

– A więc skłamałeś, tak? – zapytała.

– Tak – uśmiechnąłem się. – Po prostu skłamałem...

Nie zdążyłem nawet włożyć kapelusza, gdy przywołała taksówkę; kazała jechać na boulevard de Clichy. To wyniesie więcej niż opłata za pokój, pomyślałem sobie. Ale, ostatecznie, miałem jeszcze czas... zobaczymy. Nie wiem już teraz, jak to się zaczęło, ale wkrótce entuzjasmowała się Henrym Bordeaux. Nie spotkałem jeszcze kurwy, która nie znałaby Henry’ego Bordeaux. Ta jednak była naprawdę natchniona; jej język był teraz piękny, pełen ciepła i tak wnikliwy, że zacząłem się zastanawiać, ile jej dać. Wydawało mi się, że usłyszałem, jak powiedziała: „*quand, il n’y aura plus de temps*”. W każdym razie coś w tym guście. W stanie, w jakim się znajdowałem, takie sformułowanie warte było sto franków. Zastanawiałem się, czy wymyśliła to sama, czy też ściągnęła z Henry’ego Bordeaux.

Mniejsza z tym. W każdym razie był to odpowiedni zwrot, by zajechać z nim na ustach do stóp Montmartre'u. „Dobry wieczór, mamó – mówiłem do siebie – oboje z córką zajmujemy się panią – *quand il n'y aura plus de temps*”. Pamiętałem też, że ma mi pokazać swój dyplom. Gdy tylko zamknęły się za nami drzwi, zaczęła zdradzać ogromny niepokój. Rozkojarzona, załamywała ręce i przybierała pozy niczym Sarah Bernhardt; zrzucając fatałaszkę, przerywała ni stąd, ni zowąd tę czynność, by mnie ponaglić, życząc sobie, bym się szybciej rozbierał, robił to czy tamto. Gdy się wreszcie rozebrała, poczęła miotać się po pokoju z nocną koszulą w ręku, rozglądając się za kimonem; złapałem ją i mocno przycisnąłem. Kiedy ją puściłem, na jej twarzy pojawił się wyraz udręki.

– Mój Boże! Mój Boże! Muszę zejść na dół i zobaczyć, co z mamą! – wykrzyknęła. – Jeśli chcesz, możesz się wykąpać, *chéri*. O, tam! Za parę minut będę z powrotem.

Przy drzwiach jeszcze raz ją objąłem. Byłem w bieliźnie i miałem potworny wzród. Cała ta udręka i podniecenie, cały smutek i komedianctwo tylko zaostrzyły mój apetyt. Może zeszła na dół jedynie po to, by uspokoić swojego *maquereau*. Miałem uczucie, że rozgrywa się coś niezwykłego, jakiś dramat, o którym jutro przeczytam w porannej gazecie. Dokonałem szybkiej lustracji mieszkania. Składało się z dwóch pokoi niezłe i dość kokieteryjnie umeblowanych. Na ścianie wisiał jej dyplom – pierwszej klasy, jak wszystkie. Na toaletce stała też fotografia dziecka, małej dziewczynki o pięknych lokach. Napuściłem wody do wanny, a potem się rozmyśliłem. Gdyby coś się stało, a mnie znaleziono by w wannie... wcale mi się to nie uśmiechało. Chodziłem tam i z powrotem, coraz bardziej niespokojny w miarę upływu czasu.

Kiedy wróciła, była jeszcze bardziej rozstrojona niż przedtem.

– Ona umrze... ona umrze! – lamentowała w kółko.

Przez chwilę miałem ochotę wyjść. Jak, do diabła, możesz wleźć na kobietę, kiedy jej matka umiera na dole, może tuż pod tobą? Objąłem ją, trochę dla okazania współczucia, a po części, by dowieść, że jestem zdecydowany dostać to, po co tu przyszedłem. Gdy tak staliśmy, szepnęła jakby powodowana prawdziwą boleścią, że bardzo potrzebuje tych pieniędzy, które jej obiecałem. Miały być dla *maman*. Kurwa, nie miałem serca targować się w takiej chwili o parę franków. Podeszedłem do krzesła, na którym leżało moje ubranie i wyciągnąłem z kieszonki na zegarek stufrankowy banknot, odwracając się do niej plecami, by mimo wszystko zachować ostrożność. Ponadto ubezpieczając się dodatkowo, ułożyłem spodnie po tej samej stronie łóżka, gdzie miałem zamiar wylądować. Ta setka nie zadowoliła jej w pełni, ale po dość nieśmiałyach protestach z jej strony zorientowałem się, że to wystarczy. Następnie, wykazując energię, która mnie zadziwiła, zrzuciła z siebie kimono i wskoczyła do łóżka. Gdy tylko wziąłem ją w ramiona i przyciągnąłem do siebie, sięgnęła do kontaktu wyłączając światło. Objęła mnie namiętnie i jęknęła, jak robią to wszystkie francuskie pizdy, gdy już zwabia cię do łóżka. Jej gorączkowe zachowanie przeraźliwie mnie podniecało, a numer z wyłączeniem światła stanowił dla mnie pewną nowość... nie sprawiał wrażenia wystudiowanego chwytu. Pozostawałem jednak podejrzliwy i gdy tylko mogłem to swobodnie uczynić, wyciągnąłem rękę, by sprawdzić, czy spodnie wciąż leżą na krześle.

Uznałem, że jakoś urządziliśmy się na tę noc. Łóżko było wygodne, bardziej miękkie niż przeciętne łóżko hotelowe, co więcej, zasłane czystą pościelą, na co już przedtem zwróciłem uwagę. Gdyby tylko tak nie wydziwiała, wijąc się pod mną jak piskorz. Zdawać by się mogło, że nie spała z facetem od miesiąca. Chciałem to przedłużyć. Chciałem otrzymać równowartość moich stu franków. Ale ona szeptała przeróżne rzeczy w tym zwariowanym języku używanym tylko w łóżku, który jeszcze gwałtowniej burzy ci krew, gdy się to odbywa w ciemności. Stawiałem zacięty opór, ale nic nie mogłem poradzić wobec jej jęków, przyspieszonego oddechu i szeptów: „*Vite chéri! Vite chéri! Oh, c'est bon! Oh, oh! Vite, vite, chéri!*”. Próbowałem liczyć, ale jej zawodzenia przypominały wycie syreny pożarowej. „*Vite, chéri!*” – tym razem tak zadrżała, tak jęknęła, że... bach! usłyszałem gwiazdne dzwony i już

było po moich stu frankach i pięćdziesięciu za taksówkę, o której całkiem zapomniałem, i znów paliło się światło, a ona równie ochoczo, jak wskoczyła do łóżka, tak teraz wyskoczyła z niego, chrząkając i kwicząc niczym stara maciora. Położyłem się wygodnie i zaciągnąłem papierosem, spoglądając ponuro na spodnie – były strasznie wymięte. Po chwili zjawiała się z powrotem; owijając się w kimono, poprosiła tym zmartwionym głosem, który zaczynał mi już działać na nerwy, bym się czuł jak u siebie.

– Idę na dół zobaczyć, co z mamą – powiedziała. – *Mais faites comme chez vous, chéri. Je reviens tout de suite.*

Po kwadransie ogarnął mnie niepokój. Poszedłem do drugiego pokoju i przeczytałem leżący na stole list. Nie było w nim nic godnego uwagi – był to list miłosny. W łazience obejrzałem stojące na półce flakoniki; miała wszystko, co potrzebne kobiecie, by pięknie pachnieć. Ciągle jeszcze miałem nadzieję, że wróci i otrzymam równowartość tych pozostałych pięćdziesięciu franków. Ale czas dłuższy się, a ona nie wracała. Zaniepokoiłem się. Może tam na dole naprawdę ktoś umiera. Z roztargnieniem, powodowany – jak sądzę – instynktem samozachowawczym, zacząłem się ubierać. Gdy zapinałem pasek, przez moment stanął mi przed oczyma jej widok: wkładała mój stufrankowy banknot do portmonetki. Była tak zaferowana, że wrzuciła ją po prostu do szafy, na górną półkę. Zobaczyłem ruch, który przy tym wykonała – wspięła się na palce i sięgnęła na górną półkę. W jednej chwili otworzyłem szafę i ręką poszukałem portmonetki. Natrafiłem na nią bez trudu. Otworzywszy ją pospiesznie ujrzałem swoje sto franków – leżały sobie wygodnie między jedwabnymi poduszczkami. Włożyłem portmonetkę na miejsce, wskoczyłem w płaszcz i buty, a potem zszedłem na półpiętro i zacząłem nasłuchiwać. Nie było nic słychać. Bóg jeden wie, gdzie się podziała. W jednej chwili znalazłem się z powrotem przy szafie i złapałem portmonetkę. Wsadziłem do kieszeni swoje sto franków i jeszcze wszystkie drobne. Potem, cicho zamknąwszy drzwi, zszedłem na palcach ze schodów, a kiedy już byłem na ulicy, zacząłem biec. Zatrzymałem się dopiero w Café Boudon, by coś przegryźć. Tamejsze kurwy nieźle się bawiły, naigrawając się z jakiegoś tłuściocha, który zasnął nadjedzeniem. Spał mocno, chrapał nawet, ale jego szczęki wciąż jeszcze poruszały się mechanicznie. W lokalu panował straszny tumult. Rozległ się okrzyk „Wszyscy na pokład”, a potem zgodny szcęk noży i widelców. Tłuścioch na moment otworzył oczy, mrugając głupawo, ale głowa ponownie opadła mu na piersi. Starannie włożyłem z powrotem stufrankowy banknot do kieszonki od zegarka i policzyłem drobne. Wrzawa wokół mnie narastała i nie mogłem sobie przypomnieć, czy na jej dyplomie widziałem słowa „pierwszej klasy”, czy nie. Nie dawało mi to spokoju. Jej matka guzik mnie obchodziła. Mam nadzieję, że już wykorkowała. Dziwne byłoby, gdyby to, co mówiła, było prawdą. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. *Vite chéri... vite, vite!* I ta druga idiotka z tym swoim „mój dobry panie” i „tak dobrze panu z oczu patrzy”! Ciekaw jestem, czy rzeczywiście wynajęła pokój w tym hotelu, przed którym się zatrzymaliśmy.

Gdzieś tak pod koniec lata Fillmore zaproponował mi, bym z nim zamieszkał. Wynajmował pracownię z widokiem na koszary kawalerii tuż koło Place Dupleix. Spotykaliśmy się dość często od czasu naszego wypadu do Hawru. Gdyby nie Fillmore, nie wiem, co by dziś ze mną było – najprawdopodobniej bym nie żył.

– Dawno już zaprosiłbym cię do siebie – powiedział – gdyby nie ta mała dziwka Jackie. Nie wiedziałem, jak się jej pozbyć.

Uśmiechnąłem się. Coś takiego mogło spotkać jedynie Fillmore'a. Był geniuszem, jeśli chodzi o przyciąganie bezdomnych dziwek. Jackie zmyła się w końcu sama.

Nadciągała pora deszczowa, długi posepny okres tłustej mgły i strug deszczu, kiedy czujesz się wiecznie przemoczony i nieszczęśliwy. Paryż w zimie jest ohydny miejscem. Tutejszy klimat wżera się w duszę, pozostawiając cię nagim jak wybrzeże Labradoru. Spostrzegłem z niepokojem, że jedynym źródłem ciepła jest mały piecyk w pracowni. Mimo to było tu wygodnie. A z okna roztaczał się cudowny widok.

Rano Fillmore potrząsał mną brutalnie i kładł dziesięciofrankowy banknot na poduszce. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, kładłem się z powrotem, by jeszcze trochę się zdrzemnąć. Bywało, że leżałem w łóżku do południa. Nie miałem nic pilnego do roboty poza ukończeniem książki, a to niezbyt mnie martwiło; wiedziałem przecież, że żaden wydawca i tak jej nie przyjmie. Tak czy owak Fillmore był pod jej dużym wrażeniem. Kiedy zjawiał się wieczorem z butelczyną pod pachą, najpierw podchodził do stołu, by zobaczyć, ile stron machnąłem. Z początku podobał mi się okazywany w ten sposób entuzjazm; ale później, kiedy zaczęło mi brakować pomysłów, diabelnie grało mi na nerwach to jego szperanie w poszukiwaniu stron, które miały płynąć z mego pióra niczym woda z kranu. Kiedy nie miałem mu co pokazać, czułem się zupełnie jak jakaś dziwka, którą przygarnął. Przypominałem sobie, co mówił o Jackie – „wszystko byłoby dobrze, gdyby choć od czasu do czasu dała mi dupy”. Gdybym był kobietą, z wielką chęcią dałbym mu dupy; łatwiej by mi to przyszło, niż podtykać mu pod nos strony, na które czyhał niecierpliwie.

Mimo to starał się bardzo, bym czuł się tu swobodnie. W domu zawsze było mnóstwo jedzenia i wina, a od czasu do czasu nalegał, bym mu towarzyszył na dansing. Lubił chodzić do pewnej murzyńskiej spelunki na rue d'Odessa, gdzie można było spotkać niczego sobie Mulatkę, którą niekiedy zabieraliśmy do siebie. Fillmore'owi nie dawała jednak spokoju myśl, że nie może znaleźć Francuzki, która gustowałaby w popijawach. Wszystkie były za trzeźwe jak na jego wymagania – lubił przyprowadzić kobietę do pracowni i trochę z nią popić przed przejściem do spraw zasadniczych. Chciał także, by uważano go za artystę. Ponieważ facet, od którego wynajął mieszkanie, był malarzem, nietrudno było stworzyć odpowiednie pozory. Płótna znalezione w *armoire* zostały wkrótce porozwieszane gdzie popadło, a jedno nie dokończone – ustawione na sztalugach tak, by rzucało się w oczy. Niestety, były to wyłącznie obrazy surrealistyczne i sprawiały na ogół negatywne wrażenie. Jeśli idzie o ocenę obrazów, to nie ma tu wielkich różnic między kurwą, dozorczynią czy ministrem. Toteż Fillmore poczuł wielką ulgę, gdy zaczął nas regularnie odwiedzać Mark Swift, nosząc się z zamiarem namalowania mojego portretu. Fillmore szczerze podziwiał Swifta. To geniusz – zawyrokował. I chociaż dawało się zauważyć jakąś dzikość we wszystkim, do czego się zabierał, obojętnie, czy namalował człowieka czy jakiś przedmiot, można było to rozpoznać, niezależnie od tego, co ów obraz przedstawia. Na prośbę Swifta zacząłem zapuszczać brodę.

Kształt mojej czaszki – orzekł – wymaga dopełnienia w postaci brody. Musiałem siedzieć w oknie na tle wieży Eiffla, ponieważ pragnął, by ona także znalazła się na obrazie. Chciał też umieścić na nim maszynę do pisania. Mniej więcej w tym samym czasie Kruger również nabrał zwyczaju wpadania do nas; utrzymywał, że Swift nie ma pojęcia o malarstwie. Irytowały go przedmioty pozbawione proporcji. Wierzył bez zastrzeżeń w prawa Natury. Swift natomiast miał w dupie Naturę; chciał malować to, co tkwiło w jego głowie. Tak czy owak na sztalugach wisiał teraz mój portret autorstwa Swifta, i choć proporcje zostały naruszone, nawet minister doszedłby do wniosku, że przedstawia głowę ludzką należącą do mężczyzny z brodą. W rzeczy samej dozorczyńni zaczęła okazywać wielkie zainteresowanie obrazem; uważała, że podobieństwo jest uderzające. I podobał się jej pomysł z wieżą Eiffla w tle.

Wszystko toczyło się bez zakłóceń przez jakiś miesiąc, może trochę dłużej. Okolica podobała mi się, zwłaszcza nocą, kiedy można było w pełni odczuć całe jej plugastwo i ponurość. Mały placzyk, tak czarujący i cichy o zmierzchu, wraz z nadejściem ciemności nabierał szczególnie posępnego i złowrogiego charakteru. Był tam długi, wysoki mur, biegnący z jednej strony koszar, pod którym zawsze obejmowała się ukradkiem jakaś parka – często na deszczu. To przygnębiający widok – dwoje kochanków przyciśniętych do muru więzienia pod ponurą uliczną latarnią: jakby zostali doprowadzeni do granic ostateczności. To, co działo się za ogrodzeniem, też było przygnębiające. W deszczowe dni często stawałem w oknie i patrzyłem, co się tam dzieje, obserwując to tak, jakby dotyczyło innej planety. Wydawało mi się to niepojęte. Wszystko odbywało się według ustalonego harmonogramu, i to harmonogramu opracowanego przez szaleńca. Tkwił tam, grzęzł w błocie przy dźwięku trąbek, odbywały się szarże kawalerii – wszystko w obrębie czterech ścian. Pozorowane bitwy. Mnóstwo ołowianych żołnierzyków w najmniejszym nawet stopniu nie zainteresowanych tym, by się nauczyć zabijać, pucować buty i czyścić zgrzeblę konie. Było to zupełnie absurdalne, ale stanowiło część naturalnego porządku rzeczy. Kiedy nie mieli nic do roboty, wyglądali jeszcze bardziej niedorzecznie; drapali się, łazili z rękami w kieszeniach, spoglądali w niebo. A kiedy przechodził oficer, stukali obcasami i salutowali. Dom wariatów – takie to na mnie sprawiało wrażenie. Nawet konie wyglądały głupawo. Niekiedy wywlekano armaty, które z łoskotem jechały ulicą na paradę, a ludzie przystawali, rozdziawiali gęby i podziwiali piękne mundury. Na mnie zawsze sprawiali wrażenie armii w odwrocie; byli jacyś wyświechtani, nosili zbyt obszerne mundury, a cała dziarskość, którą każdy z osobna miał w stopniu godnym podziwu, ułatwiała się ni stąd, ni zowąd.

W słońcu jednak wszystko wyglądało inaczej. W oczach błyskał promyk nadziei, krok stawał się bardziej sprężysty, demonstrowali nawet umiarkowany entuzjazm. Wszystko odzyskiwało wówczas barwę i wdzięk, zaczynała się krzątania i bieżania tak charakterystyczna dla Francuzów; paplali wesoło siedząc nad drinkami w narożnym bistro, a oficerowie wydawali się bardziej ludzcy, rzekłbyś, bardziej francuscy. Gdy pojawia się słońce, każdy zakątek Paryża potrafi być pełen uroku; a jeśli w dodatku jest tam bistro z opuszczonymi markizami, kilkoma stolikami na trotuarze i kolorowymi napojami w szklankach, wtedy ludzie wyglądają całkiem jak ludzie. I są ludzcy – są najlepszymi ludźmi na świecie, kiedy zaświeci słońce! Tacy inteligentni, tacy rozluźnieni, tacy beztroscy! Wpakować takich ludzi do koszar, nękać ich musztrą, sortować na szeregowców, sierżantów, pułkowników i co tam jeszcze, jest po prostu przestępstwem.

Wszystko, jak mówiłem, układało się gładko. Od czasu do czasu wpadał Carl z jakąś pracą dla mnie; przeważnie reportaże, których sam nie znosił pisać. Otrzymywałem wprawdzie tylko pięćdziesiąt franków za sztukę, ale pisało się je łatwo, ponieważ wystarczyło sięgnąć do dawnych numerów pisma i przerobić stare artykuły. Ludzie czytują takie rzeczy siedząc na sedesie albo dla zabicia czasu w poczekalni. Najważniejsze to odświeżyć przymiotniki – reszta jest kwestią dat i danych statystycznych. Ważniejsze artykuły podpisywał osobiście

szef działu, półgłówek, który nie znał dobrze żadnego języka, ale potrafił wyszukiwać błędy. Gdy napotkał dobrze napisany ustęp, mówił: „Tak właśnie powinieneś pisać. Pięknie. Pozwalam ci wykorzystać to w twojej książce”. Te piękne ustępy braliśmy czasami z encyklopedii albo jakiegoś starego przewodnika. Niektóre z nich Carl rzeczywiście umieścił w swojej książce – miały pewien surrealistyczny posmak.

Aż tu nagle, gdy pewnego wieczoru po powrocie ze spaceru otwieram drzwi, z sypialni wyskakuje jakaś kobieta.

– To pan jest pisarzem! – z miejsca zwraca się do mnie z ożywieniem, spoglądając na moją brodę, by zweryfikować swoje wyobrażenia.

– Jaka paskudna broda – stwierdza. – Wy tu wszyscy musicie mieć fioła.

Fillmore wlecze się za mną trzymając w ręku koc. – To księżniczka – mówi, cmokając, jakby przed chwilą skosztował jakiegoś rzadkiego kawioru.

Oboje ubrani byli do wyjścia i nie mogłem zrozumieć, po co wloką tę pościel. Wtedy nagle przyszło mi do głowy, że Fillmore pewnie zaciągnął ją do sypialni, by pokazać swój worek na brudy. Zawsze prezentował go nowej panience, zwłaszcza gdy była *Française*. „*No tickee, no shirtie!*”[1] – wyszyto na worku i dziwnym sposobem Fillmore nabawił się obsesji, by każdej nowo przybyłej tłumaczyć to motto. Ale ta dama nie była Francuzką, jak mi wyjaśnił na wstępie. Była Rosjanką, a co więcej, księżniczką.

[1] „Nie ma kwitu, nie ma koszuli” — śmiesznie brzmiący, okaleczony angielski, używany przez Chińczyków, którzy często prowadzili pralnie przed wprowadzeniem pralni automatycznych.

Aż kipiał, podniecony jak dziecko na widok nowej zabawki.

– Ona zna pięć języków – oznajmił, wyraźnie zdruzgotany tymi umiejętnościami.

– *Non*, cztery – poprawiła go natychmiast.

– No więc cztery... Tak czy owak to cholernie inteligentna dziewczyna. Zobaczysz, jak ładnie się wyraża.

Księżniczka była zdenerwowana – cały czas drapała się w udo i pocierała nos.

– Dlaczego on akurat teraz chce posłać łóżko? – spytała mnie. – Czy wydaje mu się, że w ten sposób mnie zdobędzie? To duży dzieciak. Zachowuje się skandalicznie. Zabrałam go do rosyjskiej restauracji, a on tańczył tam niby jakiś czarnuch.

Pokręciła tyłkiem, chcąc pokazać, jak to wyglądało.

– I za dużo gada. Za głośno. W dodatku bzdury. Szeleszcząc sukienką chodziła po pokoju, oglądając obrazy i książki z zadartą wysoko głową, ale drapiąc się przy tym bezustannie. Od czasu do czasu robiła gwałtowny zwrot niczym okręt wojenny i przystępowała do frontalnego ataku. Fillmore chodził za nią krok w krok z butelką w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej.

– Przestań za mną łaźić – strofowała go podniesionym głosem. – I nie masz nic innego do picia? Nie możesz zdobyć butelki szampana? Muszę się napić szampana. Moje nerwy! Moje biedne nerwy!

Fillmore uciekł się do szeptu: – Aktorka... gwiazda filmowa... jakiś facet uwiódł ją i porzucił, i ona nie może się po tym pozbierać... Mam zamiar spać ją jeszcze dzisiaj...

– To ja spływam – zaproponowałem, kiedy księżniczka przerwała nam:

– Co wy tam szepczecie? – krzyknęła, tupiąc nogą. – Nie wiecie, że to niegrzecznie? A ty – myślałam, że mnie gdzieś zaprosisz. Muszę się dziś upić, mówiłam ci już.

– Tak, tak – odparł Fillmore – zaraz wychodzimy. Chcę tylko jeszcze się napić.

– Ależ z ciebie Świnia! – wykrzyknęła. – Choć, trzeba przyznać, miły jesteś chłopiec. Tyle że za głośno się zachowujesz. I brak ci dobrych manier.

Po czym zwróciła się do mnie: – Czy mogę mieć nadzieję, że on będzie się przywoicie zachowywał? Chcę się dziś upić, ale boję się, że on mnie skompromituje. Może wrócę tu później, chciałabym z panem porozmawiać. Wygląda pan na bardziej inteligentnego.

Wychodząc księżniczka serdecznie uściśnęła mi rękę i obiecała wpaść kiedyś na obiad – „kiedy będę trzeźwa” – powiedziała.

– Świetnie – odparłem. – Proszę przyprowadzić jeszcze jedną księżniczkę... albo przynajmniej hrabiankę. Pościel zmieniamy co sobotę.

Około trzeciej nad ranem wtacza się Fillmore... sam. Przypomina iluminowany transatlantyk, postukując swą pękniętą laską hałaśliwie jak ślepiec. Stuk, stuk, stuk, przed nami ciężka droga...

– Idę prosto do łóżka – oznajmia, przechodząc koło mnie.

– Jutro ci wszystko opowiem.

Idzie do swojego pokoju i odrzuca kołdrę. Słyszę, jak jęczy:

– Co za kobieta! Co za kobieta!

Po chwili jest z powrotem z nieodłączną laską w ręku, w kapeluszu na głowie.

Przez dłuższą chwilę buszuje w kuchni, po czym wraca do pracowni z butelką anjou w ręku. Muszę wstać i wychylić z nim szklaneczkę.

O ile jestem w stanie złożyć tę historię do kupy, wszystko zaczęło się w Rond-Point des Champs-Elysees, gdzie wpadł na drinka po drodze do domu. Jak zwykle o tej porze *terrasse* roiła się od sępów. Ona zaś siedziała w samym przejściu, mając przed sobą stos spodeczków; spokojnie upijała się w samotności, kiedy nawinął się Fillmore i z miejsca wpadł jej w oko.

– Jestem pijana – zachichotała – może pan usiądzie?

I natychmiast, jakby to było zupełnie naturalne, bez żadnego wstępu, zaczęła opowiadać o swoim reżyserze, o tym, jak ją spławił i jak ona rzuciła się do Sekwany itp., itd. Nie pamiętała już, z jakiego mostu skoczyła, wiedziała tylko, że powstało niezłe zbiegowisko, gdy wyłowiono ją z wody. Poza tym, cóż to za różnica, z jakiego mostu się rzuciła – dlaczego zadaje takie pytania? Śmiała się z tego historycznie, a potem nagle zapragnęła pójść gdzie indziej – miała ochotę tańczyć.

Widząc jego wahanie, gwałtownym ruchem otwiera torebkę i wyciąga stufrankowy banknot. Ale już za chwilę dochodzi do wniosku, że ze stoma frankami daleko nie zajdą. „Nie ma pan żadnych pieniędzy?” – pyta go. Nie, nie miał wiele przy sobie, ale w domu zostawił książeczkę czekową. Skoczyli więc po nią i, rzecz jasna, musiałem się pojawić właśnie wtedy, gdy wyjaśniał jej napis „*no tickee, no shirtie*”.

W drodze do domu wpadli coś przekąsić do Poison d’Or, gdzie kanapki popiła kilkoma wódkami. Była tam w swoim żywiole – wszyscy całowali ją po rękach, szepcząc *princesse, princesse*. Chociaż była wstawiona, udawało się jej zachować godność. „Nie kręć tak tyłkiem” – powtarzała wciąż, kiedy tańczyli.

Gdy dotarli wreszcie do pracowni, Fillmore wpadł na myśl, by tam zostać. Ale, jako że była to dziewczyna tak inteligentna i zarazem narwana, postanowił zaspokoić kaprysy i odwlec wielką ucztę. Wyobraził sobie nawet, że może spotka jeszcze jedną szlachetnie urodzoną i sprowadzi do domu dwie księżniczki na raz. Kiedy zatem wyruszyli wesoło spędzić wieczór, był w dobrym humorze, gotów – jeżeli zajdzie potrzeba – wydać na nią kilkaset franków. Ostatecznie nie co dzień spotyka się księżniczkę.

Zaciągnęła go tym razem do innego lokalu, gdzie była jeszcze bardziej znana i gdzie – jak powiedziała – nie będzie żadnych trudności z realizacją czeku. Wszyscy mieli na sobie stroje wieczorowe i było tu jeszcze więcej owego idiotycznego zginania karku i całowania rąk, kiedy kelner wiódł ich do stolika.

Nagle w środku tańca opuściła parkiet ze łzami w oczach.

– Co się stało? – szeptał. – Cóż ja ci znowu zrobiłem?

I instynktownie złapał się za pośladki, by sprawdzić, czy przypadkiem wciąż nimi nie kręci.

– Nic takiego – odrzekła. – Nic nie zrobiłeś. Chodź, miły z ciebie chłopiec – i mówiąc to, pociągnęła go z powrotem na parkiet, zaczynając tańczyć w dzikim zapamiętaniu.

– Ale co ci jest? – spytał szeptem.

– Nic – odparła. – Zobaczyłam kogoś, nic więcej.

A potem, gwałtownie wybuchając gniewem, dodała: – Dlaczego mnie upijasz? Nie wiesz, że robię się wtedy nieznośna?

– Masz czek? – zapytała. – Musimy stąd iść. Przywołała kelnera i szepnęła mu coś po rosyjsku.

– To dobry czek? – spytała, kiedy kelner zniknął.

A potem impulsywnie dodała: – Zaczekaj na mnie na dole w szatni. Muszę gdzieś zadzwonić.

Gdy kelner przyniósł resztę, Fillmore nie spiesząc się zszedł do szatni, by poczekać na swą towarzyszkę. Przechadzał się, nucąc coś i cicho pogwizdując, i cmokając na myśl o kawiorze, który go czeka. Minęło pięć minut. Dziesięć minut. Wciąż cichutko pogwizdywał. Po dwudziestu minutach, gdy księżniczka się nie pojawiła, zaczął coś podejrzewać. Szatniarz powiedział mu, że dawno już wyszła. Wybiega na ulicę, gdzie stoi czarnuch w liberii, uśmiechnięty od ucha do ucha. Czy wie, dokąd poszła? Czarnuch uśmiecha się. Czarnuch mówi: „Słyszałem, że do Coupole, nic więcej, psze pana”.

Dostrzega ją na dole w Coupole siedzącą nad koktajlem z rozmarzonym wyrazem twarzy, jak w transie. Na jego widok rozpromienia się.

– Ładnie to – pytają – uciec tak nagle? Mogłaś mi powiedzieć, że ci się nie podobam...

Jak to usłyszała, wpadła w gniew. Zaczęła histeryzować, gestykulując teatralnie, a po tym fajerwerku emocji nie przestawała łkać i pochlipywać.

– Jestem wariatką – odpowiedziała przez łzy. – Z ciebie zresztą też niezły wariat. Chcesz się ze mną przespać, a ja nie mam na to ochoty.

Potem zaczęła nudzić o swoim kochanku – reżyserze filmowym, którego zauważyła na parkiecie. Właśnie dlatego musiała stamtąd uciec. Dlatego zażywała narkotyki i upijała się co wieczór. Dlatego rzuciła się do Sekwany. Paplała dalej w tym stylu, jaka to z niej wariatka, a potem nagle wpadła na nowy pomysł.

– Chodźmy do Bricktopa.

Był tam pewien znajomy... obiecał jej kiedyś pracę. Była przekonana, że może na niego liczyć.

– Ile to będzie kosztowało? – ostrożnie spytał Fillmore.

– Dużo – powiedziała mu prosto z mostu. – Ale słuchaj, jak mnie tam zabierzesz, obiecuję pójść z tobą do domu.

Była na tyle uczciwa, że dodała, iż może to kosztować pięćset, sześćset franków.

– Ale zapewniam cię, że jestem tyle warta! Nie wiesz nawet, co ze mnie za kobieta. W całym Paryżu nie ma drugiej takiej....

– To tylko tobie tak się wydaje!

Jankeska krew brała w nim górę.

– Jestem innego zdania. Coś mi się wydaje, że niewarta jesteś nic... ty głupia wariatko. Prawdę mówiąc, wolałbym już dać pięćdziesiąt franków jakiejś Francuzce, one przynajmniej dają coś w zamian.

O mało nie wyszła z siebie, kiedy wspomniał o francuskich dziewczynach.

– Nie waz się mówić przy mnie o tych kokotach! Nie znoszę ich! Są głupie... brzydkie... oddają się za pieniądze. Przestań, mówię ci!

Po chwili się roz pogodziła. Zaczęła z innej strony. – Kochanie – zamruczała – nie masz pojęcia, jak wyglądam nago. Jestem piękna.

I objęła dłońmi swoje piersi. Fillmore nie dał się na to złapać.

– Jesteś dziwką! – powiedział zimno. – Nie miałbym nic przeciwko temu, by wydać na ciebie kilkaset franków, ale ty masz kota. Nawet nie umyłaś twarzy. Cuchnie ci z ust. Gównu mnie obchodzi, czy jesteś księżniczką, czy nie... Nie mam zamiaru zadawać się z takimi jak ty rosyjskimi dupami o arystokratycznych pretensjach. Powinnaś iść na ulicę i tam

konkurować z innymi. Nie jesteś więcej warta od pierwszej lepszej Francuzki. Nie jesteś aż tak dobra. Nie mam zamiaru wydać na ciebie już ani jednego sou. Powinnaś jechać do Ameryki – to najwłaściwsze miejsce dla takiej pijawki jak ty...

Nie wyglądała na specjalnie zbitą z tropu tym tekstem.

– Ty chyba po prostu trochę się mnie boisz – stwierdziła.

– Boję się? Ciebie?

– Jesteś tylko chłopaczkiem – powiedziała. – Nie masz za grosz manier. Kiedy lepiej mnie poznasz, inaczej będziesz śpiewał... Dlaczego nie spróbujesz być miły? Nie chcesz iść ze mną dziś. W porządku. Będę w Rond-Point jutro między piątą a siódmą. Podobasz mi się.

– Nie mam zamiaru być tam ani jutro, ani kiedy indziej! Nie chcę cię więcej widzieć... nigdy więcej. Mam cię dosyć. Pójdę znaleźć sobie jakąś małą Francuzkę. A ty idź do diabła!

Spojrzała i uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Teraz tak mówisz. Ale poczekaj tylko! Poczekaj, aż się ze mną prześpisz. Nie masz pojęcia, jakie piękne mam ciało. Wydaje ci się, że Francuzki potrafią się kochać... poczekaj tylko. Oszalejesz na moim punkcie. Podobasz mi się. Tylko brak ci ogłady. Jesteś chłopaczkiem. Za dużo gadasz...

– Masz bzika – powiedział Fillmore. – Nie zakochałbym się w tobie, nawet gdybyś była ostatnią kobietą na świecie. Idź lepiej do domu i umyj sobie twarz.

I wyszedł, nie płacąc za drinki.

Niemniej jednak po kilku dniach księżniczka zainstalowała się u nas. Jesteśmy całkowicie przekonani, że to naprawdę księżniczka. Tyle że ma trypra. Tak czy owak nie możemy narzekać na nudę. Fillmore ma bronchit, księżniczka – jak już wspomniałem – trypra, a ja – hemoroidy. Właśnie wymieniłem w rosyjskiej *épicerie* naprzeciwko sześć pustych butelek na pełne. Sam nie wypilem ani kropli.

Nie wolno mi jeść mięsa ani dziczyzny, pić wina i używać kobiet. Nic; tylko owoce i olej parafinowy, krople arnikowe i maść adrenalinowa. W całym mieszkaniu nie ma ani jednego krzesła, na którym byłoby mi dość wygodnie. W tej chwili patrzę na księżniczkę wsparty na poduszkach niczym jakiś basza. Basza – to przypomina jej imię: Masza. Nie wydaje mi się ono wcale tak cholernie arystokratyczne. Przypomina *Żywego trupa*.

Z początku sądziłem, że będzie to dość zenujące, ten nasz *ménage à trois*, a tymczasem, proszę, ani trochę. Kiedy się wprowadziła, pomyślałem znów, że to koniec i będę musiał znaleźć sobie inne mieszkanie, ale Fillmore dał mi wkrótce do zrozumienia, iż przygarnął ją tylko do czasu, aż ona stanie na nogi. Kiedy w grę wchodzi kobieta taka jak ona, nie mam pojęcia, co to znaczy. Moim zdaniem przez całe swoje życie stała na głowie. Twierdzi, że z Rosji wypędziła ją rewolucja, ale jestem przekonany, że, tak czy owak, coś by ją stamtąd wyгнаło. Uważa się za wielką aktorkę, a my nawet nie próbujemy jej przeczyć, niezależnie od tego, co mówi, ponieważ to czysta strata czasu. Fillmore'a to bawi. Kiedy wychodzi rano do biura, kładzie dziesięć franków na jej poduszce i dziesięć na mojej; wieczorem we trójkę idziemy do rosyjskiej restauracji na dole. Okolica pełna jest Rosjan i Masza znalazła już lokal, w którym udzielają jej niewielkiego kredytu.

Rzecz jasna, dziesięć franków dziennie to dla księżniczki tyle co nic; od czasu do czasu ma ochotę na kawior albo szampana; potrzebna jej także zupełnie nowa garderoba, by na powrót otrzymać pracę w filmie. Nie ma teraz nic do roboty poza zabijaniem czasu. Przybiera na wadze.

Dziś rano nieźle się wystraszyłem. Po umyciu twarzy złapałem przez pomyłkę jej ręcznik. Nie udaje się nam przyuczyć jej, by go wieszala na odpowiednim haczyku. Gdy zrobiłem jej z tego powodu awanturę, odparła bez zająknięcia:

– Mój drogi, jeśli od tego można stracić wzrok, już dawno byłabym ślepa.

W dodatku mamy wspólną ubikację. Usiłuję po ojcowsku wytłumaczyć jej, do czego służy sedes.

– Trala-lala! – ona na to. – Skoro tak się boisz, to pójdę do kawiarni.

Tłumaczę jej, że nie jest to konieczne. Po prostu niech zachowuje zwykłe środki ostrożności.

– Strutu-tutu! – ona na to. – Dobrze, nie będę siadać... będę to robiła na stojąco.

Od kiedy tu zamieszkała, wszystko jest nie tak. Najpierw nie chciała dawać, ponieważ miała miesięczkę. Trwało to osiem dni, aż zaczęliśmy podejrzewać, że udaje. Ale nie, nie udawała. Pewnego dnia, kiedy usiłowałem doprowadzić mieszkanie do porządku, znalazłem pod łóżkiem watę – była zakrwawiona. Ona wszystko wrzuca pod łóżko: skórki od pomarańczy, watę, korki, puste butelki... Ściele wyro tylko wtedy, kiedy ma iść spać. Większość czasu spędza wylegując się na nim i czytając swoje rosyjskie gazety.

– Mój drogi – zwraca się do mnie – gdyby nie moje gazety, w ogóle nie wstawałabym z łóżka.

Święta prawda! Wszędzie walają się te rosyjskie pisma. Nie ma ani skrawka papieru toaletowego – do podcierania tyłka używa się rosyjskich gazet.

A skoro już mowa o jej przyzwyczajeniach, to gdy skończyła miesięczkować, gdy sobie dobrze wypoczęła, a wokół talii odłożył się jej ładny tłuszcz i nadal nie chciała dawać, okazało się, że lubi wyłącznie kobiety. Żeby zechciała coś z mężczyznami, trzeba by ją najpierw odpowiednio podniecić. Życzyła sobie, byśmy ją zabrali do domu publicznego, gdzie pokazuje numer z mężczyzną i psem. Albo jeszcze lepiej, uznała, Ledę z łabędziem: trzepotanie skrzydłami niesamowicie ją podnieca.

Pewnego wieczoru, by to sprawdzić, poszliśmy razem do wybranego przez nią burdelu. Ale nim zdołaliśmy poruszyć ten temat z *madame*, pewien pijany Anglik siedzący przy stoliku obok nawiązał z nami rozmowę. Był już na pięterku dwa razy, ale chciał spróbować jeszcze raz. Miał w kieszeni nie więcej niż dwadzieścia franków, a – jako że nie znał francuskiego – poprosił nas o pomoc w pertraktacjach z dziewczynką, którą miał na oku. Tak się złożyło, że była to Murzynka, potężnie zbudowana dziewczka z Martyniki, piękna jak pantera. Miała przy tym niebywały temperament. Chcąc przekonać ją, by raczyła przyjąć te grosze, które pozostały Anglikowi, Fillmore musiał obiecać jej, że sam z nią pójdzie, jak tylko ona skończy z Anglikiem. Księżniczka przyglądała się, słyszała wszystko, a potem zaczęła stroić fochy. Uznała, że ją to znieważa.

– Do licha – powiedział Fillmore – przecież chciałaś zobaczyć coś podniecającego – możesz popatrzeć, jak ja to robię.

Ale ona nie chciała oglądać jego – chciała łabędzia.

– Na Boga – odparł Fillmore – jestem równie dobry co pierwszy lepszy łabędź... a może nawet odrobinę lepszy.

I tak, od słowa do słowa, w końcu jedynym sposobem udobruchania jej było zawołać jedną z dziewczynek, żeby się we dwie popieściły... Kiedy Fillmore wrócił z Murzynką, jej oczy płonęły. Widząc, jak Fillmore na nią patrzy, wiedziałem, że musiała dać niezwykle spektakl i mnie samego opanowały sprośne myśli. Fillmore musiał to wyczuć, a także i to, jaką udręką było dla mnie siedzieć tu i móc się jedynie przyglądać, gdyż nagle wyciągnął z kieszeni banknot stufrankowy i rzucając go z rozmachem na stół, powiedział:

– Masz, tobie chyba bardziej potrzebna jest panienka niż komukolwiek z nas. Weź to i wybierz sobie którąś.

Dziwnym sposobem ów gest uczynił mi go bliższym niż wszystko, co zrobił dla mnie do tej pory, a było tego niemało. Przyjąłem pieniądze z tą samą intencją, z jaką zostały mi ofiarowane, i szybko dałem znak Murzynce, by się przygotowała na jeszcze jeden numer. To najwidoczniej jeszcze bardziej rozwścieczyło księżniczkę. Spytała, czy nie ma w tym lokalu żadnej dostatecznie dla nas dobrej dziewczyny poza tą Murzynką. Powiedziałem jej bez ogródek: NIE! I rzeczywiście, prawda wyglądała właśnie tak – Murzynka była królową haremu. Wystarczyło na nią spojrzeć, by ci stanął. Z oczu patrzyło jej chujem. Upijała się stawianymi sobie żądaniami. Nie potrafiła już chodzić prosto – tak przynajmniej mi się

zdawało. Stąpając za nią krętymi schodami, nie mogłem odeprzeć pokusy, by wsunąć rękę między jej nogi; w tej konfiguracji wchodziliśmy dalej, a ona obróciła się i spoglądała na mnie uśmiechając się radośnie, kręcąc lekko tyłkiem, gdy zbytnio ją łaskotałem.

Był to niezwykle udany wieczór. Wszyscy byli zadowoleni. Wydawało się, że i Masza jest w dobrym humorze. Toteż następnego wieczoru, kiedy otrzymała swoją porcję szampana i kawioru oraz przedstawiła nam kolejny rozdział historii swego życia, Fillmore zabrał się do niej. Wyglądało na to, że dostanie wreszcie długo oczekiwaną nagrodę. Przestała się opierać. Leżała z rozrzuconymi nogami i pozwoliła mu trochę poigrać, a wtedy, w chwili, gdy się na niej położył i chciał jej wsadzić, ona poinformowała go nonszalancko, że ma trypra. Zsunął się z niej jak pień. Słyszałem, jak szpera w kuchni w poszukiwaniu szarego mydła używanego na specjalne okazje, a już po chwili stał koło mojego łóżka z ręcznikiem w rękę, mówiąc:

– Wyobrażasz sobie coś takiego? Ta kurewska księżniczka ma trypra!

Wyglądał na nieźle przestraszonego. Tymczasem księżniczka chrupała jabłko, każąc podać sobie rosyjskie gazety. Musiała się nieźle ubawić.

– Bywają gorsze rzeczy – stwierdziła, leżąc na łóżku i rozmawiając z nami przez otwarte drzwi. W końcu także Fillmore uznał to za żart i otwierając następną butelkę anjou, nalał sobie i wypił jednym haustem. Była dopiero pierwsza w nocy, toteż spędził na rozmowie ze mną jeszcze jakiś czas. Powiedział mi, że nie ma zamiaru zniechęcać się takim drobiazgiem. Oczywiście, trzeba uważać... miał już przecież trypra, którego złapał w Hawrze. Nie pamiętał nawet, jak to się stało. Czasami, kiedy się upił, zapominał się umyć. To nic strasznego, ale nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Nie chciał, by mu masowano gruczoł krokowy. Nie, nie miał na to najmniejszej ochoty. Pierwszy raz złapał trypra w college'u. Nie wiedział, czy zaraził się od dziewczyny, czy też ona od niego; tak wiele działo się w kampusie, że nie wiadomo było, komu można wierzyć. Prawie wszystkie studentki zachodziły w ciążę. Cholerne ignorantki... Nawet belfrom dawała się we znaki ignorancja. Plotka głosiła, że jeden z nich dał się wykastrować...

Tak czy owak, następnego wieczoru postanowił spróbować z kondomem. Ryzyko jest niewielkie, chyba że pęknie. Kupił sobie te z rybiego pęcherza – zapewniał mnie, że są najbardziej niezawodne. Ale, choć tak się zaopatrzył, i tym razem mu się nie udało. Miała za ciasną piczkę.

– Jezu, przecież ja jestem zupełnie normalny – powiedział. – Rozumiesz coś z tego? Ktoś musiał przecież w nią wejść, skoro złapała trypra. Musiał mieć niebywale małego.

Toteż gdy zawiodły kolejne próby, zrezygnował zupełnie. Leżą teraz w łóżku jak brat z siostrą, śniąc kazirodcze sny. Masza mówi z właściwą sobie filozoficzną zadumą:

– W Rosji często się zdarza, że mężczyzna śpi z kobietą nie tykając jej. Może to trwać tygodniami i nigdy to im nie przyjdzie do głowy. Aż tu nagle – trach! Gdy raz jej dotknie... Trach! Trach! Potem już nic, tylko trach! Trach! Trach!

Wszystkie wysiłki zmierzają teraz do tego, by Masza odzyskała formę. Fillmore'owi wydaje się, że jeżeli wyleczy ją z trypra, ona się rozluźni. Osobliwy pomysł. Kupił jej zatem irygator, zapas nadmanganianu i inne drobiazgi zalecane przez pewnego lekarza, Węgra, pokątnego specjalistę od skrobanek, mieszkającego przy Place d'Aligre. Wygląda na to, że szef Fillmore'a wpadł z jakąś szesnastolatką, która poznała go z tym Węgrem, a potem szef miał pięknego szankra i znowu trzeba było iść do Węgra. Tak w Paryżu zawiera się znajomości – opierając się na kontaktach moczowo-płciowych. Tak czy owak, pod naszym ścisłym nadzorem Masza zaczyna o sobie dbać. Wczoraj wieczorem mieliśmy jednak przez chwilę pewien dylemat. Wsadziła sobie czopek, a później nie mogła znaleźć przyczepionej do niego nitki.

– Mój Boże! – wrzeszczała – gdzie jest ta nitka? Mój Boże! Nie mogę jej znaleźć.

– A szukałaś pod łóżkiem? – spytał Fillmore.

W końcu uspokoiła się. Ale tylko na kilka minut. Po chwili zaczęła od nowa:

– Mój Boże! Znowu krwawię. Już skończyła mi się miesiączka, a tu znowu *gouttes*. To na pewno przez ten tani szampan, który kupujesz. Mój Boże! Chcesz, bym wykrwawiła się na śmierć?

Wychodzi do nas ubrana w kimono, z ręcznikiem między nogami, usiłując – jak zwykle – wyglądać dystyngowanie.

– Tak właśnie wygląda moje życie – narzeka. – Jestem neurasteniczką. Cały dzień na nogach, a wieczorem znowu pijana. Kiedy przyjechałam do Paryża, byłam niewinną dziewczyną. Czytałam jedynie Villona i Baudelaire’a. Ale jako że miałam wówczas w banku trzysta tysięcy franków szwajcarskich, byłam na tyle szalona, że chciałam cieszyć się życiem, gdyż w Rosji byli dla mnie zawsze surowi. A ponieważ byłam jeszcze piękniejsza niż teraz, wszyscy mężczyźni padali mi do stóp.

W tym miejscu złapała się za fałdę łąszczy, która utworzyła się jej w talii.

– Nie myślcie, że jak tu przyjechałam, to miałam taki brzuch... to od tych wszystkich trucizn, które mi dawano do picia... tych okropnych aperitifów, które mogą pić tylko ci zwariowani Francuzi... Wtedy poznałam tego reżysera. Chciał dać mi jakąś rolę w swoim filmie. Mówił, że jestem najcudowniejszą kobietą na świecie, i co noc błagał mnie, bym się z nim przespała. Byłam jeszcze dziewicą, byłam taka młoda i naiwna i pewnego wieczoru pozwoliłam się zgwałcić. Chciałam być wielką aktorką, a nie wiedziałam, że w żyłach krąży mu trucizna. Tak, to on zaraził mnie tryprem... a teraz chciałabym mu go zwrócić. To przez niego popełniłam samobójstwo w Sekwanie... Z czego się śmiejecie? Nie wierzycie, że popełniłam samobójstwo? Mogę wam pokazać gazety... w każdej jest moje zdjęcie. Pokażę wam kiedyś rosyjskie pisma... tak pięknie o mnie pisały... Ale, kochanie, wiesz, że najpierw muszę mieć nową suknię. Nie mogę uwieść tego faceta w takich brudnych szmatach. Poza tym wciąż jestem winna krawcowi dwanaście tysięcy franków.

Od tego momentu historia się komplikuje, przechodząc w opowieść o spadku, który ona usiłuje odzyskać. Ma młodego adwokata, Francuza, który – sądząc z jej opisu – jest raczej bojaźliwy, i to on właśnie próbuje przywrócić jej należny majątek. Od czasu do czasu daje jej jakieś sto franków zaliczki.

– To skąpiec, jak wszyscy Francuzi – mówi Masza. – Ale byłam taka piękna, że nie mógł ode mnie oderwać oczu. Ciągłe mnie błagał, bym się z nim pieprzyła. Tak znudziło mnie to gadanie, że pewnego wieczoru powiedziałam „dobrze”, by mieć wreszcie spokój i nie stracić tych stu franków, które czasem od niego dostawałam.

Przerwała na chwilę, wybuchając histerycznym śmiechem.

– Mój drogi – kontynuowała – to, co mu się przytrafiło, jest zbyt śmieszne, by to wyrazić słowami. Dzwoni do mnie pewnego dnia i mówi: „Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć... chodzi o coś bardzo ważne”. A gdy do niego przyjeżdżam, pokazuje mi zaświadczenie lekarskie – rzeźączka! Cóż, mój drogi, roześmiałam mu się w twarz. Skąd mogłam wiedzieć, że wciąż jeszcze mam trypra? „Chciałeś się ze mną ciupciać, więc ci uległam”. To mu zamknęło usta. Tak już bywa w życiu... nic nie podejrzewasz, aż tu nagle trach, trach, trach! Był takim głupcem, że zakochał się we mnie ponownie. Błagał mnie tylko, bym zachowywała się przyzwoicie i nie biegała po Montparnassie przez całą noc, pijąc i łajdacząc się. Mówił, że doprowadzam go do szaleństwa. Chciał, żebym za niego wyszła, ale usłyszała o tym jego rodzina i namówili go na wyjazd do Indochin...

I tu, ni stąd, ni zowąd, Masza przechodzi do romansu z lesbijką. – To było bardzo zabawne, mój drogi, ten podryw pewnego wieczoru. Byłam w *Fétiche*, wstawiona jak zwykle. Ona zabierała mnie z lokalu do lokalu i pieściła pod stołem przez cały wieczór, aż nie mogłam już dłużej tego znieść. Zaprowadziła mnie potem do swego mieszkania i za dwieście franków dałam się jej wylizać. Nalegała, bym z nią zamieszkała, ale nie chciałam, by mi lizała co wieczór... to tak osłabia. Poza tym muszę się wam przyznać, że lesbijki nie

pociągają mnie już tak bardzo jak niegdyś. Wolałabym spać z facetem, chociaż mnie to boli. Kiedy się strasznie podniecę, przestaję nad sobą panować... trzy, cztery, pięć razy.... o tak! Trach! Trach! Trach! A potem krwawię, a to dla mnie bardzo niezdrowe, ponieważ mam skłonności do anemii. Więc już wiecie teraz, dlaczego od czasu do czasu muszę pozwolić jakiejś lesbijce, by mi wylizała...

Wraz z nastaniem zimy księżniczka zniknęła. Pracownia stawała się niezbyt przytulna, był tam jedynie mały piecyk węglowy, toteż w sypialni było jak w lodowni, a w kuchni niewiele lepiej. Tylko w pobliżu piecyka było naprawdę ciepło. Masza znalazła więc sobie rzeźbiarza-kastrata. Opowiedziała nam o nim przed odejściem. Po kilku dniach usiłowała do nas wrócić, ale Fillmore nie chciał o tym słyszeć. Narzekała, że rzeźbiarz przez całą noc zamęczają pocałunkami. Poza tym brakowało jej ciepłej wody do irygacji. W końcu jednak doszła do wniosku, że dobrze się stało, iż do nas nie wróciła.

– Przynajmniej nie będę już miała w pobliżu tego twojego cholernego dyszla – powiedziała. – Stale tylko ten dyszel... denerwowało mnie to. Gdybyś chociaż był pedziem, zostałabym z tobą...

Po odejściu Maszy zmienił się charakter naszych wspólnych wieczorów. Często siadywaliśmy przy ogniu, popijając gorący grog i rozmawiając o życiu w Stanach. Mówiliśmy o tym tak, jakbyśmy nie spodziewali się tam już nigdy powrócić. Fillmore miał na ścianie plan Nowego Jorku; całe wieczory upływały nam na porównywaniu zalet Paryża i Nowego Jorku. W naszych dyskusjach musiała pojawić się postać Whitmana, tej jedynej wyjątkowej osobowości, którą wydała Ameryka podczas swego krótkiego istnienia. U Whitmana ożywa cała amerykańska rzeczywistość, przeszłość i przyszłość, narodziny i śmierć. Wszystko, co wartościowe w Ameryce, wysłowione zostało przez Whitmana, nic więcej nie można dodać. Przyszłość należy do maszyn i robotów. Whitman był Poetą Ciała i Duszy. Poetą pierwszym i ostatnim. Dziś jest prawie nie do odcyfrowania, jak kamień pokryty prymitywnymi hieroglifami, do których brakuje klucza. Nawet dziwnie wspominać tu o nim. W żadnym z języków Europy nie ma odpowiednika, by oddać ducha, któremu zapewnił nieśmiertelność. Europa przesiąknięta jest sztuką, w ziemi pełno ludzkich kości, jej muzea pękają w szwach od zagrabionych skarbów, ale tym, czego Europa nigdy nie miała, jest wolny, zdrowy duch, który można nazwać CZŁOWIEKIEM. Zbliżył się do tego ideału Goethe, lecz w porównaniu z Whitmanem to tylko zarozumiały bufon. Goethe był szanowanym obywatelem, pedantem, nudziarzem, duchem uniwersalnym, ale nosił w sobie piętno Niemiec, dwugłowego orła. Łagodność Goethego, ten olimpijski spokój to nic innego jak ospałe odrętwienie boga niemieckiej burżuazji. Goethe jest zmierzchem, Whitman – początkiem.

Niekiedy po takiej dyskusji ubierałem się i szedłem na spacer, opatulony w sweter, wiosenny płaszcz Fillmore'a i pelerynę. Na dworze panował obrzydliwy chłód i wilgoć, przed którymi nie ochroni cię nic prócz hartu ducha. Mówi się, że Ameryka jest krajem skrajnych temperatur, i to prawda; termometr rejestruje tam ujemne temperatury, o których się tu praktycznie nie słyszy, ale ziąb paryskiej zimy jest zimnem nie znanym w Ameryce – to zimno przenikające psychikę, atakujące zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz. Nie ma tu silnych mrozów, ale nie ma też i odwilży. Podobnie jak ludzie bronią się przed zakłócaniem swojej intymności, wznosząc wysokie mury, instalując zamki i żaluzje, wynajmując mrukiwe, niechlujne dozorcynie o zjadliwych językach, tak samo nauczyli się zabezpieczać przed zimnem i upałami w tym ożywczym, rześkim klimacie. Przedsięwzięli środki zapobiegawcze, a istotą sprawy jest tu potrzeba bezpieczeństwa. Poczucia zabezpieczenia i spokoju. I pomyśleć, że to tylko po to, by mogli spokojnie gnić. W wilgotną zimową noc nie trzeba patrzeć na mapę, by odkryć, pod jaką szerokością geograficzną leży Paryż. To miasto Północy, wysunięty bastion wzniesiony na bagnie wypełnionym czaszkami i kośćmi. Wzdłuż bulwarów widać zimną elektryczną imitację ciepła: *Tout Va Bien* rozbłyskuje

ultrafioletowym światłem, w którym klienci kawiarni Dupont wyglądają jak zgangrenowane zwłoki. *Tout Va Bien!* Tym mottem karmią się nieszczęśliwi żebracy, spacerujący całą noc tam i z powrotem w mżawce fioletowych promieni. Tam, gdzie jest odrobina światła, jest też i ciepło. Można się ogrzać, patrząc na tłustych, zadufanych w sobie skurwysynów wlewających w siebie swój grog lub parującą kawę. Tam, gdzie tylko palą się światła, są na chodnikach ludzie, potracając się nawzajem, wydzielając odrobinę zwierzęcego ciepła, unoszącego się z ich brudnej bielizny i nieświeżych oddechów zmieszanych z klątwami. Może na przestrzeni ośmiu, dziesięciu przecznic panuje jakaś pozorna radość, ale zaraz na powrót pograża się w nocy, ginie w ponurym, odrażającym mroku, znika jak zamarznięty tłuszcz w wazie zupy. Szereg za szeregiem ciągną się postrzępione kamienice, każde okno szczelnie zamknięte, każda sklepowa witryna okratowana i zaryglowana. Te kamienne więzienia ciągną się kilometrami i nie dają krztyny ciepła, w środku gnieźdzą się psy i koty pospołu z kanarkami. Karaluchy i pluskwy również znajdują bezpieczne schronienie w tych więzieniach. *Tout Va Bien.* Jeżeli nie masz ani jednego sou, możesz zawsze wziąć parę starych gazet i zrobić sobie posłanie na stopniach katedry. Drzwi są dobrze zaryglowane, przeciągi nie będą ci przeszkadzać. Jeszcze lepiej sypia się u wrót metra; nie zabraknie ci tam towarzystwa. Popatrz w deszczową noc, jak leżą sztywni niby materace – mężczyźni, kobiety, wszy, przytuleni do siebie i osłonięci gazetami przed plwocinami i pełzającym robactwem. Przyjrzyj się im pod mostami albo straganami. Jakże nędznie wyglądają w porównaniu z czystymi, błyszczącymi warzywami, poukładanymi starannie niczym drogie kamienie. Nawet ubite konie, krowy i owce zawieszane na ociekających tłuszczem hakach wyglądają bardziej apetycznie. Przynajmniej trafią jutro do żołądków i nawet z ich wnętrzości będzie jakiś pożytek. Ale ci brudni żebracy leżący w deszczu, co za pożytek z nich? Cóż dobrego mogą nam przynieść? Przez pięć minut krwawią nam serca, to wszystko.

Cóż, w końcu to tylko mroczne, nocne myśli wywołane spacerem w deszczu po dwóch tysiącach lat chrześcijaństwa. Ale teraz zaspokaja się przynajmniej potrzeby kanarków, a także psów i kotów. Za każdym razem, gdy mijam okienko dozorczyńni i czuję cały lodowaty ciężar jej spojrzenia, ogarnia mnie szalona chęć uduszenia wszystkich ptaków świata. Na dzień każdego zamarzniętego serca można znaleźć jedną lub dwie kropelki miłości – akurat tyle, by nakarmić ptaki.

Wciąż nie mogę pozbyć się myśli, że [między życiem a światem idei istnieje taka rozbieżność. Permanentna dysproporcja, choć obie te sfery usiłujemy przesłonić jaskrawą markizą. Ale to na nic. Idee muszą iść w parze z czynami; jeśli są bezpłciowe, jeśli nie są żywotne, nie wiedzą do działania. Idee nie mogą istnieć wyizolowane w próżni umysłu. Odnoszą się do życia (idee wątroby, idee nerek, idee śródmiąższowe itd. Gdyby chodziło wyłącznie o ideę, Kopernik strzaskałby istniejący makrokosmos, Kolumb zatonałby w Morzu Sargassowym. Estetyka czystej idei rodzi kwiaty doniczkowe, a te wystawia się za okno. Ale gdyby słońce nie miało świecić, a deszcz padać, jakież sens stawiać kwiaty na parapecie za oknem?

Fillmore ma mnóstwo idei dotyczących złota, „*Mythos*” złota – tak to nazywa. Lubię *mythos* i lubię też ideę złota, ale nie jest to moją obsesją i nie widzę powodu, byśmy produkowali kwiaty doniczkowe, choćby i ze złota. Utrzymuje, że Francuzi gromadzą zapasy tego kruszcu, ukrywając je w wodoszczelnych komorach głęboko pod ziemią; mówi, że jest tam mała lokomotywa, która jeździ po tych podziemnych kryptach i korytarzach. Ogromnie mi się to podoba. Głęboka, niczym nie zakłócona cisza, w której złoto drzemie sobie w temperaturze 17 1/4 stopnia Celsjusza. Fillmore uważa, że cała armia pracując przez czterdzieści sześć dni i trzydzieści siedem godzin nie zdołałaby przeliczyć zasobów złota zakopanych pod Bankiem Francji, a przecież prócz nich są jeszcze rezerwy – złote zęby, bransoletki, ślubne obrączki itp. Jest tam też zapas żywności na osiemdziesiąt dni, a wyżej jeszcze tę stertę złota chroni przed wysadzeniem w powietrze jezioro. Złoto, mówi Fillmore,

staje się powoli niewidzialne, zmienia się w mit, kładąc kres defraudacjom. Wspaniale! Zastanawiam się, jakie reperkusje będzie miało na świecie odejście od parytetu złota w odniesieniu do idei, strojów, moralności itp. Parytet złota dla miłości!

Do chwili obecnej ideę, która przyświecała mojej współpracy z sobą samym, stanowiło odejście od parytetu złota w sferze literatury. Chodziło mi, ujmując rzecz w skrócie, o przedstawienie zmartwychwstania uczuć, ukazanie człowieka w stratosferze idei, to jest w szponach delirium. Odmalowanie stworzenia presokratycznego, istoty będącej po części kozłem, po części tytanem. Krótko mówiąc, skonstruowanie świata opartego na *omphalos*, a nie na abstrakcyjnej ukrzyżowanej idei. Natrafiliście być może tu i ówdzie na zaniedbane posągi, nie wykorzystane oazy, wiatraki, które przeoczył Cervantes, rzeki biegnące w górę, kobiety o pięciu czy sześciu piersiach ułożonych wzdłuż torsu. (W liście do Gauguina Strindberg napisał: „*J'ai vu des arbres que ne retrouverait aucun botaniste, des animaux que Cuvier n'a jamais soupçonnés et des hommes que vous seul avez pu créer*”).

Kiedy Rembrandt strzelił już wszystkie bramki, zstąpił pod powierzchnię, zabierając ze sobą sztaby złota, suszone mięso i składane łóżka. Złoto to słowo ciemności, część mentalności infernalnej: zawierają się w nim nasze sny i *mythos*. Uciekamy się do alchemii, do owej fikcyjnej aleksandryjskiej mądrości, która stworzyła nasze nadęte symbole. Prawdziwa mądrość magazynowana jest w podziemiach przez harpagonów nauki. Nadchodzi dzień, kiedy będą krążyć w środkowej warstwie atmosfery z magnesami; by znaleźć grudkę rudy, będziesz musiał wznieść się na wysokość dziesięciu tysięcy stóp, zabrać ze sobą parę przyrządów (najlepiej zrobić to w strefie zimnego klimatu) i nawiązać telepatyczną łączność z wnętrzem Ziemi i cieniami zmarłych. Nie będzie już następnego Klondike. Nie będzie kolejnej bonanzy. Będziesz tylko musiał nauczyć się śpiewać i płaszać, interpretować znaki zodiaku i czytać ze swoich trzewi. Trzeba będzie raz jeszcze wydobyć całe złoto ukryte obecnie w zakamarkach Ziemi; cały ten symbolizm trzeba będzie ponownie wywlec z wnętrza człowieka. Najpierw należy jednak udoskonalić narzędzia, unowocześnić samoloty, odkryć, skąd ten łoskot, zamiast wariować tylko dlatego, że słyszysz wybuch pod własnym tyłkiem. A po drugie, trzeba będzie przystosować się do zimnych warstw stratosfery, stać się zimnokrwistą rybą powietrznych przestrzeni. Nie okazywać czci, pobożności, tęsknoty czy żalu. Nie histeryzować. A przede wszystkim, jak mówi Philippe Datz: „NIE ZNIECHĘCAĆ SIĘ!”.

Cóż, to tylko słoneczne myśli wywołane wermutem na Place de la Trinité. Jest sobotnie popołudnie, w ręku mam literacki niewypał. Wszystko pływa w boskim ropośluzie. Wino pozostawia w ustach gorzki ziołowy posmak, osad naszej Wielkiej Zachodniej Cywilizacji, gnijącej teraz jak paznokcie świętych. Mijają mnie kobiety – całe zastępy kobiet – i wszystkie kręcą dupcią tuż przed moim nosem; biją dzwony, a autobusy wspinają się na chodniki i przesyłają sobie całusy. Kelner przeciera stolik brudną szmatą, a diabelnie uszczęśliwiona właścicielka gładzi pieścotliwie kasę. Twarz ścina mi tępa bezmyślność, pustka, bezmyślna domyślność, gryzę dupcie ocierające się o mnie. W dzwonnicy naprzeciwko garbus uderza w spiz złotym młotkiem i gołębie drą się, podnosząc larum. Otwieram książkę nazwaną przez Nietzschego „najlepszą po dziś dzień książką niemiecką” i czytam tam:

„LUDZIE BĘDĄ INTELIGENTNIEJSI I GORLIWSI, ALE NIE STANĄ SIĘ PRZEZ TO LEPSI, SZCZĘŚLIWSI ANI BARDZIEJ ZDECYDOWANI W DZIAŁANIU – ALBO PRZYNAJMNIEJ BĘDĄ TACY TYLKO CZASAMI. NADEJDZIE PORA, KIEDY BÓG NIE BĘDZIE MÓGŁ JUŻ DŁUŻEJ CIESZYĆ SIĘ NIMI, ALE ZNISZCZY WSZYSTKO, BY NA NOWO PRZYSTĄPIĆ DO AKTU TWORZENIA. JESTEM PRZEKONANY, ŻE WEDŁUG PLANU WSZYSTKO WIEDZIE DO TEGO CELU, ŻE W ODLEGŁEJ PRZYSZŁOŚCI USTALONO JUŻ CZAS I GODZINĘ TEGO PONOWNEGO STWORZENIA. ALE PRZEDTEM UPŁYNIJE JESZCZE WIELE CZASU I BYĆ MOŻE

PRZEZ TYSIĄCE LAT BĘDZIEMY NADAL ZABAWIAĆ SIĘ NA TEJ DROGIEJ, STAREJ ZIEMI”.

Wspaniale! Już sto lat temu znalazł się człowiek obdarzony dostateczną wyobraźnią, by stwierdzić, że świat robi bokami. Nasz zachodni świat! – Kiedy widzę postacie mężczyzn i kobiet apatycznie krzątających się za murami swoich więzień, na kilka krótkich godzin ukrytych bezpiecznie i odizolowanych, przerażają mnie potencjalne dramaty wciąż tkwiące w ich cherlawych ciałach. Za tymi szarymi murami jarzą się jeszcze iskry ludzkich istnień, a mimo to nie dochodzi nigdy do pożaru. Czy to jeszcze mężczyźni i kobiety, zapytuję sam siebie, czy tylko cienie, cienie marionetek poruszanych za pomocą niewidzialnych nitek? Zdają się mieć swobodę ruchów, ale przecież nie mają dokąd pójść. Pozostają wolni tylko w jednej sferze i mogą tam sobie wędrować do woli, ale nie nauczyli się dotąd wznosić w powietrze. Jak dotąd nie ma marzeń, które wzbiłyby się w powietrze. Nie przyszedł na świat ani jeden człowiek dostatecznie lekki, dostatecznie radosny, by oderwać się od ziemi! Orły, które przez chwilę trzepotały swoimi potężnymi skrzydłami, opadły ciężko, roztrzaskując się o bruk. Od trzepotu ich skrzydeł zakręciło nam się w głowach. Trzymajcie się ziemi, orły przyszłości! Niebiosa już zbadano, nie ma tam nic. Pod ziemią też nic nie ma, tylko kości i cienie. Pozostańcie na ziemi i płońcie przez następnych kilkaset tysięcy lat!

Jest właśnie trzecia rano i mamy tu parę dziwek, które fikają koziołki na gołej podłodze, Fillmore paraduje nago z pucharem w ręku, a jego brzuszysko napięte jest jak skóra na bębnie i twarde jak fistuła. Cały pernod i szampan, koniak i anjou, które żłopał od trzeciej po południu, bulgocą mu w bebeczach jak w rynsztoku. Dziewczynki przykładają ucho do jego brzucha, jakby był pozytywką. Otwórzcie mu usta haczykiem do zapinania guzików i włóżcie żeton w tę szczelinę. Gdy z tego rynsztoka dobiega bulgot, słyszę, jak nietoperze wylatują z dzwonnicy, a sen osuwa się w nicość.

Dziewczynki rozebrały się, a my dokonujemy inspekcji podłogi, by nie wbiły sobie drzazg w tyłek. Wciąż są w butach na wysokich obcasach. Ale ta dupa! Dupa zdarta, podrapana, wypolerowana, gładka, jędrna i błyszcząca jak bilardowa kula lub czaszka trędowatego. Na ścianie wisi fotografia Mony: spogląda na północny wschód, jej wzrok biegnie w kierunku Krakowa, nazwa jest wypisana zielonym atramentem. Na lewo znajduje się Dordogne, otoczone czerwonym kółkiem. Nagle widzę przed sobą ciemną, owłosioną szparę na błyszczącej, wypolerowanej kuli bilardowej; nogi ściskają mnie jak nożyce. Jeden rzut oka na tę ciemną, nie zszytą ranę i w moim mózgu otwiera się głęboka rozpadlina: wszystkie obrazy i wspomnienia tak skrzętnie lub przypadkowo zgromadzone, ponumerowane, udokumentowane, skatalogowane i opieczętowane, wybuchają bezładnie jak rzeka mrówek wypełzających ze szczeliny w chodniku; świat przestaje się kręcić, czas staje w miejscu, samo wiązanie moich snów pęka i rozpuszcza się, a moje wnętrza wylewają się wielkim schizofrenicznym strumieniem; to wypróżnienie stawia mnie twarzą w twarz z Absolutem. Ponownie stają mi przed oczyma wielkie, bezwstydnie rozwalone matki Picassa, ich piersi pokryte pajakami, ich legenda ukryta głęboko w labiryncie. Widzę Molly Bloom leżącą przez całą wieczność na brudnym materacu. Na drzwiach ubicacji wymalowane czerwoną kredką chuje i madonna szepcząca bolesne diapazony. Słyszę szalony, histeryczny śmiech, pokój ogarnia tężec, a ciało, niegdyś czarne, świeci fosforycznie. Szalony, zwariowany, zupełnie niekontrolowany śmiech, i ta szpara też się ze mnie naśmiewa, śmieje się przez kosmate wąsy, a jej śmiech marszczy błyszcząca, wypolerowaną powierzchnię bilardowej kuli. Wielka kurwo, matko człowiecza, w której żyłach krąży gin! Matko wszystkich dziwek, pająku toczący nas w swoim logarytmicznym grobie, o, ty nienasycony diable, którego śmiech mnie rozdziera! Zaglądam w głąb tego zapadniętego krateru, tego świata zaginionego bez śladu, i słyszę dzwony, widzę dwie zakonnice w Pałacu Stanisława, pod ich habitami czuję zapach zjełczałego masła, widzę manifest nie wydrukowany nigdy z powodu opadów deszczu, wojny

toczone w imię postępu w dziedzinie chirurgii plastycznej, księcia Walii latającego dookoła świata, by udekorować groby nieznanymi żołnierzami. Każdy nietoperz wylatujący z dzwonnicy to przegrana sprawa, każda hałaśliwa zabawa to jęk nadany przez radio z intymnych okopów potępieńców. – I ta ciemna, nie zaszyta rana, ta kloaka pełna obrzydliwości, ta kołyska miast czarnych od czerni, gdzie muzykę idei zagłusza zimny tłuszcz, wydaje na świat przedzierającego się przez zdławione utopie kłowna, istotę rozdartą pomiędzy pięknem i brzydotą, między światłem i chaos, kłowna, który – gdy patrzy w dół czy w bok – jest samym Szatanem, a kiedy spojrzy w górę, widzi anioła całego w maśle, skrzydlatego ślimaka.

Kiedy zaglądam w głąb tej szpary, widzę znak równości, świat w stanie równowagi, świat zredukowany do zera, i ani śladu reszty. Nie jest to zero, które oświetlał latarką Van Norden, nie jest to pusta szpara, którą odkrył przedwcześnie rozczarowany mężczyzna, lecz raczej zero arabskie, symbol, z którego wywodzą się niezliczone matematyczne światy, punkt podparcia gwiazd i świetlistych snów, aparatów lżejszych od powietrza i protez z lekkiego metalu, i materiałów wybuchowych, dzięki którym je wyprodukowano. Tę właśnie szparę spenetrować chciałbym aż po same oczy, pragnąłbym, by wściekle zadygotały te drogie, szalone, metalurgiczne ślepie. A gdy już zadrzą, wówczas znów usłyszę słowa Dostojewskiego, usłyszę, jak przetaczają się, strona za stroną, niosąc najdrobniejsze spostrzeżenia, najbardziej szalone introspekcje, wszelkie półtony cierpienia, to trącone lekko, niemal humorystycznie, to znów wzmagające się jak organowa nuta, aż pęka serce i nie ma nic poza oślepiającym, spalającym, promienistym światłem, które niesie zapładniające nasienie gwiazd. Oto historia sztuki, której korzenie tkwią w masakrze.

Kiedy spoglądam w tę tylekroć pierdoloną kurewską pizdę, czuję pod sobą cały świat, świat rozchwiany i rozsypujący się, świat zużyty, wypolerowany jak czaszka trędowatego. Gdyby znalazł się człowiek dostatecznie śmiały, by powiedzieć wszystko, co sądzi o tym świecie, nie pozostawiono by mu pod nogami ani piędy ziemi. Kiedy pojawia się człowiek, świat go przytłacza i łamie mu kark. Zbyt wiele przegniłych filarów stoi wciąż nietkniętych, za dużo jest ropiejącego człowieczeństwa, by człowiek mógł rozkwitnąć. Nadbudowa jest kłamstwem, a baza opiera się na potężnym, przyprawiającym o drżenie strachu. Jeżeli w interwałach wieków naprawdę pojawi się człowiek pełen głodu i desperacji, człowiek gotów przewrócić świat do góry nogami, by stworzyć nową rasę, miłość, którą niesie światu, zamieni się w żółć, a on sam – w bicz Boży. Jeśli, czytając książkę, od czasu do czasu napotykamy strony, które eksplodują, stronice, które nas ranią i przypalają, wywołują jęki, łzy i przekleństwa, wiedźcie, że napisał je człowiek o wyprostowanym grzbiecie; człowiek, którego ostatnią linią obrony są słowa, a słowa te są zawsze mocniejsze od kłamliwego, łamiącego karki ciężaru świata, silniejsze są od trybów i kół wynalezionych przez tchórzy po to, by złamać ten cudowny twór, jakim jest osobowość. Gdyby jakiś człowiek ośmielił się kiedyś przełożyć wszystko, co nosi w sercu, zapisać to, w czym naprawdę zawiera się jego doświadczenie, co jest jego najprawdziwszą prawdą, sądzę, że wówczas świat by się roztrzaskał, rozleciał na drobne kawałki, i żaden bóg, żaden wypadek, niczyja wola nie byłyby w stanie pozbierać tych skorup, tych atomów, tych na pozór niezniszczalnych elementów, z których się składał.

W ciągu czterystu lat, które upłynęły od pojawienia się ostatniego trawionego niepokojem ducha, ostatniego człowieka, który wiedział, co znaczy ekstaza, postępował ciągły upadek człowieka w sztuce, myśli i działaniu. Świat robi bokami, nie jest nawet w stanie sucho pierdnąć. Któż z oczyma rozpalonymi desperacją i głodem może zwracać najmniejszą uwagę na istniejące rządy, prawa, kody, zasady, ideały, idee, totemy i tabu? Gdyby ktoś potrafił odczytać zagadkę tego, co dziś określamy jako „szparę” lub „dziurę”, gdyby ktoś miał choćby najdrobniejsze poczucie tajemnicy dotyczącej zjawisk nazywanych „obscenicznymi”, ten świat by się rozpękał. To właśnie przez obsceniczny horror, suchy, wypierdolony aspekt rzeczy, ta szalona cywilizacja wygląda jak krater wulkanu. To właśnie tę wielką rozdartą

zatokę nicości mają między nogami twórcy i matki naszej rasy. Kiedy pojawia się duch przepełniony głodem i desperacją, wywołując kwiki świnek morskich, to dzieje się tak dlatego, że wie, gdzie wsadzić rozpalony boleć swego seksu, gdyż rozumie, że pod twardą skorupą obojętności kryje się ohydna szrama, nigdy nie gojąca się rana. I wsadza swój przepełniony energią instrument prosto między nogi, i uderza poniżej pasa, przypalając same trzewia. Na nic założenie gumowych rękawiczek; wszystko, co można ująć na chłodno, przy pomocy intelektu, należy do skorupy, a człowiek zdecydowany tworzyć zawsze zanurza się głębiej, w tę otwartą ranę, w ropiejący obsceniczny horror. Podłącza swoje dynamo do najczulszych miejsc; nawet jeśli tryśnie tylko krew i ropa, to już coś. Suchy, wypierdolony krater jest po prostu obsceniczny. Jeszcze bardziej obsceniczna jest inercja. A paraliż jest większym bluźnierstwem niż najbardziej wulgarne przekleństwo. Jeśli zostanie jedynie ziejąca rana, to musi coś z siebie wyrzucić, choćby były to tylko żaby, nietoperze i karły.

Wszystko musi zawrzeć się w sekundzie, która zostanie spożyta albo i nie. (Ziemia nie jest jałowym płaskowyżem zdrowia i dobrobytu; ale wielką rozkładającą nogi kobietą o aksamitnym łonie, podnoszącym się i falującym jak ocean; wiję się pod diademem potu i udreki; naga i roznamiętniona tarza się wśród chmur w fioletowym świetle gwiazd. Cała – od obfitych piersi po lśniące uda – płonie wściekłym żarem. Tańczy wśród pór roku i wieków niczym wielki karnawał wprawiający jej łono w paroksyzmy szału strząsającego pajęczyny z niebios; opada na swoje osiowe orbity przy wtórze wulkanicznych wstrząsów. Czasami przypomina schwytaną w sidła łanię – z bijącym sercem leży czekając na łoskot czyneli i ujadanie psów. Miłość, nienawiść, rozpacz i litość, wściekłość i wstręt, czymże są te uczucia wobec kopulacji planet? Czymże jest wojna, choroba, okrucieństwo i terror, kiedy noc ukazuje ekstazę miriadów płonących słońc? Czymże jest sieczka, którą przeżuujemy we śnie, jeśli nie wspomnieniem kłów, pazurów i roju gwiazd?

Mona mówiła mi w chwilach uniesienia – „jesteś wielkim człowiekiem” i chociaż zostawiła mnie, bym tu szczeł, chociaż rozwarła pod moimi stopami wielką wyjącą otchłań pustki, słowa leżące na dnie mojej duszy suną skokami naprzód, oświetlając cienie przede mną. Jestem tym, który zgubił się w tłumie, tym, którego oślepiły syczące światła, jestem zerem, które widzi, jak wszystko wokół niego zostało zredukowane do farsy. Mijali mnie mężczyźni i kobiety w oparach płonącej siarki, odźwierni w wapiennej liberii rozwierający szczęki piekła, chwała wsparta na kulach, skarłała w obliczu drapaczy chmur, doszczętnie przeżuta przez kolczaste szczęki maszyn. Podążałem wśród wieżowców w stronę chłodu płynącego od rzeki i widziałem między żebrami ich szkieletów światła strzelające w górę jak rakiety. Jeżeli rzeczywiście jestem wielkim człowiekiem, jak utrzymywała, to czemuż otaczają mnie ci śliniacy się idioci? Byłem człowiekiem posiadającym ciało i duszę, miałem serce, którego nie chronił żaden stalowy sejf. Przeżywałem chwile ekstazy i śpiewałem, aż leciały iskry. Śpiewałem o równiku obejmującym nas chciwie jak dziwka, o jej przyozdobionych czerwonymi piórami nogach i o wyspach znikających z oczu. Nikt nie słuchał. Działo odpalone na Pacyfiku ulatuje w przestrzeń, ponieważ Ziemia jest okrągła, a gołębie fruwać do góry nogami. Widziałem, jak Mona patrzyła na mnie poprzez stół z oczyma pełnymi żalu; przenikający ją smutek rozpląszczył swój nos na jej kręgosłupie; szpik pod wpływem współczucia zamienił się w płyn. Stała się lekka jak trup dryfujący po Morzu Martwym. Palce krwawiły jej z bólu, a krew zamieniała się w ślinę. Wilgotny świt przyniósł bicie dzwonów i grały one nieprzerwanie wzdłuż włókien moich nerwów, a ich serca biły w moim sercu i huczały z żelazną złośliwością. Dziwne, że dzwony potrafią tak dźwięczeć, ale jeszcze dziwniejsze, że ciało eksploduje, ona zamienia się w noc, a jej robaczywe słowa wgryzają się w materac. Płynąłem wzdłuż równika, słyszałem odrażający śmiech zielonoszczękiej hieny, widziałem szakala o jedwabistym ogonie, antylopę dick-dicka i cętkowanego lamparta, zwierzęta pozostawione w ogrodach Edenu. Jej smutek rozszerzył się później jak dziób pancernika, a gdy tonęła, wyparta przez nią woda zalała mi uszy. Z

przepłukiwanego szlamu wyslizgnęły się szafiry przemywane przez wesołe neurony, a widmo uległo rozszczepieniu i pochyliły się okrężnice burt. Usłyszałem cichy jak stąpnięcie lwa obrót armatnich lawet, zobaczyłem, jak działa wypluły z siebie rzygowiny i ślinę; firmament przekrzywił się i zgasły wszystkie gwiazdy. Kruczożarny ocean krwawił, a pogrążone w kontemplacji komety kołysały kęsy nowo narodzonego, właśnie nabrzmiałego ciała, podczas gdy krążące w górze ptaki wykonywały karkołomne ewolucje, a z nieba – tworu halucynacji – spadła waga z mózdzierzem, tłuczkiem i przesłoniętymi oczyma sprawiedliwości. Wszystko, o czym tu mówią, porusza się na wyimaginowanych nogach wzdłuż równoleżników martwych globusów; wszystko, co można ujrzyć przez puste oczodoły, eksploduje jak zakwitająca trawa. Z nicości wyłania się symbol nieskończoności; pod wciąż wznoszącymi się do góry spiralami wolno tonie ziejąca pustką dziura. Ziemia i woda zespalają cyfry, tworząc wiersz napisany ciałem i mocniejszy od stali czy granitu. Przez bezkresną noc Ziemia wiruje ku nieznanemu dziełu tworzenia...

Obudziłem się dziś z głębokiego snu z radosnymi przekleństwami na ustach, bełkotałem coś, powtarzałem litanię: „*Fay ce que voudras!... fay ce que voudras!* Róbcie cokolwiek, ale niech to sprawia radość. Róbcie cokolwiek, ale niech to wywołuje ekstazę. Tyle rzeczy tłoczy mi się do głowy, kiedy to mówię do siebie: obrazy wesołe, straszne, doprowadzające do szału, wilk i kozioł, pająk, krab, syfilis z rozpostartymi skrzydłami, a drzwi łona zawsze zamknięte tylko na zasuwkę, wiecznie otwarte, jak grobowiec gotowe na wchłonięcie ciała. Żądza, zbrodnia, świętość: życie tych, których czciłem, pozostawione przez nich słowa, słowa nie dokończone: dobro, które za sobą wlekli, i zło, smutek, niezgoda, gorycz, konflikty, które wywoływali. Ale przede wszystkim – e k s t a z a !

Przeróżne sprawy dotyczące moich dawnych idoli doprowadzają mnie do łez; napotykanie przez nich trudności, nieład, przemoc, a zwłaszcza nienawiść, którą wywoływali. Kiedy myślę o ich ułomnościach, o monstualnym stylu, pompatyczności i nudzie ich dzieł, o chaosie i zamęcie, w którym się tarzali, o przeszkodach, które wokół siebie mnożyli, wpadam w zachwyt. Wszyscy oni ugrzęźli we własnym gównie. Jak każdy, kto popada w przesadę. Wydaje mi się to tak prawdziwe, że aż kusi mnie, by powiedzieć: „Pokażcie mi człowieka, który popadł w przesadę, a pokażę wam człowieka wielkiego”. To, w czym inni dopatrują się ich przesady, stanowi mój pokarm: to oznaka zmagania, to same zmagania angażujące wszystkie włókna, sama emanacja i atmosfera zbuntowanej osobowości. A jeśli wskażecie mi człowieka potrafiącego wyrażać swoje myśli w sposób doskonały, nie powiem, że nie jest wielki, ale stwierdzą, że mnie to nie pociąga... brak mi tych oznak przesytu. Kiedy zdaję sobie sprawę, że zadaniem z istoty rzeczy podejmowanym przez artystę jest obalenie istniejących wartości, zaprowadzenie w otaczającym go chaosie własnego porządku, zasianie konfliktów i fermentu, który poprzez emocjonalny wzlot umożliwi martwym powrót do życia, wtedy biegnę radośnie do wielkich i niedoskonałych, ich zagubienie staje się moim pokarmem, ich jąkanie brzmi w moich uszach jak niebiańska muzyka. Widzę na tych pięknie patetycznych stronach pisanych po okresach beczynności wymazanie małostkowych interwencji, tych – rzecz można – brudnych odcisków stóp tchórzy, kłamców, złodziei, wandalów, oszczerców. Widzę w napiętych mięśniach ich lirycznych gardeł ten nadludzki wysiłek, potrzebny, by przekreślić koło zamachowe, by podjąć to samo tempo pracy w miejscu, gdzie się ją przerwało. Widzę, że poza codziennymi zmartwieniami i interwencjami, poza tanią, połyskliwą złośliwością ludzi słabych i apatycznych widnieje symbol frustrującej mocy życia i że ten, kto potrafił stworzyć ład w miejsce chaosu, ten, kto posiał zamęt i niezgodę, ponieważ był przepojony wolą, taki człowiek wciąż na nowo musi iść na stos i pod szubienicę. Widzę, że za szlachetnością jego gestów czai się widmo śmieszności jego wysiłków – że jest on nie tylko majestatyczny, lecz także absurdalny.

Sądziłem niegdyś, że zachowywać się po ludzku jest najwyższym z możliwych celów człowieka, ale teraz widzę, że było to przekonanie destrukcyjne. Dzisiaj z dumą oświadczam,

że jestem n i e l u d z k i , że nie należę do ludzi i rządów, że nie mam nic wspólnego z żadnym *credo*, z żadnymi zasadami. Nie mam nic wspólnego ze skrzypiącą maszyną ludzkości – jestem częścią Ziemi! Mówię to leżąc na poduszce, czuję, jak ze skroni wyrastają mi rogi. Widzę wokół siebie tych wszystkich moich zbzikowanych przodków – tańczą wokół łóżka, pocieszają mnie, zachęcają do działania, smagają mnie swoimi językami węży, szczerzą zęby oczodołami osaczających mnie czaszek. J e s t e m n i e l u d z k i ! Mówię to mając na ustach radosny narkotyczny grymas, i będę to powtarzał, choćby zamiast deszczu spadały z nieba krokodyle. Za moimi słowami kryją się te wszystkie wyszczerzone, niechętnie, przyczajone czaszki, niektóre są martwe i szczerzą się tak od dawna, inne wyglądają, jakby miały szczękościsk, jeszcze inne ukazują zęby w zgryźliwym grymasie; to przedsmak i następstwa tego, co zawsze się dzieje dokoła. Jeszcze wyraźniej niż to wszystko widzę swoją własną wyszczerzoną czaszkę, pokrytą śluzem ekskrementów. Łączę swój śluz z wielkim obwodem płynącym przez podziemne krypty ciała. Te nieproszone, nie chciane, pijane rzygowiny płynąć będą bez końca w umysłach tych, którzy nadejdą w niewyczerpalnym naczyniu zawierającym historię naszej rasy. Tuż obok, dotrzymując kroku rodzajowi ludzkiemu, biegnie inna rasa stworzeń, tych nieludzkich, rasa artystów, którzy – kierowani niezbadanymi impulsami – biorą tę pozbawioną życia masę ludzką i dzięki gorączce i fermentowi, jakim ją nasycają, przemieniają to wilgotne ciasto w chleb, chleb w wino, a wino w pieśń. Z martwego kompostu i obojętnego żużlu tworzą pieśń, która niesie truciznę.

Widzę, jak rasa tych osobników plądruje wszechświat, wywraca wszystko do góry nogami, brodząc wiecznie we łzach i we krwi, ich dłonie zawsze pozostają puste, wysunięte poza granice naszego świata, wyciągnięte do nieosiągalnego Boga: uśmiercają wszystko, czego dosięgniesz, by uciszyć owego potwora, który szarpie im wnętrzności. Widzę, że gdy wyrrywają sobie włosy z głowy usiłując pojąć, zrozumieć to, co wiecznie nieosiągalne, kiedy wyją jak oszalałe bestie, rozrywają kłami i przeszywają rogami, wiem, że tak być musi, że nie ma innej drogi. Człowiek należący do tej rasy musi stanąć na wzniesieniu belkocząc coś, aż wypruje sobie flaki. Zaprawdę słuszne to i sprawiedliwe, on to uczynić musi! I wszystko, co nie dorównuje temu przerażającemu widowisku, co jest mniej wstrząsające, mniej okropne, mniej szalone, mniej pijane i mniej trujące, nie jest sztuką. Cała reszta jest imitacją. Cała reszta przynależy do życia bez życia.

Kiedy, na przykład, myślę o Stawroginie, wyobrażam go sobie jako jakiegoś boskiego potwora stojącego na wzniesieniu i ciskającego w nas swymi wyprutymi wnętrznościami. W *Biesach* drży ziemia: nie jest to katastrofa spotykająca twórców, ale. kataklizm, w wyniku którego spora część ludzkości zostaje pogrzebana, starta na zawsze z powierzchni ziemi. Stawrogin to Dostojewski, a Dostojewski był sumą tych wszystkich przeciwieństw, które albo paraliżują człowieka całkowicie, albo wiodą go ku wielkości. Nie było dla niego świata zbyt niskiego, by doń wejść, ani szczytu zbyt wysokiego, by się bał nań wspiąć. Przebył całą drogę – od otchłani do gwiazd. Jaka szkoda, że nigdy już nie będziemy mieli okazji ujrzeć człowieka tkwiącego w samym jądrze tajemnicy, który za sprawą chwil swego natchnienia rozświecła dla nas głębię i ogrom ciemności.

Świadom dziś jestem swego rodowodu. Nie muszę spoglądać w horoskop czy tablice genealogiczne. Nie mam pojęcia, co zapisano w gwiazdach albo w mojej krwi. Wiem, że wywodzę się od mitycznych założycieli naszej rasy. Człowiek podnoszący do ust świętą flaszkę, kryminalista klęczący na rynku, człowiek niewinny, dla którego prawdziwy wstrząs stanowi odkrycie, że *wszystkie* trupy śmierdzą, szalenięc tańczący z błyskawicą w dłoniach, mnich unoszący habit, by spryskać moczem świat, fanatyk przetrząsający biblioteki w poszukiwaniu Słowa – wszyscy oni stopieni są we mnie, wywołują w mojej jaźni zamęt i ekstazę. Jeśli jestem nieludzki, to tylko dlatego, że mój świat przekroczył granice człowieczeństwa; dlatego że bycie ludzkim wydaje mi się czymś niskim i płaskim, zamkniętym w ramach moralności i kodów, zdefiniowanym przez komunały i „izmy”.

Wlewam do gardła sok winogron i znajduję w nim mądrość, ale moja mądrość nie bierze się z winogron, mój stan upojenia nie zawdzięcza nic winu...

Gotów byłbym nadłożyć drogi, byle ominąć te wyniosłe, jałowe łańcuchy górskie, na których można umrzeć z chłodu i pragnienia, tę „ponadczasową” historię, ów absolut czasu i przestrzeni, gdzie nie ma człowieka, zwierzęcia ni rośliny, gdzie oszaleć można z samotności, gdzie można popaść w obłęd od posługiwania się językiem, który sprowadza się tylko do słów, gdzie wszystko jest odczepione, rozłączone, w niezgodzie z duchem czasu. Pragnę świata mężczyzn i kobiet, świata drzew, które nie potrafią mówić (już i tak za dużo jest na tym padole częściej gadaniny), świata rzek, którymi można gdzieś dotrzeć, nie tych będących legendą, lecz pozwalających spotkać się z innymi mężczyznami i kobietami, z architekturą, religią, roślinnością, zwierzyzną; rzek, po których płyną statki, w których toną ludzie, i to nie w mitach, legendach, książkach czy prochu przeszłości, ale w czasie, przestrzeni i historii. Pragnę rzek tworzących takie oceany, jak Szekspir i Dante, rzek nie wysychających w próżni minionych wieków. Oceany, tak! Potrzeba więcej oceanów, musimy mieć nowe oceany wymazujące przeszłość, oceany tworzące nowe formacje geologiczne, nowe perspektywy topograficzne, dziwne, przerażające kontynenty, oceany, które mieszczą, a jednocześnie chronią, oceany, po których możemy żeglować, z których możemy wyruszać, by dokonywać nowych odkryć, w poszukiwaniu nowych horyzontów. Potrzeba nam więcej oceanów, więcej wstrząsów politycznych, więcej wojen i pogromów. Potrzebny nam świat mężczyzn i kobiet noszących między nogami dynamo, świat naturalnego szału, pasji, czynu, dramatu, snów, szaleństwa, świat budzący ekstazę, a nie wydający z siebie suche pierdnięcia. Sądzę, że dziś bardziej niż kiedykolwiek powinno się poszukiwać książki, nawet jeśli zawiera ona tylko jedną wspaniałą stronę: musimy szukać fragmentów, odłamków, paznokci, wszystkiego, co zawiera rudę, wszystkiego, co jest w stanie wskrzesić ciało i duszę.

Być może skazani jesteśmy na zagładę, może nie ma dla nas ratunku, dla n i k o g o z n a s , ale jeśli to prawda, wydajmy ostatni rozdzierający, mrozący krew w żyłach skowyt, krzyk buntu, wojenny okrzyk! Dość lamentów! Dość elegii i pogrzebowych pieśni! Dość biografii i historii, bibliotek i muzeów! Niech umarli żywią się tym, co martwe! My, żywi, zatańczmy na skraju krateru – taniec ostatniego tchnienia. A przecież taniec!

„Kocham wszystko, co płynie” – powiedział wielki niewidomy Milton naszych czasów. Rozmyślałem o nim dziś rano, gdy obudziłem się z potężnym, obelżywym okrzykiem radości na ustach: myślałem o jego rzekach, drzewach i całym tym nocnym świetle, który penetruje. Tak, powiedziałem sobie – ja także kocham wszystko, co płynie: rzeki i rynsztoki, ławę i spermę, krew i żółć, pojedyncze słowa i całe zdania. Kocham ciecz wylewającą się z owocni. Kocham nerki i ich bolesne kamienie, piasek i co tam jeszcze: kocham mocz, który aż parzy, i trypra wyciekającego bez końca; kocham słowa histeryków i zdania płynące jak biegunka, niosące wszystkie wizje chorej duszy; kocham wielkie rzeki, jak Amazonka i Orinoko, po których tacy szaleńcy jak Moravagine żeglują poprzez sny i legendy w otwartej łodzi i toną w jej ślepych ujściach. Kocham wszystko, co płynie; nawet menstruacyjny strumień wydalający nie zapłodnione gamety. Kocham wypływające spod pióra rękopisy, bez względu na to, czy są to pisma hieratyczne, ezoteryczne, perwersyjne, polimorficzne czy monolityczne. Kocham wszystko, co płynie, co zawiera w sobie czas i kreację, co przywodzi nas do początku, który nie ma kresu: przemoc proroków, obsceniczność będącą ekstazą, mądrość fanatyka, księdza i jego ciągnącą się jak guma litanię, sprośne słowa kurwy, spływające rynsztokiem płwociny, sączące się z piersi mleko i gorzki miód płynący z łona, wszystko, co cieknie, roztapia się i rozpływa, pławi w rozwiązłości; kocham ropę i brud oczyszczające się w trakcie spływania, tracące poczucie swego źródła, opisujące wielki krąg w kierunku śmierci i rozkładu. Jakież to przemożne kazirodcze pragnienie płynąć dalej, stanowiąc jedność z czasem, by wielki obraz zaświatów połączyć z tu i teraz. Głupie, samobójcze pragnienie doprowadzone do obstrukcji przez słowa, paraliżowane przez myśl.

Tuż przed świtem w dniu Bożego Narodzenia wróciliśmy z rue d'Odessa do domu z dwiema Murzynkami z towarzystwa telefonicznego. Ogień zgasł, a my byliśmy wszyscy tak zmęczeni, że wleźliśmy do łóżka w ubraniach. Ta, która mnie przypadła w udziale, zachowywała się przez cały wieczór jak drapieżna tygrysica, a później zasnęła, gdy się na nią gramoliłem. Przez chwilę usiłowałem pobudzić ją do życia, jak topielca lub ofiarę uduszenia. Potem dałem spokój i sam zapadłem w głęboki sen.

Przez całe święta piliśmy szampana; rano, w południe i wieczorem – najtańszego, najlepszego szampana. Z nowym rokiem miałem wyjechać do Dijon, gdzie w ramach wymiany francusko-amerykańskiej zaproponowano mi zajęcie nader banalne, posadę nauczyciela angielskiego; chodziło o jeden z tych układów o przyjaźni, który ma niby sprzyjać rozwojowi zrozumienia i dobrej woli między siostrzanymi republikami. Fillmore cieszył się z tej perspektywy bardziej niż ja – miał zresztą ku temu powody. Dla mnie było to po prostu przeniesienie z jednego czyścica do innego. Nie miałem tam żadnych widoków, w grę nie wchodziła nawet stała pensja. Należało uważać się za szczęściarza i cieszyć przywilejem głoszenia ewangelii przyjaźni francusko-amerykańskiej. Ot, typowa posada dla potomka zamożnej rodziny.

Wieczorem, w przededniu mego wyjazdu, niezłe się zabawialiśmy. Nad ranem zaczął padać śnieg: włączyliśmy się z jednej dzielnicy do drugiej, rzucając ostatnie spojrzenie na Paryż. Przechodząc przez rue St. Dominique natknęliśmy się nagle na mały placzyk, gdzie stał kościół św. Klotyldy. Ludzie właśnie szli na mszę. Fillmore, wciąż nieco zamroczony, uparł się pójść także. „Dla zabawy” – jak to ujął. Niezbyt mi się to podobało; po pierwsze, nigdy nie uczestniczyłem we mszy, a po drugie, czułem się nędznie i wyglądałem nędznie. Fillmore też sprawiał wrażenie dość wymęczonego, może nawet wyglądał bardziej podejrzanie ode mnie; wielki filcowy kapelusz założony tyłem do przodu, a płaszcz miał cały w trocinach z ostatniej knajpy, którą odwiedziliśmy. Mimo to wkroczyliśmy ostentacyjnie do środka. Najgorsze, co mogli nam zrobić, to wyrzucić na ulicę.

Byłem tak oszołomiony tym, co zobaczyłem, że przestałem czuć się nieswojo. Upłynęło trochę czasu, nim przyzwyczałem się do nikłego oświetlenia. Podążałem niepewnie za Fillmore'em trzymając go za rękaw. Moje uszy gwałtownie przewiercał dziwny, jakby dobywający się z zaświatów hałas, coś w rodzaju stłumionego szmeru wznoszącego się z zimnej posadzki. Ział stamtąd olbrzymi, ponury grób, w który szurając nogami wstępowali i wychodzili żałobnicy. Swoisty przedsiönek piekła. Temperatura wahała się w granicach 55 lub 60 stopni Fahrenheita. Żadnej muzyki poza owym niemożliwym do określenia żałobnym pieniem intonowanym w podziemiu – jakby milion kalafiorów zawodziło w ciemnościach. Ludzie spowici w całuny mamrotali coś, przybierając ten beznadziejny, przygnębiony wyraz twarzy żebraków w transie wyciągających rękę i bełkoczących jakąś niezrozumiałą prośbę.

Wiedziałem, że coś takiego istnieje, ale ostatecznie wiemy także o istnieniu rzeźni, kostnic i sal, w których przeprowadza się sekcje zwłok. Podobnych miejsc unika się instynktownie. Nawet w środku miasta widywałem księdza z brewiarzem w ręku mozolnie klepiącego pacierze. Kretyn – mówiłem wówczas do siebie, nie poświęcając temu większej uwagi. Na ulicy spotyka się przeróżne formy otępienia, spośród których ksiądz nie rzuca się najbardziej w oczy. Dwa tysiące lat owego hokus-pokus znieczuliło nas na ten idiotyzm. Kiedy jednak znajdziesz się nagle w centrum jego królestwa, gdy ujrzysz z bliska ów świątek, w którym ksiądz funkcjonuje jak budzik, będziesz miał bez wątpienia zupełnie inne odczucia.

Na chwilę całe to ślinienie się i wykrzywanie warg prawie nabrało znaczenia. Coś się działo, odbywała się jakaś pantomima, która – choć nie ogłupiła całkowicie – zdołała mnie zahipnotyzować. Wszędzie na świecie, gdzie tylko można znaleźć owe skąpo oświetlone groby, odbywa się to niesamowite widowisko – ta sama niska temperatura, ten sam wieczorny blask, to samo szurgotanie. W całym świecie chrześcijańskim o pewnych wyznaczonych godzinach ludzie w czerni biją pokłony przed ołtarzem, u stóp którego stoi ksiądz trzymając brewiarz w jednej ręce i dzwonek lub kropidło w drugiej, mamrocząc do nich w języku, który – nawet gdyby był zrozumiały – nie zawiera ani strzępu znaczenia. Zapewne ich błogosławi. Błogosławi ojczyznę, błogosławi władcę, błogosławi broń palną, pancerniki, amunicję i granaty ręczne. Otaczają go mali chłopcy ubrani jak aniołki, śpiewający altem i sopranem. Niewinne jagniątko. Odziani w komże, a więc aseksualnie jak sam ksiądz, który zwykle ma płaskostopie, a w dodatku jest krótkowidzem. Doskonały przykład bezpłciowej kociej muzyki. Seks unieruchomiony i skrzepowany, zawodzenia w tonacji pis-dur.

Usiłowałem się w tym połapać na tyle, na ile potrafiłem przy tak skąpym świetle. Było to fascynujące, a zarazem ogłupiające. Na całym cywilizowanym świecie, pomyślałem sobie. Na całym świecie. Zdumiewające! Deszcze czy słońce, grad, deszcz ze śniegiem, śnieg, pioruny, błyskawice, wojna, głód, zaraza nie mają na to najmniejszego wpływu. Wszędzie ta sama niska temperatura, ten sam bełkot, te same kamasze i te aniołki Pańskie śpiewające sopranem i altem. Przy wyjściu mała skarbonka – na podtrzymanie dzieła Bożego. Po to, by błogosławieństwo Boga spłynąć mogło na ludzi i ojczyznę, pancerniki i materiały wybuchowe, czołgi i samoloty, po to, by robotnik miał więcej siły potrzebnej do zarzynania koni, krów i owiec, siły nieodzownej do sztancowania otworów w żelaznych dźwigarach, koniecznej do przyszywania guzików do spodni, siły niezbędnej do sprzedawania marchewek, maszyn do szycia i samochodów, potrzebnej do tępienia owadów, czyszczenia stajni, do wypróżniania kubłów na śmieci, szorowania ubikacji, do pisania gazetowych tytułów i stemplowania biletów metra. Chodzi o siłę... i jeszcze raz o siłę. Cała ta mistyfikacja i nieszczere mamrotanie po to tylko, by dodać im trochę siły!

Chodziliśmy z miejsca na miejsce, by obejrzeć wszystko dokładnie z tą trzeźwością, która przychodzi po całonocnym ochlaju. Na pewno nieźle rzucaliśmy się w oczy łącząc tak z postawionymi kołnierzami płaszczy, nie żegnając się ani razu i nie poruszając wargami, chyba żeby wymienić szeptem jakieś niestosowne uwagi. Wszystko to pozostałoby może jednak nie zauważone, gdyby Fillmore nie uparł się podejść do ołtarza w czasie trwania obrzędu. Szukał wyjścia i przypuszczam, że chciał przy okazji rzucić okiem na świętość świętości, przyjrzeć się jej z bliska. Prześliznęliśmy się jakoś koło ołtarza i maszerowaliśmy w kierunku szczeliny, przez którą sączyło się światło, sądząc, że powinno tam być wyjście, kiedy nagle z ciemności wyłonił się ksiądz, zagradzając nam drogę. Spytał, dokąd idziemy i Co tu w ogóle robimy. Odpowiedzieliśmy w miarę uprzejmie, że szukamy wyjścia. Użyliśmy angielskiego słowa „*exit*”, ponieważ w tym momencie byliśmy tak oszołomieni, że nie mogliśmy sobie przypomnieć francuskiego odpowiednika. Ksiądz bez słowa ujął nas energicznie za ręce i otwierając drzwi, boczne drzwi, wypchnął nas na zewnątrz; wypadliśmy na jaskrawe światło dzienne. Stało się to tak nagle i nieoczekiwanie, że gdy znaleźliśmy się na chodniku, byliśmy zupełnie oślepieni. Przeszliśmy kilka kroków mrużąc oczy, a potem instynktownie odwróciliśmy się obaj; ksiądz wciąż stał na schodach, błyśnięty jak upiór, posępny jak szatan. Musiał być piekielnie wzburzony. Myśląc o tym później nie miałem mu tego za złe, ale w tamtej chwili, w tej długiej sutannie i małej piusce na czaszce wydał mi się tak absurdalny, że parsknąłem śmiechem. Spojrzałem na Fillmore’a, on też zaczął się śmiać. Przez dobrą chwilę staliśmy tam śmiejąc się biedakowi prosto w twarz. Był tak dezorientowany, że nie wiedział, co zrobić; nagle jednak ruszył pędem ze schodów, wymachując pięścią, jak gdyby nie żartował. Kiedy wypadł zza ogrodzenia, pędził co tchu w

naszym kierunku. Wówczas jednak jakiś instynkt samozachowawczy ostrzegł mnie, bym się ruszył. Chwyciłem Fillmore'a za rękaw płaszcza i zacząłem biec. On zaś powtarzał jak idiota:

– Nie! Nie! Nie będę uciekał!

– Chodźże! – krzyknąłem – lepiej stąd wiejmy. Ten facet całkiem oszalał.

Pobiegliśmy więc, gnając co sił w nogach.

W drodze do Dijon, wciąż jeszcze zaśmiewając się z całej tej hecy, powróciłem myślami do pewnego absurdalnego incydentu dość podobnej natury, który przytrafił mi się podczas krótkiego pobytu na Florydzie. Było to w czasie pamiętnych dni *prosperity*, kiedy to – jak tysiące innych – dałem się zaskoczyć ż opuszczonymi portkami. Usiłując wydostać się z tarapatów, wpadłem w nie wraz ze swoim przyjacielem aż po samą szyję. Jacksonville, gdzie wylądowaliśmy na jakieś sześć tygodni, znajdowało się praktycznie w stanie oblężenia. Wyglądało na to, że każdy łachmaniarz na kuli ziemskiej i wielu facetów nigdy przedtem nie zaliczających się do tej kategorii trafiło wprost do Jacksonville. YMCA, Armia Zbawienia, remizy strażackie i komisariaty policji, hotele, domy noclegowe, wszystko było przepełnione. Wszędzie *complet* i na każdym kroku tablice to właśnie oznajmujące. Mieszkańcy Jacksonville zrobili się tacy nieczuli, że odnosiłem wrażenie, jakby mieli na sobie pancerze. Znowu wypłynęła sprawa zasadnicza – kwestia jedzenia. Jedzenia i miejsca, gdzie można by zlec. Jedzenie nadciągało całymi pociągami z południa – pomarańcze, grejpfruty i inne frykasy. Zwykliśmy łązić koło magazynów kolejowych w poszukiwaniu zgniłych owoców, ale nawet tych było niewiele.

Pewnego wieczoru, całkowicie zdesperowany, zaciągnąłem mego przyjaciela Joe'ego do synagogi w czasie nabożeństwa. Była to zreformowana kongregacja i rabin zrobił na mnie dość pozytywne wrażenie. Muzyka też na mnie działała – ten przeszywający żydowski lament. Gdy tylko nabożeństwo się skończyło, poszedłem do gabinetu rabina i poprosiłem o chwilę rozmowy. Przyjął mnie zupełnie przyzwoicie, ale zachowywał pozory tylko dopóty, dopóki nie wyłuszczyłem mu celu mojej wizyty. Wówczas przestraszył się nie na żarty. A przecież poprosiłem go jedynie o wsparcie w imieniu mego przyjaciela Joe'ego i swoim własnym. Sądząc z jego reakcji można by pomyśleć, że zwróciłem się do niego z prośbą o wynajęcie synagogi, aby uczynić z niej kręgielnię. Na dodatek zapytał mnie nagle prosto z mostu, czy jestem Żydem. Gdy odpowiedziałem przecząco, zdawał się szczerze oburzony. Czemuż zatem, na Boga, przyszedłem prosić o pomoc żydowskiego kapłana? Odparłem naiwnie, że zawsze pokładałem większą nadzieję w Żydach niż w gojach. Powiedziałem to skromnie, jakby była to jedna z moich specyficznych wad. Zresztą była to święta prawda. Ale nie pochlebiło mu to zanadto. O nie, ani trochę. Był przerażony i, chcąc się mnie pozbyć, napisał nawet kartkę do ludzi z Armii Zbawienia. „Powinniście się zwrócić do nich” – stwierdził i odwrócił się gwałtownie, by zająć się swymi owieczkami.

Armia Zbawienia nie mogła, rzecz jasna, nic nam zaoferować. Gdybyśmy mieli po dwadzieścia pięć centów na głowę, moglibyśmy dostać materac na podłodze. Ale obaj nie mieliśmy nawet dziesiątaka. Poszliśmy więc do parku i wyciągnęliśmy się na ławce. Nie padało, toteż przykryliśmy się gazetami. Nie minęło, jak sądzę, nawet pół godziny, kiedy nadszedł gliniarz i – bez słowa ostrzeżenia – sprawił nam takie cięgi, że w mgnieniu oka byliśmy na nogach i nawet trochę płasaliśmy, chociaż nie mieliśmy zbytnio nastroju do tańca. Czułem się tak cholernie przybity i nieszczęśliwy, tak przygnębiony wygrzmoceniem mego tyłka przez tego głupawego skurwysyna, że byłem gotów wysadzić w powietrze siedzibę władz miejskich.

Następnego ranka, dla wyrównania rachunków z tymi gościnnymi kutasami, stawiliśmy się o świcie u drzwi katolickiego księdza. Tym razem pozwoliłem, by Joe nawijał. Był Irlandczykiem, mówił z lekkim akcentem, miał w dodatku takie łagodne niebieskie oczy, z których na życzenie mogły popłynąć łzy. Otworzyła nam siostra zakonna ubrana na czarno, ale nie poprosiła nas do środka. Mieliśmy zaczekać w sieni, aż ona sprowadzi księdza. Po

kilku minutach zjawił się wielebny, sapiąc jak lokomotywa. I czegoż takiego potrzebujemy, że przeszkadzamy jego wielebności o tak wczesnej porze? Czegoś dojedzenia i noclegu, odpowiedzieliśmy, niczego nie podejrzewając. A skąd przybywacie? – chciał się natychmiast dowiedzieć. Z Nowego Jorku. „Z Nowego Jorku, tak? Lepiej więc zabierajcie się z powrotem. I to już, moi drodzy” – powiedział z irlandzkim akcentem ten wielki nadęty skurczybyk z twarzą jak rzepa i zatrzasnął nam drzwi przed nosem.

Jakąś godzinę później, dryfując beznadziejnie niczym para pijanych szkunerów, przechodziliśmy przypadkiem znów koło probostwa. Dobry Boże, przysięgam, ten wielki bufon z rzepowatą gębą i o wyglądzie rozpustnika wyprowadzał właśnie z alejki limuzynę! Kiedy przemknął koło nas, wypuścił nam prosto w twarz chmurę spalin, jakby chciał powiedzieć – macie! Piękna to była limuzyna, nie ma co, z tyłu para zapasowych kół, a ten klecha siedział za kierownicą z pękatym cygarem w zębach. Musiało to być cygaro Corona, tak było grube i wonne. Nieźle mu się żyło, bez dwóch zdań. Nie dostrzegłem, czy miał na sobie sutannę, czy nie. Widziałem jedynie sos ciekący mu z ust – i to ogromne cygaro o półdolarowym aromacie.

Przez całą drogę do Dijon oddawałem się wspomnieniom. Myślałem o wszystkim; co mogłem powiedzieć i zrobić, a czego nie powiedziałem i nie zrobiłem. Jakże gorzkie i upokarzające są chwile, kiedy poprosić o kruszynę chleba znaczy tyle samo, co rozplaszczyc się jak robak. Chociaż byłem zupełnie trzeźwy, wciąż czułem piekący ból doznanych niegdyś obelg i krzywd. Czułem jeszcze cięgi, których nie poskapił mojej dupie ów gliniarz w parku, chociaż była to bagatelka, można rzec, mała lekcja tańca. Wędrowałem po całych Stanach, zahaczając o Kanadę i Meksyk: wszędzie to samo. Jeśli chcesz jeść, musisz chodzić w zaprzęgu, maszerować noga w nogę i trzymać krok. Całą Ziemię pokrywa szara pustynia, dywan ze stali i cementu. Produkcja! Więcej nakrętek i śrub, więcej drutu kolczastego, więcej biszkopcików dla psów, więcej kosiarek do trawy, więcej łóżysk, więcej materiałów wybuchowych, więcej trującego gazu, więcej mydła, więcej pasty do zębów, więcej gazet, więcej oświaty, więcej kościołów, bibliotek, muzeów. Naprzód! Czas nagli. Płód przeciska się przez szyjkę macicy, a nikt tam nawet nie splunie, by mu ułatwić wyjście. Suchy, na wpół uduszony płód. Nie zakwili, nie zaszczebioce. *Salut au monde!* Salut z dwudziestu jeden dział oddany z odbytu. „Noszę kapelusz jak mi się podoba – w domu i na dworze” – powiedział Walt. I to w czasach, kiedy można było jeszcze dostać kapelusz, który na ciebie pasował. Ale czas mija. Teraz by dostać odpowiedni kapelusz, trzeba iść na krzesło elektryczne. Nakładają ci tam taką piuskę. Trochę przyciasna, co? Nie szkodzi. Pasuje jak ulał!

Trzeba znaleźć się w tak obcym kraju jak Francja, spacerować po południku oddzielającym półkulę życia od półkuli śmierci, by zrozumieć, jakie czekają nas nieprzewidziane perspektywy. J a e l e k t r y c z n e ! D e m o k r a t y c z n a d u s z a ! F a l a p r z y b o j u ! Przenajświętsza Panienko, cóż znaczą te pierdoły? Ziemia jest wysuszona i spękana. Mężczyźni i kobiety spotykają się niczym stada sępów nad śmierdzącą padliną – parzą się i odlatują każde w swoją stronę. Przypominają sępy spadające z nieba jak głazy. Szpony i dziób – do tego się sprowadzamy! Jesteśmy tylko ogromnym przewodem pokarmowym, a co więcej, potrafimy wyczuć padlinę. Naprzód! Naprzód bez litości, bez współczucia, bez miłości i bez przebaczenia. Nie prosz o parę centów i nie dziel się nimi! Więcej pancerników, więcej gazu trującego, więcej materiałów wybuchowych! Więcej gonokoków! Więcej paciorkowców! Więcej maszyn bombardujących! Więcej i jeszcze raz więcej, aż cały ten pierdolony interes wyleci w powietrze, rozleci się na kawałki – i świat razem z nim.

Już wysiadając z pociągu wiedziałem, że popełniłem fatalny błąd. Liceum znajdowało się w pewnej odległości od stacji; szedłem główną ulicą w półmroku zimowego zmierzchu, szukając na oślep drogi do miejsca mego przeznaczenia. Padał drobny śnieg, drzewa lśniły od mrozu. Minąłem kilka ogromnych, pustych kawiarni wyglądających równie ponuro jak

dworcowe poczekalnie. Wionęło od nich smutkiem i przygnębiającą pustką. Beznadziejne zadupie, miasteczko, w którym produkuje się musztardę, tony musztardy, całe cysterny i kadzie, i beczki, i gary, i takie śliczne malutkie słoiczki.

Pierwsze spojrzenie na liceum, i ciarki mnie przeszły. Byłem do tego stopnia niezdecydowany, że u bramy przystanęłem, by rozważyć: wejść czy nie. Ponieważ jednak nie miałem na bilet powrotny, nie było się nad czym zastanawiać. Pomyślałem przez chwilę o wysłaniu telegramu do Fillmore'a, ale nie miałem pojęcia, jak mu to wyjaśnić. Jedyne, co mi pozostało, to zamknąć oczy i wejść do środka.

Tak się złożyło, że pan Provisieur był nieobecny – miał wolny dzień, jak mnie poinformowano. Pojawił się mały garbus i zaproponował, że zaprowadzi mnie do biura pana Censeura, jego zastępcy. Szedłem parę kroków za nim, zafascynowany jego groteskowym kuśtykaniem. Był małym potworkiem, jakiego zobaczyć można na schodach pierwszej z brzegu gównianej europejskiej katedry.

Biuro pana Censeura było wielkie i puste. Usiadłem na niewygodnym krześle, by zaczekać, a garbus poszedł poszukać zastępcy. Poczułem się prawie jak w domu. Atmosfera tego miejsca żywo przypominała mi niektóre biura instytucji charytatywnych w Stanach; przesiadywałem w nich godzinami w oczekiwaniu na pojawienie się jakiegoś obleśnie słodkiego skurwysyna, który miał przeprowadzić ze mną rozmowę.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wyniosłe, posuwicie wkroczył pan Censeur. Z trudem udało mi się powstrzymać od śmiechu. Miał na sobie identyczny frak jak ten noszony swego czasu przez Borysa, a nad czołem grzywkę, coś w rodzaju loczka, jaki przyozdabiał zapewne czoło Smierdiakowa. Poważny i zimny, o oczach rysia, nie tracił słów, by mi dodać otuchy. Od razu przyniósł arkusze z wypisanymi nazwiskami uczniów, godzinami zajęć itp., wszystko wypełnione starannym charakterem pisma. Powiadomił mnie, ile mi przysługuje węgla i drewna, po czym dodał szybko, że w czasie wolnym od zajęć mogę robić, co mi się podoba. To ostatnie było pierwszą dobrą wieścią, jaką od niego usłyszałem. Brzmiało tak krzepiąco, że czym prędzej odmówiłem pacierz za Francję – za wojska lądowe i marynarkę, system kształcenia, bistra, cały ten cholerny interes.

Po tych ceregielach zadzwonił małym dzwoneczkiem i natychmiast zjawił się garbus, by odprowadzić mnie do biura pana zarządcy. Tu panowała nieco inna atmosfera. Trochę jak na stacji towarowej, wszędzie listy przewozowe i pieczętki, urzędnicy o ziemistych twarzach jak wariaci gryzmołający coś połamanymi ołówkami w wielkich, ciężkich księgach. Po wydzieleniu mi przydziału węgla i drewna odmaszerowaliśmy, garbus z teczką i ja, do bursy. Miałem zająć pokój na najwyższym piętrze, w tym samym skrzydle *copions*. Sytuacja zaczynała być humorystyczna. Nie miałem pojęcia, czego, do diabła, spodziewać się za chwilę. Może spluwaczki. Cała sprawa zakrawała na przygotowania do kampanii wojennej, brakowało tylko plecaków, karabinów i mosiężnych nabojęw.

Pokój, który mi wyznaczono, był dość duży. Stał w nim mały piecyk, od którego odchodziła wygięta rura, nad żelazną pryczą, bezpośrednio w kolanko. Duża skrzynia na opał stała tuż przy drzwiach. Okna wychodziły na szereg smutnych domków z kamienia; mieszkali w nich sklepikarz, piekarz, szewc, rzeźnik itd. – same gbury o wyglądzie imbecyli. Spojrzałem ponad dachami na gołe wzgórza, skąd dochodził stukot pociągu. Gwizd lokomotywy zabrzmiał jak żałobny, histeryczny krzyk.

Gdy garbus rozpałił w piecu, zapytałem go o żarcie. Nie była to jeszcze pora obiadu. Zwaliłem się na łóżko i przykryłem płaszczem. Obok stała nieśmiertelna kulawa szafka, w jakiej zwykle chowa się nocnik. Postawiłem na niej budzik i patrzyłem, jak miarowo odlicza minuty. Do pokoju, który nieodparcie przywodził mi na myśl studnię, sączyło się z ulicy niebieskawe światło. Słuchałem stukotu przejeżdżających wózków, gapiąc się bezmyślnie na rurę od piecyka, na kolanko przymocowane kawałkami drutu. Intrygowała mnie skrzynia na węgiel. Nigdy w życiu nie zajmowałem pokoju, w którym znajdowałby się podobny sprzęt.

Nigdy w życiu nie rozpałałem też ognia i nie uczyłem dzieci. A także, skoro już o tym mowa, nigdy w życiu nie pracowałem bez zapłaty. Czułem się wolny, ale i skrępowany, jak człowiek tuż przed wyborami, kiedy wszyscy kanciarze mają już nominacje w kieszeni, a ciebie nagabują, byś głosował na właściwego faceta. Czułem się jak najemnik, jak majster do wszystkiego, jak myśliwy, włóczęga, jak galernik, jak pedagog, jak robak i wesz. Byłem wolny, ale na rękach i nogach miałem kajdany. Przypominałem demokratyczną duszę mającą bony na darmowy posiłek, ale pozbawioną możliwości poruszania się, bez prawa do głodu. Czułem się jak meduza przybita gwoździem do ściany. A przede wszystkim odczuwałem głód. Wskazówki przesuwwały się powoli. Jeszcze muszę zabić te dziesięć minut, nim zawyje syrena. Cienie w pokoju pogłębiły się. Zrobiło się przeraźliwie cicho, zapanował pełen napięcia bezruch, który mi działał na nerwy. Małe drobiny śniegu przylepiły się do okien. W oddali przeraźliwie zawyla lokomotywa. I znów martwa cisza. Piecyk nadal rzucał nikłe światło, ale nie dawał ciepła. Zacząłem się obawiać, że zasnę i przegapię obiad. Oznaczałoby to, że będę leżał z pustym żołądkiem i nie zasnę już tej nocy. Wpadłem w panikę.

Na chwilę przed gongiem zerwałem się z łóżka i zamknąwszy drzwi na klucz, rzuciłem się schodami na dziedziniec. Tam się pogubiłem. Czworobok za czworobokiem, jedne schody po drugich. Wchodziłem i wychodziłem z budynków, desperacko poszukując refektarza. Minąłem długi szereg młodzieńców maszerujących parami w kolumnie Bóg wie dokąd; posuwali się naprzód jak skuci łańcuchem niewolnicy, z dozorcą na czele. W końcu spostrzegłem zdążającego w moją stronę osobnika o energicznym wyglądzie. Zatrzymałem go, pytając o drogę do refektarza. Przypadkiem był to właściwy człowiek; pan Proviseur, i wydawał się zachwycony faktem, że się na mnie natknął. Od razu spytał, czy się wygodnie urządziłem i czy mógłby dla mnie coś jeszcze zrobić. Powiedziałem mu, że wszystko jest OK. Tyle że trochę chłodno, ośmieliłem się dodać. Zapewnił mnie, że obecna pogoda jest dość nietypowa. Bywa, że nadciągają mgły i spada trochę śniegu, a wówczas przez parę dni nie jest zbyt przyjemnie itd., itp. Wiodąc mnie do refektarza, przez cały czas trzymał mnie pod ramię. Wydał mi się bardzo porządnym człowiekiem. Równy chłop, pomyślałem sobie. Posunąłem się nawet tak daleko, że wyobraziłem sobie, jak to się z nim zaprzyjaźnię, a on będzie mnie zapraszał do swego pokoju w przejmujące, zimne wieczory i przyrządzał mi gorący grog. Wyobraziłem sobie różne wzajemne przyjazne gesty w ciągu tych kilku chwil, jakie zajęło nam dojście do drzwi refektarza. Tutaj, gdy mój mózg pracował jak szalony, nagle potrzęsła moją ręką i zdejmując kapelusz, życzył mi dobrej nocy. Byłem tak zdumiony, że też uchyliłem kapelusza. Wkrótce odkryłem, że to tutaj normalne. Przechodząc koło jakiegoś belfra czy nawet zarządcy, zdejmujesz kapelusz, choćbyś mijał tego samego faceta dziesięć razy dziennie. Wszystko jedno – musisz go w ten sposób pozdrowić, choćby twój kapelusz był solidnie sfatygowany. To należy do etykiety.

W każdym razie udało mi się znaleźć refektarz. Przypominał klinikę na East Side – kafelki na ścianach, gołe żarówki, stoły z marmurowymi blatami. I oczywiście wielki piec z rurą w kształcie kolanka. Nie podawano jeszcze obiadu. Jakiś kaleka biegał tam i z powrotem roznosząc talerze, noże, widelce i butelki wina. W rogu sali rozmawiało z ożywieniem kilku młodych ludzi. Podeszedłem do nich i przedstawiłem się. Przyjęli mnie niezwykle serdecznie. W gruncie rzeczy trochę zbyt serdecznie. Nie mogłem tego rozgryźć. W jednej chwili sala zaczęła się zapełniać; przedstawiono mnie szybko wszystkim po kolei. Oni zaś otoczyli mnie kołem i napełniając szklanki zaśpiewali:

*L'autre soir l'idée m'est venue
Cré nom de Zeus d'enculer-un pendu;
Le vent se lève sur la potence,
Voilà mon pendu qui se balance,*

*J'ai du l'enculer en sautant,
Cré nom de Zeus, on est jamais content.*

*Baiser dans un con trop petit,
Cré nom de Zeus, où s'écorche le vit;
Baiser dans un con trop large,
On ne sait pas où l'on décharge;
Se branler étant bien emmerdant,
Cré nom de Zeus, on est jamais content.*

Na co Quasimodo oznajmił, że podano do stołu. *Les surveillants* stanowili wesołą paczkę. Był wśród nich Kroa, bekający jak Świnia i pierdzący głośno, gdy zasiadał do stołu. Poinformowano mnie, że potrafi pierdnąć trzynaście razy z rzędu. Był w tej dziedzinie rekordzistą. Był także księżę, atleta, lubiący zakładać smoking, gdy wieczorem wybierał się do miasta; miał piękną cerę, zupełnie jak dziewczyna, i nigdy nie brał do ust wina ani nie czytał niczego, co mogłoby wymagać jakiegoś wysiłku umysłowego. Obok niego siedział Petit Paul z Midi – przez cały czas nie myślał o niczym poza cipą, każdego dnia powtarzał – „à partir de jeudi je ne parlerai plus de femmes”. Współ z księciem stanowili nierozłączną parę. Był jeszcze Passeleau, birbant co się zowie, który studiował medycynę i na prawo i lewo pożyczał pieniądze; bez przerwy rozprawiał o Ronsardzie, Villonie i Rabelais'em. Naprzeciwko mnie siedział Mollasse, agitator i organizator *pions*, który upierał się, by ważyć mięso w celu sprawdzenia, czy porcjom nie brakuje przypadkiem paru gramów. Zajmował mały pokój w budynku szpitalnym. Największym jego wrogiem był Monsieur l'Econome, co nie wyróżniało go szczególnie, ponieważ to indywiduum było powszechnie znieawidzone. Towarzyszem Mollasse'a był jegomość nazywany Le Pénible, groźnie wyglądający facet o jastrzębim profilu, typ niezwykle oszczędny, który nie gardził lichwą. Wyglądał niczym postać ze sztychu Albrechta Dürera – kombinacja tych wszystkich srogich, zgorzkniałych, posępnych, nieszczęśliwych, pechowych wariatów o skłonnościach do introwersji, składających się na panteon średniowiecznego rycerstwa niemieckiego. Nie ulega wątpliwości, że był Żydem. W każdym razie zginął w wypadku samochodowym wkrótce po moim przyjeździe, okoliczność, która przyniosła mi dwadzieścia trzy franki ekstra. Z wyjątkiem siedzącego obok mnie Renauda, pozostali ulecieli z mej pamięci; należeli do kategorii bezbarwnych osobników, z których składa się świat inżynierów, architektów, dentystów, aptekarzy, nauczycieli itp. Nie było nic, co odróżniałoby ich od motłochu, którym będą później pomiatać. Każdy z nich był zerem w całym tego słowa znaczeniu; i właśnie takie zera składają się na jądro tej szanownej, żalostnej socjety. Jadali ze spuszczonej głowami i zawsze pierwsi głośno dopominali się o dokładkę. Sypiali mocno i nigdy nie narzekali; nie byli ani radośni, ani nieszczęśliwi. Należeli do tych obojętnych, których Dante wysłał do przedsiönka piekła. Sama śmietanka.

Po obiedzie było w zwyczaju chadzać do miasta, chyba że miało się akurat dyżur w bursie. W centrum znajdowały się kawiarnie – ogromne, ponure sale, gdzie zbierali się ospali kupcy z Dijon, żeby pograć w karty i posłuchać muzyki. W kawiarniach było ciepło i nic lepszego nie mogę o nich powiedzieć. No, krzesła też były całkiem wygodne. Siedziało tam zawsze parę kurw, które – za kufel piwa albo filiżankę kawy – przysiadły się, by trochę pogawędzić. Muzyka była tam jednak okropna. Co za muzyka! Nie ma nic bardziej dokuczliwego w zimową noc w takiej zapadłej dziurze jak Dijon, nic, co bardziej działa ci na nerwy niż dźwięki francuskiej orkiestry. Zwłaszcza gdy jest to jedna z tych żalostnych orkiestr żeńskich, w których każdy dźwięk przypomina kwiczenie lub pierdnięcie, posiada suchy algebraiczny rytm i higieniczną konsystencję pasty do zębów. Charczenie i zgrzytanie, wykonywane za tyle to a tyle franków na godzinę, a resztę niech diabli wezmą! Melancholia tej muzyki! Zupełnie jak gdyby stary Euklides uniósł się na tylne kończyny i połknął kwas pruski. Całe

królestwo Idei tak doszczętnie wyeksploatowane przez rozum, że do robienia muzyki nie pozostaje nic poza pustymi żeberkami akordeonu, w których gwizdże wiatr, drąc eter na strzępy. Ale też rozprawianie o muzyce w związku z tą dziurą jest jak mówienie o szampanie w celi śmierci. Muzyka była zresztą najmniejszym z moich zmartwień. Nie myślałem nawet o cipie, tak mętne, deprymujące, jałowe i szare było to wszystko. Tego pierwszego wieczoru zauważyłem w drodze do domu na drzwiach kawiarni cytat z *Gargantui*. W środku lokal przypominał kostnicę. Mimo to n a p r z ó d !

Miałem mnóstwo czasu i ani jednego sou. Dwie, trzy godziny konwersacji dziennie, to wszystko. Ale jakież to miało sens, po co uczyć tych biednych skurczybyków angielskiego? Żał mi ich było jak diabli. Przez cały ranek musieli mozolić się nad *John Gilpin's Ride*, a po południu przychodzić do mnie na ćwiczenia z martwego języka. Pomyślałem, jak dobrze mogłem się niegdyś sam bawić, zamiast tracić czas na lekturę Wergiliusza lub męczyć się nad niezrozumiałymi bzdurami w rodzaju *Hermann und Dorothea*. To istne szaleństwo! Nauka – pusty spichlerz. Pomyślałem o Carlu, który potrafi recytować *Fausta* od końca, który nie napisze książki, nie wychwalając jak cholera swojego nieśmiertelnego, niezniszczalnego Goethego. A przy tym nie miał dość rozumu, by dobrać się do tej bogatej cipy i sprawić sobie nową bieliznę. Jest coś nieprzyzwoitego w tym umiłowaniu przeszłości; coś, co zwykle kończy się kolejkami po chleb i budowaniem schronów. Coś nieprzyzwoitego, co dotyczy duchowego oszustwa, pozwalającego jakiemuś kretynowi kropić święconą wodą grube berty, pancerniki i materiały wybuchowe. Każdy człowiek z brzuchem wypchanym klasykami jest wrogiem rodzaju ludzkiego.

Oto tkwiłem tu, ponoć po to, by głosić ewangelię przyjaźni francusko-amerykańskiej jako emisariusz trupa, który, plądrując na prawo i lewo, zadając nieopisane cierpienia i krzywdy, marzył o zaprowadzeniu uniwersalnego pokoju. Fuj! Ciekaw jestem, o czym to ja miałem wedle ich oczekiwań mówić? O *Żdźbłach trawy*, o barierach celnych, o Deklaracji Niepodległości, o ostatniej wojnie gangów? O czym? Bardzo chciałbym wiedzieć. Dobrze, powiem wam – nigdy nawet o tym wszystkim nie wspomniałem. Zacząłem prosto z mostu od lekcji na temat fizjologii miłości. Jak kochają się słonie – właśnie od tego! Temat chwycił jak pożar buszu. Po pierwszej lekcji zapełniły się puste ławki. Po pierwszej lekcji angielskiego stali i oczekiwali mnie w drzwiach. Stosunki między nami układały się świetnie. Zadawali najróżniejsze pytania, jakby do tej pory niczego się nie nauczyli! Pozwoliłem im strzelać pytaniami na oślep. Nauczyłem ich podejmować kwestie jeszcze bardziej drażliwe. „Pytajcie o wszystko!” było moim mottem. Jestem tu pełnomocnikiem świata wolnych duchów. Jestem tu po to, by rozpalić gorączkę, spowodować ferment. „W pewnym sensie – twierdzi wybitny astronom – wszechświat materialny zdaje się przemijać jak opowieść, przeradzając się w nicość przypominającą zjawę”. Wydaje się, że takie jest ogólne odczucie, leżące u podłoża pustego spichlerza nauki. Jeśli o mnie chodzi, nie wierzę w to. Nie wierzę ani jednej pierdolonej teorii, którą te skurwysyny usiłują nam wcisnąć.

Jeśli nie miałem nic do czytania, to między lekcjami szedłem na górę do bursy i rozmawiałem z *pions*. Byli wspaniałymi ignorantami, zwłaszcza gdy chodziło o ich orientację w tym, co się wokół dzieje, szczególnie w świecie sztuki. Nieomal dorównywali swoim uczniom. Zupełnie jakbym się znalazł w prywatnym domu wariatów bez strzałek wskazujących wyjście. Czasami węszyłem pod arkadami, obserwując, jak dzieciaki łążą w kółko z wielkimi pajdami chleba w swoich brudnych ryjach. Sam byłem wiecznie głodny, jako że nie udawało mi się nigdy zejść na śniadanie, serwowane o jakiejś pogańsko wczesnej godzinie, kiedy w łóżku robiło się wreszcie przytulnie. Śniadanie składało się z sinoniebieskiej kawy w wielkich wazach i pszennego chleba bez masła. Na lunch podawano fasolę lub soczewicę, do której wrzucano kawałki mięsa, by wyglądała apetyczniej. Żarcie dobre dla niewolników pracujących w kamieniołomach. Nawet wino było kiepskie. Wszystko albo rozwodnione, albo rozdęte. Zawierało to kalorie, ale w niczym nie przypominało sztuki

kulinarnej. Jak utrzymywano, odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosił pan zarządca, ale w to także nie wierzę. Opłacano go, by utrzymywał nas na powierzchni. Nie pytał nikogo, czy cierpi na hemoroidy, czy karbunkuły; nie interesowało go, czy mamy delikatne podniebienia, czy wilczy apetyt. Po cóż miałyby się tym interesować? Wynajęto go, by na talerz przypadało tyle a tyle kalorii, które dadzą tyle a tyle energii. Wszystko w kategoriach koni mechanicznych, wyliczone starannie w grubych księgach, w których urzędnicy o ziemistych cerach bazgrali rano, w południe i wieczorem. *Debit* i *credit*, oddzielone czerwoną linią pośrodku strony.

Włącząc się po tych czworobokach, przeważnie o pustym żołądku, poczułem, że trochę wariuję. Jak Karol Szalony, biedaczysko, tyle że ja nie miałem żadnej Odette Champdivers, z którą mógłbym zabawiać się paluszkami. Zwykle musiałem zabierać papierosy uczniom, czasami podczas lekcji żułem wraz z nimi kawałki suchego chleba. Ponieważ ciągle gasł mi ogień w piecu, wkrótce zużyłem swój przydział drewna. Cholery można było dostać, gdy próbowałem wyłudzić trochę opału molestując tych urzędników od ksiąg. W końcu zirytowałem się tak dalece, że chodziłem po ulicach niby jakiś Arab w poszukiwaniu czegoś na rozpałkę. Zdumiewające, jak mało drewna można znaleźć na ulicach Dijon. Jednak te drobne wyprawy zawiadły mnie w dziwne okolice. Poznałem uliczkę nazwaną imieniem niejakiego M. Philiberta Papillona, jak mi się wydaje, zmarłego muzyka. Było tam siedlisko burdeli i zawsze trochę więcej radości życia, pachniało gotowanymi potrawami, na sznurach suszyła się bielizna. Od czasu do czasu dostrzegałem te biedne wariatki wałkoniące się w środku. Były w lepszej sytuacji niż diabllice w centrum miasta, na które wpadałem, ilekroć szwendałem się po domu towarowym. Często tam chodziłem, by się rozgrzać. Sądzę, że one robiły to z tego samego powodu. Szukały kogoś, kto by im postawił kawę. Wyglądały na odrobinę szalone z zimna i samotności. Całe miasto sprawiało wrażenie szalonego, kiedy ogarniał je wieczorny błękit. Można było łązić w tę i z powrotem po głównej ulicy aż do usranej śmierci i nie spotkać nikogo, kto okazałby jakieś zainteresowanie. Sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt tysięcy ludzi – może nawet więcej – opatulonych w wełnianą bieliznę, a nie ma dokąd pójść i co ze sobą zrobić. Nic, tylko produkują musztardę, tony musztardy. Żeńskie orkiestry znęcają się nad *Wesołą wdówką*. W wielkich hotelach srebrne nakrycia i obsługa w białych rękawczkach. Pałac książęcy gnije powoli, kamień po kamieniu, skrzydło za skrzydłem. Drzewa skrzypią od mrozu. Nieustanny stukot drewnianych chodaków. Uniwersytet obchodzi rocznicę śmierci Goethego, a może urodziny, już nie pamiętam. (Zwykle obchodzi się rocznice śmierci). W każdym razie idiotyczna sprawa. Wszyscy ziewają i przeciągają się.

Gdy wysoko sklepionym podjazdem wstępowałem w obszar czworoboku, opanowywało mnie zawsze poczucie bezdennej daremności. Na zewnątrz – ponuro i pusto; wewnątrz – ponuro i pusto. Nad miastem wisiała jakaś mętna jałowość, mgła książkowej wiedzy. Żużel i popioły przeszłości. Wokół wewnętrznych dziedzińców ciągnęły się sale lekcyjne, małe domki, jakie można zobaczyć w lasach Północy; pedagodzy bez przeszkód pletli tu, co im ślina na język przyniesie. Na tablicy bezużyteczna abrakadabra; przyszli obywatele Republiki stracą całe życie na to, by ją zapomnieć. Od czasu do czasu przyjmowano rodziców w położonym tuż koło podjazdu pokoju recepcyjnym, gdzie umieszczono popiersia takich bohaterów przeszłości, jak Molière, Racine, Corneille, Voltaire i inni, wszystkich tych strachów na wróble, o których ministrowie wspominają ze śliną na wargach, gdy tylko jakiś nieśmiertelny wzbogaci gabinet figur woskowych. (Brak popiersia Villona, brak popiersia Rabelais'go, brak popiersia Rimbauda). Tak czy owak, to tutaj spotykali się na uroczystym konklawe rodzice i bufoni wynajęci przez Państwo, by wypaczać umysły młodzieży. Zawsze ten proces wypaczania, do złudzenia przypominający porządkowanie trawników, by uczynić umysły atrakcyjniejszymi. Czasami przychodzili tu i młodzi – te małe słoneczniki, które wkrótce zostaną przesadzone ze szkółki, by przyozdobić miejskie trawniki. Niektóre z tych

słoneczników były plastikowe, łatwe do odkurzenia za pomocą kawałka podartej koszuli. Wszyscy oni brandzlowali się zapamiętale, gdy tylko zapadł zmrok. Ach, te sypialnie, w których paliły się czerwone światełka, gdzie dzwonki brzęczały jak syrena pożarowa i gdzie schody były wyszczerbione; bo tak zabijali się o dostęp do wiedzy.

A ta zgraja belfrów! W ciągu kilku pierwszych dni posunąłem się tak daleko, że z kilkoma zamieniłem uścisk dłoni; zawsze też, rzecz jasna, uchylaliśmy kapeluszy, ilekroć mijaliśmy się pod arkadami. Ale jeśli chodzi o jakąś serdeczną rozmowę, pójdzie gdzieś w kąta na drinka, to nic z tych rzeczy. Było to nie do pomyślenia. Na ogół sprawiali wrażenie, jakby przez cały czas robili w spodnie ze strachu. Ja w każdym razie należałem do innej kategorii. Nie chcieliby dzielić nawet wszy z kimś takim jak ja. Już sam ich widok tak mnie irytował, że przeklinałem cicho, gdy tylko ich ujrzałem. Stałem tam często wsparty o filar, z papierosem w kąciku ust, w kapeluszu nasuniętym na oczy, a gdy znaleźli się dostatecznie blisko, spluwałem soczyscie i – uchylałem kapelusza. Nie chciało mi się nawet otwierać gęby, by ich pozdrowić. Bąkałem po prostu pod nosem: „Pierdol się, Pierre!” – i to wszystko.

Po tygodniu wydawało mi się, że tkwię tu całe życie. Przypominało to jakiś cholerny, kurewski koszmar, z którego nie można się otrząsnąć. Kiedy o tym myślałem, popadałem w stan odrętwienia. A przecież przyjechałem tu zaledwie parę dni temu. Zapada zmrok. Pod zamglonym światłem latarni ludzie pędzą do domów jak szczury. Drzewa skrzą się złośliwie jak brylanty. Wszystko to przemyślałem z tysiąc razy albo i więcej. Droga od stacji do liceum przypominała spacer Korytarzem Gdańskim, postrzępionym, splekanym, z włóknami nerwów na wierzchu. Spacer aleją zasłaną ludzkimi kośćmi, gdzie czają się powykrzywiane, skulone postacie spowite w całuny, o kręgosłupach z ości sardynek. Samo liceum wydawało się wznosić z jeziora drobnego śniegu, jak odwrócona góra, skierowana wierzchołkiem ku środkowi Ziemi, gdzie Bóg albo Szatan pracuje bez ustanku w kaftanie bezpieczeństwa, mieląc ziarno na potrzeby tego raj, który niezmiennie okazuje się snem zakończonym nocną polucją. Nie pamiętam, by kiedykolwiek świeciło tam słońce. Nie pamiętam niczego poza zimnymi, tłustymi mgłami nadciągającymi od zamarzniętych bagien, hen stamtąd, gdzie tory kolejowe wgryzały się w ponure wzgórze. W dole koło stacji leżał kanał lub rzeka, ukryta pod żółtym niebem, a małe szopy tkwiły jak przyklepione bezpośrednio do stromego brzegu. Gdzieś tam były i koszary, uświadomiłem sobie nagle, gdyż od czasu do czasu spotykałem małych żółtych mężczyzn z Kochinchiny – zwinne karły o opiumowych twarzach wyzierających z nazbyt obszernych mundurów niczym kościotrupy zapakowane w trociny. Cała cholerna średnio wieczność tego miejsca była piekielnie krucha i niespokojna – kołysała się w przód i w tył pojękując cicho, wyskakiwała na ciebie spod okapów, zwisała z gargulców jak skazańcy ze skręconym karkiem. Bez przerwy odwracałem się za siebie, chodziłem jak krab poszturchiwany brudnym widelcem. Wszystkie te małe otyłe potworki, te kłocowate figurki przyklepione do fasady kościoła św. Michała wlokły się za mną, gdy spacerowałem po krętych alejkach lub skręcałem za narożnik. Cała fasada otwierała się w nocy jak album, stawiając cię twarzą w twarz z horrorem zadrukowanej strony. Kiedy pogasły światła i postacie powróciły do swego płaskiego bytu, martwe jak słowa, wówczas fasada wyglądała doprawdy wspaniale; w każdym załomie chropowatego frontonu rozbrzmiewała stłumiona nocna pieśń wichru, a koronkową ruinę ziemnych, sztywnych ornatów pokrywał mętny śluz z mgły i mrozu przypominający absynt.

W miejscu, gdzie stał kościół, wszystko wydawało się przestawione tyłem do przodu. On sam musiał zostać przesunięty ze swych fundamentów przez stulecia wędrówki w deszczu i śniegu. Przycupnął przed wiatrem na Place Edgar-Quinet niby martwy muł. Wiatr pędził przez rue de Monnaie jak szaleńczo rozwiane siwe włosy: kołował wokół białych słupków, uniemożliwiających przejazd omnibusom i zaprzęgom z dwudziestu mułów. Pędząc tamtędy wczesnym rankiem, wpadałem czasami do Monsieur Renauda, który – owinięty niczym jakiś żarłoczny mnich w płaszcz z kapturem – zabiegał o moje względy, zwracając się do mnie

szesnastowiecznym językiem. Gdy się z nim zrównałem, a księżyc przedzierał się przez tłuste niebo jak przekłuty balon, popadałem natychmiast w sferę bytów transcendentnych. Monsieur Renaud wyrażał się precyzyjnie słowami o ciężkiej brandenburskiej podstawie, przypominającymi suszone morele. Atakował mnie ostro cytatem z Goethego lub Fichtego, a jego głębokie basowe tony dudniły w wietrznych zaułkach placu jak grzmoty zeszłorocznej zimy. Mieszkańcy Jukatenu, mieszkańcy Zanzibaru, mieszkańcy Ziemi Ognistej, ratujcie mnie przed tym sinawym świńskim ogonem! Osacza mnie Północ, lodowcowe fiordy, kręgi o błękitnych wierzchołkach, oszalałe światła, obsceniczna chrześcijańska pieśń, niosąca się jak burza od Etny do Morza Egejskiego. Wszystko zamarzło na kość, mózg skostniał w skorupie mrozu, a przez melancholijną żałość błyskotliwej paplaniny przedziera się zdławiony jazgot świętych kłasnanych przez wszy. Jestem wprawdzie cały biały i opatulony w wełnę, niby spowity w pieluszki, spętany, niedołężny, ale nie mam w tym żadnego udziału. Biały aż do kości, ale o zimnej zasadowej podstawie, z palcami o szafranowych opuszkach. Biały – zgoda, ale nie należę do braci krzewicieli wiedzy, nie mam katolickiego serca. Jestem biały i bezwzględny, jak mężczyźni przede mną, którzy znad Elby wyruszyli w świat. Sięgam wzrokiem morza i nieba, tego, co niezrozumiałe i odległe bliskie.

Śnieg pod stopami umyka przed wiatrem, owiewa wszystko, łaskocze, parzy, sepleni, wiruje do góry, sypie, rozdrabnia się i przysypuje nas. Nie ma słońca, ryku fal, przyływu. Zimny północny wiatr uzbrojony w kolczaste ostrza, lodowate, wrogie, nienasycone ostrza, które niweczą nasze nadzieje i paraliżują myśli. Ulice odwracają się na zgiętych łokciach, umykają przelotnym, niechętnym spojrzeniom. Kuśtykając uciekają w dół osypującej się koronkowej roboty, odwracają kościół tyłem do przodu, koszą posągi, spłaszczają pomniki, wrywają z korzeniami drzewa, usztywniają trawę, wysysają z ziemi aromat. Liście matowieją jak cement, żadna rosa już nie przywróci im blasku. Żaden księżyc nie posrebrzy ich agonii. Pory roku stanęły w martwym punkcie, drzewa bledną i usychają, furgony toczą się koleinami z miki, ślizgając się z łoskotem przypominającym dźwięki harfy. W kotlinie pośród białych wierzchołków wzgórz drzemie ponure, pozbawione kręgosłupa Dijon. Nie ma tu ani jednego żywego człowieka, nikt nie spaceruje nocą poza niespokojnymi duchami, podążającymi na Południe w kierunku elektrod z szafiru. A przecież ja jestem na nogach i krążę po ulicach jak chodzący duch, człowiek sterroryzowany przez bezduszną normalność tej geometrii rzeźni. Kim jestem? Co tu robię? Spadam pomiędzy zimne ściany ludzkiej złośliwości, zatrwożona biała postać, tonąca w lodowatym jeziorze, a nade mną wznosi się góra czaszek. Muszę zamieszkać w zimnej strefie klimatycznej. Kredowe schody zalewa struga indygo. Ziemia w swoich mrocznych korytarzach poznaje mój krok, czuje na sobie stopę, poruszenie skrzydeł, jęk i drżenie. Słyszę wykpiwaną, bezużyteczną naukę, postacie pnące się do góry, odchody nietoperzy unoszone w powietrzu i pobrzękujące złotymi skrzydłami z tektury; słyszę zderzenia pociągów, brzęk łańcuchów, sapanie lokomotywy, jej prychnięcie, węszenie, parowanie i sikanie. Wszystko dociera do mnie poprzez przejrzystą mgłę i niesie zapach powtórzeń, żółciowe kace i plamy na pościeli, rany boskie! W martwym punkcie, sporo poniżej Dijon, sporo poniżej regionów hiperborealnych stoi bóg Ajaks, zaprzęgnięty do młyńskiego koła, a oliwki chrzęszczą, zielona woda bagienna ożywa od rechotania żab.

Mgła i śnieg, zimna strefa klimatyczna, intensywna nauka, niebieska kawa, chleb bez masła, zupa i soczewica, ciężko strawna fasola z kawałkiem wołowiny, zjełczały ser, gliniaste żarcie, kiepskie wino spowodowały w całym zakładzie stan obstrukcji. I akurat kiedy wszystkim zamarzło w tyłkach gówna, zamarzły też rury kanalizacyjne. Stos gówna rośnie jak mrowisko; trzeba schodzić z podnóżków i zostawiać je na podłodze. Leży tam zeszywniałe i zamarznięte w oczekiwaniu odwilży. W czwartki pojawia się garbus ze swymi małymi taczkami, miotłką zgarnia zimne, sztywne kawały gówna i toczy się, powłócząc

swoją uschniętą nogą. Na korytarzach wala się papier toaletowy, Ignąc do stóp niczym lep na muchy. Kiedy się ociepla, odór dojrzewa; czuć go w Winchester odległym o czterdzieści mil stąd. Gdy tak stoisz rano ze szczoteczką do zębów nad tym dojrzałym gównem, smród jest tak silny, że aż kręci ci się w głowie. Stoimy kołem w czerwonych flanelowych koszulach, czekając na swoją kolejkę, by splunąć do otworu; przypomina to arię jednej z wielkich oper Verdiego, brzmi jak chór przy akompaniamencie dźwięków kowadła, krążków linowych i strzykawek. W nocy, kiedy mnie przypili, pędzę na dół do prywatnej toalety pana Censeura, tuż koło podjazdu. W moim stolcu stale pojawia się krew. W jego ubikacji spłuczka także nie działa, ale przynajmniej ma się tę przyjemność, że można usiąść. Zostawiam mu swój pakunek jako dowód poważania.

Co wieczór, pod koniec posiłku, wpada rozweselić się trochę *veilleur de nuit*. To jedyny człowiek w całym zakładzie, z którym łączy mnie jakaś więź. Jest nikiem. Nosi latarnię i pęk kluczy. Dokonuje w nocy obchodu, sztywny jak automat. Mniej więcej w tym czasie, kiedy częstują nas zjeżdżającym serem, przychodzi na szklaneczkę wina. Stoi tam z wyciągniętą łapą, z włosami sztywnymi i skręconymi jak u mastifa; jego policzki są rumiane, wąsy błyszczą od śniegu. Coś tam mamrocze, a Quasimodo przynosi mu butelkę. Wtedy, solidnie wsparty na nogach, odrzuca w tył głowę i wychyla szklaneczkę, powoli, jednym długim haustem. Na mnie robi to wrażenie, jakby wsypywał do gardła rubiny. Jest w tym gościu coś takiego, że włosy mi się jeżą. To tak, jakby wlewał w siebie osady ludzkiego współczucia, jakby można było wytrąbić jednym haustem całą miłość i współczucie świata, jakby to było wszystko, co ludzkość może z siebie dać, dzień po dniu. Zrobili z niego coś mniej znacznego od królika. W ogólnym porządku rzeczy niewart jest nawet solanki, w jakiej moczy się śledzie. Jest po prostu żywym kawałkiem nawozu. I on o tym doskonale wie. Kiedy rozgląda się wokół po wypiciu wina i uśmiecha się do nas, to tak, jakby świat rozpadał się na kawałki. To uśmiech przesłany ponad otchłanią. Cały ten śmierdzący cywilizowany świat przypomina trzęsawisko na dnie piekła, a nad nim, jak miraż, unosi się ten niepewny uśmiech.

Tym samym uśmiechem witał mnie w nocy, kiedy wracałem ze swoich eskapad. Pamiętam pewną noc, kiedy – stojąc w drzwiach i czekając, aż staruszek zakończy swój obchód – miałem tak doskonałe samopoczucie, że mógłbym czekać w nieskończoność. Upłynęło może z pół godziny, nim otworzył drzwi. Rozglądałem się wokół spokojnie i leniwie, chłonąc wszystko – martwe drzewo przed szkołą, gałęzie poskręcane jak powrozy, domy po drugiej stronie ulicy, które zdążyły przez noc zmienić barwę i teraz pochylały się bardziej dostrzegalnie, odgłos pociągu toczącego się przez syberyjskie pustkowia, balustrady malowane przez Utrilla, niebo, głębokie koleiny wozów. Nagle, znikąd, pojawiła się para kochanków; co kilka jardów przystawali, by się objąć, a kiedy już nie mogłem podążyć za nimi wzrokiem, śledziłem odgłos ich kroków, słyszałem, jak się nagle zatrzymują, a potem powoli, klucząc, podążają dalej. Czułem wygięcie i przechylenie ich ciał, kiedy oparli się o barierkę, słyszałem skrzyknięcie butów, gdy ich mięśnie naprężyły się na chwilę przed uściskiem. Tułali się tak po mieście, po krętych uliczkach, w kierunku szklistego kanału, w którym woda jest czarna jak węgiel. Było w tym coś fenomenalnego. W całym Dijon nie było takiej pary jak tych dwoje.

Tymczasem dziadek dokonał już obchodu, słyszałem brzęk kluczy, skrzyknięcie butów, jednostajny, automatyczny chód. W końcu usłyszałem, jak nadchodzi podjazd, by otworzyć bramę zwieńczoną monstrualnym łukiem portalu, na zewnątrz którego nie ciągnie się żadna fosa. Słyszałem, jak gmera w zamku, ręce miał zeszywniałe, umysł odrętwiały. Kiedy brama się otwarła, ujrzałem nad jego głową błyszczącą konstelację światła, unoszącą się jak korona nad kaplicą. Wszystkie drzwi były pozamykane, cele zaryglowane. Książki również zamknięte. Zewsząd otaczała nas duszna, maniakalnie pijana noc, czaiły się ostrza sztyletów. Wokół rozpościerała się bezkresna pustka. Nad kaplicą jak biskupia infuła zalegała konstelacja światłek, w ciągu zimowych miesięcy noc za nocą tkwiła tam tuż przed kaplicą,

jaśniejac jak ostrza sztyletów, blask absolutnej pustki. Staruszek szedł za mną do zakrętu podjazdu. Drzwi zamknęły się bezgłośnie. Kiedy życzyłem mu dobrej nocy, znowu pochwyciłem ten rozpaczliwy, beznadziejny uśmiech, przypominający błysk meteoru nad krawędzią zaginionego świata. I ponownie ujrzałem go stojącego w refektarzu z głową odrzuconą do tyłu i wsypującego sobie do gardła rubiny. Całe Morze Śródziemne wydawało się pogrzebane w jego wnętrzu – gaje pomarańczowe, cyprysy, skrzydlate rzeźby, drewniane świątynie, błękitne morze, zamarłe w grymasie maski, magiczne liczby, mityczne ptaki, szafirowe niebo, orlęta, słoneczne zatoczki, niewidomi bardowie, herosi. Nie ma już tego świata. Przysypała go lawina z Północy. Pogrzebała, uśmierciła na zawsze. Pozostało wspomnienie, dzika nadzieja.

Zaledwie przez chwilę zatrzymuję się w opustoszałej alei. Całun, kir, nie wypowiedziana, chwytająca za gardło pustka tego, co mnie otacza. Później idę pospiesznie zwirowaną alejką przy ścianie, mijam łuki i kolumny, żelazne schody, przechodzę z jednego czworoboku na drugi. Wszystko zamknięte na cztery spusty, zamknięte na zimę. Odnajduję arkady prowadzące do sypialni. Trupie światło wylewa się na schody z brudnych, pokrytych mrozem okien. Wszędzie łuszczy się farba. Kamienie są wyszczerbione, poręcz trzeszczy, wilgotny pot sączy się z kamiennej posadzki, tworząc bladą, zamazaną aurę przeszytą nikłym czerwonym światłem u szczytu schodów. Wchodzę na ostatnią kondygnację wewnątrz wieżyczki, spocony ze strachu. W kompletnych ciemnościach szukam po omacku drogi przez wyludniony korytarz, każdy pokój opustoszały, zamknięty, powoli opanowywany przez pleśń. Sunę ręką po ścianie, by znaleźć dziurkę od klucza. Gdy chwytam za klamkę, ogarnia mnie panika. Zawsze czuję rękę trzymającą mnie za kołnierz, gotową w każdej chwili szarpnąć mnie do tyłu. Kiedy wreszcie wchodzę do pokoju, zaryglowuję drzwi. To cud, jakiego doznaję co wieczór, cud, dzięki któremu dostaję się do środka, unikając jakoś uduszenia lub ciosu siekierą w plecy. Słyszę, jak szczury biegają po korytarzu, jak gryzą grube krokwie nad moją głową. Światło jarzy się oślepiającym blaskiem płonącej siarki i panuje tu słodkawy, mdlący zaduch nigdy nie wietrzonego pokoju. W rogu stoi skrzynia na węgiel, tak jak ją zostawiłem. Ogień zgasł. Cisza jest tak intensywna, że rozbrzmiewa mi w uszach jak Niagara.

Jestem sam, przepełnia mnie straszliwa pustka, tęsknota i lęk. Cały pokój wypełniają moje myśli. Nic poza mną i moimi myślami, moimi lękami. Mógłbym wyobrazić sobie najbardziej niestworzone historie, mógłbym tańczyć, pluć, stroić miny, przeklinać, zawodzić – nikt by się nie dowiedział, nikt by nie usłyszał. Myśl o takiej absolutnej prywatności mogłaby mnie doprowadzić do szaleństwa. To tak jak udany poród, wszystkie więzy odcięte. Jesteś odseparowany, nagi, samotny. Błogosławieństwo połączone z agonią. Masz mnóstwo czasu. Każda sekunda przytłacza cię jak góra. Toniesz w niej. Pustynie, morza, jeziora, oceany. Zegar wybija godziny jak rzeźnicki topór. Nicość. Świat. Ja i nie ja. *Oomaharumooma*. Wszystko musi mieć nazwę. Wszystkiego trzeba się nauczyć, doświadczyć, wszystko trzeba sprawdzić. *Faites comme chez vous, chéri*.

Zapada cisza, osuwająca się po wulkanicznych zboczach. Hen, tam gdzie wśród jałowych wzgórz, tocząc się naprzód w kierunku wielkich okręgów metalurgicznych, lokomotywy ciągną wagony pełne produktów handlowych. Toczą się po podkładach z żelaza i stali, ziemię pokrywa żużel, popioły i purpurowa ruda. W wagonie towarowym popiół z wodorostów, łupek, żelazo, podkłady, pręty stalowe, arkusze blachy, wyroby hutnicze, pierścienie walcowane na gorąco, wióry, podstawy młódczy i ruda z Zores. Koła grubości osiemdziesięciu milimetrów lub więcej. Mijają wspaniałe okazy architektury anglo-normandzkiej, mkną obok przechodniów, pedantów i pederastów, martenowskich pieców, konwertorów Bessemera, dynamo i transformatorów, odlewów surówki i wlewów stali. Ogół obywateli, przechodnie, pedanci i pederaci, złote rybki i palmy z dmuchanego szkła, łkające osiołki, wszystko krąży swobodnie po alejkach tworzących szachownicę. Lawendowe oko na Place du Brésil.

Dokonuję błyskawicznego przeglądu kobiet, które znałem. Przypominają łańcuch ukuty przeze mnie z własnej nędzy, każde ogniwo połączone z następnym. Strach przed samotnym życiem, chęć ucieczki przed świadomością narodzin. Drzwi łona zawsze zamknięte tylko na zasuwkę. Lęk i tęsknota. Głęboko we krwi głos przyzywający cię do raju. Do innego świata. Zawsze ten inny świat. To wszystko musiało się zacząć od pępka. Przecinają ci pępowinę, dają klapsa w tyłek, i hokus-pokus! – oto przyszedłeś na świat, pływasz jak statek bez steru. Wpatrujesz się w gwiazdy, potem w swój pępek. Wszędzie wyrastają ci oczy – pod pachami, między wargami, w korzonkach włosów, na podeszwach stóp. To, co odległe, staje się bliskie, to, co bliskie – odległe. Świat wewnętrzny – świat zewnętrzny, nieustanny przepływ, zrzucanie skóry, przenicowywanie się. I tak dryfujesz latami, aż znajdziesz się w martwym punkcie, powoli zaczynasz gnić, stopniowo rozpadasz się na kawałki, ponownie ulegasz rozproszeniu. Pozostaje jedynie twoje imię.

Dopiero na wiosnę udało mi się wyrwać z tego zakładu karnego, a i to tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Pewnego dnia przyszedł telegram od Carla, w którym zawiadamiał mnie, że zwolniło się miejsce „na piętrze”; obiecał przysłać mi pieniądze na bilet, jeżeli zechcę wziąć tę posadę. Zadepeszerowałem do niego natychmiast i gdy tylko nadeszła forsa, popędziłem na stację. Ani słowa panu Provisseurowi, nikomu. Wyszedłem po francusku, jak mówią Anglicy.

Od razu udałem się do hotelu przy I *bis*, gdzie mieszkał Carl. Otworzył mi drzwi kompletnie nagi. Miał akurat wolną noc i w łóżku jak zwykle leżała jakaś cipa.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział. – Śpi. Jeśli chcesz ją zerznąć, proszę bardzo. Jest niezła.

Ściągnął z niej kołdrę, by pokazać mi, jak wygląda. Nie myślałem jednak tak od razu o ciupciani. Byłem zbyt podekscytowany, czułem się jak człowiek, który dopiero co uciekł z więzienia. Chciałem jedynie patrzeć i słuchać. Droga ze stacji przypominała długi sen. Czułem się, jakby mnie tu nie było latami.

Dopiero gdy usiadłem i rozejrzałem się dobrze po pokoju, zdałem sobie sprawę, że znalazłem się z powrotem w Paryżu. Pokój należał do Carla, co do tego nie było wątpliwości: stanowił kombinację klatki dla wiewiórek i sracza. Na stole ledwie mieściła się jego walizkowa maszyna do pisania. Tak było zawsze, bez względu na to, czy mieszkała z nim jakaś dupa, czy nie. Zawsze otwarty słownik leżący na tomie *Fausta* o złoconych brzegach, woreczek tytoniu, beret, butelka *vin rouge*, jakieś listy i rękopisy, stare gazety, akwarele, imbryk do herbaty, brudne skarpety, wykałaczki, sole trzeźwiące, kondomy itp. W bidecie skórki od pomarańczy i resztki kanapki z szynką.

– W szafie znajdziesz coś dojedzenia – powiedział. – Poczęstuj się! Właśnie miałem zamiar zrobić sobie zastrzyk.

Znalazłem kanapkę, o której wspomniał, i kawałek nadgryzionego sera. Podczas gdy on siedział na brzegu łóżka wstrzykując sobie argyrol, zjadłem kanapkę i ser, popijając paroma łykami wina.

– Podobał mi się ten twój list o Goethem – stwierdził, wycierając chuja brudnymi gatkami.

– Zaraz pokażę ci moją odpowiedź. Zamieszczę ją w swojej książce. Kłopot z tobą polega na tym, że nie jesteś Niemcem. Chcąc zrozumieć Goethego, trzeba być Niemcem. Kurwa, nie mam zamiaru teraz ci tego tłumaczyć. Wszystko znajdziesz w książce. *À propos*, mam teraz nową dupę – nie tę tutaj – to idiotka. To znaczy, miałem ją jeszcze parę dni temu. Nie jestem pewien, czy jeszcze do mnie wróci. Mieszkała ze mną przez cały czas, gdy cię tu nie było. Któregoś dnia przyjechali jej rodzice i zabrali ją... Twierdzili, że ma zaledwie piętnaście lat. Wyobrażasz sobie? Tak mnie przestraszyli, że mało nie narobiłem w portki...

Roześmiałem się. To pasowało do Carla, wpakować się w taką kabałę.

– Z czego się śmiejesz? – spytał. – Mogę pójść do więzienia. Na szczęście nie zmajstrowałem jej bachora. I to też jest dziwne, bo ona nigdy nie uważała na te sprawy. A wiesz, co mnie uratowało? *Faust*. Tak! Jej stary akurat zerknął na stół. Zapytał, czy rozumiem po niemiecku. Od słowa do słowa i zanim się obejrzałem, przeglądał moje książki. Na szczęście miałem też otwartego Szekspira. To wywarło na nim diabelne wrażenie. Powiedział, że widocznie poważny ze mnie facet.

– A co na to dziewczyna – co ona miała do powiedzenia?

– Była śmiertelnie przerażona. Bo wiesz, gdy tu przyszła, miała taki mały zegarek; w tym zamieszaniu nie mogliśmy go znaleźć, a jej matka uparła się, że albo zegarek się znajdzie,

albo zawoła policję. Widzisz, jak tu wszystko wygląda. Przewróciłem pokój do góry nogami, ale nie znalazłem tego cholernego zegarka. Matka była wściekła. Mimo to podobała mi się. Była nawet ładniejsza od córki. Poczekaj, pokażę ci list, jaki zacząłem do niej pisać. Zakochałem się w niej.

– W matce?

– Jasne. Dlaczego nie? Gdybym najpierw spotkał matkę, nigdy bym nie spojrział na córkę. Skąd mogłem wiedzieć, że ma dopiero piętnaście lat? Nie pytasz przecież każdej nowej dupy, ile ma lat, zanim ją wyciupciasz, nie?

– Joe, ta historia trochę śmierdzi. Nie robisz mnie w konia?

– Myślisz, że robię cię w konia? Masz – spójrz na to!

I pokazuje mi akwarele namalowane przez tę małą – ładne drobiazgi: nóż i bochenek chleba, stół i imbryk do herbaty – wszystko sprawia wrażenie, jakby biegło pod górę.

– Zakochała się we mnie – powiedział. – Była zupełnie jak dziecko. Musiałem jej mówić, kiedy ma myć zęby i jak zakładać kapelusz. O, spójrz na te lizaki! Kupowałem jej codziennie kilka – bardzo je lubiła.

– A jak zareagowała, kiedy rodzice przyjechali ją zabrać? Nie zrobiła awantury?

– Popłakała trochę, nic więcej. Cóż mogła zrobić? Jest nieletnia... Musiałem obiecać, że nigdy się z nią nie zobaczę i że do niej nie napiszę. Ciekaw jestem, czy ona jeszcze się tu pokaże. Była dziewczicą, kiedy tu trafiła. Problem w tym, jak długo wytrzyma bez tych rzeczy? Kiedy tu mieszkała, nigdy nie miała dość. O mały włos mnie nie wykończyła.

Tymczasem ta w łóżku obudziła się i zaczęła przecierać oczy. Wydawała się także dość młoda. Niebrzydka, ale głupia jak wszyscy diabli. Od razu chciała wiedzieć, o czym rozmawiamy.

– Mieszka tu, w hotelu – powiedział Carl. – Na trzecim piętrze. Chcesz iść do niej? Załatwię to z nią. Nie wiedziałem, czy chcę, czy nie, ale kiedy zobaczyłem, jak Carl zaczął ją obrabiać, nabrałem chęci. Niemniej jednak zapytałem, czy nie jest zbyt zmęczona. Pytanie zupełnie bez sensu. Kurwa nigdy nie jest tak zmęczona, by nie móc rozłożyć nóg. Niektóre potrafią nawet zasnąć, kiedy je posuwasz. Tak czy owak postanowiliśmy; że idziemy do jej pokoju. W ten sposób nie będę musiał płacić za tę noc właścicielowi hotelu.

Rano wynająłem pokój, którego okna wychodziły na mały park na dole, dokąd zawsze przychodzili na lunch ludzie-reklamy. W południe wpadłem po Carla, by zjeść z nim śniadanie. Podczas mojej nieobecności wraz z Van Nordenem nabrali nowego zwyczaju – codziennie chodzili na śniadanie do Coupole.

– Dlaczego akurat Coupole? – spytałem.

– Dlaczego akurat Coupole? – powtórzył Carl. – Ponieważ o każdej porze podają tam owsiankę, a po owsiance dobrze się sra.

– Aha – skwitowałem.

Jest więc zupełnie tak samo jak przedtem. We trójkę chodzimy do pracy i wracamy. Drobne swary, mała rywalizacja. Van Norden wciąż marudzi o swoich cipach i wypłukiwaniu brudu z bebechów. Tyle że znalazł teraz nową rozrywkę. Odkrył, że lepiej się onanizować. Byłem zdziwiony, kiedy mi to powiedział. Nie sądziłem, że taki facet jak on znajdzie jakąś przyjemność w branzlowaniu się. Jeszcze bardziej się zdumiałem, kiedy mi wyjaśniał, jak to robi. „Wynalazł”, jak to ujął, nowy trick.

– Bierzesz jabłko – mówi – i wydrążasz środek. Potem wkładasz tam odrobinę kremu, żeby miąższ za szybko się nie rozpuścił. Spróbuj kiedy! Z początku o mało nie zwariujesz. Tak czy owak, to tani sposób i nie trzeba tracić dużo czasu.

– Aha! – mówi, zmieniając temat – twój przyjaciel Fillmore jest w szpitalu. Podobno dostał bzika. W każdym razie tak powiedziała mi jego dziewczyna. Wiesz, kiedy ciebie nie było, przygruchał sobie pewną Francuzkę. Bili się jak diabli. To duża, zdrowa dziwka – trochę zwariowana. Nie miałbym nic przeciwko temu, by z nią pobaraszkować, ale boję się,

że wy drapałaby mi oczy. On ciągle chodził z poharataną twarzą i rękoma. A i ona też od czasu do czasu bywa opuchnięta, a właściwie bywała. Wiesz, jakie są te francuskie pizdy – kochając tracą głowę.

Wygląda na to, że trochę się tu działo, kiedy mnie nie było. Zmartwiłem się nowinami o Fillmore. Był dla mnie cholernie dobry. Kiedy rozstałem się z Van Nordenem, wskoczyłem w autobus i pojechałem prosto do szpitala.

Nie zdecydowano jeszcze, jak sędzę, czy kompletnie zbzikował, czy nie, ponieważ zastałem go na górze w jednoosobowym pokoju; cieszył się wszystkimi swobodami przysługującymi normalnym pacjentom. Akurat się wykąpał, kiedy przyszedłem. Rozplakał się na mój widok.

– To już koniec – powitał mnie. – Mówią, że mam fioła, a mogę mieć i syfa. Twierdzą, że prześladowuje mnie mania wielkości.

Upadł na łóżko i cicho zaszlochał. Pochlipał trochę, podniósł głowę i uśmiechnął się – zupełnie jak ptaszek otrzepujący piórka po krótkiej drzemce.

– Dlaczego wsadzili mnie do takiej kosztownej izolatki? – zapytał. – Dlaczego nie położą mnie na sali ogólnej – albo nie odeślą do domu wariatów? Nie stać mnie na to, by tu tkwić. Zostało mi ostatnie pięćset dolarów.

– Dlatego właśnie cię tu trzymają – powiedziałem. – Przeniosą cię natychmiast, gdy tylko skończą ci się pieniądze. O to nie musisz się martwić.

Moje słowa musiały na nim zrobić wrażenie, ponieważ ledwo skończyłem, wręczył mi swój zegarek z dewizką, portfel, znaczek korporacji studenckiej itp.

– Pilnuj tego – powiedział. – Te skurwysyny ograbią mnie ze wszystkiego.

A potem roześmiał się nagle dziwnym niewesołym śmiechem, który sprawia, że uważasz faceta za pomyłonego bez względu na to, czy nim jest, czy nie.

– Wiem, uważasz, że zwariowałem – stwierdził – ale chcę odpokutować to, co zrobiłem. Zamierzam się ożenić. Widzisz, nie wiedziałem, że mam trypra. Zaraziłem ją, a potem ona zaszła w ciążę. Powiedziałem lekarzowi, że nie dbam o to, co się ze mną stanie, ale chcę, by pozwolił mi się ożenić. A on powtarza, bym poczekał, aż poczuję się lepiej, choć wiem, że to nigdy nie nastąpi. To już koniec.

Sam nie byłem w stanie powstrzymać się od śmiechu słuchając jego gadki. Nie mogłem pojąć, co go naszło. W każdym razie obiecałem zobaczyć się z dziewczyną i wszystko jej wyjaśnić. Życzył sobie, bym o nią zadbał i starał się pocieszyć. Powiedział, że może mi zaufać itd. Chcąc go uspokoić zgadzałem się na wszystko. Nie sprawiał na mnie wrażenia stukniętego, był natomiast jakiś zrezygnowany. Typowy anglosaski kryzys. Erupcja zasad moralnych. Nawet ciekawy byłem dziewczyny; chciałem się z nią spotkać i zorientować się, co jest grane.

Następnego dnia poszedłem w odwiedziny. Mieszkała w Dzielnicy Łacińskiej. Gdy tylko dotarło do niej, kim jestem, zrobiła się niezmiernie serdeczna. „Jestem Ginette” – przedstawiła się. Była to dość duża, grubokoścista, zdrowa, wiejska dziewczucha; brakowało jej połowy przedniego zęba. Miała w sobie niesłychaną żywotność; w oczach płonął jakiś szalony płomień. Najpierw zaczęła płakać. Potem, zorientowawszy się, że jestem starym przyjacielem jej Jo-Jo – jak go nazywała – zbiegła na dół i przyniosła kilka butelek białego wina. Nalegała, bym został na obiedzie. Pijąc stawała się na przemian to wesoła, to znów płaczliwa. Nie musiałem zadawać jej żadnych pytań – gadała jak katarynka. Najbardziej martwiło ją, czy on będzie mógł wrócić do pracy, kiedy zwolnią go ze szpitala. Powiedziała, że jej rodzice są zamożni, ale nie byli z niej zbyt zadowoleni. Nie pochwalali jej szaleństw. Szczególnie zaś nie przypadł im do gustu Fillmore – nie miał manier i był Amerykaninem. Błagała mnie, bym przysiągł, że on dostanie pracę po powrocie, co uczyniłem bez chwili wahania. A potem błagała, bym jej powiedział, czy można wierzyć jego zapewnieniom, że ma zamiar się z nią ożenić. Bądź co bądź teraz, z dzieckiem w brzuchu, na dodatek mając trypra,

nie mogła liczyć na żaden inny mariaż, a już na pewno nie z Francuzem. To jasne, nie? Oczywiście, zapewniłem ją. Wszystko było dla mnie jasne jak diabli, poza jednym: jak, na Boga, Fillmore mógł się w niej zakochać? Po kolei jednak. Moim obowiązkiem było ją teraz pocieszyć, toteż nagadałem jej przeróżnych bzdur, zapewniłem, że wszystko się dobrze skończy, a ja zostanę ojcem chrzestnym dziecka itp. Wówczas nagle wydało mi się dziwne, że w ogóle chce mieć to dziecko, zwłaszcza że mogło urodzić się niewidome. Powiedziałem jej to najbardziej taktownie, jak potrafiłem.

– To bez znaczenia – odparła. – Pragnę jego dziecka.

– Nawet jeżeli będzie niewidome? – spytałem.

– *Mon Dieu, ne dites pas ça!* – jęknęła. – *Ne dites pas ça!*

Mimo to uważałem, że moim obowiązkiem było to powiedzieć. Wpadła w histerię i zaczęła łkać jak mors, po czym naląła sobie jeszcze trochę wina. Już po chwili śmiała się hałaśliwie. Zaśmiewała się na myśl o ich bijatykach w łóżku.

– Lubił, gdy się z nim biłam – stwierdziła. – Taki z niego brutal.

Gdy zasiedliśmy dojedzenia, zjawiała się jej przyjaciółka, mała kurewka mieszkająca na końcu korytarza. Ginette natychmiast posłała mnie na dół, bym dokupił wina. Kiedy wróciłem, wyglądało na to, że odbyły długą, szczerą rozmowę. Yvette, to znaczy jej przyjaciółka, pracowała w policji. O ile mogłem się zorientować, była chyba donosicielką. A przynajmniej starała się, żebym w to uwierzył. Co do mnie, raczej nie miałem wątpliwości, że jest po prostu drobną kurewką. Miała jednak obsesję na punkcie policji i jej znaczenia. Przez cały czas namawiały mnie obie, bym poszedł z nimi na *bal musette*. Chciały się rozerwać. Od kiedy Jo-Jo przebywał w szpitalu, Ginette była teraz taka samotna. Powiedziałem, że muszę iść do pracy, ale w wolną nockę przyjdę i zabiorę je. Wyjaśniłem im natomiast, że nie mam szmalu, aby im fundować. Ginette, oszołomiona tą nowiną, udawała, że nie ma to dla niej najmniejszego znaczenia. Co więcej, chcąc pokazać, jaka dobra z niej dziewczyna, uparła się, by odwieźć mnie do pracy taksówką. A wszystko dlatego, że jestem przyjacielem Jo-Jo. Byłem więc i jej przyjacielem. „I dlatego – pomyślałem sobie – jeśli coś przytrafi się twojemu Jo-Jo, przylecisz do mnie w podskokach. Wtedy zobaczysz, jaki ze mnie przyjaciel!”. Byłem dla niej słodki jak cukierek. W rzeczy samej, kiedy wysiedliśmy z taksówki przed redakcją, dałem im się namówić na ostatniego pernodu. Yvette zapytała, czy nie mogłaby wpaść po mnie, gdy skończę pracę. Twierdziła, że chce mi wiele powiedzieć w zaufaniu. Udało mi się odmówić, nie raniąc jej przy tym. Niestety, złamałem się na tyle, że dałem jej mój adres.

N i e s t e t y, jak mówię. Jednak w gruncie rzeczy, kiedy pomyślę o tym teraz, nawet się cieszę. Bo oto już nazajutrz coś się zaczęło dziać. Właśnie nazajutrz, jeszcze zanim zdążyłem wstać, zjawily się u mnie obie. Zabrano Jo-Jo ze szpitala i zamknięto w małym zameczku na wsi, zaledwie kilka mil od Paryża. *Château*, tak to określały. Delikatna nazwa dla domu wariatów. Chciały, żebym się natychmiast ubrał i pojechał z nimi. Były ogarnięte paniką.

Sam bym pewnie pojechał, ale nie mogłem się zdecydować, by wlec się tam z nimi. Poprosiłem, by poczekały na dole, aż się ubiorę, chcąc zyskać na czasie i wymyślić jakąś wymówkę. Ale nie chciały opuścić pokoju. W dodatku, jakby była to najzwyklejsza rzecz pod słońcem, siedziały i patrzyły, jak myję się i ubieram. Właśnie wtedy wszedł Carl. Pokrótce i po angielsku nakreśliłem mu sytuację, a potem znaleźliśmy pretekst: mam do roboty coś niesłychanie ważnego. Chcąc jednak jakoś załagodzić sprawę, przynieśliśmy trochę wina i staraliśmy się je zabawić, pokazując im książkę z nieprzyzwoitymi rysunkami. Yvette straciła już wszelką chęć na jazdę do *château*. Ona i Carl dogadali się od razu. Kiedy zdecydowały się jechać, Carl postanowił im towarzyszyć. Uważał, że zabawnie będzie ujrzeć Fillmore'a spacerującego wśród obłąkańców. Chciał zobaczyć, jak to jest w domu wariatów. Pojechali więc, trochę wstawieni i w najlepszych humorach.

Przez cały czas pobytu Fillmore'a w owym zameczku nie odwiedziłem go ani razu. Nie było to konieczne, gdyż Ginette bywała tam regularnie, dzieląc się ze mną wiadomościami.

Jak utrzymywała, mieli nadzieję przywrócić go do formy w ciągu paru miesięcy. Uważali to za zwykłe zatrucie alkoholowe, nic ponadto. Oczywiście miał też chorobę weneryczną, ale to nietrudno było wyleczyć. Ich zdaniem w grę nie wchodził syfilis.

To już było coś. Tak więc, na początek, zrobili mu pompowanie żołądka; dokładnie oczyścili mu organizm. Przez jakiś czas był tak słaby, że nie mógł wstać z łóżka. Popadł również w depresję. Powiedział, że nie chce być wyleczony – chce umrzeć. Powtarzał te bzdury z takim uporem, że w końcu ich to zaniepokoiło. Myślę, że nie najlepiej świadczyłyby to o ich zakładzie, gdyby popełnił samobójstwo. W każdym razie poddali go leczeniu psychiatrycznemu. Jednocześnie zaczęli mu wyrywać zęby, jeden po drugim, aż nie został mu żaden. Ta kuracja miała poprawić mu samopoczucie, ale jakoś nie poprawiła. Stał się nawet jeszcze bardziej przygnębiony. A potem zaczęły mu wypadać włosy. W końcu pojawiły się pewne cechy paranoiczne – rzucał pod adresem lekarzy różne oskarżenia, żądał wyjaśnień: jakim prawem jest przetrzymywany, cóż takiego zrobił, co usprawiedliwiłoby trzymanie go w odosobnieniu, itp. Po napadach straszliwego przygnębienia zdarzały mu się nagle przyływy energii i groził wówczas wysadzeniem szpitala w powietrze, jeżeli go nie wypuszczą. Co gorsza, przynajmniej jeśli chodzi o Ginette, całkowicie zrezygnował ze swoich zamiarów matrymonialnych. Powiedział jej bez ogródek, że nie myśli się żenić, a skoro ona jest na tyle szalona, by chcieć tego dziecka, to może je utrzymywać sama.

Lekarze uznawali to wszystko za dobry znak. Orzekli, że wraca do zdrowia. Ginette sądziła oczywiście, że jest bardziej szalony niż przedtem, ale modliła się, by go wypuszczono; mogłaby wówczas zabrać go na wieś, gdzie jest cicho i spokojnie i gdzie na pewno doszedłby do siebie. W tym czasie zjechali do Paryża jej rodzice i posunęli się tak daleko, że odwiedzili swego przyszłego zięcia w *château*. Mądrość życiowa podpowiedziała im zapewne, że lepiej, jeśli córka będzie miała małżonka wariata, niż gdyby miała zostać bez męża. Ojciec sądził, że znajdzie dla Fillmore'a jakąś pracę na farmie. Powiedział, że nie jest z niego wcale taki zły facet. Kiedy dowiedział się, że rodzicom Fillmore'a nie brak forsy, stał się jeszcze bardziej wyrozumiały i pobłażliwy.

Wszystko zdawało się przybierać korzystny obrót. Ginette na pewien czas wróciła z rodzicami na prowincję. Yvette regularnie odwiedzała Carla w hotelu. Uważała, że jest jakimś liczącym się redaktorem. I stawała się coraz bardziej skłonna do zwierzeń. Pewnego dnia, gdy się dobrze wstawiła, poinformowała nas, że Ginette nie była nigdy niczym innym jak tylko kurwą, że jest pijawką, że nigdy nie była w ciąży i teraz też nie jest. Carl i ja nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do prawdziwości tych pierwszych zarzutów, ale nie byliśmy tak pewni tego, że nie jest w ciąży.

– Skąd więc ma taki duży brzuch? – spytał Carl. Yvette roześmiała się.

– Może go sobie nadmuchuje pompką rowerową – powiedziała. – Ale poważnie – dodała – brzuch rośnie od picia. A ona pije jak gąbka. Kiedy wróci ze wsi, zobaczycie, będzie jeszcze bardziej rozdęta. Jej ojciec to pijaczysko. Ginette też jest pijaczką. Może i miała trypra, dłaczegóż by nie, ale na pewno nie jest w ciąży.

– A dlaczego chce za niego wyjść? Czy naprawdę go kocha?

– Kocha? Też coś! Ginette jest bez serca. Chce, by ktoś się nią zajął. Żaden Francuz nigdy się z nią nie ożeni – jest notowana na policji. Uwzięła się na niego, bo jest za głupi, by dowiedzieć się o jej sprawkach. Rodzice mają jej już dość – przynosi im wstyd. Ale jeśli wyjdzie za bogatego Amerykanina, wszystko będzie w porządku... Myślicie może, że ona go choć trochę kocha? Ech, nie znacie jej. Gdy mieszkali razem w hotelu, przychodziły do niej różne typy, kiedy on był w pracy. Skarzyła się, że nie daje jej dość pieniędzy, że jest skąpy. A to futro, które nosiła – powiedziała mu, że je dostała od rodziców, prawda? Naiwniaczek! Przecież sama widziałam, jak przyprowadziła do hotelu faceta i to pod nieobecność Jo-Jo. Poszła z nim piętro niżej. Widziałam to na własne oczy. I to z kim! Ze starym szmaciarzem. Nawet mu nie stanął.

Gdyby Fillmore po zwolnieniu z *château* wrócił do Paryża, może mógłbym go oświecić na temat jego Ginette. Ale skoro znajdował się pod obserwacją, nie uważałem, by niepokojenie go i zatrucie mu umysłu pomówieniami Yvette było najlepszym pomysłem. Jak się okazało, wprost z tego zameczku pojechał do domu rodziców Ginette. Tak go tam omotali, że wbrew sobie publicznie ogłosił swoje zaręczyny. Zapowiedzi ukazały się w miejscowych gazetach, odbyło się przyjęcie dla przyjaciół domu. Fillmore wykorzystywał powstałą sytuację i pozwalał sobie na różne eskapady. Chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co robi, udawał, że wciąż jeszcze jest trochę stuknięty. Pożyczał na przykład od teścia samochód i rozbijał się po okolicy; gdy jakieś miasteczko przypadło mu do gustu, zostawał tam i dobrze się bawił aż do przybycia poszukującej go Ginette. Czasami wyprawiali się z teściem – na ryby, jak mówili – i znikali na całe dni. Fillmore zrobił się nieznośnie kapryśny i wymagający. Doszedł pewnie do wniosku, że trzeba przynajmniej wykorzystać tę sytuację, póki to możliwe.

Kiedy wrócił z Ginette do Paryża, miał zupełnie nową garderobę i kieszenie pełne forsy. Wyglądał pogodnie i zdrowo, był ładnie opalony. Robił na mnie wrażenie zdrowego jak rydz na ciele i umyśle. Ale gdy tylko urwaliśmy się Ginette, zaczął mi się zwierzać. Nie ma pracy i skończyły mu się pieniądze. Za miesiąc, dwa mieli wziąć ślub. Na razie zaopatrywali go w forsy jej rodzice.

– Gdy dostaną już mnie na dobre w swoje szpony – stwierdził – będę ich własnością. Ojciec zamierza otworzyć dla mnie sklep z przyborami do pisania. Ginette zajmie się klientami, kasą itp., a ja będę siedział na zapleczu i pisał – no wiesz, coś w tym stylu. Wyobrazasz mi sobie, jak przez resztę życia siedzę na zapleczu sklepu papierniczego? Ginette uważa to za doskonały pomysł. Lubi mieć do czynienia z pieniędzmi. Wolalbym już raczej wrócić do *chateau* niż poddać się i pozwolić im ziszczyć te pomysły.

Na razie, rzecz jasna udawał, że wszystko jest cacy. Usiłowałem namówić go na powrót do Ameryki, ale nie chciał o tym słyszeć. Oznajmił, że nie da się wypędzić z Francji gromadzie ciemnych wieśniaków. Wpadł na pomysł, by zniknąć im z oczu na jakiś czas, a potem zamieszkać w jakiejś oddalonej dzielnicy miasta, gdzie będzie mało prawdopodobne, że się na nią natknie. Doszliśmy jednak do przekonania, że to niemożliwe: nie sposób ukryć się we Francji, tak jak w Ameryce.

– Mógłbyś na pewien czas pojechać do Belgii – zaproponowałem.

– Az czego będę żył? – zapytał z miejsca. – W tych cholernych krajach nie można dostać pracy.

– Może więc ożenisz się z nią i od razu rozwiedziesz? – poddałem.

– Tak? Przecież ona wkrótce będzie rodzić. Kto zajmie się dzieckiem, co?

– Skąd wiesz, że spodziewa się dziecka? – zapytałem, zdecydowany właśnie teraz powiedzieć mu o wszystkim.

– Skąd wiem? – powtórzył, nie bardzo wiedząc, do czego zmierzam.

Napomknąłem mu o tym, co powiedziała Yvette. Słuchał mnie w zupełnym osłupieniu. W końcu przerwał mi:

– Daj sobie spokój – rzekł. – Wiem na pewno, że spodziewa się dziecka. Czuję nawet, jak ono kopie w środku. A Yvette to wycieruch, mama dziwka. Widzisz, nie chciałem ci o tym mówić, ale zanim poszedłem do szpitala, utrzymywałem także Yvette. Potem, gdy przyszła katastrofa, nie mogłem nic więcej dla niej zrobić. Doszedłem do wniosku, że uczyniłem dostatecznie dużo dla nich obu... Postanowiłem najpierw zająć się sobą. To wpieściło Yvette. Zapowiedziała Ginette, że jeszcze mi za to zapłaci... Nie, chciałbym, by to, co powiedziałaś, było prawdą. Łatwiej wówczas bym się z tego wyplątał. A tak jestem w pułapce. Obiecałem się z nią ożenić i będę musiał to zrobić. Nie wiem, co stanie się ze mną potem. Trzymają mnie za jaja.

Ponieważ zajął pokój w tym samym hotelu co ja, zmuszony byłem często ich spotykać, czy tego chciałem, czy nie. Prawie codziennie jadałem z nimi obiad, poprzedzony – rzecz jasna – kilkoma pernodami. Nieustannie i hałaśliwie się kłócili. Było to dla mnie żenujące, gdyż czasami musiałem opowiedzieć się za którąś ze stron. I tak na przykład pewnego niedzielnego popołudnia, po wspólnym lunchu, udaliśmy się do kawiarni na rogu boulevard Edgar-Quinet. Tym razem wszystko szło niezwykle gładko. Siedzieliśmy w środku przy małych stolikach zestawionych razem, plecami do lustra. Ginette musiała targać namiętność, albo coś w tym guście, bo nagle stała się ckliwa, pieściła go i całowała przy wszystkich, co tak łatwo przychodzi Francuzkom. Właśnie wypuściła go z objęć, kiedy Fillmore powiedział na temat jej rodziców coś, co ona uznała za zniewagę. Jej policzki natychmiast zapłonęły złością. Próbowaliśmy ją ułagodzić mówiąc, że źle zrozumiała tę uwagę, a potem Fillmore mruknął coś do mnie pod nosem po angielsku – coś, że trzeba ją trochę ugłaskać. To wystarczyło, by całkiem straciła panowanie nad sobą. Stwierdziła, że się z niej nabijamy. Powiedziałem jej coś ostrego, co jeszcze bardziej ją rozzłościło, a i Fillmore usiłował wtrącić słówko.

– Jesteś zbyt wybuchowa – oznajmił i zamierzał poklepać ją po policzku. Ona jednak, myśląc, że podniósł rękę, by dać jej w twarz, rąbnęła go w szczękę swoją wielką chłopską łapą. Przez chwilę był ogłuszony. Nie spodziewał się tak silnego ciosu, piekł go podbródek. Zauważyłem, jak zbladł, a po chwili wstał z ławy i otwartą dłonią tak jej przyłożył, że mało nie spadła z krzesła.

– Masz! To cię nauczy właściwego zachowania – powiedział swoją łamaną francuszczyzną. Przez chwilę panowała martwa cisza. Potem, tak jakby rozpetęła się burza, ona uniosła kieliszek po koniaku i cisnęła w niego z całej siły. Roztrzaskał się na lustrze za nami. Fillmore tymczasem złapał ją za ramię, ale wolną ręką chwyciła filiżankę i rozbiła ją na podłodze. Szamotała się jak wariatka. Jedyne, co zdołaliśmy zrobić, to ją przytrzymać. Wówczas nadbiegł właściciel i kazał nam się wynosić.

– Nieroby! – wyzywał.

– Tak, nieroby! Święta prawda! – wrzasnęła Ginette. – Parszywi cudzoziemcy! Zbiry! Gangsterzy! Uderzyć ciężarną kobietę!

Zewsząd padały na nas nieprzychylnie spojrzenia. Biedna Francuzka w towarzystwie dwóch amerykańskich bandytów. Gangsterów. Zacząłem się zastanawiać, jak, do diabła, uda się nam wyjść stąd bez bijatyki. W tej chwili Fillmore siedział już jak trusia. Ginette wyrywała tymczasem do drzwi, zostawiając nam cały pasztet. Już przy wyjściu odwróciła się i podnosząc pięść krzyknęła:

– Zapłacisz mi za to, bydlaku! Zobaczysz! Żadnemu przybłędzie nie wolno traktować w ten sposób porządnej francuskiej kobiety! O nie! Nie w ten sposób!

Słyszając to, właściciel, któremu zapłaciliśmy już za drinki i stłuczone szkło, poczuł się w obowiązku okazać rycerskość wobec tak wspaniałej przedstawicielki francuskiego macierzyństwa jak Ginette i niewiele się zastanawiając splunął nam pod nogi i wypchnął za drzwi.

– Sram na was, wy parszywe nieroby! – tak nas skomplementował czy jakoś podobnie.

Gdy znaleźliśmy się na ulicy i nikt niczym za nami nie rzucał, dostrzegłem humorystyczną stronę całego zdarzenia. Wspaniale byłoby, pomyślałem sobie, odpowiednio naświetlić całą sprawę i wywlec ją w sądzie. Całą sprawę! A historyjki Yvette podać na przystawkę. W końcu Francuzi mają poczucie humoru. Może sędzia, usłyszawszy wersję Fillmore'a, odpuściłby mu małżeństwo.

Tymczasem Ginette stała po drugiej stronie ulicy, wymachując pięścią i drąc się na całe gardło. Ludzie przystawali, by posłuchać i opowiedzieć się za którąś ze stron, jak to zwykle bywa podczas ulicznych awantur. Fillmore nie wiedział, co zrobić – zostawić ją tam czy podejść i spróbować uspokoić. Stał niezdecydowany na środku ulicy z wyciągniętymi rękoma, usiłując wtrącić coś do jej tyrady. A Ginette wciąż się wydzieriała:

– Gangster! Bydlę! *Tu verras, salaud!* – i tym podobne komplementy. W końcu Fillmore ruszył w jej stronę, a ona, myśląc zapewne, że ma zamiar znów jej przyłożyć, puściła się pędem w dół ulicy. Fillmore wrócił tam, gdzie stałem, i zaproponował:

– Chodź, pójdziemy spokojnie za nią. Ruszyliśmy, a za nami grupka maruderów. Od czasu do czasu ona odwracała się i wygrażała nam pięścią. Nie próbowaliśmy jej dogonić, po prostu niespiesznie szliśmy za nią ulicą, chcąc przekonać się, co zrobi. W końcu zwolniła kroku, a my przeszliśmy na drugą stronę. Trochę się już uspokoiła. Ciągłe szliśmy za nią, coraz bardziej się zbliżając. Za nami szedł już tylko jakiś tuzin ludzi, reszta straciła zainteresowanie. Kiedy doszliśmy do rogu, nagle zatrzymała się, czekając na nas.

– Pozwól, że ja będę mówił – powiedział Fillmore. – Wiem, jak z nią postępować.

Kiedy do niej podeszliśmy, po jej twarzy płynęły łzy. Jeżeli chodzi o mnie, nie wiedziałem, czego się po niej spodziewać. Byłem więc nieco zaskoczony, gdy Fillmore podeszedł do niej, mówiąc zboliałym głosem:

– Jak mogłaś tak postąpić? Dlaczego tak się zachowałeś?

Na co ona zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła łkać jak dziecko, nazywając go swoim malutkim tym i tamtym. Potem zwróciła się błagalnie do mnie.

– Widziałeś, jak mnie uderzył – powiedziała. – Czy tak powinno się traktować kobietę?

Już miałem powiedzieć „tak”, kiedy Fillmore wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić ulicą.

– Dość tego – stwierdził. – Jeśli znowu zaczniesz, przyłożę ci tu, na ulicy.

Myślałem, że awantura wybuchnie na nowo. Oczy jej błysnęły. Widocznie była jednak trochę przestraszona, ponieważ równie prędko zgasły. Gdy tylko usiadła w kawiarni, powiedziała spokojnie, ale z tonem zawziętości w głosie, aby nie myślał, że mu to tak szybko zapomni, jeszcze przyjdzie mu coś niecoś usłyszeć... może już wieczorem.

I naturalnie dotrzymała słowa. Spotkałem go nazajutrz z solidnie podrapaną twarzą i rękoma. Okazało się, że odczekała, aż on się położy, a wówczas, bez słowa, podeszła do szafy, wywaliła wszystkie jego rzeczy na podłogę, po czym brała jedną po drugiej i darła na strzępy. Ponieważ zdarzało się to już wielokrotnie i zawsze je potem zszywała, nawet zanadto nie protestował. To ją jeszcze bardziej rozwścieczyło. Chciała wbić weń pazury, co też uczyniła, najlepiej jak tylko umiała. To, że była w ciąży, dawało jej nad nim pewną przewagę.

Biedny Fillmore! Nie było mu do śmiechu. Sterroryzowała go zupełnie. Kiedy groził, że ucieknie, odpłacała mu ostrzeżeniem, że go zabije. I mówiła to takim tonem, jakby naprawdę miała zamiar to zrobić.

– Jeśli wyjedziesz do Ameryki – ostrzegła go – pojedę za tobą! Nie uciekniesz mi. Francuzki zawsze potrafią się zemścić.

A już po chwili przymilała się do niego prosząc, by był rozsądny, by był „*sage*”, itp. Życie będzie takie przyjemne, gdy już będą mieli ten swój sklepik papierniczy. Nie będzie musiał nawet kiwnąć palcem. Ona zajmie się wszystkim. Będzie mógł siedzieć na zapleczu i pisać, robić cokolwiek, na co mu przyjdzie ochota.

I tak to ciągnęło się przez kilka tygodni, raz w tę, raz w tamtą stronę niczym na huśtawce. Unikałem ich, jak tylko mogłem, dość miałem tej afery i ich obojga. Aż tu pewnego ładnego, słonecznego dnia, gdy mijałem *Crédit Lyonnais*, kogo widzę na schodach? Fillmore we własnej osobie. Powitałem go ciepło, czując się trochę winny, że tak długo go unikałem. Powodowany czymś więcej niż zwykłą ciekawością, zapytałem, jak się sprawy mają. Odpowiedział mi dość mętnie i z nutą rozpaczony w głosie.

– Właśnie otrzymałem pozwolenie na pójście do banku – powiedział dziwnym, załamany, pełnym rezygnacji tonem.

– Mam jakieś pół godziny, nie więcej. Ona mnie pilnuje.

I chwycił mnie za ramię, jakby chciał mnie stamtąd uprowadzić.

Poszliśmy w kierunku *rue de Rivoli*. Był piękny dzień, ciepły, jasny, słoneczny, jeden z tych, kiedy Paryż prezentuje się najlepiej. Wiał przyjemny, lekki wiaterek, dokładnie taki, jaki

usuwa zaduch z nozdrzy. Fillmore był bez kapelusza. Na pozór prezentował się jak okaz zdrowia, jak przeciętny amerykański turysta, szwendający się tu i tam, podzwaniając pieniędzmi w kieszeni.

– Zupełnie nie wiem, co robić – przyznał się cicho. – Musisz mi pomóc. Jestem bezradny. Nie mogę wziąć się w garść. Gdybym przynajmniej mógł jej czmychnąć na pewien czas, może wtedy jakoś bym się pozbierał. Ale ona nie spuszcza mnie z oka. Teraz pozwoliła mi tylko pobiec do banku i podjąć trochę pieniędzy. Przejdę się z tobą kawałek, a potem muszę pędzić z powrotem – będzie na mnie czekała z obiadem.

Słuchałem go spokojnie, myśląc przy tym, że naprawdę potrzebuje kogoś, kto wyciągnąłby go z tej trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Był zupełnie zrezygnowany, nie zostało mu za grosz odwagi. Przypominał dziecko, dziecko bite codziennie, które w końcu nie wie, jak się zachować; potrafi jedynie trząść się i kulić ze strachu. Kiedy skręciliśmy pod kolumnadę na rue de Rivoli, wygłosił długi pamflet przeciw Francuzom.

– Kiedyś miałem bzika na ich punkcie – stwierdził – ale to tylko literatura. Teraz ich znam... wiem, jacy są naprawdę. Są okrutni i sprzedajni. Z początku to się wydaje wspaniałe, masz poczucie, że jesteś wolny. Po jakimś czasie przejada ci się. Pod powierzchnią wszystko jest tu martwe; brak uczuć, brak współczucia, brak przyjaźni. Są do cna samolubni. To najwięksi egoiści na świecie. Myślą wyłącznie o pieniądzach. Nic, tylko pieniądze i jeszcze raz pieniądze! Co gorsza, są tacy cholernie przyzwoici, tacy mieszczańscy. To właśnie doprowadza mnie do szału. Kiedy widzę, jak ona ceruje mi koszule, mógłbym ją zabić. W kółko ceruje i ceruje. Oszczędza i oszczędza. *Faut faire des économies!* Powtarza to przez cały dzień. Słyszysz się to wszędzie. *Sois raisonnable, mon chéri! Sois raisonnable!* Nie chcę być rozsądny i logiczny. Nie znoszę tego! Chcę się wyrwać na wolność, chcę cieszyć się życiem. Chcę coś robić, a nie przesiadywać w kawiarni i przez cały dzień mleć ozorem. Jezu, nie jesteśmy bez wad, ale mamy przynajmniej entuzjazm. Lepiej popełniać błędy niż nic nie robić. Wolałbym być żebrakiem w Ameryce niż tu żyć jak pan. Może to dlatego, że jestem Jankesem. Urodziłem się w Nowej Anglii: tam jest chyba moje miejsce. Nie można w jeden dzień stać się Europejczykiem. Masz we krwi coś takiego, co czyni cię innym. To klimat – i cała reszta. Wszystko widzimy inaczej. Nie możemy się przerobić na ich kopyto, choćbyśmy nie wiem jak podziwiali Francuzów. Jesteśmy Amerykanami i musimy nimi pozostać. Jasne, że nienawidzę tych purytańskich kutasów tam w kraju – szczerze ich nienawidzę. Ale jestem jednym z nich. Tu nie ma dla mnie miejsca. Mam tego dość.

Idąc wzdłuż arkad cały czas perorował w tym stylu. Nie powiedziałem ani słowa. Pozwoliłem, by wyrzucił to z siebie – wiedziałem, że dobrze mu zrobi pozbycie się tego ciężaru. Mimo to, pomyślałem sobie, jakie to dziwne, że jeszcze rok temu ten sam facet waliłby się w piersi jak goryl i powtarzał: „Cóż za przepiękny dzień! Cóż za piękny kraj! Jacyż wspaniali ludzie!”. A gdyby napatoczył się jakiś Amerykanin i powiedział na Francję choć jedno złe słowo, Fillmore rozkwaśiłby mu nos. Nie dalej niż rok temu byłby gotów oddać życie za Francję. Nigdy nie widziałem nikogo tak rozkochanego w jakimś kraju, równie szczęśliwego pod obcym niebem. Było w tym coś nienaturalnego. Kiedy mówił Francja, rozumiał przez to wino, kobiety, pieniądze w kieszeni, łatwo przyszło, łatwo poszło. Oznaczało to, że można być niefrasobliwym chłopcem, oznaczało to wakacje. A potem, gdy już się wyszumiał, kiedy zdmuchnęło kopułę namiotu i mógł dobrze przyjrzeć się niebu, dostrzegł, że to nie cyrk, ale arena odwiecznych igrzysk, cholernie ponurych, tak jak wszędzie. Często zastanawiałem się, słysząc, jak entuzjazmuje się Francją, wolnością i innymi duperelami, jak zareagowałby na to francuski robotnik, gdyby rozumiał słowa Fillmore’a. Nic dziwnego, że uważają nas za stukniętych. W ich oczach jesteśmy wariatami. Stanowimy po prostu bandę dzieciaków, zdiecinniałych, zidiociałych staruszków. To, co nazywamy życiem, jest tanim romansem. Czymże jest entuzjazm, który nosimy w środku? Ten łatwy optymizm, od którego każdemu normalnemu Europejczykowi wywracają się

bebechy – to iluzja. Nie, to zbyt dobre słowo. Iluzja coś jednak znaczy. Nie, to nie to – to ułuda. Czysta ułuda, ot co. Jesteśmy jak stado dzikich koni z klapkami na oczach, zupełnie oszalałych, pędzących tabunem w panicznym strachu. Przeskakujemy nad przepaścią. Hop! Kochamy wszystko, co jest pożywką dla przemocy i chaosu. Naprzód! Naprzód! Nieważne dokąd. Przez cały czas z pianą na pysku. Krzyczymy: alleluja! Alleluja! Dlaczego? Bóg jeden raczy wiedzieć. Mamy to już we krwi. To z powodu klimatu. I mnóstwa innych rzeczy, W ostateczności chodzi też o finał. Cały świat ściągamy w dół do naszego poziomu. Nie wiemy, dlaczego. To nasze przeznaczenie. Cała reszta to zwykłe gówno...

Przy Palais Royal zaproponowałem, byśmy wstąpili czegoś się napić. Zawahał się. Widziałem, jak się martwił, co ona na to powie, co będzie z obiadem i jak obawia się, że po powrocie zostanie zwymyślany.

– Na litość boską – powiedziałem – zapomnij o niej choć przez chwilę. Zamówię coś do picia i chcę, byś to wypił. Nie martw się. Wydostanę cię z tego pieprzonego szamba.

Zamówiłem dwie duże whisky.

Kiedy zobaczył, jak je nam niosą, uśmiechnął się do mnie zupełnie jak dziecko.

– Wypij – zachęciłem go – i napijmy się jeszcze. Dobrze ci to zrobi. Nie obchodzi mnie, co mówią lekarze – tym razem wyjdzie ci to na zdrowie. No, pij!

Nieźle mu poszło. Kiedy *garçon* zniknął, by przynieść następną kolejkę, popatrzył na mnie oczyma pełnymi łez, jakbym był jego ostatnim przyjacielem na świecie. Nawet drżały mu trochę wargi. Chciał mi coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Spojrzałem na niego pogodnie, jakbym ignorował tę niemą prośbę, po czym odsuwając na bok spodeczki, oparłem się na łokciach i przemówiłem do niego z całą powagą:

– Słuchaj, Fillmore, co chciałbyś robić tak naprawdę? Powiedz mi.

Wówczas z oczu popłynęły mu łzy i wyrzucił z siebie:

– Chciałbym znaleźć się w kraju, wśród swoich. Chciałbym słyszeć wokół siebie język angielski.

Łzy nadal spływały mu po twarzy. Nie próbował ich otrzeć. Pozwolił, by wszystko wylało się z niego jednym strumieniem. Boże, pomyślałem sobie, dobrze jest tak sobie ulżyć. Dobrze choć raz w życiu być kompletnym tchórzem. Dać taki upust bóleści. Wspaniałe! Fantastyczne! Widok jego załamania pokrzepił mnie tak dalece, że nagle poczułem się zdolny rozwikłać każdy problem. Wezbrała we mnie odwaga i stanowczość. Tysiąc pomysłów naraz cisnęło mi się do głowy.

– Słuchaj – powiedziałem, pochylając się ku niemu jeszcze bardziej – jeśli naprawdę tego pragniesz, dlaczego tego nie zrobisz, dlaczego nie wyjedziesz? Wiesz, jak postąpiłbym na twoim miejscu? Wyjechałbym jeszcze dziś. Tak, na Boga, naprawdę... Wyjechałbym od razu, nie mówiąc jej nawet „do widzenia”. Zresztą, w gruncie rzeczy, tylko tak możesz to zrobić – ona nigdy nie pozwoliłaby ci powiedzieć „do widzenia”. Dobrze o tym wiesz.

Garçon przyniósł whisky. Zobaczyłem, jak Fillmore z rozpaczliwą ochotą sięga po szklaneczkę i podnosi ją do ust. Ujrzałem w jego oczach iskierkę nadziei – odległej, szalonej, rozpaczliwej. Zapewne widział siebie płynącego wpław przez Atlantyk. Mnie wydawało się to dziecinnie proste. Wszystko układało mi się w głowie. Widziałem, jak będzie wyglądało każde posunięcie. Umysł miałem przenikliwy jak dźwięk dzwonu.

– Czyje są te pieniądze w banku? – spytałem. – Twoje czyjej ojca?

– Moje! – wykrzyknął. – Dostałem je od matki. Nie chcę ich cholernych pieniędzy.

– To świetnie! – powiedziałem. – Co byś powiedział, gdybyśmy złapali taksówkę i wrócili do banku. Podejmij wszystko co do centa. Potem pojedziemy do Konsulatu Brytyjskiego załatwić wizę. Wskoczysz w popołudniowy pociąg i do Londynu. Tam wsiądziesz na pierwszy statek do Ameryki. Tak będzie lepiej, bo nie będziesz musiał się martwić, że ona zacznie cię ściagać. Nigdy nie wpadnie na to, że pojechałeś przez Londyn. Jeśli zacznie cię szukać, to naturalnie pojedzie najpierw do Hawru lub Cherbourg... i jeszcze jedno – nie

wracaj po swoje rzeczy. Zostaw wszystko. Niech sobie mają. Z tą ich francuską mentalnością nigdy nie przyjdzie im do głowy, że zwiałeś bez torby, bez bagażu. To niesamowite. Francuz nigdy nie wpadłby na coś podobnego... chyba że miałby takiego fioła jak ty.

– Masz rację – przytaknął ożywiony. – Nigdy o tym nie pomyślałem. Zresztą możesz mi je później przysłać, jeśli ona odda. Ale to w tej chwili bez znaczenia. Boże, przecież nie mam nawet kapelusza!

– Po co ci kapelusz? Kiedy znajdziesz się w Londynie, kupisz sobie wszystko, co ci będzie potrzebne. Teraz najważniejszy jest pośpiech. Musimy się dowiedzieć, kiedy odchodzi pociąg.

– Słuchaj – powiedział, sięgając po portfel. – Zdaję się na ciebie w zupełności. Masz, weź to i rób, co trzeba. Jestem zbyt osłabiony. W głowie mi się kręci.

Wziąłem portfel i wyjąłem banknoty dopiero co podjęte z konta. Taksówka stała przy krawężniku. Wskoczyliśmy do środka. Jakiś pociąg odchodził z Gare du Nord o szesnastej, czy coś koło tego. Usiłowałem to dobrze przemyśleć – bank, konsulat, biuro American Express, dworzec. W porządku! Powinniśmy zdążyć.

– A teraz głowa do góry! – powiedziałem. – Tylko spokojnie! Kurwa! Za kilka godzin będziesz płynął przez kanał. Dziś wieczorem będziesz łąził po Londynie i nasłuchasz się angielskiego, ile wlezie. A jutro znajdziesz się na otwartym morzu, a wtedy – na Boga, jesteś wolnym człowiekiem i chuj cię obchodzi, co się tutaj stanie. Gdy dopłyniesz do Nowego Jorku, wszystko, co było, wyda ci się tylko koszmarnym snem.

Był tak podekscytowany, że konwulsyjnie zaczęły mu podrygiwać stopy, jakby próbował biec w taksówce. W banku tak drżała mu ręka, że ledwo mógł się podpisać. A tego jednego właśnie nie mogłem zrobić za niego – podpisać się. Ale myślę, że gdyby okazało się konieczne, to mógłbym go wysadzić i podetrzeć mu tyłek. Byłem zdecydowany wyprawić go stąd, nawet gdybym musiał go poskładać i zapakować do walizki.

Dotarliśmy do Konsulatu Brytyjskiego akurat w przerwie na lunch i wszystko było zamknięte. Oznaczało to, że musimy poczekać do drugiej. Nie przychodziło mi do głowy nic lepszego, jak zjeść coś dla zabicia czasu. Fillmore, rzecz jasna, nie był głodny. Miał ochotę na kanapkę.

– Pierdołę twoją kanapkę – stwierdziłem. – Postawisz mi dobry lunch. To ostatni normalny posiłek, jaki tutaj zjesz – może na długo.

Zaprowadziłem go do przytulnej restauracyjki i zamówiłem niezłą wyzerkę. Zadysponowałem najlepsze wino, jakie mieli w menu, nie zważając na cenę i smak. Miałem w kieszeni wszystkie jego pieniądze – jak mi się wydawało, całą górę. Z pewnością nigdy przedtem nie miałem tyle forsy w garści. Jakaż rozkoszą było rozmienić banknot tysiącfrankowy! Obejrzałem go najpierw pod światło, by dobrze się przyjrzeć pięknemu znakowi wodnemu. Śliczne pieniądze! Jedna z niewielu rzeczy, jakie Francuzi robią z prawdziwym rozmachem. Nie brak im przy tym artystycznego zacięcia, jakby żywili głębokie uczucie nawet do symbolu.

Po obiedzie poszliśmy do kawiarni. Do kawy zamówiłem chartreuse. Czemu nie? I rozmieniłem kolejny banknot – tym razem pięćsetkę: czyściutką, nową, szeleszczącą. Przyjemnie mieć do czynienia z takimi pieniędzmi. Kelner wydał mi plik starych, brudnych banknotów, połatanych gumowanym papierem; miałem istny stos pięć i dziesięciofrankówek i cały worek bilonu. Chińskie pieniądze, z dziurką. Nie wiedziałem już, gdzie je ładować. Kieszenie spodni pękały mi w szwach. Czułem się trochę nieswojo, wyciągając całą tę forszę w miejscu publicznym. Bałem się, że wezmą nas za złodziei.

Kiedy dotarliśmy do biura American Express, nie było już wiele czasu do stracenia. Anglicy, te flegmatyczne pierdoły, oczywiście kazali nam czekać, a więc siedzieliśmy jak na szpilkach. W banku dla odmiany każdy poruszał się jakby na wrotkach. Byli tak szybcy, że wszystko musieli robić jeszcze raz. Po podpisaniu wszystkich czeków i wpięciu ich w ładne

etui odkryto, że podpis figuruje w niewłaściwym miejscu. Nie pozostawało nic innego, jak zacząć od początku. Stałem nad Fillmore'em, jednym okiem zerkając na zegar, drugim śledząc każde pociągnięcie jego pióra. Bolesne było rozstanie się z tą forszą. Niecałą wprawdzie – Bogu dzięki – ale ze sporą jej częścią. Miałem w kieszeni około dwa i pół tysiąca franków. Około – powtarzam. Drobne już się nie liczyły. Setka czy dwie mniej lub więcej – jakież to ma znaczenie! Jeżeli chodzi o niego, całą transakcję przeżył jak w transie. Nie wiedział, ile ma pieniędzy. Wiedział jedynie, że musi coś odłożyć dla Ginette. Nie był jeszcze pewien, ile – mieliśmy to ustalić w drodze na stację.

W całym tym zamieszaniu zapomnieliśmy wymienić wszystkie pieniądze. Siedzieliśmy już jednak w taksówce i nie było czasu do stracenia. Musieliśmy sprawdzić, ile tego jest. Pospiesznie opróżniliśmy kieszenie i zaczęliśmy rozkładać na kupki. Część leżała na podłodze, część na siedzeniu. Nie mogłem oprzeć się zdumieniu. Były tam pieniądze francuskie, amerykańskie, angielskie. Do tego ten bilon. Miałem chęć złapać monety i wołając: cip! cip! wyrzucić je przez okno tylko dlatego, żeby uprościć sprawę. W końcu wszystko podzieliliśmy; on zatrzymał pieniądze angielskie i amerykańskie, ja – francuskie.

Musieliśmy teraz szybko postanowić, co zrobić z Ginette – ile jej dać, co powiedzieć itp. Usiłowałem wymyślić bajeczkę, którą powinienem jej wcisnąć – że nie chce łamać jej serca, itepe. Zmuszony byłem mu przerwać.

– Mniejsza z tym, co jej powiem – oznajmiłem. – Zostaw to mnie. Ile chcesz jej *dać*, o to chodzi. A w ogóle po co jej coś dawać?

To było tak, jakby pod siedzeniem wybuchła mu bomba. Rozpłakał się. I to jak! Jeszcze gorzej niż przedtem. Myślałem, że zemdleje mi na rękach. Powiedziałem więc bez zastanowienia:

– Dobrze, dajmy jej wszystkie francuskie pieniądze. Na jakiś czas powinno jej wystarczyć.

– Ile tego jest? – zapytał słabym głosem.

– Nie wiem, jakieś dwa tysiące franków, coś koło tego. I tak więcej, niż jej się należy.

– Chryste! Nie mów tak – błagał. – W końcu paskudnie robię ją w konia. Starzy nigdy nie przyjmą jej z powrotem. Nie, daj jej wszystko. Daj jej cały ten cholerny interes, bez względu na to, ile tego jest.

Wyjął chusteczkę, by obetrzeć łzy.

– Nic na to nie poradzę – przyznał. – To więcej, niż mogę znieść.

Nie zdobyłem się na odpowiedź. Nagle padł na ziemię – myślałem, że ma jakiś atak czy co – i jęknął:

– Jezu, myślę, że powinienem Wrócić. Powinienem wrócić i wypić to piwo, którego nawarzyłem. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś się jej stało.

Poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. – Chryste! – wykrzyknąłem – nie wolno ci tego zrobić! Nie teraz. Za późno. Wsiądziesz do tego pociągu – już ja się o to postaram. Pójdę się z nią zobaczyć zaraz po twoim wyjeździe. Kretynie, gdyby kiedyś zwęszyła, że próbowałaś od niej uciec, zamordowałyby cię, nie rozumiesz tego? Już nie masz odwrotu. Załatwione.

Zresztą co może się stać? – zapytałem sam siebie. Zabije się? *Tant mieux*.

Kiedy podjechaliśmy na dworzec, mieliśmy jeszcze około dwudziestu minut, które należało jakoś zabić. Nie miałem dość odwagi, by się z nim od razu pożegnać. Ktoś tak roztrzęsiony jak on mógł w ostatniej chwili wyskoczyć z pociągu i popędzić do niej. Byle drobiazg mógł go odwieść od podjętej decyzji. Lada głupstwo. Zaciągnąłem go więc do baru naprzeciwko dworca i powiedziałem:

– Wypijesz teraz pernoda – swego ostatniego pernoda, i ja ci go postawię... za twoje pieniądze.

Coś ze sposobu, w jaki to powiedziałem, zaniepokoiło go. Pociągnął spory łyk i wtedy, odwracając się ku mnie jak zraniony pies, rzekł:

– Wiem, że nie powinienem zaufać ci na tyle, by powierzyć ci te wszystkie pieniądze, ale... ale... Zresztą zrobisz to, co uznasz za najlepsze. Nie chcę, by popełniła samobójstwo, to wszystko.

– Samobójstwo? – spytałem. – Nie ona. Musisz mieć o sobie diabelnie wysokie mniemanie, skoro wierzysz w coś takiego. A jeśli chodzi o pieniądze, to choć nie mam ochoty ich jej dawać, obiecuję ci, że pójde prosto na pocztę i wyślę je telegraficznie. Nie ufam sobie na tyle, by mieć je przez chwilę dłużej, niż to konieczne.

Mówiąc to dostrzegłem kilka pocztówek na obrotowym stojaku. Złapałem jedną – była na niej wieża Eiffla – i kazałem mu napisać parę słów.

– Napisz, że za chwilę wypływasz. Dodaj, że ją kochasz, i że sprowadzisz ją zaraz po przyjeździe do Stanów... Wyślę to jak najszybciej, pocztą pneumatyczną. I spotkam się z nią wieczorem. Wszystko będzie na medal – zobaczysz.

Z tymi słowami przeszliśmy przez ulicę, kierując się na dworzec. Pozostały dwie minuty. Poczujęm, że teraz można go już bezpiecznie zostawić samego. Przy wejściu na peron klepnąłem go w plecy i wskazałem pociąg. Nie uścisnąłem mu nawet dłoni – obśliniłby mnie całego. Powiedziałem tylko:

– Pośpiesz się! Odjeżdża za minutę.

Po czym odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Nie obejrzałem się nawet, by zobaczyć, czy wsiada do pociągu. Za bardzo się bałem.

Przez cały czas, gdy go tak wyprawiałem, nie myślałem wcale, co zrobię, kiedy się już od niego uwolnię. Obiecałem mu wiele – ale tylko po to, by siedział cicho. Jeżeli chodzi o konfrontację z Ginette, miałem tyleż odwagi co on. Wpadłem w panikę. Wszystko odbyło się tak nagle, że nie mogłem w pełni ocenić sytuacji. Odchodziłem ze stacji cudownie zamroczony – z pocztówką w ręku. Oparłem się o latarnię i przeczytałem ją ponownie. Bez sensu. Przeczytałem raz jeszcze, by sprawdzić, czy nie śnię, po czym podarłem i wrzuciłem do rynsztoka.

Rozejrzałem się niespokojnie, jakbym spodziewał się zobaczyć Ginette z tomahawkiem w ręku. Nikt jednak za mną nie szedł. Zacząłem spacerkiem iść w kierunku Place Lafayette. Był piękny dzień, jak wspomniałem wcześniej. Nad głową lekkie kłębiaste chmurki żeglowały z wiatrem. Łopotały markizy. Paryż nigdy nie wyglądał w moich oczach tak dobrze, było mi niemal przykro, że wyprawilem stąd tego biednego kutasa. Na Place Lafayette usiadłem twarzą do kościoła i spojrzałem na wieżę zegarową; nie jest ona jakimś arcydziełem architektury, ale ów błękit zegarowej tarczy zawsze mnie fascynował. Dziś był jeszcze głębszy. Nie mogłem oderwać od niego oczu.

Jeżeli Fillmore nie będzie na tyle szalony, by napisać do niej list z wyjaśnieniami, Ginette może nigdy nie dowiedzieć się, co zaszło. A nawet gdyby do niej dotarło, że zostawił jej coś około dwóch tysięcy pięciuset franków, nie będzie w stanie tego udowodnić. Zawsze mogę powiedzieć, że sobie to ubzdurał. Facet na tyle zbzikowany, by odejść nie zabrawszy nawet kapelusza, mógł być równie szalony, by wymyślić dwa tysiące pięćset franków, czy ile tam tego było. Właśnie, ile tego było – zacząłem się zastanawiać. Moje kieszenie urywały się od ciężaru pieniędzy. Wyciągnąłem je i starannie przeliczyłem. Było dokładnie dwa tysiące osiemset siedemdziesiąt pięć franków i trzydzieści pięć centymów. Więcej, niż przypuszczałem. Trzeba się było pozbyć siedemdziesięciu pięciu franków i trzydziestu pięciu centymów – chciałem mieć okrągłą sumę. Właśnie w tej chwili spostrzegłem taksówkę zatrzymującą się przy krawężniku. Wsiadła z niej kobieta z białym pudelkiem na ręku; pies sikał na jej jedwabną suknię. Pomysł zabierania psa na przejażdżkę rozeźlił mnie. Jestem równie dobry jak jej pies, powiedziałem sobie, po czym kiwnąłem na taksówkarza i kazałem się przewieźć po Bois. Zapytał, dokąd dokładnie chce jechać.

– Byle gdzie – odrzekłem. – Niech pan jedzie przez Bois, okrąży go – i proszę jechać wolno, nie spieszy mi się. Oparłem się wygodnie i spoglądałem na mijane ze świstem domy, postrzępione dachy, kominy, kolorowe mury, toalety, zataczające się *carrefours*. Gdy mijaliśmy Rond-Point, pomyślałem, że pójdę wysikać się na dół. Nie wiadomo, co może mi się przytrafić. Kazałem kierowcy poczekać. Pierwszy raz w życiu taksówka czekała na mnie, gdy się odlewałem. Ile pieniędzy można przepuścić w ten sposób? Niewiele. Z tym, co miałem w kieszeni, mogłem sobie pozwolić, by czekały na mnie dwie taksówki.

Rozejrzałem się wokół, ale nie dostrzegłem nic godnego uwagi. Pragnąłem czegoś świeżego i nie używanego – czegoś z Alaski albo z Wysp Dziewiczych. Czystego, świeżego ciałka o naturalnym zapachu. Co tu gadać, nie było tam nic takiego. Nie byłem zanadto zawiedziony. Chuj mnie obchodziło, czy znajdę kogoś takiego. Rzecz w tym, by nigdy nie robić tego na siłę. Na wszystko przyjdzie czas.

Minęliśmy Łuk Triumfalny. Grupa turystów kręciła się bez celu przy szczytkach Nieznanego Żołnierza. Jadąc przez Bois patrzyłem na wszystkie te bogate dupy wożące się swoimi limuzynami. Przejeżdżały pędem, jak gdyby dokądś zmierzały. Robiły to niewątpliwie, by dodać sobie znaczenia, by pokazać światu, jak gładko chodzą ich rolls-royce'y i hispano suizy. W moim wnętrzu wszystko chodziło bardziej gładko niż jakikolwiek rolls-royce. Byłem w środku jak aksamit. Aksamitna kora mózgowa, aksamitne kręgi. I aksamitny smar do osi, a co! Cudownie jest choć przez pół godziny mieć w kieszeni pieniądze i przesrywać je niby jakiś pijany marynarz. Czujesz się, jakby świat należał do ciebie. A najlepsze jest to, że nie wiesz, co z nimi zrobić. Możesz rozwalić się na siedzeniu i pozwolić, by licznik bił jak wściekły. Możesz zezwolić, by wiatr rozwiewał ci włosy, możesz zatrzymać się na drinka albo pozwolić sobie na duży napiwek. Stać cię na taką dawkę pewności siebie, jakby coś takiego zdarzało ci się codziennie. Ale nie możesz wywołać rewolucji. Nie możesz wypłukać całego brudu z bebeczków.

Kiedy dojechaliśmy do Porte d'Auteuil, kazałem skierować się ku Sekwanie. Przy moście Sèvres wysiadłem i zacząłem iść wzdłuż rzeki, w kierunku wiaduktu Auteuil. Sekwana w tym miejscu ma mniej więcej szerokość strumienia, a drzewa podchodzą do samego brzegu. Woda była zielona, szklista, zwłaszcza przy przeciwnym brzegu. Od czasu do czasu przepłynęła pyrkocząc jakaś łódź. Plażowicze w obcisłych strojach opalali się stojąc w trawie. Wszystko wokół było rozgrzane, pulsujące, rozedrgane od silnego światła.

Przechodząc koło ogródkowej piwiarni zobaczyłem grupkę cyklistów siedzących przy stoliku. Zająłem miejsce w pobliżu i zamówiłem *demi*. Słuchając ich paplaniny pomyślałem przez chwilę o Ginette. Ujrzałem, jak nerwowo biega z kąta w kąt, wyrывая sobie włosy z głowy, jak szłocha i beczy, w ten właściwy sobie zwierzęcy sposób. Ujrzałem na wieszaku jego kapelusz. Zacząłem się zastanawiać, czy pasowałyby na mnie jego ubrania. Miał jeden raglan, który szczególnie lubiłem. Cóż, teraz był już w drodze. Jeszcze trochę i pod stopami poczuje kołysanie statku. Angielski! Chciał posłuchać angielskiego. Co za pomysł! Nagle przyszło mi do głowy, że gdybym zechciał, także mógłbym wrócić do Ameryki. Po raz pierwszy pomyślałem o czymś takim. Zapytałem sam siebie – chcesz jechać? Nie było żadnej odpowiedzi. Moje myśli pobiegły w kierunku morza, w stronę drugiego brzegu, gdzie – oglądając się za siebie po raz ostatni – widziałem drapacze chmur niknące w wirujących płatkach śniegu. Ponownie ujrzałem, jak wynurzają się ogromne i groźne, równie upiorne jak wówczas, gdy stamtąd odpływałem. Zobaczyłem światła biegnące w górę między ich żebrami. Ujrzałem jak na dłoni całe miasto, od Harlemu po Battery, ulice zalane morzem mrówek, rozpedzoną kolejkę naziemną, pustoszejące kina. Pomyślałem nieco mgliście: co też dzieje się z moją żoną.

Gdy wszystko przemyślałem, opanował mnie wielki spokój. Tutaj, gdzie rzeka łagodnie wije się przez pierścień wzgórz, leży ziemia tak nasiąknięta przeszłością, że jak daleko sięgnąć myślą wstecz, nie sposób uwolnić się od tego dziedzictwa stanowiącego historię

ludzkości. Chryste, przed oczyma zalśnił mi taki złocisty spokój, że tylko neurotyk mógłby wpaść na pomysł, by odwrócić głowę. Sekwana płynie tak dyskretnie, że ledwie odczuwam jej obecność. Jest tu zawsze – cicha i nie rzucająca się w oczy, niczym wielka arteria biegnąca przez ciało człowieka. W tym cudownym nastroju, który mnie ogarnął, miałem poczucie, że wspiąłem się na szczyt wysokiej góry; przez jakiś czas będę mógł rozglądać się dokoła, chłonąc sens krajobrazu.

Ludzie stanowią dziwną faunę i florę. Z daleka wydają się tak bardzo nieistotni; z bliska muszą się wydać szpetni i małostkowi. Tym, czego najbardziej potrzebują, jest dostatecznie dużo przestrzeni – przestrzeni trzeba im bardziej nawet niż czasu.

Słońce zachodzi. Czuję, jak rzeka przepływa przeze mnie – jej przeszłość, jej wiekowa ziemia, zmieniający się klimat. Wzgórza łagodnie okalają ją pierścieniem: jej bieg jest ustalony.

POSŁOWIE

Akwaforta Paula Klee *Bohater ze skrzydłem* przedstawia człowieka w pułapce świata: o jednym skrzydle, wrośnięty jedną nogą w ziemię, nie może wzbić się w powietrze. Tak widział kondycję ludzką artysta na początku naszego wieku, jeszcze przed bezsensowną rzezią I wojny światowej i zagrożeniem o wiele poważniejszym, jakie niosły z sobą lata trzydzieste i czterdzieste. Ten sam malarz uznał w 1924 roku artystę za filozofa, którego misją powinno być tworzenie nowej rzeczywistości, odmiennej od świata zastanego.

Cóż to wszystko ma wspólnego z Henrym Millerem? Słowa błakające się na jego ustach to anarchia, nuda, smutek, frustracja, daremność, *graviora manent*, rak i delirium, ale także euforia, uśmiech, przesłany nad otchłanią, grube, ciężkie podwiązki, miękkie, pełne uda, triumf muzyki, gaje pomarańczowe, cyprysy, szafirowe niebo – błogosławieństwo połączone z agonią.

Płynąc za pożyczone pieniądze z USA do Francji w 1928 roku i mieszkając tam następnie przez dziesięć lat Miller spóźnił się na „ruchome święto” w mieście zwanym *gai Paris* przez takich jego rówieśników, jak Hemingway, Dos Passos i Fitzgerald; zamiast niego czekała go tam włóczega o pustym żołądku, z głodem w sercu. Częściowo wyjaśnia to, dlaczego jego wizja różni się znacznie od tej, którą znajdujemy w utworach jego bardziej popularnych kolegów.

Pisząc w wieku 40 lat swą pierwszą powieść, *Zwrotnik Raka*, autor stawiał sobie ambitny cel: pragnął ująć w niej to, co literatura zwykle przemilcza, stworzyć dzieło, które „wysadzi świat”. Tymczasem, jak słusznie zauważa polski poeta współczesny, świat wciąż istnieje. Wydana nakładem paryskiej oficyny Obelisk w roku 1934 książka od razu przyniosła Millerowi skandaliczny rozgłos, ale na publikację w jego rodzinnym kraju oraz w Anglii musiała czekać prawie 30 lat.

Przez te wszystkie lata istniała życiem utajonym, półlegalnym. Uważana za książkę znaczącą, jeśli nie wybitną, przez pisarzy tej miary co T.S. Eliot, Ezra Pound, William Carlos Williams, George Orwell, Blaise Cendrars, Lawrence Durrell i Anais Nin, pozostawała nie znana ogółowi czytelników amerykańskich; przemycana do ojczyzny autora nie stała się częścią literatury światowej; zaklasyfikowana niczym powieści fikcyjnego Kilgore’a Trouta jako pornografia, nie wprowadziła jej autora w główny nurt literatury amerykańskiej. Publikacja *Zwrotnika Raka* w USA (1961 r.), do czego potrzebna była aż decyzja Sądu Najwyższego, niewiele tę paradoksalną sytuację zmieniła. Czyżbyśmy mieli do czynienia z fiaskiem?

Odpowiedź na to pytanie zależy od przyjętej skali wartości, a więc od każdego czytelnika z osobna. W ciągu trzydziestu lat od swego debiutu Miller napisał ponad dziesięć książek; sukces komercyjny niektórych z nich był olbrzymi i pisarz nie musiał już martwić się o byt materialny. Pozwoliło mu to osiedlić się w jednym z piękniejszych zakątków swego pięknego kraju, Big Sur w Kalifornii, gdzie wciąż ponawiał próbę założenia szczęśliwej rodziny (był pięciokrotnie żonaty); czasy rozpaczliwych próśb o wsparcie oraz tułaczki po Europie i kraju rodzinnym należały już do przeszłości. Otoczony legendą „pornografa” pisarz przyciągał rosnące rzesze wielbicieli nie tyle jego talentu, ile legendy właśnie, by stać się niemal przedmiotem kultu i przyjąć rolę „guru”, wypowiadającego nie zawsze spójne opinie. Mógł wreszcie oddawać się swobodnej twórczości, którą zawsze stawiał sobie za cel, ale już właściwie w latach sześćdziesiątych literatura ustąpiła w jego życiu miejsca akwarelom.

Spóźniona popularność Millera miała swoją cenę. Czytelnicy skupili uwagę na jednym, nie najważniejszym aspekcie jego twórczości: niecenzuralnym słownictwie i naturalistycznych opisach aktu płciowego, dzieląc się na oburzonych i zachwyconych tą właśnie stroną jego utworów. Paradoks jako istota życia, tak trafnie uchwycony przez Millera już w *Zwrotniku Raka*, przejawia się także w odbiorze jego innych najważniejszych powieści: *Czarnej wiosny*, *Zwrotnika Koziorożca* i trylogii *Różoukrzyżowanie* – z jednej strony mamy zagorzałych, choć czasami bezkrytycznych entuzjastów jego talentu, z drugiej interpretacje fragmentowe, wynurzenia psychoanalityków, ataki feministek. Przyjrzyjmy się niektórym z tych wypowiedzi.

Lawrence Durrell: „*Zwrotnik Raka* umieściłbym obok *Moby Dicka*... Dzisiejsza literatura amerykańska zaczyna się i kończy na dokonaniach Millera”.

Anais Nin, przyjaciółka pisarza, pisała we wstępie do pierwszego wydania powieści: „Oto książka, która – o ile to jeszcze możliwe – potrafi nam przywrócić apetyt na elementarne realia życia... Potrzebna nam transfuzja krwi. Ta krew i to ciało dane są nam właśnie tu. Alkohol, jedzenie, śmiech, pożądanie, namiętność, ciekawość – te najprostsze przejawy naszej egzystencji stanowią pokarm, z którego czerpią soki korzenie naszych największych i najbardziej ulotnych tworów”.

George Orwell: „Jeśli chodzi o pisarza, siedzi on na topniejącej górze lodowej; jest tylko anachronizmem, pozostałością epoki burżuazyjnej, skazanym na zagładę jak hipopotam. Miller wydaje mi się człowiekiem niezwykłym, ponieważ dostrzegł i obwieścił ten fakt na długo przed większością jego współczesnych [...]. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z jedynym obdarzonym wyobraźnią prozaikiem, jaki w ostatnich paru latach pojawił się wśród ludów anglojęzycznych. Jeśli nawet ktoś potraktuje to stwierdzenie jako przesadzone, przyzna prawdopodobnie, że Miller jest pisarzem nieprzeciętnym, zasługującym nie tylko na pobiczny rzut oka; a przecież jest pisarzem zupełnie negatywnym, niekonstruktywnym, amoralnym, zaledwie Jonaszem biernie akceptującym zło, czymś w rodzaju Whitmana pośród trupów”.

Co do feministek, dla których Miller stał się ulubionym chłopcem do bicia, to trudno z nimi polemizować – jak z każdym, komu przyjęta ideologia wydaje się prawdą jedyną i niemal objawioną. Polemikę dodatkowo utrudnia psychoanalityczny żargon, który może być nośnikiem dogmatu, ale rzadko sprawdza się jako narzędzie opisu świata. Ogólnie mówiąc, feministki zarzucają mu (nie bez racji zresztą), że sprowadza kobietę do roli zwierzątka, a właściwie narządu seksualnego. Jednym słowem, autor *Zwrotnika Raka* jest dla nich typowym *male chauvinist pig*, co Sławomir Mrożek z właściwym sobie wdziękiem przetłumaczył kiedyś na „zwolennika supremacji mężczyzn”. Oddajmy jednak głos Kate Millet, czołowej przedstawicielce „wojującego feminizmu”: „Miller to kompendium amerykańskich nerwic seksualnych; jego wartość nie polega na uwolnieniu nas od tych schorzeń, ale na uczciwości, z jaką je wyraził i udratyzował”.

Dziś, gdy od publikacji *Zwrotnika Raka* dzieli nas więcej niż pół wieku, jego pozycja w krajach anglosaskich pozostaje paradoksalna: wszyscy o nim słyszeli, ale któż zadał sobie trud, by go przeczytać? Rzecz jasna, książka nie jest już tak obrazoburcza jak niegdyś: krytyka cywilizacji amerykańskiej, programowy anarchizm, a także seks i obsceniczność jako środki walki z establishmentem miały prawo bulwersować w roku 1934, ale nie dzisiaj, gdyż od lat sześćdziesiątych stały się trwałym elementem literatury amerykańskiej. Dlaczego jednak, skoro środki użyte przez Millera stały się czymś powszechnym, tak niewiele uwagi poświęcono treści jego utworów? Dlaczego pisarz nie doczekał się poważniejszej biografii ani całościowego opracowania krytycznego? Co sprawia, że tak mało powstaje rozpraw na temat jego pisarstwa i wpływu na prozaików o tak różnych obliczach, jak Saul Bellów, Philip Roth, Norman Mailer czy Jack Kerouac? Musi być jakiś powód, dla którego Miller pozostaje nadal na marginesie literatury, funkcjonuje w krytycznej próżni. I chociaż w USA nakręcono kilka

filmów opartych na jego powieściach, jedyna nagroda literacka, którą otrzymał, pochodziła z... Włoch i została mu przyznana za książkę spoza głównego nurtu jego prozy. Co sprawiło, że do dziś pisarz tkwi „między bagnem a nieboskłonem”?

W opatrzonym własnymi komentarzami wyborze co „soczystszych” fragmentów głównych powieści Millera, uzupełniającym „cenzuralną” antologię opracowaną wcześniej przez Lawrence’a Durrella, Norman Mailer dochodzi do wniosku, że jest w autorze *Zwrotników* coś niestrawnego dla Amerykanów. Bez wątpienia chodzi tu o sposób widzenia świata, bliższy metafizyce Paula Klee niż komercyjnym produktom Andy’ego Warhola, surrealistom lat dwudziestych niż odbiorcom kultury masowej. Nie bez znaczenia są także jego ściślejsze związki z literaturą europejską niż amerykańską. Sam Miller przyznaje się w *Zwrotniku Raka* do swej „dziewiętnastowieczności”. Dystans, z jakiego spogląda na opisywany świat i towarzysząca mu swoista naiwność, Anais Nin nazwała trafnie „spojrzeniem Patagończyka”.

Sądzę, że przyczyny nieprzystawalności Millera do oczekiwań współczesnych odbiorców (zwłaszcza amerykańskich) można upatrywać jeszcze głębiej – w niemal średniowiecznym charakterze jego wrażliwości. „...na obrazach Griinewalda, Cranacha, Hieronima Boscha, Manuela Deutscha widzimy jeszcze naturę ludziom nieprzyjazną, zaludnioną przez złośliwe duchy, pełną zasadzek i niebezpieczeństwa. Drzewa wyciągają swe długie ręce ku przerażonemu człowiekowi. W średniowieczu po zapadnięciu zmroku nie wychodzono na dwór ze strachu przed demonami, które w ciemnościach czyhały na nierozważnych”. Tak opisuje kondycję ludzką w owych zamierzchłych dla nas czasach Jerzy Stempowski. A przecież to właśnie świat przedstawiony w *Zwrotniku Raka*: „Czyste indygowie niebo pozbawione wełnistych chmur, ponure drzewa rozciągnięte w nieskończoność, ich czarne gałęzie gestykują niczym lunatycy. Drzewa upiorne, o pniach bladych jak popiół z cygara. Wszechpotężna i tak bardzo europejska cisza. Żaluzje spuszczone, sklepy zaryglowane [...]. Zewsząd otaczała nas duszna, maniakalnie pijana noc, czały się ostrza sztyletów. Wokół rozpościerała się bezkresna pustka. Nad kaplicą niczym biskupia infuła zalegała konstelacja światełek, w ciągu zimowych miesięcy tkwiła tam tuż nad kaplicą, jaśniejąc jak ostrza sztyletów, blask absolutnej pustki”.

Uważny czytelnik znajdzie podobnych fragmentów więcej.

Na czym polega wielkość *Zwrotnika Raka* dzisiaj? Nie stanowi o niej krytyczne spojrzenie na postęp cywilizacyjny, ponieważ obawy i niepokoje z nim związane stały się dziś powszechne, ani szeroka panorama społeczna, której tu czytelnik po prostu nie znajdzie, napotykać zamiast niej zadziwiający korowód istot niespokojnych, wygnañców i uciekinierów, kurw i artystów – „osobników stukniętych, neurasteników, neurotyków, psychopatów”. Wartość książki nie leży też w jej warstwie filozoficznej ani nie opiera się na erudycji pisarza, choć bywa ona zadziwiająca. Miller to przede wszystkim zmysły, napięcia emocjonalne, nieomylny instynkt, włókna nerwów pulsujące rytmem miejsca i czasu.

Ta rzadko spotykana dziś intensywność uczuć u pisarza nazywanego „facetem o sercu i członku z kamienia” jest najmocniejszą stroną powieści obok niezniszczalnej wiary w człowieka jako jednostkę twórczą, w uzdrowicielską moc sztuki. Anais Nin wspomina, że Miller uważał się za ostatniego człowieka na ziemi. Czytając *Zwrotnik Raka* odnosi się wrażenie, że było tak naprawdę: obecność autora – wirtuoza, literackiego kuglarza, anarcho-surrealisty, narcyza i megalomana, niemoralnego moralisty i „Wielkiego Speleologa Waginy”, wreszcie intelektualisty swobodnie poruszającego się w świecie literatury, muzyki i malarstwa – stanowi źródło siły jego pisarstwa. To dzięki niej Paryż Millera staje się bardziej rzeczywisty niż Paryż Balzaka, Apollinaire’a, a nawet Céline’a; prawdziwszy i pamiętany dłużej niż miasto znane z własnych wędrówek i turystycznych folderów. „Ten Paryż, do którego tylko ja jeden mam klucz, niezbyt nadaje się do zwiedzania przez turystów, nawet gdy się ma najlepsze intencje; jest to Paryż, w który należy wierzyć, którego należy

doświadczając codziennie w tysiącu różnych tortur, Paryż rozwijający się w tobie niczym rak, rozprzestrzeniający się coraz bardziej, by cię w końcu pożreć”. Do niezapomnianych opisów miasta dochodzą mistrzowskie, nakreślone w kilku zdaniach portrety (a właściwie karykatury) ludzi, zwłaszcza postaci marginesowych.

Wizja Millera jest głęboko pesymistyczna, ale – oto kolejny paradoks – nie przygnębia; wręcz przeciwnie – złagodzony ironią i komizmem, zaskakującą metaforą, swobodnym wzlotem surrealistycznej poezji pesymizm pisarza dodaje sił, by przeciwstawić się zgiełkowi codzienności, nowotworowym komórkom zagrażającym naszej osobowości. Tak pisał o tym sam Miller: „Jednym z powodów, dla których kładłem w swych utworach nacisk na amoralność, zło, brzydotę, okrucieństwo, była chęć pokazania, że są one równie ważne – jeśli nie ważniejsze – co rzeczy pozytywne. W ten sposób oczyszczałem swój organizm z trucizny. I co dziwne, owa trucizna wywierała kojący wpływ na innych. To tak, jakbym ofiarowywał im uodporniającą szczepionkę”. Fakt opisania świata w stanie rozkładu staje się aktem obłąskawienia go, zwycięstwem nad losem.

Warto też wspomnieć o jeszcze jednym aspekcie powieści, niezbyt w odbiorze widocznym i w pewnym sensie anachronicznym w dobie literatury postmodernistycznej i *nouveau roman*: *Zwrotnik Raka* to opowieść o miłości, nie spełnionej i nieuchwytniej. Autor przyznał pod koniec życia, że we wszystkich swoich przewrotnie autobiograficznych książkach pisał wciąż o jednej kobiecie, swej drugiej żonie June, zwanej tam Marą lub Moną. To ona pobudziła Millera do pisania i chociaż ostatecznie go porzuciła, to nią właśnie nasycony jest opisywany w pierwszej powieści Paryż, to jej twarzy, marmurowych nóg i zawsze gorących piersi szukał na ulicach i w burdelach Paryża, u Tani, Germaine i innych opisywanych kobiet.

Jeżeli udany opis klęski miłości uznać można za sukces, to *Zwrotnik Raka* jest nim w stopniu o wiele większym niż późniejsze powieści Millera, a zwłaszcza jego 1600-stronicowe *opus magnum*, *Różoukrzyżowanie* (trylogia składająca się z części zatytułowanych *Sexus*, *Plexus*, *Nexus*). Przez kilkadziesiąt lat nie udało się pisarzowi uczynić z Mony przekonującej postaci powieściowej, choć odrobinę podobnej do Anny Kareniny czy Emmy Bovary; jej obraz do końca pozostaje zamazany. I pewnie taki musiał pozostać, co Miller zdawał się wyczuwać pisząc swą pierwszą powieść. Nie odwzajemniona miłość do Mony i Ameryki tu właśnie wyrażają się najpełniej, mimo że znak równości między nimi pisarz świadomie postawi dopiero w *Zwrotniku Koziorożca*. Wprawdzie cytat poniższy odnosi się do ojczyzny pisarza, ale wystarczy przecież zmienić jedno słowo...: „Najlepiej tak właśnie widzieć Amerykę, zawsze w tle, jako coś w rodzaju pocztówki, po którą sięgasz w chwilach słabości. W ten sposób wyobrażasz sobie, że zawsze tam na ciebie czeka, nie zmienia się i nie wynaturza [...]. Ameryka nie istnieje. To tylko nazwa nadana pewnej abstrakcyjnej idei...”.

Na koniec pozostawiłem problem, który poruszany zwykle na wstępie utrwała istniejący stereotyp Millera-pornografa. W rezultacie *Zwrotnik Raka* może podzielić los *Ulissesa* Joyce’a: większość osób natychmiast postawiła książkę w widocznym miejscu na półce, część czytelników zniechęciła się po kilkudziesięciu stronach, nieliczni przeczytali fragmenty obsceniczne, podkreślone przez kilku zdeterminowanych czytelników, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że to arcydzieło.

Zwrotnik Raka jest książką nieco szokującą. Ktoś napisał kiedyś, że „u boku wielkiej sztuki stoją zawsze jej dwie ciemne siostry: bluźnierstwo i pornografia”, i chociaż można by kwestionować poszczególne człony tego twierdzenia w odniesieniu do tej właśnie książki, pozostaje faktem, że nie wszystkim przypadnie ona do gustu. Rynsztokowy – jak nazywa go sam autor – język może przesłonić inne zalety powieści. Wskazanie rozdziału, w którym najczęściej występuje słownictwo „niecenzuralne”, jest zabiegiem niebezpiecznym, o czym przekonał się autor pewnego poematu, zalecając co wrażliwszym osobom, zwłaszcza panienkom, opuszczenie rozdziału zawierającego długą listę najordynarniejszych przekleństw: większość czytelników od niego właśnie zaczynała lekturę poematu. Ponadto

ostrzeżenie tego rodzaju jest nie na miejscu także i z tego powodu, że słowa uznawane za „brzydkie” występują niemal we wszystkich rozdziałach.

Miller przywiązywał sporą wagę do tej kwestii, poświęcając jej osobny esej. Przypomniał w nim dwa przeciwstawne poglądy na naturę słów nieprzyzwoitych. Według jednego obsceniczność, podobnie jak piękno, znajduje się na zewnątrz dzieła sztuki, w jaźni osoby je oglądającej. Zdanie przeciwne sprowadza się do twierdzenia, że obscena są trwałym elementem życia społecznego i odzwierciedlają głęboką potrzebę ludzkiego umysłu. Sam autor tak oto wyjaśniał powód ich stosowania: „Gdy w sztuce, a zwłaszcza w literaturze, pojawiają się obscena, spełniają zwykle funkcję środka technicznego; element celowości nie ma nic wspólnego z próbą wywołania podniecenia seksualnego. Jeśli w ogóle można mówić w tym przypadku o jakiejś ukrytej motywacji ze strony twórcy, dotyczy ona czegoś o wiele głębszego niż seks. Celem jest przywołanie i wprowadzenie poczucia rzeczywistości opisywanego świata. W pewnym sensie stosowanie przez artystę obsceniczności można porównać do użycia elementów nadprzyrodzonych przez starych mistrzów”.

Do rąk czytelnika trafia więc książka kontrowersyjna, ale – jak starałem się tu pokazać – wciąż żywa. Ta „intymna i prywatna historia, w której się nagle odzwierciedla coś, co jest głębsze i szersze”, przeznaczona jest dla ludzi z otwartą głową. Przed nimi obroni się sama.

Uważa się powszechnie, że praca tłumacza jest zajęciem samotnym. Tak rzeczywiście było w przypadku wstępnej pracy nad *Zwrotnikiem Raka*; miałem jednak to szczęście, że ostateczny kształt niniejszego przekładu zawdzięcza wiele innym. Lista ich nazwisk jest zbyt długa, by ją tu zamieszczać, ale pragnąłbym w tym miejscu podziękować im wszystkim za cierpliwość, zrozumienie i życzliwość.

Lesław Ludwig